

STAR WARS

NOCE CORUSCANT

ALEJA CIENI

MICHAEL REAVES

Przekład:
Anna Hikiert

trident

Wydanie oryginalne

Tytuł oryginału:

Star Wars: Coruscant Nights II: Street of Shadows

Data wydania:

2008

Wydanie polskie

Data wydania:

2009

Ilustracja na okładce:

Lucasfilm Ltd.

Przekład:

Anna Hikiert

Wydawca:

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
00-060 Warszawa, ul. Królewska 27
tel. 22620 40 13, 22620 81 62
www.wydawnictwoamber.pl

ISBN 978-83-241-3494-6

Wydanie I

Wydanie elektroniczne

Trident eBooks
tridentebooks@gmail.com

Jimowi Bertgesowi

OD REDAKCJI

DAWNO TEMU W ODLEGŁEJ GALAKTYCE...

1. Era Sithów

Nieznana rasa istot stworzyła koreliański system planetarny, a prawdopodobnie także usytuowaną w pobliżu planety Kessel ogromną gromadę czarnych dziur zwaną Otchłanią. Ładu i sprawiedliwości w galaktyce strzegli wówczas Rycerze Jedi wykazujący dużą wrażliwość na generowane przez wszystkie formy życia i przenikające całą galaktykę energetyczne pole zwane Mocą. Pradawni Jedi byli mędrkami, sędziami, rozjemcami, uzdrowicielami i filozofami, badającymi jasne i ciemne, jednoczące i życiodajne aspekty Mocy. Posługując się Mocą, a także od czasu do czasu świetlnymi mieczami, przeciwstawiali się złu i jego wpływowi. Rycerze Jedi doskonalili umiejętności pod okiem Mistrzów, a uczniowie – padawani i padawanki – kształcili się pod okiem doświadczonych Rycerzy Jedi. Niektórzy jednak, zwiedzeni przez Ciemną Moc, przechodzili na jej stronę i poświęcali życie krzewieniu zła. Byli to tak zwani Ciemni Jedi. Kiedy zostali wygnani, podporządkowali sobie mieszkańców pewnej zacofanej planety – Sithów, a później nawet sami nazwali się Sithami.

Mniej więcej pięć tysięcy lat przed wydarzeniami opisanymi w *Nowej nadziei* (przed tak zwanym Rokiem Zerowym) rozpoczął się okres zwany Złotą Erą Sithów. W galaktyce istniała wówczas Stara Republika, którą rządził Wielki Kanclerz. Każda planeta Republiki miała swoich przedstawicieli w galaktycznym Senacie. Stolicą Republiki była usytuowana w Jądrze galaktyki planeta Coruscant. Sithowie zgubili gwiazdne atlasy, a że ich planeta znajdowała się tysiące lat świetlnych od Jądra galaktyki, początkowo nawet nie wiedzieli o istnieniu Republiki.

Tymczasem Republika kwitła, rozwijała się i rozrastała. Kolonizowano i zasiedlano nowe planety, wytyczano nowe międzygwiazdne i nadprzestrzenne szlaki. Od czasu do czasu wybuchały wprawdzie tu i ówdzie konflikty oraz lokalne wojny, ale dzięki staraniom Jedi na ogół szybko wygasaly. Rosło w siłę także Imperium Sithów, którzy dowiedzieli się o istnieniu Republiki, kiedy na ich planecie wylądował uszkodzony statek zwiadowców Starej Republiki. Spór, czy należy ich zabić, czy pozwolić im uciec, podzielił Sithów i doprowadził do bratobójczej wojny między nimi. W końcu zwiadowcy Starej Republiki uciekli, ale przedtem

Sithowie zainstalowali na pokładzie ich statku nadajnik sygnału namiarowego i odkryli, gdzie znajduje się Coruscant.

Kiedy Sithowie zaatakowali stolicę Starej Republiki, rozpoczęła się Wielka Wojna w nadprzestrzeni, która zakończyła się porażką Sithów. Ówczesny Lord Sithów, Naga Sadow, uciekł na pokładzie ostatniego sprawnego okrętu i ukrył się na porośniętym gęstą dżunglą niewielkim czwartym księżycu Yavina. Dzięki technikom i czarom Sithów pograżył się w śpiączce, w której pozostawał następne sześćset lat.

Obudził go z niej dopiero ambitny Rycerz Jedi Freedon Nadd, ale Naga Sadow skłonił go do przejścia na Ciemną Stronę Mocy. Kiedy Nadd zmarł, jego grób stał się źródłem energii Ciemnej Strony. Przez kilkaset następnych lat pojawiło się wielu słynnych Jedi, a wśród nich Nomi Sunrider, Vodo-Siosk Baas, Arca Jeth i Ulic Qel-Droma. Od czasu do czasu wybuchały ze spadkobiercami Sithów wojny, z których zwycięsko wychodziła Stara Republika. Jeden z wybitnych Jedi, Exar Kun, przeszedł na Ciemną Stronę Mocy i stał się potężnym Sithem. Wylądował na księżycu Yavina, ogłosił się Czarnym Lordem Sithów i rozpoczął studiowanie tajemnych nauk Sithów. Na Ciemną Stronę przeszedł także Ulic Qel-Droma, który walczył przeciwko siłom zbrojnym Republiki. To właśnie wówczas, trzy tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt sześć lat przed Rokiem Zerowym, doszło do spustoszenia planety Ossus, gdzie mieściły się Akademia Jedi i ogromna biblioteka Zakonu Jedi.

Po zakończeniu wojny z Sithami rozpoczęła się era rozkwitu Starej Republiki. W gromadzie gwiazdnej Hapes wykształcił się system matriarchatu. Kilkaset lat później monarchini Konsorcjum Hapes zamknęła granice swojego sektora. Jeden z Sithów, którzy przeżyli ten okres, Lord Darth Bane, ogłosił doktrynę, w myśl której odtąd w galaktyce mogli żyć równocześnie tylko dwaj Sithowie: Mistrz i jego uczeń.

2. Schyłek Starej Republiki

Mniej więcej trzydzieści dwa lata przed Rokiem Zerowym doszło do konfliktu między Federacją Handlową pod przywództwem tchórzliwych Neimoidian a Republiką, która nałożyła podatek na transport towarów nadprzestrzennymi szlakami. Federacja zaatakowała i zablokowała planetę Naboo, której mieszkańcy zwrócili się do Republiki z prośbą o mediację. Republika wysłała dwóch Jedi: Mistrza Qui-Gona Jinnę i jego padawana, Rycerza Obi-Wana Kenobiego. Zaatakowani przez bojowe roboty Jedi uciekli i po awarii statku wylądowali na odległej pustynnej planecie Tatooine. Natrafili tam na dziewięcioletniego chłopca, Anakina Skywalkera, który wygrał wyścig ścigaczy i wykazywał niezwykły talent do władania Mocą. Qui-Gon chciał go szkolić na Rycerza Jedi, bo wierzył, że to sama Moc wybrała Anakina, żeby przywrócił w niej równowagę. Planom Qui-Gona sprzeciwiła się Rada Jedi, ale Mistrz i tak postawił na swoim. Anakin poznał piękną królową Naboo Padmę Amidalę, i chociaż był

właściwie jeszcze dzieckiem, nie potrafił o niej zapomnieć. Senator z Naboo, Palpatine, został wybrany na nowego Wielkiego Kanclerza Republiki. W rzeczywistości był to Lord Sithów Darth Sidious, który od razu rozpoczął realizację swoich planów zdobycia absolutnej władzy nad galaktyką. Jego uczeń Darth Maul stoczył pojedynek z Qui-Gonem i zabił go, ale sam zginął z ręki Obi-Wana Kenobiego, który podjął się nauczania Anakina Skywalkera. Walka na planecie Naboo zakończyła się zwycięstwem Republiki, do czego walenie przyczynił się mały Anakin.

Pokonana Federacja zamierzała zaatakować inteligentną planetę Zonamę Sekot, która także potrafiła władać Mocą. Rada Jedi wysłała tam Obi-Wana Kenobiego i jego ucznia, dwunastoletniego Anakina Skywalkera. Obaj Jedi mieli odszukać zaginioną wcześniej Rycerz Jedi, Vergere, która podobno została schwyta i porwana przez wywiadowców obcej, pozagalaktycznej rasy. Na Zonamie Sekot wytwarzano najszybsze myśliwce galaktyki i Anakin otrzymał taki inteligentny statek. Sama Zonama Sekot zmieniła jednak orbitę i odleciała. Na jakiś czas wszelki słuch o niej zaginął.

Po pokonaniu Federacji Republika zorganizowała wyprawę poza galaktykę. Naukowcy chcieli się przekonać, czy istnieje lub istniało tam życie. Wielki Kanclerz Palpatine (Lord Darth Sidious) wykorzystał tę okazję, aby zniszczyć okręty wyprawy i zabić lecących nimi Mistrzów Jedi. Możliwe, że pomógł mu w tym genialny taktyk Chiss Thrawn.

Planety Federacji Handlowej, Unii Technokratycznej, Gildii Kupieckiej i Klanu Bankowego utworzyły Konfederację Separatystów, której poczynaniami manipulował potajemnie Darth Sidious. Na czele konfederacji stanął tajemniczy hrabia Dooku. Był on upadłym Mistrzem Jedi, dawnym uczniem Yody oraz nauczycielem Qui-Gona, ale odwrócił się od Republiki i Zakonu Jedi. Kilka lat później wyszło na jaw, że z polecenia Sidiousa na planecie Kamino wyhodowano miliony klonów, które podobno miały wejść w skład armii Starej Republiki. Wzornikiem dla klonów i dawcą materiału genetycznego był mandaloriański wojownik i słynny łowca nagród Jango Fett. W siłę rośli także Separatyści i ich armie bojowych robotów. Wyglądało na to, że konfrontacja, do której dążył Darth Sidious, jest nieunikniona.

Bezpośrednio przed wybuchem Wojen Klonów Separatyści opanowali ważną pod względem strategicznym planetę Ansion. Rada Jedi wysłała tam Obi-Wana Kenobiego i jego padawanę Anakina Skywalkera. Obaj dokonali tam rzeczy niemal niemożliwych, dzięki czemu Ansion nie odłączył się od Republiki.

Po zamachu na życie Padme Amidali Wielki Kanclerz powierzył opiekę nad ówczesną panią senator Obi-Wanowi Kenobiemu i młodemu Anakinowi Skywalkerowi, który się w niej zakochał. W końcu wybuchł konflikt między Separatystami a Starą Republiką. Konflikt ten, potajemnie i umiejętnie podsycany przez Sidiousa, dał początek Wojnom Klonów. Do pierwszej wielkiej bitwy tego okresu doszło na planecie Geonosis, na której Separatyści produkowali taśmowo bojowe roboty. Podczas walk zginęło bardzo wielu Jedi. Tylko

niektórzy uszli z życiem dzięki interwencji Wielkiego Mistrza Yody, ale w końcu bitwa zakończyła się zwycięstwem Republiki. Hrabia Dooku, przywódca Separatystów, ale także uczeń Sidiousa, zwany Darthem Tyranusem, zbiegł z planami śmiertelnej broni (późniejszej Gwiazdy Śmierci). Wcześniej jednak pokonał w pojedynku Obi-Wana Kenobiego i Anakina Skywalkera, któremu uciął dłoń. Anakin potajemnie wziął ślub z Padme, chociaż Rycerzom Jedi nie wolno było zakładać rodziny.

W Wojnach Klonów walczyli przeważnie sklonowani żołnierze przeciwko armiom bojowych robotów i wojennych machin Separatystów. W walkach na setkach frontów na ogół zwyciężały klony pod dowództwem Rycerzy i Mistrzów Jedi w stopniu generałów. Szczególną odwagą i męstwem wyróżniali się sklonowani komandosi. Na Qiilurze przyczynili się do zlikwidowania tajnego ośrodka badawczo-naukowego Separatystów, gdzie hodowano wirusy atakujące tylko organizmy klonów, a na Coruscant pomogli odnaleźć i wyeliminować terrorystów. Niektóre klony z próbnej serii, tak zwane Zera, którymi opiekował się mandaloriański sierżant Skirata, bardzo się interesowały nigdy niewidzianą ojczyzną ich wzornika, Mandalorą. Cudów dokonywali także chirurdzy polowi i padawani uzdrowiciele Jedi, którzy ratowali od śmierci nawet bardzo ciężko ranne klony.

Podczas Wojen Klonów do godności Rycerza Jedi został również wyniesiony Anakin Skywalker. Stało się to po wygranej przez niego bitwie na planecie Praesitlyn, gdzie musiał się zmierzyć także z Ciemną Jedi Asajj Ventress.

W okresie poprzedzającym Wojny Klonów urodzili się dwaj ważni bohaterowie *Gwiezdnych Wojen*: Lando Calrissian i Korelianin Han Solo. Pierwszy był początkowo słynnym hazardzistą i oszustem artystą, Mistrzem gry w karty zwanej sabakiem. Mimo to Han wygrał od niego w sabaka stary koreliański frachtowiec typu YT-1300, który nazwał „Sokołem Millenium”. Statek ten stał się później jego ukochanym towarzyszem niemal wszystkich wypraw i podróży po galaktyce. Lando i Han, latając tu i tam, przeżywali najbardziej niezwykle przygody. Lando odnalazł Myślóharfę Sharów i nie dopuścił, żeby wpadła w ręce czarownika Tundu Rokura Gepty. Wymknął się potem z jego rąk w systemie Oseona i uratował od zagłady Gwiazdogrotę ThonBoka, a wreszcie postanowił zostać przedsiębiorcą.

Han Solo dorastał na Korelii pod opieką oszusta i złoczyńcy Garrisa Shrike’a, który zrobił z niego złodziejaska. W wieku dziewiętnastu lat Han uciekł i został przemytnikiem. Na zlecenie huttańskich szefów światka przestępczego przemycił transporty narkotyku zwanego przyprawą albo błyszczostymem. Zasłynął z tego, że pokonał Trasę na Kessel, gdzie wydobywano przyprawę, w ciągu niespełna dwunastu jednostek standardowych. Wyprawił się także do Sektora Wspólnego, gdzie przeżył kilka niezwykłych przygód. Towarzyszem jego podróży był zawsze Wookie Chewbacca, któremu Han ocalił kiedyś życie. Od tamtej pory Chewie uznał, że ma wobec Hana dług wdzięczności, tak zwany dług życia.

Tymczasem za sprawą złowrogiego generała Grievousa Wielki Kanclerz Palpatine cały

czas umacniał swoją władzę w Republice. Równocześnie podsycił dumę i ambicję Anakina Skywalkera, bo widział w nim kandydata na swojego ucznia – Sitha. Zainicjował także wybranie Anakina do Rady Jedi. Kiedy Palpatine uznał, że jest już wystarczająco potężny, przekształcił Republikę w Imperium, ogłosił się Imperatorem i wydał swoim wojskom Rozkaz Sześćdziesiąty Szósty, na mocy którego klony miały zabić wszystkich dowodzących nimi Jedi. Osobiście zabił kilku wybitnych Mistrzów, członków Rady Jedi, rozgłaszając, że przygotowywali zamach stanu i zamierzali go zlikwidować.

Obi-Wan widział, że jego padawan ześlizguje się na Ciemną Stronę Mocy, ale nie był w stanie temu zapobiec. Kiedy sytuacja zaczęła wyglądać naprawdę źle, stoczył z nim pojedynek na wulkanicznej planecie Mustafar. Zwyciężył i zostawił Anakina właściwie dogorywającego. Młodego Skywalkera ocalił jednak od śmierci Darth Sidious, który przywrócił go do życia w swoim tajnym ośrodku chirurgicznym. Podsycając w Anakinie nienawiść do Jedi, zrobił z niego swojego ucznia i nazwał go Darthem Vaderem. Od tej pory Anakin-Vader pomagał mu ścigać i likwidować Jedi, którzy przeżyli tak zwaną Wielką Czystkę, a nawet znalazł sobie własnego ucznia, którego nazwał Starkillerem. Padme Amidala urodziła przed śmiercią, bliźnięta Leię i Luke'a, które Obi-Wan Kenobi postanowił ukryć przed swoim byłym uczniem. Leia wychowywała się w królewskiej rodzinie na Alderaanie pod opieką Baila Organy, a Luke trafił na farmę wilgoci na Tatooine, którą prowadzili Owen i Beru Larsowie.

Nie wszyscy Jedi zginęli na mocy Rozkazu Sześćdziesiątego Szóstego. Do najwybitniejszych, którzy przeżyli, należeli sędziwy Wielki Mistrz Yoda (schronił się na bagiennej planecie Dagobah) i Obi-Wan Kenobi (zamieszkał samotnie w pustelni na Tatooine). Tymczasem coraz więcej osób miało dosyć brutalnych rządów Palpatine'a.

3. Era Sojuszu Rebeliantów

W końcu Palpatine rozwiązał Senat i aby wzbudzić jeszcze większą grozę, zaczął konstruować potężną stację bojową, zwaną Gwiazdą Śmierci. Do jej budowy zatrudniał głównie niewolników rasy Wookie. Przeciwnicy Imperatora, a wśród nich pani senator z Chandrili, Mon Mothma, i Bail Organa, powołali do życia Sojusz Rebeliantów. Podczas akcji na Toprawie wykradli plany konstrukcyjne Gwiazdy Śmierci i zaczęli się zastanawiać, jak ją zniszczyć. Lecąc statkiem konsularnym, Leia zapisała te plany w pamięci astromechanicznego robota R2-D2. Bojąc się schwymania przez Vadera, kazała robotowi lecieć na Tatooine i odszukać Obi-Wana Kenobiego. Uwięziona i torturowana przez Vadera, nie zdradziła mu jednak kryjówki bazy Rebeliantów. Mszcząc się za jej upór, dowódca Gwiazdy Śmierci, moff Tarkin, rozpylił na atomy rodzinną, jak przypuszczał, planetę Leii, Alderaan. R2-D2 i protokolarny android C-3PO wylądowali na Tatooine. Tam trafili

najpierw w ręce opiekunów Luke'a Skywalkera, a później Obi-Wana Kenobiego. Stary Jedi zabrał Luke'a do kantyny w Mos Eisley, gdzie spotkał się z Hanem Solo i z Chewiem i nakłonił ich do lotu na Alderaana. Podczas podróży Kenobi uczył młodego Luke'a sztuki posługiwania się świetlnym mieczem i władania Mocą. Kiedy okazało się, że planeta została zniszczona, wszyscy wylądowali w hangarze Gwiazdy Śmierci. Luke i Han uwolnili Leię i odlecieli z nią do bazy Rebeliantów na księżycu Yavina. Obi-Wan został i stoczył pojedynek na świetlny miecz z Darthem Vaderem. Przegrał walkę, zginął i zjednoczył się z Mocą. Siły zbrojne Imperium odnalazły bazę Rebeliantów i postanowiły ją zniszczyć, Rebeliantom jednak udało się uciec. Kiedy nad księżycem Yavina zawisła Gwiazda Śmierci, Rebelianci już znali jej słaby punkt dzięki zdobytym planom. Luke Skywalker, posługując się Mocą, posłał torpedę prosto w otwór szybu wentylacyjnego i zniszczył Gwiazdę Śmierci.

Vader jednak uciekł. Palpatine wydał natychmiast rozkaz zbudowania drugiej, jeszcze potężniejszej Gwiazdy Śmierci, i na jakiś czas przestał się interesować zagrożeniem ze strony Rebeliantów. Zwrócił za to uwagę na Gildię Łowców Nagród i organizację przestępczą Czarne Słońce, której szefem był falleeński książę Xizor. Imperator postanowił zatrudnić łowcę nagród Bobę Fetta, który wywiązał się z powierzonego mu zadania i rozbił Gildię. Od tej pory łowcy nagród zaczęli działać każdy na własną rękę, ale Palpatine nadal dyskretnie korzystał z ich usług.

Po Bitwie o Yavina Rebelianci przenieśli bazę na lodową planetę Hoth, ale i tam odnaleźli ich siepacze Imperium. Po przegranej bitwie Rebelianci uciekli i się rozproszyli. Luke odleciał X-wingiem na Dagobah, bo duch Kenobiego polecił mu, żeby szkolił się tam pod okiem Wielkiego Mistrza Yody, a Han, Chewbacca i Leia uciekli „Sokołem Millenium” do gromady asteroid, gdzie uszkodzona została jednostka napędowa „Sokoła”. Han i księżniczka Leia zakochali się w sobie. Aby naprawić usterkę, Solo poleciał do Miasta w Chmurach na Bespinie. Baronem administratorem był tam jego przyjaciel Lando Calrissian, który zajmował się pozyskiwaniem cennego gazu tibanna. Zmuszony przez Vadera Lando przekazał mu jednak Hana i Luke'a. Vader oddał Hana w ręce łowcy nagród Boby Fetta, a z Lukiem stoczył pojedynek na świetlny miecz. Luke stracił prawą dłoń (później zastąpił ją protezą) i przegrał, a wtedy Vader wyjawiał mu, że w rzeczywistości jest jego ojcem. Luke wskoczył do szybu reaktora i zawisnął na antenie wiatromierza. Boba Fett zamroził Hana w bloku karbonitu i odleciał na Coruscant, żeby oddać Solo w ręce gangstera Hutta Jabby, któremu Han był winien sporą sumę pieniędzy za niedostarczoną przyprawę.

Lando i Leia ocalili Luke'a, zabierając go „Sokołem” z anteny wiatromierza, po czym polecili na spotkanie z resztą Sojuszu.

Niebawem przywódca Czarne Słońca, książę Xizor, został zabity przez Vadera. Czarnemu Lordowi nie spodobało się, że Falleen chciał porwać i zabić Luke'a Skywalkera.

Niecały rok później Luke, Leia i Lando oraz Chewie polecili na Tatooine ratować Hana. Leia udusiła Jabbę, a jej towarzysze rozprawili się z siepaczami Hutta na barce żaglowej.

Boba Fett wpadł do Wielkiej Jamy Carkoon i został połknięty przez sarlacca.

Rebelianci dowiedzieli się, że nad księżycem sanktuarium zwanym Endorem jest konstruowana druga Gwiazda Śmierci. Luke wrócił na Dagobah, żeby nadal się szkolić pod okiem Yody, ale sędziwy Mistrz zmarł, a jego ciało zjednoczyło się z Mocą. Przedtem jednak poddał Luke'a próbie, której młody Skywalker nie przeszedł. Rebelianci przypuścili na Endorze szturm na stacjonarny generator ochronnego pola Gwiazdy Śmierci, żeby móc ją zaatakować z przestworzy. Ich starania zakończyły się sukcesem. Imperator kazał Luke'owi stoczyć pojedynek z Vaderem. Chciał, żeby po zabiciu własnego ojca Luke został jego uczniem, przeszedł na Ciemną Stronę i razem z nim władał galaktyką. Aby go do tego zmusić, zaczął go razić błyskawicami Sithów. W końcu Vader wrzucił Imperatora do szybu, gdzie ten zginął. Krótko przed śmiercią Vader nawrócił się na Jasną Stronę Mocy, a po śmierci jego ciało się z nią zespoliło. Luke spalił jego pancerz na Endorze, a Lando, któremu Han pozwolił pilotować „Sokoła”, zniszczył drugą bojową stację Imperatora.

Siły zbrojne Imperium nie zostały jednak całkowicie pokonane i wspólnie z jaszczuropolodnymi Ssi-ruukami zaatakowały Bakurę. Rebelianci pospieszyli na pomoc dręczonym i mordowanym Bakuranom. Zawarli pakt o nieagresji z dowódcą flot Imperium komandorem Thanasem, ale Ssi-ruuków pokonali Chissowie pod wodzą Wielkiego Admirała Thrawna. Przywódczyni Sojuszu Rebeliantów Mon Mothma proklamowała powstanie Nowej Republiki.

4. Era Nowej Republiki

Po Bitwie o Endor od Imperium odłączyło się wielu dostojników, którzy z resztek terytorium pod władaniem Palpatine'a usiłowali wykroić dla siebie własne miniimperia. Jednym z takich samozwańczych lordów był admirał Harrsk, prócz niego – admirałowie Teradoc i Drommel oraz Wielki Moff Kaine. Jednym z najgroźniejszych przeciwników Nowej Republiki okazał się jednak admirał Zsinj. Także była szefowa Imperialnego Wywiadu Ysanna Isard miała ochotę zasiąść na tronie Palpatine'a. Schwyciła pilota słynnej Eskadry Łotrów, Tycha Celchu, i uwięziła go na pokładzie gwiazdnego superniszczyciela „Lusankya”. Tycho uciekł i powrócił do Nowej Republiki, ale od tego czasu wielu długo uważało go za podwójnego agenta.

Luke Skywalker został awansowany do stopnia generała, ale sześć miesięcy później, po Bitwie o Mindora z czarnymi szturmowcami Lorda Shadowspawna, w której zginęło albo przelało krew wiele osób, zrezygnował i powrócił do cywila. Doszedł do wniosku, że przysłuży się lepiej Nowej Republice, zakładając nową Akademię i reaktywując Zakon Jedi. Z samozwańczymi lordami rozprawiły się po kolei siły zbrojne Nowej Republiki; odznaczyli się tu Eskadra Łotrów pod dowództwem komandora Wedge'a Antillesa, a także Luke

Skywalker, Han Solo i Leia, a nawet przemytnicy, jak Booster Terrik.

W ósmym roku po Bitwie o Yavina księżniczce Leii oświadczył się urodziwy Hapanin, książę Isolder. Takie małżeństwo miałoby sens z politycznego punktu widzenia. Zazdrosny Han, pragnąc zyskać przychyłność Leii, podarował jej wygraną w sabaka planetę Dathomirę, żeby mogli na niej zamieszkać uciekinierzy z unicestwionego Alderaana. Porwał Leię i poleciał z nią na Dathomirę, ale oboje zostali uprowadzeni przez władające Mocą wojowniczkę. Na ratunek Leii polecieł Luke i książę Isolder; przy tej okazji odkryli, że na planecie panoszy się zło, uosabiane przez władające Ciemną Mocą wiedźmy zwane Siostrami Nocy. Zsinj namówił je do ataku na twierdzę wojowniczek, ale bitwa zakończyła się porażką Sióstr Nocy. Wojowniczkę przyłączyły wtedy Dathomirę do Nowej Republiki, Han wziął ślub z Leią, a Isolder ożenił się z urodziwą wojowniczką Teneniel Djo. Po okresie zaciętych walk Nowa Republika i resztki Imperium doszły do wniosku, że muszą uzupełnić stan swoich mocno zdziesiątkowanych flot.

W tym samym roku Han i Leia poleciełi na Tatooine, żeby wziąć udział w aukcji cennego alderańskiego mikroobrazu zatytułowanego *Killicki zmierzch*. Ukryty w nim mikroobwód zawierał tajne szyfry Rebeliantów, nie mógł więc dostać się w ręce agentów Imperium. Obraz został jednak skradziony, a w pogoni za sprawcą kradzieży oboje Solo zdobyli wideopamiętnik z zapiskami Shmi Skywalker, matki Anakina-Vadera; trafili także do samotni Obi-Wana Kenobiego. Odzyskali w końcu obraz, zniszczyli mikroobwód i pozwolili, żeby nowym właścicielem arcydzieła został Wielki Admirał Thrawn.

Rok później Thrawn zaatakował Nową Republikę. Z początku napadał na planety na obrzeżach jej terytorium, ale szybko zyskał poparcie resztek Imperium. Nakłonił do współpracy szalonego kłona Jedi Cbaotha, utworzył potężną flotę i zaczął klonować szturmowców. Porwał także zdolne do przebijania pancerzy okrętów włąbiarki Landa Calrissiana.

Leia urodziła bliźnięta Jainę i Jacena Solo. Luke spotkał Marę Jade, dawną Rękę Imperatora, która początkowo chciała go zabić. Thrawn zaatakował gwiazdne stocznie i uszkodził wiele okrętów Nowej Republiki. Sprzymierzeńcy Wielkiego Admirała, istoty rasy Noghri, przeszli na stronę Nowej Republiki. Thrawn zdobył większość grupy kilkuset pancerników zwanych Katańską Flotą. Cbaoth wyhodował kłona Luke'a Skywalkera i kazał mu stoczyć walkę z prawdziwym młodym Jedi, ale kłona zabiła Mara Jade. W końcu Thrawn został zabity przez jednego z Noghri. Dowództwo nad imperialną flotą objął kapitan Pellaeon. Rok później na scenie pojawiła się znów Ysanna Isard, ale zginęła z ręki agentki Wywiadu Nowej Republiki, Ielli Wessiri.

Dziesięć lat po Bitwie o Yavina pojawił się znów Imperator Palpatine – a ściślej jego odrodzona wersja. Mon Mothma zarządziła ewakuację mieszkańców Coruscant. Imperator, posługując się tajemną magią Sithów, jeszcze raz zapragnął zwabić Luke'a na Ciemną Stronę Mocy. Znów mu się to nie udało, ale mimo to podporządkował Luke'a swojej woli. Chciał,

żeby na Ciemną Stronę Mocy przeszło trzecie, jeszcze nienarodzone dziecko Leii i Hana. W końcu odrodzony Imperator zginął, a Luke rozpoczął poszukiwania wrażliwych na Moc osób. Leia urodziła trzecie dziecko, Anakina Solo.

Luke odnalazł Gantorisa, Streena, Kama Solusara, Kalamariankę Cilghal, Tionnę, Kiranę Ti, klona Dorska Osiemdziesiątego Pierwszego i pilota Eskadry Łotrów Corrana Horna. W ruinach prastarej świątyni na Yavinie Cztery założył nową Akademię Jedi, gdzie zaczął szkolić uczniów w sztuce władania Mocą i posługiwania się świetlnym mieczem. Tymczasem Han i Chewbacca zostali uwięzieni na Kessel w kopalni przyprawy, gdzie natknęli się na wrażliwego na Moc młodzieńca, Kypa Durrona. Wszyscy trzej uciekli, ale trafili do pełnego czarnych dziur rejonu zwanego Otchłanią. Dostali się tam w ręce władczyni tajnego imperialnego Laboratorium Otchłani, admirał Daali, która nic nie wiedziała o wojnie ani o śmierci Imperatora. Han, Chewie i Kyp porwali imperialną superbroń, zwaną Pogromcą Słońc, i uciekli. Kiedy Daala poznała prawdę o obecnej sytuacji politycznej, postanowiła rozpocząć wojnę z Nową Republiką. Mon Mothma została otruta na Coruscant, ale wyzdrowiała dzięki staraniom Cilghal. Daala zaatakowała Kalamara, a Nowa Republika zdobyła i zniszczyła Laboratorium Otchłani. Uzdrawiona Mon Mothma przekazała całą władzę nad Nową Republiką w ręce Leii Organy Solo.

Tymczasem na czwartym księżycu Yavina ożył uśpiony tam od bardzo dawna duch Lorda Sithów Exara Kuna. Zaczął zwodzić uczniów Luke'a i narzucać im swoją wolę, bo pragnął zabić młodego Mistrza Skywalkera. Pierwszą ofiarą ducha padł Gantoris; wpływom Exara Kuna uległ także ambitny Kyp Durron, który porwał Pogromcę Słońc z zamiarem niszczenia planet dochowujących wierności Imperium. Wywołał eksplozję wielu gwiazd i unicestwił Caridę z tamtejszą Imperialną Akademią, w której kształcili się kandydaci na szturmowców. Nie przeszedł jednak na Ciemną Stronę Mocy. Uciekł Pogromcą Słońc i zniszczył tę broń, posyłając ją w czeluść czarnej dziury. Później jednak pomógł duchowi Exara Kuna uspić Mistrza Skywalkera. Od pewnej śmierci ocalał Luke'a jego wówczas niespełna trzyletni siostrzeniec Jacen Solo. Duch Exara Kuna został pokonany, dzięki czemu duch Luke'a mógł powrócić do swojego ciała.

Zgromadzeni w rejonie Jądra galaktyki moffowie i inni dostojnicy Imperium, a wśród nich pani admirał Daala, nawiązali kontakt z byłą Ręką Imperatora Rogandą Ismaren. Poszukując ukrytych wiele lat wcześniej dzieci Jedi, Leia spotkała Rogandę i odkryła, że ta chce opanować superpancernik „Oko Palpatine'a” i wydać wojnę Nowej Republice. Roganda wszczepiła swojemu synowi implant, pozwalający mu zdalnie wydawać rozkazy automatom. Irek chciał wezwać „Oko Palpatine'a”, ale uwięziony na pokładzie superpancernika Luke uratował przetrzymywanych tam jeńców i odleciał, po czym zniszczył ogromny okręt.

W roku dwunastym po Bitwie o Yavina Daala porwała gwiazdny superniszczyciel i wyruszyła znów do walki przeciwko Nowej Republice. Korzystając z pomocy Czarnego Słońca, Huttowie skonstruowali superlaser podobny do tego z pierwszej Gwiazdy Śmierci,

którym Tarkin zniszczył Alderaana. Zdobyli plany i schwytali wielu niewolników, ale z powodu błędów konstrukcyjnych ich superlaser, nazwany Mieczem Ciemności, okazał się niewypałem. Dla uczczenia końca budowy Huttowie zamordowali jednak schwytanego generała Nowej Republiki – bohatera Rebelii, Crikxa Madine'a. Daala nawiązała kontakt z admirałem Pellaeonem i oboje zaatakowali Akademię Jedi. Okręty ich flot odepchnęli co prawda Mocą Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy i inni uczniowie Jedi, ale klon przypłacił ten wyczyn życiem. Załamana Daala przekazała całą władzę w ręce Pellaeona i udała się na dobrowolne wygnanie. Resztki Imperium opuściły Jądro galaktyki i zajęły rejon Dzikich Przestworzy. Leia wysłała generała Antillesa na Adumar, żeby otworzył tam drugi front walki przeciwko Szcątkom Imperium. Misja Antillesa zakończyła się sukcesem i Adumar przyłączył się do Nowej Republiki.

Rok później zabicia Luke'a Skywalkerera podjął się Seti Ashgad, były senator i polityczny przeciwnik Palpatine'a. Został on wygnany na planetę Nam Chorios, słynącą z inteligentnych, wrażliwych na Moc kryształów. Ashgad zamierzał zarazić obywateli Republiki wirusami zwanymi Posiewem Śmierci, ale przeszkodziła mu w tym Daala. Pospieszyła na pomoc, ale później znów odleciała, żeby knuć mroczne plany unicestwienia Nowej Republiki.

W roku szesnastym wybuchł konflikt zwany kryzysem Czarnej Floty. Rozpoczął się od napaści Yevethów, którzy porwali okręty zaginionej po Bitwie o Endor imperialnej Czarnej Floty – zaczynając od Gromady Koornacht – napadali na planety Nowej Republiki. Do ich niewoli trafił nawet wysłany z misją szpiegowską Han Solo. Księżniczka Leia musiała wypowiedzieć Yevethom wojnę, chociaż mogło to oznaczać śmierć jej męża i ojca jej dzieci. Z niewoli uwolnili Hana Chewbacca i jego syn, a Czarna Flota i szturmowcy na pokładach jej okrętów opuścili Yevethów. Luke spotkał władające Białym Nurtem Fallanasski, które pomogły mu bez wielkiego rozlewu krwi pokonać Yevethów i zakończyć kryzys Czarnej Floty.

Rok później doszło do eksplozji w gmachu Senatu Nowej Republiki. Zginęło wielu senatorów, a inni odnieśli ciężkie rany. Za zamach był odpowiedzialny uczeń Ciemnej Strony Brakiss, który zainstalował zdalnie sterowane ładunki wybuchowe w wielu kręcących się po sali automatach. Pragnąc odszukać Brakissa, Luke Skywalker poleciał na Almanię, lecz Ciemny Jedi spowodował eksplozję myśliwca Luke'a i wziął Mistrza Jedi do niewoli. Nowa Republika wysłała po niego flotę, ale Brakiss zniknął. Nowa Republika stłumiła wreszcie bunt na Almanni, ale musiała jeszcze stoczyć walkę z flotą Pellaeona i Daali, zanim nastąpił krótki okres spokoju.

W osiemnastym roku po Bitwie o Yavina Lando postanowił znaleźć odpowiednio zamożną kandydatkę na żonę. Sporządził nawet listę i z pomocą Luke'a Skywalkerera zaczął odwiedzać kolejne kandydatki. Do gustu przypadła mu dopiero urodziwa Tendra Risant, mieszkanka leżącej na obrzeżach systemu koreliańskiego Sakorii. Tendrze Lando też się spodobał, ale władająca Sakorią Triada wydalila Landa i Luke'a. Władcy planety chcieli

opanować Stację Centerpoint, służącą niegdyś rasie obcych istot do przyciągania planet systemu koreliańskiego w ten rejon przestworzy. Stacja mogła także pełnić funkcje gigantycznego nadprzestrzennego repulsora albo generatora promienia ściąającego, umożliwiającego niszczenie nawet całych planet.

W tym samym roku Leia wyprawiła się na rodzinną planetę Hana – Korelię – zaniepokojona, że Korelianie odizolowali planetę od reszty galaktyki. Wpadła jednak w pułapkę i została uwięziona. Jej mąż Han trafił do niewoli, schwytyany przez swojego prześladowcę z czasów dzieciństwa, dalekiego krewniaka, Thrackana Sal-Solo. Leia uciekła z więzienia z pomocą Mary Jade, a mały Anakin uruchomił gwiazdogrom Stacji Centerpoint. Thrackan porwał trójkę dzieci Solo, ale mały Anakin zapobiegł wykorzystaniu gwiazdogromu do zniszczenia planety. Nowa Republika odniosła zwycięstwo, a jej przywódczyni Leia Organa Solo poprosiła o bezterminowe zwolnienie z obowiązków. Po zakończeniu powstania na Korelii Lando poślubił Tendrę i oboje założyli firmę produkującą sprzęt na potrzeby sił zbrojnych, Tendrando Arms.

Rok później trzech dostojnicy Imperium: moff Disra, major Tierce i niejaki Flint ogłosili, że nieżyjący Wielki Admirał Thrawn zmartwychwstał. Udało im się oszukać nawet Landa Calrissiana, który od razu przekazał tę informację Nowej Republice. Leia odbyła rozmowę z przywódcą Szcątków Imperium, admirałem Pellaeonem, który zdemaskował fałszywego Thrawna, zabił Tierce'a i wtrącił do więzienia jego współników.

W tym samym roku Luke Skywalker wyruszył na wyprawę, żeby wyjaśnić zagadkę pojawiania się coraz większej liczby klonów. Wpadł w zasadzkę piratów, ale od śmierci uratowała go Mara Jade. Na Nirauanie Luke odkrył skarbnicę imperialnej wiedzy, zwanej Ręką Thrawna. Znalazł nawet cylinder z klonem Wielkiego Admirała. Mara Jade została w końcu żoną Luke'a Skywalkera. W galaktyce na kilka lat zapanował pokój.

Na terytorium Nieznanych Rejonów Luke i Mara powrócili trzy lata później, tym razem w celu rozwiązania pięćdziesięcioletniej tajemnicy „Lotu Pozagalaktycznego”, w którego unicestwieniu maczał palce Thrawn. Chissowie postanowili po latach zwrócić wrak okrętu Nowej Republice. Luke i Mara odkryli jednak we wraku społeczność założoną przez rozbitków dawnego lotu, a na domiar złego musieli zmierzyć się z groźną rasą Vagaarich, którzy chcieli zaatakować Chissów.

Pierwsi absolwenci Akademii Jedi na Yavinie Cztery rozproszyli się po galaktyce, żeby wyszukiwać i szkolić nowych uczniów. Do Akademii trafiły wszystkie trzy pociechy Leii i Hana Solo: bliźnięta Jaina i Jacen oraz młodszy od nich Anakin. Szkolili się tam również: córka właściciela farmy wilgoci z Tatooine, Tahiri Veila, młody Wookie Lowbacca (Lowie) oraz córka Teneniel Djo i księcia Isoldera z Hapes, Tenel Ka. Pewnego razu bliźnięta Solo odkryły w dżungli wrak imperialnego myśliwca typu TIE, a także jego starego pilota Qorla. Kiedy młodzi Jedi naprawili myśliwiec, Qorl je porwał. Jaina i Jacen się uwolnili, ale Qorl odleciał.

Kilka miesięcy później bliźnięta Solo zostały uprowadzone do kierowanej przez Ciemnego Jedi Brakissa Akademii Ciemnej Strony. Brakiss kazał im stoczyć ze sobą pojedynek, bo zamierzał z nich zrobić Ciemnych Jedi. Bliźnięta uciekły z pomocą Luke'a Skywalker'a i pilota Qorla.

Podczas odwiedzin na Coruscant Jacen i Jaina natknęli się w podziemiach na kilkunastoletniego sierotę – łobuziaka Zekka, który także wykazywał wrażliwość na oddziaływanie Mocy. Zaprosili go na Yavinę Cztery, w nadziei że Zekk zechce się tam uczyć i zostanie Jedi. Chłopak został jednak porwany przez Brakissa do Akademii Ciemnej Strony i po przeszkoleniu został jednym z najpotężniejszych Ciemnych Jedi, tak zwanym Najciemniejszym Rycerzem.

Tymczasem Luke pozwolił swoim młodym uczniom na skonstruowanie własnych mieczy świetlnych. Tenel Ka zbudowała swoją broń niestarannie i podczas ćwiczebnego pojedynku z Jacenem straciła rękę. Nie zgodziła się jednak na zastąpienie jej protezą i powróciła na Hapes.

Kiedy Brakiss zaatakował rodzinną planetę Wookiech, Kashyyyk, na ratunek pospieszyli młodzi Jedi z Akademii Luke'a Skywalker'a. Pojedynek Jaiiny z Zekkiem nie przyniósł rozstrzygnięcia, bo Zekk nie potrafił się przemóc, żeby ją zabić. Brakiss i żołnierze tak zwanego Drugiego Imperium zdobyli jednak potrzebne do wyposażenia swoich okrętów podzespoły elektroniczne i odlecieli.

Młodzi Jedi wrócili na Yavinę Cztery, żeby ostrzec Luke'a przed spodziewanym atakiem Brakissa i jego Akademii Ciemnej Strony. Podczas potyczki wszyscy Jedi walczyli bardzo mężnie i chociaż do wojsk Brakissa przyłączyli się szturmowcy i Siostry Nocy z Dathomiry, dopiero przybycie floty Nowej Republiki pozwoliło odnieść zwycięstwo. Brakiss stoczył z Lukiem pojedynek na świetlne miecze, ale uciekł, kiedy zanosilo się na jego porażkę. Akademia Ciemnej Strony została zniszczona, co oznaczało koniec Drugiego Imperium.

Zekk w końcu zrozumiał swój błąd i w roku dwudziestym czwartym powrócił do Akademii Jedi na Yavinie Cztery. Został świetnym pilotem i pomagał w nauce wielu innym uczniom Jedi. Dawni uczniowie Luke'a, a wśród nich bliźnięta Solo oraz ich brat Anakin, Tenel Ka, Lowbacca i Zekk odnosili w różnych walkach wiele zwycięstw, dlatego Luke pasował wszystkich na pełnoprawnych Rycerzy Jedi.

5. Nowa Era Jedi

W roku dwudziestym piątym Nową Republikę zaatakowała rasa przerażających obcych istot spoza galaktyki, Yuuzhan Vongów. Obcy napadli najpierw na samotną placówkę nasłuchową na Zewnętrznych Rubieżach. Wyglądali jak dwunożne potwory, walczyli organiczną bronią, latali organicznymi okrętami i nie bali się śmierci. Najciekawsze jednak, że nie można było wykryć ich obecności w Mocy. Yuuzhanie potrafili także udawać ludzi i

większość istot innych inteligentnych ras, więc pokonanie ich było prawie niemożliwe. Ich najgroźniejszą bronią były dovin basale – stworzenia wytwarzające mniejsze i większe czarne dziury. Niektóre dziury były tak ogromne, że mogły pochłaniać całe księżyce, a nawet planety.

Kiedy Nowa Republika zrozumiała grożące jej niebezpieczeństwo, rzuciła do walki z Yuuzhanami wszystkie siły. Tymczasem Yuuzhan Vongowie podbijali kolejne nowe planety i brali do niewoli mieszkańców, żeby ich torturować i składać w ofierze swoim bogom. Podczas walk na księżycu Serpidał zginął wierny druh Hana, Wookie Chewbacca, którego Anakin nie zdążył w porę ewakuować. Han miał za to żal do syna i odleciał sam „Sokołem” w poszukiwaniu zemsty oraz przygód, choć w rzeczywistości chciał mieć czas na pogodzenie się z tą stratą. Przy okazji wpadł na trop wymierzonego przeciwko Rycerzom Jedi przewrotnego spisku Yuuzhan Vongów. Obce istoty już wcześniej odkryły, że największe niebezpieczeństwo zagraża im ze strony znenawidzonych *Jeedai* – Rycerzy Jedi. Problem w tym, że tylko Jedi mogli uchronić Nową Republikę od zagłady. Nowym przywódcą Nowej Republiki został Bothanin Borsk Fey'lya.

Yuuzhan Vongowie stopniowo opanowywali coraz więcej planet galaktyki. Nowa Republika była bezradna wobec potęgi bezlitosnych najeźdźców, a Luke Skywalker starał się utrzymać jedność wśród Rycerzy Jedi. Yuuzhan Vongowie rozpoczęli polowanie na „Sokoła Millenium” i pilotującego go Hana Solo. Do obcych wyprawił się Rycerz Jedi Wurth Skidder, ale zginął w męczarniach, kiedy barbarzyńcy odkryli jego tożsamość. Huttowie opowiedzieli się początkowo po stronie najeźdźców, wężąc w tym dobry interes, by następnie podjąć próbę ich oszukania. Anakin Solo posłużył się repulsorem Stacji Centerpoint, ale oprócz zniszczenia floty Yuuzhan Vongów niechcący unicestwił także sporą część zaprzyjaźnionej floty Hapan. Obcy – udając, że zamierzają zaatakować Korelię – w rzeczywistości przypuścili szturm na Fondora i jego gwiazdne stocznie.

Z każdą chwilą byli coraz bliżej stolicy Nowej Republiki, Coruscant. Niejako po drodze opanowali planetę Duro. Przed Rycerzami Jedi stanęło kolejne wyzwanie: musieli uratować Leię z rąk bezlitosnych najeźdźców. W końcu Yuuzhanie zasygnalizowali, że są gotowi do zawarcia pokoju z Nową Republiką. W zamian zażądali tylko wydania im wszystkich Jedi, na co Republika nie mogła się zgodzić. W galaktyce zaczęła narastać wrogość wobec Zakonu, obwinianego o podsycanie konfliktu. Yuuzhan Vongowie wylądowali na Yavinie Cztery i zajęły Akademię Luke'a Skywalkera. Uwolnienia schwytych Jedi podjął się młody Anakin Solo. Mimo to Yuuzhan Vongowie nie przestali polować na Jedi. Przeszukiwali całą galaktykę, aż w końcu Nowa Republika odmówiła pomocy Zakonowi Jedi. Zbliżała się chwila ostatecznego starcia z niezwyciężonym przeciwnikiem. Mara urodziła syna, któremu Skywalkerowie dali na imię Ben. Pojawiła się nadzieja na zwycięstwo.

Yuuzhan Vongowie nie zrezygnowali jednak z prób zdobycia reszty galaktyki. Dzięki inżynierii biologicznej wyhodowali potwory zwane voxynami, które potrafiły z daleka

wyczuwać Jedi. Nowa Republika odkryła, że voxyny są hodowane na krążącym w przestworzach planety Myrkr światostatku Yuuzhan Vongów. Zadania zabicia królowej voxynów i zniszczenia laboratorium Yuuzhan podjął się siedemnastoletni wówczas Anakin Solo. Dołączyli do niego Jacen i Jaina, a także zakochana w Anakinie Tahiri, Tenel Ka, Barabel Tesar Sebatyne, Twi'lekanka Alema Rar, Zekk, Chadra-Fanka Tekli i inni Rycerze Jedi. Wielu członków wyprawy, a wśród nich Anakin, straciło życie, ale zadanie zostało wykonane. Jacen dostał się do niewoli, ale pozostali porwali statek Yuuzhan Vongów i uciekli.

W końcu Yuuzhanie zdobyli straszliwie zniszczoną stolicę Nowej Republiki. Przywódca Borsk Fey'lya popełnił samobójstwo, a Han, Leia, Luke i Mara w ostatniej chwili odlecieli. Oboje Solo rozpaczali po śmierci młodszego syna. Firma Tendrando Arms rozpoczęła produkcję wojennych androidów ZYV – Zabójców Yuuzhan Vongów – które potrafiły wykrywać i zabijać nawet tych Yuuzhan, którzy przyjęli wygląd ludzi czy istot innych ras.

Rozwścieczeni stratą królowej voxynów Yuuzhanie ścigali Jainę, żeby złożyć ją w ofierze swoim bogom. Młodzi Jedi polecili na Hapes, ale zrozpaczona po śmierci brata Jaina zamknęła przed nimi swój umysł i chcąc się zemścić, uległa wpływowi Ciemnej Strony Mocy. Wprowadziła w błąd Yuuzhan Vongów i nakazała dowódcom ich żywych okrętów toczyć walkę z innymi okrętami, dzięki czemu dała czas Hapanom na odbudowę zniszczonej przez Anakina floty. W końcu jednak zawróciła z Ciemnej Strony i została uczennicą Kypa Durrona, który postanowił powołać na nowo do życia Radę Jedi.

Po inwazji Yuuzhan Vongów na Coruscant Rada Jedi zgłosiła gotowość do ustępstw, chociaż mogły one oznaczać tylko dalszą ekspansję najeźdźców. Tenel Ka została nową monarchinią Konsorcjum Hapes, a Jag Fel naczelnym dowódcą jej floty. Atak obcych na Hapes zakończył się niepowodzeniem. Yuuzhan Vongowie rozpoczęli polowanie na bliźnięta Solo, bo uznali, że tylko ich śmierć mogła zapewnić Yuuzhanom całkowite zwycięstwo.

Przebywający w niewoli Yuuzhan Vongów Jacen dostał się w ręce ptakopodobnej Foshanki, Vergere, która zaginęła wiele lat wcześniej, bo przyłączyła się do zwiadowców Yuuzhan Vongów, żeby lepiej poznać obce istoty. Naturalnie zataiła przed nimi, że jest Jedi. Vergere zaczęła w najwymyślniejszy sposób torturować Jacena, żeby go zmusić do oswojenia się z cierpieniem i bólem. Wykorzystywała w tym celu nawet yuuzhańskiego potwora zwanego Objęciami Cierpienia. Jacen zaprzyjaźnił się z innym yuuzhańskim zwierzęciem, dhuryamem, który został później Mózgiem Świata Coruscant i zaczął poddawać planetę vongizacji, czyli przekształcać ją w taki sposób, żeby mogła zostać nową stolicą Yuuzhan Vongów. Yuuzhanie uważali Jacena za wcielenie jednego ze swoich bliźniaczych bogów. Młody Solo i Vergere uciekli z opanowanej przez obcych Coruscant i wylądowali na Kalamarze.

Po upadku Coruscant i po Bitwie o Borleias senatorowie Nowej Republiki wybrali na Kalamarze nowego przywódcę. Został nim caamasjański senator Cal Omas. Luke Skywalker

reaktywował Radę Jedi w nietypowym składzie: oprócz Jedi mieli w niej odtąd zasiadać wybrani przedstawiciele władz Nowej Republiki. Wojska Republiki zaczęły odnosić pierwsze, z początku skromne, zwycięstwa nad siłami zbrojnymi Yuuzhan Vongów, do czego przyczyniła się znacznie Jaina Solo. Vergere trafiła do więzienia, ale Luke odkrył, że Foshanka może mu pomóc wyjaśnić, dlaczego Yuuzhan Vongowie pozostają niewidoczni w Mocy. Han i Leia wyprawili się do Nieznanych Rejonów na planetę Bastion, stolicę Szczańców Imperium, gdzie dostali od Wielkiego Admirała Pellaeona dokładną mapę szlaków Głębokiego Jądra galaktyki. Zwabili tam Yuuzhan Vongów, a Jaina zabiła wojennego Mistrza obcych. Jacena i innych Jedi uratowała od śmierci Vergere, ale przypłaciła ten wyczyn życiem. Cal Omas proklamował powstanie Galaktycznego Sojuszu, a Luke wyruszył na poszukiwanie planety Zonama Sekot, w nadziei że tylko ona może pomóc pokonać Yuuzhan Vongów.

Tymczasem Yuuzhanie otrząsnęli się po porażce w Głębokim Jądrze i kontynuowali podbój następnych planet. Agenci obcych wykorzystywali w tym celu lokalne waśnie i konflikty. Luke odnalazł Zonamę Sekot, ale planeta obiecała pomoc dopiero po zbadaniu umysłów Luke'a i Jacena. Wojskowi Galaktycznego Sojuszu postanowili wyzwolić z rąk Yuuzhan Vongów Fondora i jego gwiazdne stocznie. W tym celu siły zbrojne Sojuszu upozorowały atak na Duro. Podstęp się udał, ale zginęło wielu niewtajemniczonych Durosjan. Przedstawiciele Sojuszu polecieli potajemnie na Coruscant, żeby się spotkać z arcykapłanem Yuuzhan Vongów, Harrarem. Razem z nim wyruszyli na poszukiwania Zonamy Sekot i wylądowali na jej powierzchni. Yuuzhanie stwierdzili, że fauna i flora planety są niezwykle podobne do form życia na ich dawno zaginionej ojczyźnie. Harrar został zabity przez podstępного egzekutora Yuuzhan Vongów, który poinformował Najwyższego Władcę Yuuzhan, Shimmrę, o odnalezieniu planety. Zonama Sekot wskoczyła na oślep do nadprzestrzeni, ale doznała przy tym wielu obrażeń. Yuuzhan Vongowie sparaliżowali sieć łączności zwaną HoloNetem.

Shimmra nie zlekceważył niebezpieczeństwa grożącego Yuuzhanom ze strony niezwyklej planety. Pragnął uprosić bogów, żeby pomogli mu ją odnaleźć, i w tym celu zamierzał złożyć w ofierze miliony jeńców. Na Coruscant wylądowały pierwsze oddziały szturmowe Galaktycznego Sojuszu. Luke zdobył fortecę Shimmry, ale został ciężko ranny. Okazało się, że w rzeczywistości Najwyższym Władcą Yuuzhan Vongów nie był Shimmra, ale jego pokraczny sługa, który zginął po stoczeniu walki z bliźniętami Solo.

Wojna z Yuuzhan Vongami trwała pięć lat i zakończyła się ich klęską, ale Cal Omas i Jedi pozwolili pokonanym i rozbrojonym Yuuzhanom osiąść na planecie Zonama Sekot, która odleciała do Nieznanych Rejonów galaktyki. Ostatecznie wyjaśniło się, dlaczego obcy byli niewidoczni w Mocy. Rycerze Jedi wyznaczili sobie nowe cele w życiu.

Dziesięć lat po wybuchu wojny z Yuuzhan Vongami czworo Jedi, a wśród nich bliźnięta Solo, wyruszyło na nieautoryzowaną wyprawę. Zostali wezwani przez dziwne wołanie o

pomoc, które słyszeli tylko oni. Chissowie oskarżyli Jedi o mieszanie się w ich wewnętrzne sprawy. W ślad za Jedi poleciełi Luke, Han i Leia. Natrafili na rasę wojowniczych, insektoidalnych Killików, którzy prawdopodobnie odpowiadali za stworzenie koreliańskiego systemu planetarnego. Killikowie żyli w rojach i kontaktowali się ze sobą za pomocą zbiorowej świadomości. Oskarżyli Jedi o to, że atakują ich gniazda. Zanosilo się na wybuch nowego konfliktu, w którym po obu stronach będą walczyli Jedi. Po stronie Killików stanęło dwoje Ciemnych Jedi z Mrocznego Gniazda. W końcu wybuchła tak zwana Wojna Rojów, do której przyłączyli się neutralni na ogół Chissowie. Leia stoczyła pojedynek z Twi'lekanką Alemą Rar. Oszepiała ją, ale jej nie zabiła. Alema stała się odtąd nieprzejednanym wrogiem księżniczki Leii.

Następne pięć lat Jacen spędził w samotności, latając po galaktyce i ucząc się nieznanymi technik władania Mocą. Tenel Ka urodziła dziecko Jacena, dziewczynkę, której dali na imię Allana.

6. Era Dziedzictwa Mocy

Po upływie tych pięciu lat, czyli czterdzieści lat po Bitwie o Yavina, Galaktyczny Sojusz odkrył, że nie wszystkie planety przestrzegają warunków, na których do niego przystąpiły. Podobno władcy systemu Korelii rozpoczęli potajemnie budowę silnej floty szturmowej i zamierzali uruchomić gwiazdogrom Stacji Centerpoint. Władze Sojuszu wysłały tam własną flotę i młody Ben Skywalker uszkodził repulsor Stacji. Doszło do wybuchu kolejnego konfliktu, w którym przeciwko Sojuszowi i wspierającym go Jedi pod przywództwem Wielkiego Mistrza Luke'a Skywalkera opowiedzieli się tacy sławni Korelianie, jak Wedge Antilles i Han Solo.

Jacen znalazł tajemniczą plecionkę o zawitych splotach i odkrył, że to przepowiednia jego przyszłości. Zaczął się sprzeniewierzać ideałom Jedi i nie zawahał się nawet zabijać, jeżeli – zgodnie z jego wizjami – miałyby to doprowadzić do optymalnego rozwiązania jakiegoś konfliktu. Poznał Briszę Syo, w rzeczywistości Czarną Lady Sithów Lumiyę. Kobieta była bardziej cyborgiem niż żywą osobą, bo kiedyś została ciężko raniona przez Luke'a Skywalkera. Jacen zabił młodą Jedi Nelani Dinn, ale darował życie Lumiyi, od której zaczął się uczyć technik władania Ciemną Stroną Mocy. Przywódca Korelii Thrackan Sal-Solo wyznaczył nagrodę za zabicie Hana i Leii. Osławiony łowca nagród Boba Fett, któremu udało się uciec z paszczy sarlaccy, dowiedział się, że ma przed sobą tylko rok życia, więc zaczął szukać sposobów jego przedłużenia.

Jacen Solo dokonał zamachu stanu i został wspólnie z kalamariańską panią admirał Niathal nowym przywódcą Sojuszu. Równocześnie jako dowódca tajnej policji Galaktycznego Sojuszu wydał rozkaz internowania wszystkich mieszkających na Coruscant

Korelian i ich sympatyków, a później nawet wymordowania Bothan. Przyjął na swojego ucznia trzynastoletniego Bena Skywalkera i zaczął mu powierzać coraz bardziej przerażające zadania. Podczas przesłuchania Jacen zabił wnuczkę Boby Fetta, który został nowym przywódcą planety Mandalora. Fett postanowił się zemścić, darowując Jacenowi życie, żeby młody Solo mógł wyrządzić jak najwięcej szkód Galaktycznemu Sojuszowi i Zakonowi Jedi. Lumiya wmówiła Jacenowi, że jeżeli chce zostać Sithem i przywrócić pokój w galaktyce, musi najpierw zabić tych, których kocha. Solo i Skywalkerowie patrzyli bezradni, jak Jacen ześlizguje się na Ciemną Stronę. Han Solo oznajmił nawet, że wyrzeka się jedyne syna.

W końcu Galaktyczny Sojusz zaatakował zbuntowaną Korelię. Jacen podjął świadomą, chociaż nieudaną próbę zabicia swoich rodziców, ostrzeliwując z ciężkich dział ich „Sokoła Millenium”. Za wszelką cenę starał się chronić Tenel Ka i Allanę, w obawie że to właśnie są osoby, które musi zabić. Brutalnie stłumił powstanie na Korelii i coraz pewniej kroczył ścieżką wiodącą na Ciemną Stronę. Wciągnął na nią nawet młodego Bena Skywalkera, któremu kazał zabić premiera Korelii i odzyskać rzekomo cenny amulet. Z tej ostatniej wyprawy Ben wrócił dziwnym obiektem w kształcie sfery – inteligentnym statkiem szkoleniowym Sithów.

Boba Fett zdobył w końcu lek, który miał przedłużyć jego życie. Wezwał do powrotu na Mandalorę rozproszonych po galaktyce ziomek i rozpoczął taśmową produkcję superwytrzymałych myśliwców.

Ben, Leia i Mara dowiedzieli się o kontaktach Jacena z Lumiya. Leia stoczyła nawet pojedynek z Czarną Lady Sithów, ale przegrała. W obawie przed odkryciem jego planów Jacen zabił potajemnie Marę i skierował podejrzania na Lumiya. Pewny, że to jej sprawka, Luke stoczył z Lumiya pojedynek i ją zabił. Tylko Ben podejrzewał, kto jest prawdziwym zabójcą jego matki, ale jego próba zabicia Jacena zakończyła się niepowodzeniem. W końcu Jacen został Czarnym Lordem Sithów, przybrał imię Dartha Caedusa i zaczął śmiało kroczyć śladami swojego dziadka Dartha Vadera.

Oskarżony o zabicie Mary Cal Omas popełnił samobójstwo, rzucając się na klingę świetlnego miecza Bena. Ciało zabitej Mary połączyło się z Mocą jednak dopiero wtedy, kiedy na ceremonii pogrzebowej pojawił się Jacen Caedus. Samozwańczy Sith wziął do niewoli uczniów i nauczycieli Akademii Jedi na Ossusie. Luke wypowiedział posłuszeństwo Jacenowi w imieniu Zakonu Jedi i odmówił mu pomocy Jedi podczas walk w przestworzach Kashyyyka. W odwecie Jacen wydał okrutny rozkaz spopielenia powierzchni Kashyyyka i wymordowania wszystkich w Akademii Jedi. Życie stracili tam oboje Solusarowie, Kam i Tionna, ale z siepaczami Jacena rozprawili się Jaina i najmłodszy uczniowie Jedi. Leia i Han polecili na Hapes, żeby uświadomić królowej matce Tenel Ka, kim naprawdę stał się Jacen. Monarchini wysłała do przestworzy Kashyyyka flotę, która walczyła przeciwko siłom zbrojnym ojca jej dziecka. Po nieudanym zamachu Jacen uwięził Bena i poddał go straszliwym torturom z pomocą yuuzhańskiego potwora zwanego Objęciami Cierpienia.

Chciał, żeby chłopak stał się godnym uczniem Lorda Sithów. Syna uwolnił dopiero Luke, który stoczył z Jacenem pojedynek na świetlne miecze; nie zabił go jednak i nie pozwolił zrobić tego Benowi. Młody Solo uciekł, ale przedtem ranił Bena i Luke'a. Od tej pory mógł już tylko liczyć na pomoc pomyłonej Twi'lekanki Alemy Rar, która cały czas pałała nienawiścią do księżniczki Leii. Leia i Han obiecali Bothanom, że nie będą im przeszkadzali w podejmowaniu prób zabicia Jacena.

Opracował A.S.

BOHATEROWIE POWIEŚCI

Aurra Sing – łowczyni nagród (rasy humanoidalnej)

Baron Vlacan Umber – mecenas sztuki (Vindalianin)

Baronowa Kirma Umber – arystokratka (Vindalianka)

Darth Vader – Lord Sithów (mężczyzna)

Dejah Duare – partnerka artysty (Zeltronka)

Den Dhur – partyzant Whiplasha, były reporter (Sullustanin)

I-Pięć – protokolarny android

Jax Pavan – członek Whiplasha, były rycerz Jedi (mężczyzna)

Larant Tarak – członkini Whiplasha, była rycerz Jedi (Twi'lekanka)

Pol Haus – prefekt policji sektora (Zabrak)

Typho – kapitan z Naboo, specjalista ds. ochrony (mężczyzna)

Ves Volette – artysta (Caamasjanin)

WSTĘP

Naboo, 19 lat przed Bitwą o Yanin

Padme nigdy nie dowiedziała się, jak bardzo ją kochał.

Umarła na odległej planecie, która, jeśli nawet nie odzwierciedlała wyobrażeń różnych przesądnych ras na temat piekła, to na pewno była im bliska. Do tego miejsca zdołał śledzić jej losy: aż na niegościnną Mustafar, wciąż formującą się w bólach narodzin. Rzeki ognia i płynnej magmy przecinały podłoże z bazaltu i obsydianu, a specjalne, odporne na wysoką temperaturę roboty penetrowały strumienie lawy w poszukiwaniu rzadkich minerałów. Był to świat wiecznego mroku, z niebem przesłoniętym sadzą i trującymi wyziewami. Nikt nie zasługiwał na śmierć w takim miejscu, a już na pewno nie słodka Padme. Jeśli musiała zginąć, powinna spędzić swoje ostatnie chwile wśród słonecznego blasku i śpiewu ptaków na ich ojczystej Naboo – w otoczeniu zieleni i błękitu, nie czerni i czerwieni.

A jednak poleciała na Mustafar – w ślad za Jedi Anakinem Skywalkerem, z misją podobno tak tajną, że nie mogła zabrać ze sobą nawet osobistej ochrony. A on jej nie zatrzymał, wierząc, że będzie bezpieczna u boku Jedi. Nigdy więcej nie zobaczył jej żywej.

Kapitan Typho, były szef ochrony sekcji dyplomatycznej senatu Naboo, obwinił się za jej śmierć. Stał wśród żałobników i patrzył, jak pokryta kwiatami trumna wolno sunie aleją. Jako żołnierz miał obowiązek chronić senator Amidalę i bronić jej przed atakami agentów Separatystów. Wiedział, że może dojść do kolejnych zamachów, bo Padme już parę razy otarła się o śmierć. Cudem przeżyła wybuch statku na Coruscant, spotkanie ze śmiertelnie jadowitymi kouhunami i starcie z bestiami na arenie Geonosis.

Nawet gdyby jej nie kochał, bez zastanowienia poświęciłby życie, aby ją chronić. Taki miał obowiązek. Jego przywiązanie tylko pogłębiało ciężar winy. Z jakiegoś powodu podążyła za Skywalkerem, a Typho puścił ją samą. Teraz musiał żyć z brzemieniem odpowiedzialności. Te katusze były o wiele gorsze od czynu tak prostego, jak oddanie za nią życia.

Wiedział, że nawet gdyby żyła, nie mógł liczyć, że odwzajemni jego uczucie. Padme była poważaną senator, a wcześniej królową, on zaś – prostym żołnierzem; dzieliła ich zbyt duża

przepaść. Nie potrafił jednak nic poradzić na to, że ją pokochał. Żadna siła w galaktyce, nawet sama Moc, nie mogła pokonać potęgi jego miłości.

Po pogrzebie otepiały Typho wmieszał się w tłum. Nie mógł się pogodzić z tragedią – raz za razem, wciąż na nowo zastanawiał się, co by było, gdyby powstrzymał ją przed wyruszeniem w tamtą ostatnią podróż.

To nie miało sensu. Obwinianie się nic nie zmieni. Nawet największy żal nie wróci życia Padme ani nie zadośćuczyni jej pamięci. Gdyby wiedziała, co czuł... gdyby zdawała sobie sprawę, jak bardzo ją kochał... był pewien, że nie pozwoliłaby mu się zdręzczać. Powiedziałaaby, żeby się otrząsnął i przestał rozpaczać. I tak właśnie miał zamiar postąpić. Ale najpierw wypełni ostatnią misję: pomści Padme Amidale.

W medialnej burzy, jaka rozpętała się po jej śmierci, do uszu kapitana docierały różne, często wykluczające się wzajemnie domysły i plotki. Większość dygnitarzy była zajęta sprawami o wiele większej wagi, ale dla Typho nie było nic ważniejszego od jego udreki. Wiedział, że szum w światku dyplomacji, szczególnie wobec zachwianej autonomii Naboo w nowym reżimie Palpatine'a, był ogromny. Okoliczności śmierci senator były, delikatnie mówiąc, niejasne, a poza tym istniały wyraźne dowody na to, że zgon nie nastąpił z przyczyn naturalnych.

Ma się rozumieć, zwykli obywatele nic o tym nie wiedzieli. Pozycja Typho dawała jednak pewne przywileje i udało mu się dotrzeć do paru informacji na temat ostatnich chwil Padme. Doniesienia różniły się nieco między sobą, ale wszystkie raporty z sekcji zwłok zgadzały się w dwóch punktach: została uduszona, a jej dziecko nie przeżyło.

Nikt nie potrafił jednak powiedzieć, w jaki sposób doszło do uduszenia. Dowody na popełnienie morderstwa były niepodważalne: złamana kość gnykowa, zmiażdżona krtań i uszkodzona tchawica – nie istniały wątpliwości co do przyczyny zgonu, a mimo to... Na szyi Padme nie było śladu zadrapań ani wybroczyn. Brakowało jakichkolwiek widocznych objawów użycia sity fizycznej – jej skóra była nienaruszona. Wyglądało to, jak gdyby ktoś pozbawił ją życia, nawet jej nie dotykając. A w galaktyce istniała tylko jedna znana kapitanowi Typho siła, która mogła dokonać czegoś takiego: Moc.

Padme wyruszyła na Mustafar, aby spotkać się z Jedi Skywalkerem. Wszystko wskazywało na to, że została zabita przy użyciu Mocy. To nie mógł być zbieg okoliczności. Nawet jeśli to nie Skywalker ją zabił, musiał mieć z tym jakiś związek. To był jedyny trop i Typho wiedział, co robić.

Poleci na Coruscant i odnajdzie Anakina Skywalkera. A potem, w zależności od tego, czego się dowie, puści go wolno lub dopilnuje, by zginął w mękach. Wtedy śmierć Padme zostanie pomszczona.

Część I

Planeta mroku

ROZDZIAŁ 1

– Wygląda na to, że zostaliśmy wrobieni – stwierdził I-Pięć.

Lawina ognia laserowego i strumieni cząstek, niewątpliwie przeznaczona dla ich piątki, zalała pomieszczenie, jak gdyby na potwierdzenie słów androida. Den zerknął na Jaksa.

– Nie cieszysz się, że twój ojciec zmodernizował jego oprogramowanie neuralne? – zapytał.

Kolejna seria promieni dosięgła ogromnego hiperkondensatora, za którym się ukrywali. Jax wiedział, że generator chwilowo zapewnia im schronienie, ale jeśli laserowe i cząsteczkowe wiązki posyłane w ich kierunku przez szturmowców nadal będą bombardować jego powierzchnię, płyty z duraluminium w końcu się przegrzeją. Wysoka temperatura najprawdopodobniej zaburzy równowagę skroplonego gazu tibanna, a według I-Pięć prawdopodobieństwo wybuchu wynosiło w takim przypadku co najmniej siedem i pół. Jeśli dojdzie do eksplozji, budynek wyparuje wraz z dużą częścią malowniczej okolicy.

– To tylko szacunkowe dane – wyjaśnił android. – Jest zbyt wiele zmiennych, abym mógł dokładnie...

– Siedem i pół to dla mnie wystarczająco dużo – zapewnił go prędko Jax. – Den?

– Nic mi nie jest – nadeszła odpowiedź Sullustanina, skulonego obok I-Pięć. – Świetnie umiesz motywować – dodał pod adresem androida.

– Mniej gadania, więcej strzelania – zarządziła Laranth. Twi'lekańska paladynka kuciała przyczajona z drugiej strony urządzenia z blasterem w każdej dłoni. – Musimy ruszać! Teraz!

Jax absolutnie się z nią zgadzał. Im dłużej tkwili unieruchomieni, tym mniejsze szanse przetrwania miał ich klient, nie wspominając już o tym, ile setek tysięcy istnień zginie, jeśli prognoza I-Pięć wkrótce się sprawdzi. Nie żeby Jedi miał co do tego jakiejś wątpliwości. Blaszak miał denerwujący zwyczaj wygłaszania trafnych przewidywań.

– W porządku – powiedział. – Laranth na prawo, I-Pięć na lewo – zarządził. – Na mój sygnał...

– Hej, a co ze mną? – zapytał Den.

– Zostań z podsekretarzem. – Jax zerknął na przysadzistą, trzęsącą się ze strachu postać przycupniętą obok Dena. Zanim Imperium przejęło rządy w Republice, Varesk Bura'lya był urzędnikiem średniego szczebla, pracownikiem ambasady bothańskiej na Coruscant. Po

upadku starego reżimu stał się zbiegiem, podobnie jak tysiące przedstawicieli innych ras planety-miasta. Prawdę mówiąc, nie starano się ich specjalnie ścigać i likwidować. W globalnej metropolii różne istoty miały szansę przeżyć całe życie bez wchodzenia w drogę służbom imperialnym. Bothanie słynęli jednak z wyjątkowo paranoicznego usposobienia, a Bura'lya był tego typowym przykładem. Skontaktował się z ruchem oporu o nazwie Whiplash, aby zapewnić sobie bezpieczną ucieczkę z planety trasą Podziemnej Kolei na Poduszce Magnetycznej. Była to niebezpieczna, zawiła i tajna droga; uciekinierzy byli dostarczani labiryntami prywatnych kwater, conapt i innych sekretnych przejść na pokłady zaufanych statków w kosmoportach.

Jax Pavan, jeden z ostatnich Jedi i partyzant Whiplasha, miał pomóc wydostać się bothańskiemu dygnitarzowi na wolność. Wszystko szło zgodnie z planem, dopóki nie dotarli do ostatniego punktu kontrolnego – pogrążonego w półmroku zakładu przetwarzania karbonitu. Czekali tu na nich nie – jak się spodziewali – członkowie ruchu oporu, ale komitet powitalny złożony z imperialnych szurmowców.

Żołnierze byli sprytni, musiał to przyznać. Wiedzieli, że w ich grupie będzie robot, więc przygotowali zasadzkę w sekcji kruszenia karbonitu. Wykorzystali przewagę, jaką dawało im słabe promieniowanie zakłócające czujniki biologiczne i energetyczne I-Pięć. Nie mieli jednak pojęcia, że przyjdzie im zmierzyć się również z dwojgiem Jedi. Moc ostrzegła Jaksę i Laranth przed pułapką, dlatego teraz czterech szurmowców leżało bez życia na podłodze. Jax był pewien, że gdyby nie panika okazywana przez Bothanina, poradziliby sobie również z resztą napastników, a Varesk Bura'lya, bezpiecznie dostarczony na pokład frachtowca „Wielka Wygrana”, stałby się jedynie niemiłym wspomnieniem. Tymczasem niedoszły pasażer kulił się za hiperkondensatorem i biadolił na temat bliskiego końca ich wszystkich.

Przerazony Bothanin spojrział na Jaksę, a szczecina pokrywająca górną część jego policzków zafalowała ze zgrozy.

– Zapłaciłem wam, żebyście mnie chronili! – zakwiczał, a jego głos nieprzyjemnie podrażnił uszy Jaksy. – Mielście pomóc mi się wydostać z tej przeludnionej skały! To ma być ucieczka?

– Cóż – wpadł mu w słowo Den. – To zależy, jak bardzo metafizyczną formę ucieczki masz na myśli...

Kolejna salwa zatrzęsła ich kryjówką. Powietrze zaskwierczało i do nozdrzy Jaksy napłynął nieprzyjemny zapach ozonu. Wiedział, że nie zostało im wiele czasu i że muszą działać natychmiast. Otworzył się na Moc, pozwalając, aby zwiększyła jego czujność. Łączące go z nią więzi sięgnęły poza kondensator, przedstawiając dokładny obraz pomieszczenia i wskazując stanowiska ośmiu pozostałych przy życiu szurmowców.

– Na mój znak... – powtórzył. – Teraz!

Laranth wyskoczyła z prawej strony osłony, posyłając w stronę wrogów śmiertelne błyskawice z bliźniaczych DL-44. Jej oczy były twarde i zimne niczym warstwa lodu na

powierzchni komety. I-Pięć strzelał z ukrycia po lewej, kierując w grupę przeciwników kanonadę z blasterów wbudowanych w palce wskazujące obu dłoni. Jax pozwolił Mocy, by uniosła go ponad masywną płytę ochronną. Gdy wylądował na szczycie urządzenia, od razu zaczął odbijać strzały ostrzem wibromieczy, kierując je z powrotem ku osłupiałym żołnierzom Imperium. Nie było to jednak wcale łatwe zadanie. Klingę broni wykonano ze stopu durastali i cortosis – minerału na tyle odpornego, aby wytrzymał strzał z blastera, ale na tym kończyło się jej podobieństwo do miecza świetlnego. Jeden ze szkarłatnych promieni dosięgnął ostrza tuż nad dłonią Jaksa. Nie wyrządziło mu to krzywdy, jednak nawet mimo osłony izolacji doznał nieprzyjemnego uczucia. Wibracje ustały i Jax w tej samej chwili co szturmowcy zorientował się, że wibrogenerator w rękojeści przestał działać. Jedi odrzucił bezużyteczną broń i wyciągnął przed siebie obie dłonie. Energia Mocy posłała trzech napastników na ścianę, ale Jax wyczuwał, że kolejny imperialny bierze go na cel.

Kątem oka zauważył, że z odsieczą nadchodzą Laranth i jej niezawodne blasterowe pistolety. Laserowa wiązka odbiła strzał przeznaczony dla niego. Powietrze zaskwierczało rozbłyskami zjonizowanych cząstek, a migoczące wylądowania zatańczyły wokół jego rąk i na chwilę otoczyły czoło, brzęcząc jak tysiąc ognistych os.

Eksplozja na moment oślepiła Jaksa. Na szczęście mógł nadal liczyć na fotoreceptory I-Pięć. Robot wystrzelił, nie czekając ani chwili – i jak zwykle nie chybił. W mgnieniu oka było po wszystkim. Ośmiu szturmowców leżało w nienaturalnych pozycjach pośród rur, szczątków paneli kontrolnych i innych części aparatury przetwórczej. Cała trójka odczekała chwilę, spodziewając się kolejnego ataku. Zapadła nienaturalna cisza.

– To chyba koniec zabawy – rozległ się głos Jaksa. – Nie wstawajcie jeszcze przez moment.

Laranth kiwnęła głową i schowała blastery do kabur. Wiąż z Mocą podpowiadała jej bezbłędnie, podobnie jak Jaksowi, że zagrożenie minęło. Android opuścił ramiona. Jax wiedział, że I-Pięć zdążył przeskanować pomieszczenie w poszukiwaniu oznak życia i ewentualnych ładunków wybuchowych, a odczyty nic nie wykazały.

– To było interesujące doświadczenie – podsumował I-Pięć. – Czy wspominałem ostatnio, jak bardzo podoba mi się zamiłowanie form organicznych do przemocy i rzezi? Nie? Może dlatego, że wcale mi się nie podoba.

Jax uśmiechnął się z ulgą.

– W porządku – powiedział. – Zabieramy nasz „trudny przypadek” do kosmoportu. Zapakujmy go na frachtowiec z przyprawą, zanim pojawią się kolejni żądni zabawy goście. – Podniósł głos. – Den? Sekretarzu Bura’lya? Idziemy!

Po chwili ciszy zza hiperkondensatora dobiegł stłumiony głos Dena:

– Obawiam się, że mamy mały problem.

Jax poczuł, że robi mu się zimno. Czy dotarli tak daleko tylko po to, aby w ostatniej chwili stracić pasażera, któremu mieli zapewnić bezpieczną podróż? Czyżby jakiś zbłąkany

rykoszet trafił gdzieś po drodze podsekretarza? Młody Jedi sięgnął poprzez Moc, aby zbadać sytuację, ale dotarło do niego wyjaśnienie Dena.

– Bura'lya zemdłał. Zdaje się... – Sullustanin wyrżał zza osłony, marszcząc nos – że miał mały... eee... wypadek.

– Moje czujniki olfaktoryczne potwierdzają podejrzenia Dena – oznajmił I-Pięć. – Zakładając oczywiście, że w tej sytuacji „wypadek” stanowi eufemizm dla...

– Masz rację – uciał jego dywagacje Jax. Schował bezużyteczny wibromiecz i westchnął.
– Chodźcie. Musimy doprowadzić go do porządku, zanim wsiądzie na statek.

ROZDZIAŁ 2

Dalsza część akcji dostarczenia podsekretarza Bura'lyi na pokład frachtowca „Wielka Wygrana” przebiegła bez zakłóceń, jeśli nie liczyć konieczności znalezienia w strefie bezcłowej kosmoportu nowych spodni dla Bothanina. I-Pięć podłączył się nielegalnie do sieci orbitalnej tuż po starcie statku, a gdy potwierdził jego wejście w nadprzestrzeń, cała czwórka mogła spokojnie wrócić do domu. Ich apartament znajdował się na dolnym poziomie sektora zwanego Południowym Podziemiem. Miejsce było oddalone o parę tysięcy kilometrów od poprzedniego mieszkania Jaksa w Slumsach Blackpit, dzielnicy położonej niedaleko ruin Świątyni Jedi i równika.

Kwatery można było tym razem uznać za dość luksusowe. Oznaczało to – przynajmniej jeśli chodziło o Dena – że dach nie przeciekał, a wokół nie rozbrzmiewała kanonada z miotaczy. Przynajmniej na razie. Cieszyli się tym nowym lokum za sprawą niespodziewanej hojności Nedijanina Kairda, byłego skrytobójcy pracującego dla Czarnego Słońca. Z pomocą Jaksa udało mu się opuścić szeregi przestępczej organizacji i powrócić na rodzinną planetę – dzięki czemu chwilowo dysponowali ilością kredytów pozwalającą żyć w miarę dostatnio. Niestety, plan, który ocalił skórę Kairda i jego przyjaciół, kosztował Jaksa utratę miecza świetlnego. Jedi poświęcił go, aby wywołać w opustoszałej Dzielnicy Fabrycznej eksplozję nuklearną, która pozwoliła im umknąć przed Darthem Vaderem i falleeńskim księciem Xizorem. Wydawało się, że wszystko poszło zgodnie z planem – minęło już parę miesięcy, odkąd Jax ostatni raz wyczuł poprzez Moc zainteresowanie Vadera jego osobą. Lord Sithów najwyraźniej uznał, że Pavan i jego towarzysze nie przeżyli wybuchu.

– Tak naprawdę, wcale nie potrzebujesz nowego miecza – stwierdził Den. – Nie ma lepszego sposobu na oznajmienie światu: „Hej, jestem Jedi!”, niż wymachiwanie takim cackiem. Co z tym ustrojstwem, które dostałeś od Nicka Rostu? – zapytał.

Owym „ustrojstwem” był bicz energetyczny: długa, elastyczna linka ze stopu metali, której energii dostarczał ładunek plazmowy. Jax użył go w starciu z księciem Xizorem – jak na ironię, agent Czarnego Słońca walczył z nim wtedy jego własnym mieczem świetlnym. Zdaniem Dena Xizor radził sobie całkiem nieźle, biorąc pod uwagę, że gadzina był ślepy na Moc.

– Chodzi ci o bicz świetlny? Owszem, mam go – odpowiedział Jax. – Ale taka broń nie

nadaje się do walki na mały dystans i jest mało użyteczna przy zmasowanym ataku.

– Mimo to – wtrąciła Laranth – zgadzam się z Denem. Nowy miecz będzie tylko zachęcał do częstszych demonstracji Mocy. Jeśli chcesz, aby Vader się dowiedział, że przeżyłeś, spraw sobie nową zabawkę, proszę bardzo.

Zielonoskóra Twi'lekanka wyglądała przez przyciemnione okno na ulicę. Była ubrana na szaro: obcisłe szare spodnie, szara bluza i kamizelka. Nikogo z obecnych to nie dziwiło, ponieważ Laranth była jednym z niewielu pozostałych przy życiu członków ugrupowania zwanego Szarymi Paladynami. Ten odłam Jedi jeszcze przed upadkiem Republiki głosił, że Zakon pokłada zbyt duże zaufanie w Mocy jako metafizycznym panaceum na wszystkie problemy. Ponieważ korzystanie z miecza świetlnego niemal zawsze wiązało się z jej użyciem, Szarzy Paladyni kładli nacisk na biegłość w posługiwaniu się innymi rodzajami broni. Laranth nie była wyjątkiem: perfekcyjnie władała parą blasterów typu DL-44. Den nigdy nie widział, żeby chybiła. Jeśli do czegoś strzelała, jej cel albo wyparowywał, albo wybuchał, albo się przewracał – było to pewne niczym obstawianie dwudziestki trójki w sabaka.

Den wiedział oczywiście, że odpierając atak, Laranth korzystała z Mocy. Nikt nie był na tyle szybki, żeby uniknąć wiązki poruszającej się niemal z prędkością światła. Jednak Sullustanin wiedział także, że gdyby ktoś nagle odciął Laranth od Mocy, nie wpłynęłoby to zbyt mocno na jej szybkość ani celność.

Twi'lekanka odwróciła głowę i Den dostrzegł lekki pobłysk blizny przecinającej jej prawy policzek. Tak jak przypalony koniec lewego lekku była to pamiątka po rzezi znanej jako Noc Płomieni. Den, rasowy reporter, próbował ją podpytywać o tamte wydarzenia.

– Tylko mi nie mów, że powinienem zobaczyć tego, kto ci to zrobił – zastrzegł.

– Nie mógłbyś – odparła krótko. – Chyba że rozkopałbyś jego grób.

Nie uśmiechnęła się, mówiąc to, ale też ani Den, ani nikt w ich grupie nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek widział ją uśmiechniętą. Sullustanin tłumaczył to sobie tym, że nerwy Twi'lekanki były napięte mocniej niż karbonitowe nanowłókna utrzymujące skyhooki ponad powierzchnią Coruscant. Cieszył się, że była po ich stronie. Miał nadzieję, że to się nie zmieni. Nie miał ochoty znaleźć się na niewłaściwym końcu któregoś jej blasterów.

Prawdopodobnie tylko jeden członek ich zespołu mógł dorównać celnością paladynce: I-Pięć. Den przyjaźnił się ze zmodyfikowanym androidem protokolarnym od czasów Bitwy o Drongar. Były reporter dobrze pamiętał, że to właśnie I-Pięć włożył go za sobą przez pół galaktyki na Coruscant. Jego przyjaciel był raczej niezwykłym androidem. Den rozumiał dlaczego: I-Pięć miał więcej samoświadomości niż jakikolwiek inny robot, jakiego reporter znał, nie mówiąc już o większości istot, z którymi zetknął się w całym swoim życiu. Można to było częściowo wytłumaczyć modyfikacjami, jakie w sieci synaptycznej i tłumikach kreatywności androida wprowadził ojciec Jaksy, Lorn. Den – i nie tylko on – nie mógł jednak oprzeć się wrażeniu, że maszyna w jakiś sposób przeskoczyła te zmiany, a jej kreatywności

nie da się wytłumaczyć przeprogramowaniem.

Sullustanin pokręcił głową. Ostatnimi czasy coraz częściej łapał się na filozofowaniu. Nie było to zbyt bezpieczne dla kogoś, kto zajmuje się głównie szmuglowaniem różnych ładunków i uchodźców poza planetę. Ten proceder wymagał czujności – trzeba było mieć oczy z tyłu głowy i troszczyć się o swoje sprawy. Nie mógł pozwalać sobie na popadanie w zadumę.

Nie żeby zbytnio to lubił. W swoim poprzednim życiu – tak nazywał w myślach dawne czasy – był reporterem. Zajmował się głównie relacjonowaniem sytuacji na frontach i nieraz wpadał po uszy w „głębokie, cuchnące poodoo”, jak mawiał pewien Ugnaught, jego źródło informacji na Drongarze. Pobytu na tej planecie Sullustanin nie wspominał zbyt miło, choć bywał i w gorszych miejscach. Podczas Wojen Klonów odwiedzał różne światy – od Eredenn Prime po Jabim. Wygrywał nagrody, zdobywał pochwały i odznaczenia. Była to ciężka, niebezpieczna, ale i ciekawa praca.

Dziś tamte dni wydawały się miłą przechadzką po parku Oa.

Dena wyrwał z zamyślenia głos Jaksy.

– ...może mieć rację – mówił Jedi. – Na Coruscant przebywa więcej istot niż na pięćdziesięciu zamieszkałych światach, więc szanse, że ktoś cię zauważy z mieczem świetlnym, są małe, szczególnie na niższych poziomach. Poza tym nie muszę go mieć... po prostu tego chcę. – Pavan odwrócił się do istoty stojącej w cieniu conapy. – Co o tym sądzisz, Rhinann? Dałbyś radę zdobyć miecz świetlny?

W kręgu światła pojawił się kolejny członek ich grupy, wysoki i chudy Elomin. Haninum Tyk Rhinann był typowym przedstawicielem swojej rasy. Owłosieniem nie dorównywał, co prawda, Wookiem, ale wiele mu nie brakowało. Kły nosowe, krótkie rogi i szeroko rozstawione oczy wystawały z mięsistej bryły zwieńczającej sylwetkę. Można się było domyślić, że to głowa, jedynie dlatego, że znajdowała się na końcu krótkiej szyi. Wyglądał na przygnębionego. Nie stanowiło to dla nikogo szczególnej niespodzianki, bo Rhinann zawsze był przygnębiony. Ten były adiutant Dartha Vadera zdezerterował z posady doradcy Czarnego Lorda, w ostatniej chwili wsiadając na pokład frachtowca „Długodystansowiec”, którym wraz z Jaksem i resztą uciekli przed eksplozją w fabryce robotów.

Rhinann, podobnie jak większość członków jego rasy, był sumienną i pedantyczną istotą. Dla Elomina radość życia tkwiła w szczegółach i to dzięki umiłowaniu porządku Vader wybrał go na swego adiutanta. Niestety, dbałości o detale towarzyszyła obsesyjna podejrzliwość wobec otoczenia, a zwłaszcza wobec pracodawcy. Den wyczytał gdzieś, że Elominowie mają skłonność do różnego rodzaju psychoz, włącznie z paranoją. Rhinann coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że Vader prędzej czy później zabije go z powodu naruszenia jakiegoś drobnego przepisu lub zaniedbania obowiązków. Strach przed taką karą zaprowadził go w końcu na ich statek.

Od tamtej pory przebywał na przymusowym wygnaniu. Tęsknił za rodzinnym Elomem,

ale jego udział w sumie ofiarowanej przez Kairda nie wystarczyłby na rejs do świata położonego z dala od szlaków handlowych. Elomin nie miał więc wyboru, musiał zostać ze swoimi wybawcami. Rzetelność i drobiazgowość niebawem określiły jego pozycję w ich grupie: Rhinann został zaopatrzeniowcem. Czegokolwiek potrzebowali – od geniseriańskiej mały piaskowej w oliwie foyve, którą musieli zdobyć, aby zadowolić wybredne podniebienie klienta, po urządzenia, które wyszły z użycia lata świetlne temu – Rhinann potrafił zdobyć wszystko.

Z wyjątkiem miecza świetlnego.

– To niemożliwe – oznajmił. – Broń Jedi zniszczono wraz z całym Zakonem. Chodzą słuchy, że parę sztuk znajduje się w prywatnych kolekcjach. Jedyne miecz, którego istnienia jestem całkiem pewien, należy do Dartha Vadera. Wątpię, żeby miał ochotę się z nim rozstać.

– Otóż to – poparł go Den.

– To załatw mi kryształ. Zbuduję własny miecz. Będzie lepiej zestrojony z moją... – Jax nie zdołał dokończyć.

– Obrót kryształami adegańskimi, podobnie jak klejnotami corusca, hum i innymi, jest zabroniony z rozkazu Imperatora – przerwał mu Rhinann.

– W takim razie wyhoduję sobie własny – nie poddawał się Jedi.

Nie wyglądał jednak już na tak pewnego siebie, jak przed chwilą i Den domyślał się dlaczego. Jeszcze kilka standardowych lat temu Sullustanin nie znał zbyt dobrze technologii i tradycji Jedi. Od tamtej pory dowiedział się jednak sporo, przebywając w towarzystwie Jaksy i Laranth, a także słuchając Barrissy Offee podczas pobytu na Drongarze. Wiedział, że Jedi korzystali z naturalnych kryształów, aby odróżnić się od Sithów, stosujących syntetyki. Podobno sztuczne klejnoty nigdy nie były tak czyste, jak te wydobywane naturalnie i istniało niebezpieczeństwo, że w krytycznym momencie zawiodą. A ponieważ na dobrą sprawę każde włączenie miecza mogło spowodować awarię, Denowi taki argument wydawał się logiczny. Zastanawiał się, na ile wynikało to z doświadczenia, a na ile było czystą teorią. Wszyscy wiedzieli, że Jedi w okresie upadku Republiki sami się niszczyli, zanadto polegając na tradycjach i nadmiernie wierząc we własne umiejętności. Choć Sithowie byli okrutni, Den musiał przyznać, że w wielu dziedzinach również bardziej praktyczni.

– To mogłoby się udać – powiedział z namysłem Rhinann. – Jednak zgromadzenie części trochę potrwa. Na razie proponuję to. – Wręczył mu przedmiot przypominający na pierwszy rzut oka antyczny rapier. Rękojeść była ozdobna, ale praktyczna, a bładosrebrne, niemal białe ostrze mierzyło nieco ponad metr. Metal nie wyglądał na kuty, choć klingę pokrywały delikatnie falujące wzory. Den zastanawiał się, czy to nie jest elektrom, rzadki stop srebra i złota. W jelcu umieszczono dwa niewielkie fasetkowe kryształy, lśniące nawet w półmroku pomieszczenia.

Sullustanin musiał przyznać, że broń wygląda przyzwoicie, a nawet imponująco. Jeśli jednak nie da się nią zablokować strzału z blastera, jest mniej więcej tak samo pożyteczna jak

zaostrzony kołek.

Jax miał zaskoczoną minę. I-Pięć i Laranth podeszli bliżej, aby przyjrzeć się przedmiotowi. Na zwykle ponurej twarzy paladynki malowało się zaciekawienie.

– Velmoriański energomicz? – Spojrzała na Rhinanna z niedowierzaniem. – Nie umiesz znaleźć miecza świetlnego, a zdobyłeś to?

Elomin wzruszył ramionami.

– Mamy ciężkie czasy. Kupiłem go na aukcji w sieci od członka velmoriańskiej rodziny królewskiej – wyjaśnił. – Widocznie przestało im się dobrze powodzić.

Laranth wzięła broń z rąk Rhinanna i wyciągnęła przed siebie. Wydawało się, że nie zrobiła nic szczególnego, jednak ostrze nagle zalśniło jasnym blaskiem.

– Całkiem niezłe – mruknął Den.

Paladynka ostrożnie podała miecz Jaksowi. Uniósł go do góry i podziwiał falujące wzory na powierzchni klingi. Broń różniła się zdecydowanie od miecza świetlnego, jednak z pewnością nie była to zwykła zabawka. Mechanizm działania przypominał prawdopodobnie ten używany w biczu świetlnym.

– Włącza się go za pomocą przycisku na rękojeści – wyjaśniła Laranth. – Generator dostarcza energii plazmowej przez kryształy do ostrza. Ogranicza ją magnetyczna pętla sprzężenia zwrotnego.

Jax zwolnił na próbę nacisk, obserwując, jak blask stopniowo znika. Zbliżył dłoń do metalu.

– Nie jest nawet ciepły – stwierdził ze zdziwieniem.

– Pętla ograniczająca utrzymuje plazmę z dala od ostrza. Inaczej stopiłoby się – wytłumaczyła Twi'lekanka.

Jax ścisnął rękojeść, aktywując ponownie pole energii. Machnął mieczem kilka razy na próbę, badając ciężar i wyważenie.

– Uważaj trochę, wielkoludzie! – Den cofnął się szybko.

Jax zamarkował parę ciosów jednej z form walki mieczem świetlnym. Ostrze ważyło oczywiście więcej niż czysta energia generowana przez broń Jedi, ale nie na tyle, żeby nie mógł sobie z tym łatwo poradzić. Ponieważ klingę wykonano z metalu otoczonego przez pole energetyczne, nie cięła tak płynnie, jak tradycyjna broń rycerzy Jedi. Zastanawiał się, jak wypada w porównaniu z wibromieczem.

Cóż, pomyślał ponuro. Jeśli dalej będzie tak wesoło jak ostatnio, z pewnością wkrótce się przekonam. I to raczej prędzej niż później.

ROZDZIAŁ 3

– To tylko plotki – powiedziała nerwowo Dejah. – Nie myśl o tym. Musisz się skupić na pracy. Szczególnie teraz.

Ves Volette pokręcił energicznie głową. Złociste futro na ramionach i szyi Caamasjanina zafalowało.

– W normalnych okolicznościach przyznałbym ci rację – odparł. – Ale nie mogę tego tak zostawić. Muszę poznać prawdę.

Zeltronka posłała mu nieodgadnione spojrzenie. Chociaż przez siedem lat Ves zdążył ją poznać całkiem dobrze, nie wiedział, o czym w tej chwili myślała.

– Dzisiejszy wieczór ma być ukoronowaniem twoich dotychczasowych osiągnięć. Nie możesz pozwolić, żeby cokolwiek cię rozpraszało – nie ustępowała.

– Nawet ludobójstwo, Deej? Nawet zniszczenie całej rasy? Mojej rasy? – spytał z goryczą.

– Nie wiesz, czy to prawda. To tylko pogłoski. Nie...

– Mogę się dowiedzieć. – Artysta wpadł jej w słowo. – W bardzo prosty sposób. – Odwrócił się do terminala. Urządzenie znajdowało się zaledwie kilka kroków od warsztatu, podobnie jak reszta wyposażenia małego studia. Ciasne pomieszczenie przylegało do galerii, wystarczająco dużej, aby pomieściła sześć ostatnich prac Vesa. Gdyby spróbował wstawić choć jedną więcej, zapanowałby w niej tłok. Każda ze świetlnych rzeźb potrzebowała własnej przestrzeni, aby roztaczać swój blask.

Ves nawiązał połączenie z siecią i wstukał zapytanie. Wkrótce uzyskał informacje, których szukał.

TAJEMNICZA KATASTROFA NA CAAMAS

Odczyty sond potwierdziły, że populacja Caamas, jednego ze światów jądra, została zdiesiątkowana. Przyczyny globalnej apokalipsy nie są jeszcze znane. Zespoły prowadzące orbitalne śledztwo przypuszczają, że do tragedii mogło dojść wskutek wybuchu zabłąkanych bomb aktywnych o dużej sile rażenia. Porzucone ładunki unosiły się w okolicach systemów jądra od zakończenia Wojen Klonów. Szacuje się, że od siedemdziesięciu do osiemdziesięciu

pięciu procent populacji zginęło w wyniku eksplozji i spowodowanych przez nie pożarów.

Wiadomości towarzyszyły hologramy ukazujące zniszczenia. Ves widział zwęglone miasta i płonące lasy, porastające wielkie obszary jego planety. Kłęby czarnego dymu widoczne były z wysokiej orbity.

Mój świat przestał istnieć, pomyślał. I chociaż nie zniknął – unosząca się w przestworzach planeta nadal orbitowała wokół swego słońca – caamasjańska cywilizacja najprawdopodobniej nigdy nie podźwignie się po takim ciosie. Imperium mogło obarczać winą za katastrofę niewypały dryfujące w przestrzeni kosmicznej, ale każda inteligentna istota, nawet niezbyt wykształcona, zdawała sobie sprawę, jak niewielkie były szanse, aby doszło do zderzenia ładunków z planetą. Fakty były oczywiste dla każdego, kto umiał czytać między wierszami doniesień medialnych.

Zdziwił się, z jakim spokojem przyjął te wieści. Z pewnością był to skutek szoku. Prawda jeszcze do niego nie dotarła, więc nawet nie mógł się z nią pogodzić. Zastanawiał się beznamytnie, czy gdy w końcu przyjmie to wszystko do wiadomości, postrada zmysły.

Caamas. Jego dom. Jego rodzina. Jedna z najświetniejszych cywilizacji w ciągu kilku chwil legła w gruzach...

Przez kaprys Imperatora.

Tego Ves Volette był pewien. Nie interesował się polityką, ale nie był głupcem. Tylko taki bezlitosny paranoik jak Palpatine mógł obawiać się zagrożenia ze strony pokojowo nastawionych Caamasjan. Jego lud był tak łagodny... Jedynym aktem sprzeciwu wobec okrutnego reżimu było domaganie się gwarantowanych przez konstytucję galaktyczną praw. Jego ziomkowie nie zgadzali się z ograniczeniami i z podwyższeniem przez Imperium podatków nałożonych na sztukę, naukę, filozofię oraz inne dobra kultury.

Jego rasa. Spokojne, bezkonfliktowe, mądre, dobroduszne istoty... Podobno kiedy Jedi ustalali zasady etyczne, które stały się potem kodeksem Zakonu, korzystali ze wskazówek Caamasjan. Już nigdy więcej... Nikt już nie zechce odwiedzić jego pięknego świata. Mogli tylko w osłupieniu patrzeć na zagładę planety, która niegdyś stanowiła kolebkę oświecenia.

Ves westchnął i zachwiał się nagle, przytłoczony *memnii*. Pamięć zmysłowa była tak silna, że przez chwilę wewnątrz jego ciasnego warsztatu zastąpiły okolice rodzinnego domu w wiosce Jualya. Malowniczy region, w którym dorastał, leżał pośród falujących wzgórz Kanupianów. Ves patrzył teraz na sad ostrojabłoni, podziwiając opalizujące barwy wydobywane przez wschodzące słońce z lśniących liści i srebrzystej skórki dojrzałych owoców. Słyszał nawet świergot śpieworyb w pobliskim strumieniu.

Pamiętał ten moment dokładnie – było to na trzy standardowe miesiące, zanim opuścił Caamas i przybył na Coruscant, aby rzeźbić w świetle, zaklinać w kontrolowanych fotonach emocje znane niemal każdej istocie w galaktyce. Pragnął wystawiać i sprzedawać swoje prace. Chociaż Caamasjanie nie byli materialistami, nie byli też lekkomyślni. Jak kiedyś

trafnie ujął to filozof Hyoca Lans, „Problemem galaktyki nie jest nadmiar ubogich – raczej zbyt mało bogatych”. Kapitalizm nie był niczym złym – dopóki towarzyszyła mu swego rodzaju etyka równości.

Zdolność do odczuwania *memnii* Caamasjanie mieli zakodowaną w genomie. Był to fenomen jego rasy. Takie wyraziste wspomnienia pojawiały się zwykle w chwilach wielkiego stresu i niemal zawsze były w jakiś sposób związane z jego przyczyną. Ves doznał wcześniej czegoś takiego tylko raz, jako dziecko, gdy zmarł jego ukochany wujek. Artysta zmarszczył czoło. *Memnii*, pamięć błogich chwil spędzonych na krótko przed opuszczeniem Caamas... W jaki sposób mogło to być związane z okrutnym zniszczeniem jego świata?

Wkrótce się dowie.

Nagle poczuł, że przytłacza go straszliwy ciężar. Nie słyszał hałasu, który go ogłuszył; nie widział blasku, który go oślepił. Zachwiał się od wstrząsu, którego nawet nie poczuł – a jednak bodźce w jakiś sposób docierały do niego, przerażająco intensywne. *Memnii* w jego umyśle rozpadło się na ostre odłamki, niczym mentalny odpowiednik kruchego duraluminium. Wybuchowi towarzyszył niemy krzyk umierającego świata.

W końcu zrozumiał. Caamasjanie zwykle dzielili się smutnymi wspomnieniami z innymi przedstawicielami swojej rasy – w ten sposób próbowali złagodzić ból i żal. To, co teraz poczuł, stanowiło *memnii* milionów jego braci i sióstr, falę poprzedzającą śmierć. Były w tym dezorientacja, rozpacz i niedowierzanie, które pokonały czas i przestrzeń. Jego własne wspomnienie stało się symbolicznym przejawem spokoju i łagodności, które zostały nagle i bezlitośnie unicestwione.

Tysiące uczuć wdarło się w jego umysł niczym pocisk. Nie było od nich ucieczki, nie miał gdzie się schronić. Przeżywał śmierć każdego Caamasjanina na planecie.

Wydawało mu się, że Dejah wykrzykuje jego imię tysiące lat świetlnych od niego. Ledwo zdawał sobie sprawę, że zatroskana towarzyszka pomaga mu się położyć na tapczanie. Było mu wszystko jedno – stał czy leżał, nie znajdował ratunku ani wytchnienia. Mógł tylko próbować zachować zdrowe zmysły, nie pozwolić, aby jego świadomość została rozdarta na strzępy i wessana w wir chaosu.

W końcu, po nieskończonych eonach cierpienia, paraliż zaczął ustępować. Ves stopniowo dochodził do siebie, znajdował własny punkt odniesienia w kosmosie. Trząśł się i pocił, ale był żywy i – jakimś cudem – nadal przy zdrowych zmysłach.

Deej czuwała obok. Na jej twarzy malowała się troska.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

Gdy Ves pokiwał słabo głową, odetchnęła z wyraźną ulgą.

– Co się stało?

– *Memnii* – rzucił krótko.

Dejah spojrzała na niego strapiona. Była Zeltronką, więc wiedziała, czym jest rezonans empatyczny. Znała Vesa na tyle długo, że nie było jej obce zjawisko dzielenia uczuć.

– Nie sądziłam, że mogą być aż tak intensywne...

Ves wyjaśnił jej pokrótce, co się stało. Jego towarzyszka wyglądała na przerażoną.

– Po takim szoku nie możesz wziąć udziału w uroczystości. Musimy przełożyć otwarcie wystawy – stwierdziła kategorycznie.

Ves pokręcił głową.

– Nie. To bardzo ważne, żeby wszystko odbyło się zgodnie z planem. Tak długo, jak choć jeden Caamasjanin żyje i tworzy, Imperator nie zdoła zwyciężyć.

Dźwignął się na nogi. Czuł się jak po zderzeniu z kometa. Dejah również wstała; podała mu rękę, ale Ves zignorował pomoc.

– Przepraszam gości. Powiedz, że źle się czuję i nie mogę uczestniczyć w otwarciu.

Przeszedł do warsztatu. Usiadł przy stanowisku i uruchomił induktor strumienia plazmowego. Rozległo się wibrujące buczenie, a na pulpicie pojawił się paraboliczny stożek błękitnego światła, wysoki na metr. Ves skrzył go odrobinę, dopasowując elipsę, i fala plazmy przesunęła się lekko. Towarzyszył temu niski, elektroniczny jęk.

Artysta spojrzał na chronometr.

– Już prawie czas – powiedział. – Przygotuj się na przyjęcie gości.

Deej zawahała się, ale w końcu przytaknęła z rezygnacją.

– W porządku. Zakładam, że wiesz, co robisz. – Wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Ves skupił się na zawieszonym w powietrzu grocie światła. Dorzucił neonu, kryptonu i xenonu. Fala plazmy zapłonęła czerwienią, zielenią i błękitem. Dodawał kolejne barwy, przyglądając się krytycznie efektowi pod różnymi kątami.

Klucz stanowiła prostota. To w niej leżała siła emocji. Dejah miała rację, Ves doskonale wiedział, co robi.

Tworzył kurhan.

ROZDZIAŁ 4

Jax oddychał głęboko i powoli, tak jak uczył go mistrz Pieli. Z każdym oddechem koncentrował się silniej, a łączące go z Mocą więzi sięgały dalej.

Jego nauczyciel powiedział mu kiedyś, że Jedi odczuwają zespolenie z Mocą na różne sposoby, które można porównać do zjawisk występujących w świecie rzeczywistym. Sam mistrz Pieli twierdził, że jego więź najlepiej ujmowało porównanie z wodą. Jax z kolei postrzegał Moc jako wici albo pasma rozpięte w przestrzeni i czasie, łączące wszystko ze sobą. Aury innych istot jawiły mu się jako kokony utkane z różnobarwnego światła lub mroku. Gdy starał się wyczuć coś na odległość, pasma Mocy natychmiast łączyły go z odpowiednim obiektem. Kiedy chciał zwiększyć swoją sprawność podczas biegów czy skoków, pozwalał, by więzy Mocy unosiły go, a gdy starał się przenieść jakiś przedmiot, zarzucał coś na kształt niewidzialnego lassa. Teraz rozesłał wici dookoła, badając teren, dopóki nie znalazł tego, czego szukał.

Jak gdyby w odpowiedzi na ten dotyk, zawieszony w powietrzu zdalnik posłał w jego stronę laserową kanonadę, przemieszczając się błyskawicznie w miarę oddawania strzałów. Jax uniósł energomiecz i z opaską na oczach zaczął odbijać promienie energii. Intuicyjnie wyczuwał, z którego miejsca nadejdą: pierwszy... drugi... trzeci... czwarty... piąty...

Szósty i ostatni boleśnie ugodził go w prawy bok.

– A niech to! – zaklął Jedi. Cisnął opaskę na ziemię i podał kod dezaktywujący zdalnika. Automat opadł na podłogę, a Pavan usiadł na fotelu w ściennej wnęcie i spojrzał smętnie na swój oręż.

– No to mamy jeden zero dla zdalnika – dobiegł jego uszu kpiący głos.

Jax uniósł wzrok i w przejściu do małego, zamkniętego dziedzińca, na którym ćwiczył, zobaczył I-Pięć.

– Zaczynam się obawiać, że Laranth ma rację – powiedział ponuro. – Jedi powinni umieć posługiwać się sprawnie również innymi rodzajami broni. – Skrzywił się. – Tylko przypadkiem jej tego nie powtarzaj.

– A jednak nikt oprócz Jedi nie byłby w stanie zablokować takiej serii – stwierdził android.

Jax wzruszył ramionami.

– Nie ma znaczenia, który strzał cię zabije. Będziesz tak samo martwy od pierwszego jak od szóstego.

– Co ty powiesz? – zakpił jego mechaniczny przyjaciel. – Jestem pewien, że radzisz sobie o wiele lepiej, niż ci się wydaje – zapewnił go poważnie.

Jax obrzucił broń krytycznym spojrzeniem i dostrzegł w ostrzu swoje zniekształcone odbicie.

– Tak sądzisz? Skąd możesz to wie...

Nie zdołał dokończyć pytania. I-Pięć wyciągnął lewe ramię, a z jego palca wskazującego wystrzeliła laserowa błyskawica. Zamiast jednak trafić Jedi, promień zatrzymał się na polu energetycznym broni odruchowo uniesionej przez Jaksę.

– Właśnie stąd – odpowiedział android. – Prędkość światła wynosi nieco poniżej trzystu tysięcy kilometrów na sekundę. Znajdujesz się o siedem przecinek trzy metry ode mnie. Twoja zwiększona dzięki Mocy umiejętność unikania zagrożenia działa znakomicie. Musisz tylko zaufać instynktowi.

– Jesteś pewien, że gdzieś w tej blaszanej puszcze nie zamontowano ci modułu mistrza Jedi? – zapytał Jax z przekąsem.

– Stwórcu, uchwaj! Nawet przeprogramowane sztuczne inteligencje są mniej drętwe niż Jedi.

Pavan przestał się uśmiechać. Jego towarzysz natychmiast okazał skruchę.

– Wybacz, Jax – powiedział. – Nawet androidom protokolarnym zdarza się zachować niestosownie. To było niepotrzebne.

– Nie jestem na ciebie zły. Dotarło do mnie po prostu, że masz rację. – Jax westchnął. – Wszystkie rasy w galaktyce wiedzą, że jeśli nie dopasują się do warunków, w jakich przyszło im żyć, zginą. To proste. Dlaczego Rada tego nie rozumiała? Dlaczego nie wyczuli niebezpieczeństwa, zanim stało się za późno?

– Zakładając, że to nie jest pytanie retoryczne, pozwolę sobie przytoczyć opinię twojego ojca – odparł I-Pięć. – Jak wiesz, pracował w Świątyni i miał okazję dobrze poznać swoich przełożonych. Jeszcze zanim stał się wrogiem Jedi, których obwiniał o porwanie ciebie, dostrzegł w Zakonie stagnację i samozadowolenie. Wspomnił mi o plotkach krążących na temat kogoś, kogo nazywali Wybrańcem. Miał on przywrócić równowagę w Mocy. Wierzono w jego bliskie nadejście. Może Jedi spodziewali się, że dokona tego, czego sami nie byli w stanie lub nie chcieli zrobić? Tak w każdym razie uważał twój ojciec... Podczas swoich podróży poznałem zachowania wielu różnych form organicznych, mogłem więc się z nim zgodzić. Kiedy istoty rozumne, zamiast działać, liczą na ingerencję jakiejś absurdalnej siły wyższej, źle się to dla nich kończy.

Jax pokiwał z namysłem głową. Jasne, słyszał różne plotki. Mówiono, że Wybrańcem miał być Anakin Skywalker, podopieczny bohatera Wojen Klonów Obi-Wana Kenobiego. Pavan nie miał jednak szans, aby sprawdzić te pogłoski. Zwykłych Jedi nie dopuszczano do

tak poufnych informacji, a zresztą rangę rycerza nadano mu tuż przed upadkiem Zakonu. Biorąc jednak pod uwagę chaos, jaki ogarnął galaktykę w tamtych dniach, mogła to być prawda. Jax był jednym z niewielu padawanów, którzy trochę znali Anakina Skywalkera, wiedział więc doskonale, jak łatwo młody Jedi popadał w skrajności. Pamiętał, jak pewnego razu dostrzegł jego aurę: kłęb czarnych niczym najciemniejsza noc nici rozciągających się we wszystkich kierunkach jak pajęcza sieć...

Dlaczego nie dostrzegła tego także Rada? A może po prostu udawali, że niczego nie widzą?

– Może masz rację – odpowiedział po chwili namysłu. – Przynajmniej częściowo. Wątpię, żebyśmy kiedykolwiek poznali całą prawdę.

Nagle poczuł silny psychiczny wstrząs, wystarczająco potężny, aby dosłownie zwalić go z nóg. Gdzieś w galaktyce wydarzyło się właśnie coś strasznego. Od niewyobrażalnego bólu więzi łączące go z Mocą zawibrowały niczym balawajski gong narodzin. W uszach dźwięczał mu krzyk milionów istot, ginących właśnie w jakiejś globalnej zagładzie. Upuścił energomiecz, ukrył twarz w dłoniach i jęknął głośno.

– Co jest, Jax? – zagadnął zatroskany android. Powłoka I-Pięć została wykonana z twardego stopu metali, jednak dotyk jego dłoni był zaskakująco delikatny. Android położył młodemu Jedi rękę na ramieniu i pochylił się, aby zajrzeć mu w twarz. – Wszystko w porządku? Co się stało?

– Śmierć... – wychrypiał Pavan. – Rzeź... Krzyk pośród nocy... Coś okropnego, gdzieś daleko... Oni wszyscy... wszyscy...

Nie zdołał dokończyć zdania. Siła ciosu sprawiła, że ledwie mógł złapać oddech. Gdzieś w galaktyce miliony stworzeń krzyczały jednym głosem – a potem zapadła cisza, już na zawsze... Jaksowi wydawało się, że dziedziniec wiruje wokół niego. Z trudem zdołał dźwignąć się na nogi. Ignorując protesty zaniepokojonego androida, wszedł do apartamentu.

Łudził się, że to pomyłka. Tak bardzo chciał, aby zakłócenie w Mocy okazało się czymś innym... Mimo to w głębi duszy wiedział, że nie ma na co liczyć. Kiedy zobaczył wyraz twarzy Laranth, stracił resztki złudzeń. Choć Twi'lekanka wydawała się tak samo obojętna i skryta jak zawsze, w jej oczach dostrzegł przerażenie. Wiedział, że to odbicie jego własnego strachu.

– Caamas – powiedziała tylko.

Poznanie miejsca katastrofy było dla niego niemal tak wielkim szokiem jak psychiczny wstrząs kilka minut wcześniej. Caamas? Ojczyzna istot, które stanowiły dla innych wzór do naśladowania? Świat wybitnych filozofów i artystów? Jax nie mógł w to uwierzyć. To nie miało sensu. Caamasjanie byli pokojowo nastawioną, wykształconą i przyjazną rasą. Ich świat był jednym z niewielu, które nadal utrzymywały straż planetarną zamiast regularnej armii zawodowej. Tylko ktoś tak paranoicznie okrutny jak Palpatine mógł...

Nagle go olśniło. Poznał prawdę. Świadomość miała gorzki posmak żółci. To przecież

oczywiste... Caamas był doskonałym przykładem. Unicestwienie planety miało uświadomić wszystkim, że Imperator jest zbyt potężny, aby go obalić. Miało też udowodnić, że jest wystarczająco szalony lub okrutny, aby zniszczyć ojczyznę naukowców i twórców. A jeśli był do tego zdolny, co mogło go powstrzymać przed obróceniem w pył Korelii, Alderaanu, Dantooine czy którejkolwiek z tysiąca innych planet?

Jax rozumiał, że nikt. Ani nic. I o to oczywiście chodziło.

Chociaż był Jedi, ku swojemu zaskoczeniu poczuł nagłą wściekłość na Zakon. Dlaczego uchylali się od obowiązków i zadań, przypisanych im od tysięcy pokoleń? Gdyby było inaczej, może nie doszłoby do tej tragedii. Gdyby byli bardziej wrażliwi, wyczuliby zagrożenie, zanim zniszczyło Zakon od środka... Nagle wiedział; czuł to z nieomylną pewnością poprzez więzi Mocy. Nie miał pojęcia, dlaczego, nie był pewien, czy ma to jakiś związek z echem głosu martwych Caamasjan wciąż rozbrzmiewającym w jego umyśle... Jax Pavan nie miał jednak żadnych wątpliwości: Anakin Skywalker nadal żyje.

ROZDZIAŁ 5

Dalsza praca w szybie kopalni na Oovo Cztery oznaczała dla niej śmierć.

Aurra Sing pracowała w jednym z bocznych tuneli. Ciasna szczelina wydrążona w czarnej skale była szeroka zaledwie na wyciągnięcie jednego ramienia. Żyła zeniem, którą eksploatowała od trzech dni, wyczerpywała się. Oceniała, że za jakiś metr będzie już zbyt wąska, aby pozyskiwanie surowca się opłacało.

Opuściła ochronną maskę. Otoczone ciemnymi kręgami oczy wydawały się osadzone niezwykle głęboko. Całe jej ciało było blade niczym pokryty żyłkami marmur, który górnicy od czasu do czasu napotykali podczas pracy w kopalniach. Z jasną skórą ostro kontrastowała ruda kita długich włosów upiętych na czubku nagiej czaszki.

Nakierowała gazyfikator na lewą stronę ściany. Żyła zeniem przecinała powierzchnię skały niczym zastygły promień purpurowej energii. Wiązka zmieniła otaczający ją kamień w plazmę niemal w mgnieniu oka, a rozżarzony gaz został wessany przez wąż z karbonitowych nanowłókien.

Sing zgazyfikowała otaczającą zeniem skałę i uderzyła niewielkim narzędziem sonicznym w odsłonięty płat. Miał jedynie kilka centymetrów grubości, ale sięgał jej prawie nad głowę. Znalazła punkt rozszczepienia z wprawą nabytą przez lata praktyki i arkusz zeniem pękł na kilka mniejszych kawałków. Zebrała je i wrzuciła na transporter. Odłączyła urządzenie od linii gazyfikatora, załadowała je na wózek i weszła na platformę, po czym aktywowała repulsory.

Pojazd ruszył bezgłośnie w kierunku głównego szybu, mijając plamy migotliwego światła i ciemności. Aurra ze znużeniem sprawdziła status swojego aparatu oddechowego. Wskaźnik funkcji filtra nadal świecił na zielono, jednak już dawno spadł poniżej stanu „optymalny”.

Spróbowała przypomnieć sobie, jak wyglądały Zewnętrzne Rubieże z pokładu widokowego pirackiego statku. To było tak dawno temu... Minęło tyle czasu. Sing nie pamiętała nawet, ile. Nie wiedziała też o sobie wielu innych rzeczy; nie знаła nawet swoich wieku i rasy. Jej matka była człowiekiem, ale nikt nie znał ojca. Kolejni pracodawcy, włącznie z Huttem Wallanoogą, snuli różne domysły. Dla jednych była Qiraashką, dla innych Rattatakanką, Umbarianką czy nawet Anzatką. Sęk w tym, że żadna z tych ras nie mogła krzyżować się z istotami ludzkimi bez konieczności ingerencji w materiał genetyczny. W

dotatku otrzymane w ten sposób genomy nie gwarantowały długowieczności. Jej pochodzenie nadal więc było zagadką, nawet dla niej samej.

Przeszłość nie interesowała jednak Aurry Sing. Liczyła się tylko teraźniejszość.

W ciągu długiego i pełnego wrażeń życia nauczyła się oszczędzać energię i czekać na stosowną chwilę. Znosiła wszystko cierpliwie do czasu, gdy sytuacja stawała się zbyt niebezpieczna. Długowieczność dobrze jej służyła. Już nieraz Aurrze udawało się przetrwać w trudnych warunkach i teraz też nie zamierzała się poddawać. Jeśli nie potrafiła utorować sobie drogi na wolność blasterem lub siłą własnych mięśni, zawsze mogła po prostu przeczekać.

Zresztą nikt nie zyskiwał reputacji łowcy Jedi, działając lekkomyślnie i nieostrożnie.

Czasem nie mogła uwierzyć, że kiedyś tak niewiele dzieliło ją od przyjęcia kodeksu Jedi. Mroczna Kobieta, jej była mistrzyni, nigdy się nie dowiedziała, jak mało brakowało do nawrócenia hardej padawanki. Gdyby Aurra nie została porwana przez piratów, którzy, jak na ironię, wyjawili jej prawdę o Jedi, być może dołączyłaby do grona tych noszących pokutne worki świętoszków. No i najprawdopodobniej byłaby teraz martwa. Podzieliłaby marny los ofiar Rozkazu Sześćdziesiątego Szóstego, jak oni wszyscy.

Dobrze się stało, że ich wytępiono. Sing żałowała jedynie, że pozostało tak niewielu do wytropienia i zlikwidowania.

Gdy dotarła do jednego z wąskich szybów prowadzących na powierzchnię, zaczęła się natykać na inne istoty, zajęte różnymi czynnościami związanymi z wydobywaniem kruszcu. Wykończone ciężką pracą, nie wyglądały dobrze. Nawet pomimo osmotycznych filtrów ochronnych, pył z zenium w końcu przedostawał się do systemów oddechowych – przez płuca, tchawki czy inne organy. Gdy ktoś zbyt długo miał kontakt z niebezpieczną substancją, zapadał na pyroliozę, zwaną też ogniopylicą. Chory organizm był dosłownie trawiony od środka. U istot człekokształtnych osad kruszcu przeżerał pęcherzyki płucne niczym kwas. Był to wyjątkowo bolesny i powolny sposób umierania.

To właśnie dlatego na Oovo Cztery zsyłano najróżniejszych przestępców. Poza urządzanymi z rzadka wyścigami podracerów, codzienną rutynę przerywała tu jedynie od czasu do czasu śmierć któregoś z więźniów.

Jak na ironię, kopalnie zenium były jednymi z nielicznych obozów pracy w galaktyce, gdzie organizmy żywe sprawdzały się lepiej od automatów. Nie pomagały żadne pola ochronne: zabójczy pył znajdował drogę do systemów percepcyjnych robotów niemal natychmiast. Uszkodzone maszyny zderzały się ze sprzętem wydobywczym i sobą nawzajem. Za to organizmy żywe były odporniejsze – mijało kilka dobrych lat, zanim stawały się bezużyteczne. Praca skazańców była więc kwestią opłacalności, nie etyki.

Sing zobaczyła Karundabara. Stary Wookiee tkwił w tej dziurze od tak dawna, że zapomniał już, za jakie przestępstwo go tu zesłano. Był niemal całkiem łysy – w ciągu lat spędzonych w kopalni stracił większość sierści. Aurra patrzyła, jak zrzuca stos płytek kruszcu

do windy, która zabierała je do punktu odbiorczego na powierzchni. Katarakta przesłaniała oczy Wookiego, więc mało co widział. Pokonywał zresztą tę samą trasę tak często, że nie potrzebował do tego zmysłu wzroku.

Kiedy Sing załadowała swój urobek do następnej windy, wyostrzyła zmysły. Jej więź z Mocą ostrzegła ją o każdej próbie ataku, czasem jeszcze zanim została podjęta. Obok złej sławy to właśnie Moc pozwalała jej utrzymać się przy życiu w tej jamie rankora przez długie miesiące. I tak powinno pozostać.

A przynajmniej na to liczyła...

Atak był zatem podwójnym zaskoczeniem: po pierwsze, Sing uważała, że nikt nie byłby na tyle głupi, aby z nią zaczynać, a po drugie, o dziwo poprzez Moc nie wyczuła zagrożenia. Na szczęście to tajemnicze pole energetyczne nie było jej jedynym sprzymierzeńcem. Chociaż ta plugawa zdzira, Aayla Secura, odcięła antenę jej biokomputerowego implantu, szczątki czujnika nadal informowały ją o bliskim niebezpieczeństwie. Urządzenie w ostatniej chwili ostrzegło ją przed atakiem Trandoshanina uzbrojonego w wielki nóż.

Sing błyskawicznie dała susa w bok. Doświadczenie nauczyło ją, że tylko tak mogła uniknąć ciosów. Ostrze niemal otarło się o jej alabastrową skórę. Kiedy wielki jaszczur chybił i stracił równowagę, Aurra założyła na jego potężną łapę specjalny chwyt, blokując łokieć w żelaznym uścisku.

Posłuszna plemiennej tradycji istota zdławiła okrzyk bólu, aby nie tracić cennych punktów jagannath. Jediną jej reakcją był gniewny syk. Gdy Sing wykręciła unieruchomioną kończynę, jaszczur gwałtownie zaczerpnął powietrza. Wywichnięciu stawu towarzyszył paskudny chrzęst. Trandoshanin runął ciężko na podłogę szybu, gdy niedoszła ofiara podcięła mu nogi. Łowczyni szybko rozbroiła napastnika, uklękła na jedno kolano i przygotowała się do poderżnięcia gardzinie gardła.

– Wystarczy!

W powietrzu tuż przed nią pojawiła się trójwymiarowa postać naturalnej wielkości – mężczyzna ubrany w coś na kształt czarnej zbroi, osobliwy hełm, czarną pelerynę i tunikę. Na pierwszy rzut oka Aurra wydało się, że cały obraz jest jednolicie czarny. Po chwili dostrzegła jednak niewielką płytę piersiową, na której migotały różnobarwne diody. Był to z pewnością jakiś panel kontrolny systemu podtrzymywania życia.

Poznała go właściwie od razu. W cywilizowanej części galaktyki nie było chyba nikogo, kto nie słyszałby o Darthu Vaderze, Czarnym Lordzie Sithów. Jego osoba była owiana tajemnicą. Krążyło o nim mnóstwo legend. Niektórzy twierdzili, że był kilkusetletnim Lordem Sithów, ożywionym z kaprysu Imperatora przez czystą Moc. Inni utrzymywali, że jest ostatnim z Jedi, renegatem. Dla jeszcze innych był genetycznie zmodyfikowanym klonem, niezwykłym wojownikiem, cyborgiem czy też czymś w rodzaju wyspecjalizowanego robota bojowego w ludzkiej postaci.

Sing nie miała pojęcia, która z plotek była prawdziwa. Powszechnie znana niezrównana

biegłość Vadera w posługiwaniu się mieczem świetlnym zdawała się przemawiać za pierwszą lub drugą opcją. Wzrok Aurry powędrował odruchowo do miejsca, w którym Jedi nosili swoją tradycyjną broń. Każda istota rozumna w obecności Czarnego Lorda poczułaby trwogę, jednak Aurra Sing wykrzywiła tylko wargi w dzikim uśmiechu.

Vader przypatrywał się jej przez chwilę, zanim przemówił. Obraz, podobnie jak głos, był lekko zniekształcony po długiej podróży przez nadprzestrzeń.

– Całkiem imponujący wyczyn, łowczyni nagród. Chwilowo pozbawiłaś mnie dobrego najemnika.

Sing zerknęła na Trandoshanina. Jaszczur nadal leżał na podłodze i skamłąc cicho, próbował nastawić swoją pogruchotaną łapę. Spojrzała ponownie na Czarnego Lorda.

– Dlaczego go na mnie nasłałeś? – zapytała.

– Ot, tak sobie. Byłem ciekaw, czy po spędzeniu tak długiego czasu w kopalni nadal jesteś w formie. Wygląda na to, że...

– Dobry pomysł – weszła mu w słowo. – Siedzisz bezpiecznie w swojej norze, parseki stąd. Ten tu – trąciła gadzinę stopą – tylko mi się przysłużył. Dzięki niemu nie usnęłam z nudów po męczącym dniu pracy. Gdybyś zjawił się tu osobiście, pokazałabym ci...

Vader uniósł dłoń w rękawicy. Sing zamilkła.

– Mam dla ciebie zlecenie – powiedział krótko. – Spraw się dobrze, a osobiście daruję ci wyrok. Jeśli ci się nie powiedzie, wylądujesz tu z powrotem, wdychając pył zenium, póki nie zeżre cię żywcem. Co ty na to?

Sing dostrzegła kątem oka, że pracujący w pobliżu więźniowie przerwali zajęcia i z zaciekawieniem przyglądali się scenie. Zauważyła również trzech rośłych bydlaków popatrujących na nią z niezadowoleniem. Poprzez Moc wyczuwała ich gniew z powodu niespodziewanej szansy, jaką właśnie otrzymała.

– Nawet głupiec by się nie zastanawiał – rzuciła z pogardą.

– Wiedziałem, że nie będzie trzeba cię długo przekonywać.

Dobili targu. Aurra spodziewała się, że obraz natychmiast zniknie, była więc nieco zaskoczona, gdy postać nadal obserwowała ją bez słowa.

Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z trójką osiłków, których widziała wcześniej. Dwaj ludzie i Shistavanen mierzyli ją pełnym zawiści wzrokiem. Popatrzyli po sobie – widać było, że żaden z nich nie ma ochoty wykonać pierwszego kroku. Sing się uśmiechnęła. Teraz było jasne, czemu Vader nie zakończył transmisji. Przedstawienie jeszcze się nie skończyło.

ROZDZIAŁ 6

– Anakin Skywalker? Ten Anakin Skywalker? Jedi i bohater Wojen Klonów? – upewnił się Den.

– Dlaczego odnoszę wrażenie, że jesteś sceptyczny? – zapytał Jax.

– Bo jestem! – zapewnił go Sullustanin. – Powiedziałbym nawet, że sceptycyzm to zbyt łagodne określenie. Uważam, że to bzdura! – wykrzyknął.

– Ja też tak myślę – rzuciła stojąca w pobliżu Laranth. – Oprócz nas żaden Jedi nie przeżył.

Jax spojrział na nią spokojnie.

– Oprócz nas – powtórzył jej słowa. – Tobie i mnie udało się przetrwać. Dlaczego zakładasz, że jemu nie?

Nim Twi'lekanka zdążyła otworzyć usta, głos zabrał I-Pięć:

– Anakin Skywalker był jednym z najsławniejszych bohaterów Republiki, obok Obi-Wana Kenobiego i Mace'a Windu. Z tego, co wiem, o ich wyczynach i misjach krążą legendy. Od zakończenia Wojen Klonów co jakiś czas pojawiają się pogłoski, że widziano ich tu czy tam, od Zewnętrznych Rubieży aż po Ramię Tingel. Nikt nigdy nie potwierdził żadnej z tych plotek.

Jax nie odpowiedział od razu. Doskonale rozumiał ich wątpliwości. On też byłby nieufny, gdyby nie całkowita pewność, jaką niosło ze sobą objawienie w Mocy. Nie było mowy o żadnej pomyłce.

– Wiem, że nie mam żadnych dowodów – powiedział. – Jednak informacji ujawnionych przez Moc nie można lekceważyć. Gdybym miał wybierać między zaufaniem własnym zmysłom a więzią z Mocą, bez wahania postawiłbym na to drugie.

Den wzruszył ramionami.

– Ponieważ nie lubię wyklócać się z fanatykami, powiedzmy, że kupuję twoją wersję. Nawet jednak jeśli założymy, że masz rację, to z całym szacunkiem, co z tego? Zgoda, to byłby interesujący materiał na holodokument, ale jedynym sposobem, w jaki możesz dowieść prawdziwości swojej tezy, jest ujawnienie się jako Jedi. Gra niewarta świeczki.

– Nie o to mi chodzi. – Pokręcił głową. – Po prostu dotarło to do mnie właśnie teraz, przed chwilą. Nie byliśmy raczej przyjaciółmi, Anakin nie miał właściwie przyjaciół... ufał mi

jednak wystarczająco, żeby powierzyć mi pewną rzecz.

– Okruch pyronium. Pokazywałeś go nam kiedyś – potwierdził Rhinann.

– No, zgadza się – przypomniał sobie Den. – Tęczowy kamyk. Całkiem ładne cacko. Czy poza błyszczeniem ma jakieś szczególne właściwości?

– Bez wątplenia – zapewnił go I-Pięć. – Szlachetne pyronium jest rzadkim i cennym minerałem. Charakteryzuje je wyjątkowa zdolność absorbcyjna. Jeśli zostanie wystawione na odpowiednio silne promieniowanie elektromagnetyczne o dowolnej częstotliwości, jego struktura atomowa magazynuje tę energię. Istnieje teoria, że kiedy powłoki atomowe pyronium zostaną nasycone, nadmiar energii w jakiś sposób zostaje przekazany do współzależnej struktury hiperprzestrzennej, która...

Ze złośliwym uśmiechem Jax sięgnął ku wyłącznikowi u podstawy metalowej czaszki androida, jak gdyby zamierzał go dezaktywować. Android łypnął na niego i cofnął się o krok.

– Przepraszam – powiedział. – Przez chwilę łudziłem się, że mam do czynienia z istotami, którym zainteresowanie nauką nie jest obce. Jak mogłem być tak naiwny?

– Nie przegrzewaj sobie zwojów – odgryzł się Den. – To, o czym mówiłeś, mało mnie interesuje. – Zwrócił się znowu do Jaksa: – Tak sobie pomyślałem... czy ten twój błysk Mocy nie mógł być w jakiś sposób związany z masakrą na Caamas? Oczywiście, ty wiesz lepiej; to w twoich żyłach buszują te całe mikroby Mocy...

Zanim Jax czy I-Pięć zdołali odpowiedzieć, stojąca przy drzwiach Laranth odwróciła się gwałtownie.

– Mamy gościa – poinformowała cicho, a jej dłoń powędrowała do kabury.

Wszyscy umilkli i wyczekująco spojrzeli na drzwi. Jax ruszył cicho w stronę wejścia, jednocześnie wysyłając na zewnątrz wici Mocy. Laranth miała rację, ktoś wchodził po schodach, lekkim, ale pewnym krokiem. Wyczuwał młodą istotę płci żeńskiej. Nie miał pewności, czy była człowiekiem, ale na pewno przedstawicielką którejś z ras człekokształtnych.

Raczej nie miała złych zamiarów i nie była uzbrojona, ale to wcale nie świadczyło o nieszkodliwości. Równie dobrze mogła maskować myśli i uczucia. Jedi spojrzął na Laranth, która potwierdziła jego przypuszczenia kiwnięciem głowy. Trochę się uspokoili i Pavan aktywował panel drzwiowy. Płyta odsunęła się z cichym sykiem i ich oczom ukazała się postać młodej kobiety. Wydawała się zaskoczona, że drzwi się otworzyły, zanim zdążyła cokolwiek zrobić. Jax prześliznął się spojrzeniem po jej sylwetce. Była człekokształtna, bez dwóch zdań.

Była również najpiękniejszą kobietą jaką kiedykolwiek widział.

Niemal tak wysoka jak on, miała na sobie jednoczęściowy kostium z materiału, który w najgrubszym miejscu miał na oko ze dwie molekuly. Tkanina niczym tęczowa, falująca mgielka otulała jej ciało; skóra miała głęboki odcień czerwieni, a gęste włosy spływały na plecy falą w kolorze burgunda. Patrzyła na niego dużymi oczami o intensywnie szkarłatnych

tęczówkach.

Niemal nieświadomie sięgnął poprzez Moc, aby zbadać jej aureę. Miała smutną, przygnębiającą barwę rdzy, która przedziwnie kontrastowała z olśniewającym wyglądem. Kobieta popatrzyła na nich błagalnym wzrokiem.

– Proszę, powiedzcie, że jest wśród was Jax Pavan! – przemówiła.

Lekki krążownik typu Carrack zgrabnie opadł na płytę lądowiska w Zachodnim Kosmoporcie. Kapitan Typho był jednym z pierwszych pasażerów, którzy mieli opuścić statek. Samą podróż mógłby uznać za przyjemną – wysokie stanowisko w siłach zbrojnych Naboo gwarantowało mu komfortowe warunki – gdyby nie to, że nie był w stanie myśleć o niczym poza swoją misją. Kilka ostatnich miesięcy spędził na wypełnianiu różnych obowiązków na ojczystej planecie, aby teraz móc bez reszty poświęcić się zadaniu. W końcu dotarł do celu.

Obserwował z głównego pokładu widokowego, jak statek schodzi do lądowania. Starał się nie poddawać przytłaczającemu wrażeniu, jakie robiła bezkresna panorama planety-miasta rozciągająca się w dole jak okiem sięgnąć. Wszędzie widać było płataninę ulic, wieżowców, placów, stadionów i niezliczonych budowli. Powierzchnię pokrywały migotliwe cienie rzucane przez wszechobecne repulsorowe pojazdy. Tu i ówdzie monotonię krajobrazu przełamwały drobne plamki zieleni i błękitu, zadbane resztki pierwotnego biotopu planety.

Nie było to dla niego nowością. Jako ochroniarz Padme bywał tu już wiele razy. Podczas żadnej z wizyt nie musiał jednak zajmować się wytropieniem pośród trylionów istot jednego mordercy. Typho miał wrażenie, że to zadanie ponad jego siły. Czuł, jak powoli ogarnia go rozpacz. Gdzie w tym gigantycznym miejskim labiryncie ma zacząć poszukiwania pozostałego przy życiu Jedi, skoro twierdzono, że wszyscy zostali zgładzeni?

Uniósł głowę i zacisnął zęby. Użalanie się nad sobą nic nie da. Nie było odwrotu. Pamięć Padme Amidali nie zostanie pomszczona, jeśli on nie weźmie się w garść, a takiej myśli nawet do siebie nie dopuszczał.

W pobliżu, na północ od Zachodniego Kosmoportu, znajdowały się ruiny Świątyni Jedi. Z rozkazu Imperatora zabroniono prowadzenia na ich terenie jakichkolwiek badań czy poszukiwań. Jednak Typho się tym nie przejmował. Punktem wyjścia dla jego śledztwa będzie odnalezienie śladów Anakina Skywalkera, prawdopodobnie ostatniego Jedi, który widział Padme żywą. Jeśli Anakin przeżył Mustafar, informacje na temat jego miejsca pobytu prawdopodobnie znajdowały się w gruzach Świątyni. A jeśli faktycznie tam były, Typho miał zamiar je odnaleźć.

Wyruszył, aby wypełnić swoją misję.

– To ja. – Jedi postąpił krok naprzód.

Czerwonoskóra przybyszka wyglądała, jak gdyby kamień spadł jej z serca. Den po chwili

zidentyfikował ją jako Zeltronkę, a wtedy poczuł nagle ukłucie lęku. Zeltronowie, jeśli dobrze pamiętał, byli wyjątkowo atrakcyjną rasą, przynajmniej dla innych istot człękoksztalnych. Poza tym, podobnie jak Falleenowie i kilka innych gatunków, wydzielali feromony. To sprawiało, że jeszcze trudniej było się oprzeć ich urokowi.

Krótko mówiąc, trudno było pozostać wobec nich obojętnym.

Sullustanin zerknął szybko na Jaksę. Trudno stwierdzić, o czym Jedi myślał. Den był całkiem dobry w odczytywaniu ludzkich emocji – ale nie aż tak. Jax nie wyglądał na zauroczony, chociaż Zeltronkę można było uznać za wyjątkowo atrakcyjną. Dla Dena była to oczywiście czysta teoria. Dostrzegał jej wdzięki w taki sam sposób, w jaki rozpoznaby rasowy okaz każdego innego gatunku.

– Nazywam się Dejah Duare – przedstawiła się nieznajoma. – Potrzebuję pomocy.

Den popatrzył na swoich przyjaciół. Jax i Laranth wymienili spojrzenia; Sullustanin zgadywał, że oboje starają się wy badać niespodziewanego gościa poprzez Moc. Nie był w stanie stwierdzić, jak wypadł sprawdzian. Co do I-Pięć, to choć android posiadał zaskakującą umiejętność wyrażania emocji, zachowywał się teraz niczym wzorowy android protokolarny. Rhinann zaś wydawał się kompletnie niezainteresowany całym zajściem. Nie było to niczym niezwykłym, ponieważ ostatnio Elomin był nieufny wobec wszystkich i wszystkiego.

– Słyszałam, że pomagacie osobom, które chcą opuścić Coruscant. To prawda? – zapytała. – Cena nie gra roli. – Dejah przeniosła spojrzenie z Jaksy na Laranth i z powrotem.

Omawianie spraw finansowych było jednym z ulubionych zajęć Dena, więc poczuł się w obowiązku zabrać głos.

– Dobrze słyszałaś – odparł żywo. – Za odpowiednią cenę możemy zabrać cię z tej przeludnionej skały, abyś rozpoczęła nowe życie i...

Laranth uciszyła go spojrzeniem, które niemal osmałiło mu fałdy policzkowe. Upokorzony i zirytowany, dał za wygraną.

– Nie mówmy o zapłacie. Wyjaśnij, o co chodzi – poprosił Jax. – Ile osób?

– Tylko my dwoje... ja i mój partner w interesach, Ves Volette.

– Panienska raczy wybaczyć, ale czy przypadkiem nie chodzi o tego słynnego caamasjańskiego rzeźbiarza światła? – wtrącił I-Pięć.

Zeltronka wyglądała na zaskoczoną.

– Zgadza się. Na jego rodzinnej planecie jego sztuka cieszy się... to znaczy, cieszyła – poprawiła się – dużym uznaniem... – Wspomnienie Caamas wyraźnie wyprowadziło ją z równowagi. Nic dziwnego. Zniszczenie planety było ostatnio głównym tematem poruszonym w mediach, a Jax i Laranth doskonale rozumieli ból Zeltronki po tragedii, jaka spotkała jej partnera. Można powiedzieć, że w pewnym sensie odczuli ją na własnej skórze.

– Boisz się o niego – powiedziała Laranth. – I o siebie, bo mu pomagasz.

Jej obawy były całkiem uzasadnione, przynajmniej zdaniem Dena. Jeżeli Imperator z jakiegoś powodu posunął się do tak radykalnego kroku, prawdopodobnie będzie chciał

pozbyć się wszystkich pozostałych przy życiu mieszkańców Caamas, aby uniknąć trudnych pytań. Media już próbowały dotrzeć do ocalałych Caamasjan. Palpatine raczej będzie się starał uniknąć konfrontacji z małą, ale głośno domagającą się wyjaśnień grupą. A to oznaczało, że każda istota pomagająca w jakiś sposób Caamasjanom również znajdzie się na czarnej liście Imperatora. Den przełknął ślinę. Nagle zrobiło mu się dziwnie gorąco. Jego entuzjazm do pomocy nowej klientce nagle ostygł.

– Zgadza się – Zeltronka potwierdziła słowa Laranth. Spojrzała błagalnym wzrokiem na Jaksę. – Pomóżcie nam, proszę... Ves nie jest tchórzem, ale podobnie jak wielu artystów bywa nierozważny. Obawiam się, że może zrobić coś głupiego, na przykład stworzyć pracę celowo obrażającą Imperatora. W ten sposób wyda na nas wyrok.

Gdy mówiła, jej skóra przybrała nieco ciemniejszy odcień. Den wiedział, że poza nim chyba tylko I-Pięć był w stanie dostrzec tę subtelną zmianę. Pamiętał, że w ten sam sposób zmieniał zabarwienie łusek falleeński księżę Xizor; podejrzewał, że teraz przyczyna była podobna. Ta urocza osóбка najprawdopodobniej wysyłała właśnie w powietrze chmurę feromonów, aby wpłynąć na ich decyzję.

Nie wiedział, czy Twi'lekowie byli odporni na feromony Zeltronów, ale przypomniał sobie, że paladynka dała się kiedyś omamić Xizorowi. To oczywiście o niczym nie świadczyło. Duare była innej rasy.

Uświadomił sobie, że ich gość coś mówi, i zaczął się bacznie przysłuchiwać.

– Pomagam Vesowi w pracy – wyjaśniała Dejah. – Jak zapewne wiecie, moja rasa ma zdolności teleempatyczne. To bardzo się przydaje, kiedy staram się wprowadzić Vesa w nastrój odpowiedni do tworzenia.

I-Pięć zauważył, że reporter nie bardzo rozumie, o czym mowa.

– Zeltronowie potrafią wyczuwać i wzbudzać stany emocjonalne – wyjaśnił mu. – To coś jak telepatia, tylko z uczuciami zamiast słów. – Android przekazał mu tę informację za pośrednictwem kierunkowego impulsu dźwiękowego, tak aby nie usłyszała reszty obecnych. Sullustanin się zasepił. Nie miał o tym pojęcia. To dawało Zeltronce dodatkową przewagę.

Spojrzał ponownie na Jaksę. Wyglądało na to, że zarówno Jedi, jak i Laranth w pełni się kontrolują. Den zastanawiał się, czy to Moc w jakiś sposób umożliwia neutralizowanie feromonów i ochronę przed narzucanymi emocjami. Nie byłby zdziwiony, gdyby tak było. Sądząc po tym, co słyszał od Barrissy Offee czy Pavana, Moc była niemal wszechmogąca. A reporter był świadkiem wystarczająco wielu cudów dokonywanych dzięki niej, aby w to wierzyć.

Cóż, miejmy taką nadzieję, pomyślał.

Jax odchrząknął.

– Ostatnio wokół działań Whiplasha zrobiło się stanowczo za dużo szumu – powiedział. – Służby zaczęły się zastanawiać, jakim cudem kolaborantom, heretykom i zdrajcom stanu udaje się opuścić Coruscant. Pomoc w ucieczce naraża nas teraz na o wiele większe ryzyko...

Sullustanin odetchnął z ulgą. Wyglądało na to, że feromonowy koktajl panny Duare nie dał. Cieszył się, że jego przyjacielowi hormony nie uderzyły do głowy.

– I dlatego – ciągnął Jax – musimy być szczególnie ostrożni, planując waszą podróż poza planetę. Ale wierzę, że damy radę. Jesteśmy to winni pamięci Caamasjan. – Uśmiechnął się pokrzepiająco do Dejah. Na twarzy Zeltronki malowała się wdzięczność.

Den klepnął się w czoło i jęknął głośno. I-Pięć rzucił mu zatroskane spojrzenie.

– Coś nie tak? – zapytał.

– Boli mnie głowa – mruknął reporter i wyszedł z pokoju.

Se 'lahn.

Tak określano to w sullustańskim. Słowo oznaczało niepokój, wzburzenie, zmartwienie i doskonale oddawało stan psychiczny Dena.

Miał ku temu podstawy. Od jakiegoś czasu próbował bezskutecznie przekonać swoich towarzyszy, że powinni odpuścić sobie Whiplasha i dać drapaka z Coruscant. Nie miało znaczenia, dokąd się udadzą, liczył się czas. Powinni możliwie szybko znaleźć się jak najdalej od Imperatora i Vadera. Było całkiem prawdopodobne, że złowrogi adiutant Palpatine'a nadal interesuje się Jaksem.

Reporter od czasu do czasu sam bywał idealistą i doskonale rozumiał przyjaciół. Nie przeszkadzało mu, że Jax poświęca się działaniu na rzecz prawdy, sprawiedliwości i kodeksu Jedi. Chodziło tylko o to, że robi to pod samym nosem jednej z najniebezpieczniejszych osób w galaktyce.

Poza tym był jeszcze jeden powód, dla którego sam tkwił na Coruscant. I-Pięć.

Android protokolarny dokonał czegoś niesłychanego, pomyślał Den. Sullustanin tak bardzo przywiązał się do zmodyfikowanej maszyny, że nie wyobrażał sobie, by mogli się rozstać.

I-Pięć zapewnił go kiedyś, że w razie potrzeby opuści planetę razem z nim, nawet jeśli Pavan zdecyduje się zostać. Jednak Sullustanin wiedział również o obietnicy, jaką android złożył ojcu Jaksu. Miał się zaopiekować synem Lorna po jego śmierci. Lojalny automat traktował swoje zobowiązanie bardzo poważnie, chociaż mógł je wypełnić dopiero, gdy Jedi był już dorosły. Lepiej jednak późno niż wcale, pomyślał reporter. Jego przyjaciel poświęcał się teraz swojemu zadaniu bez reszty, jak gdyby chcąc nadrobić stracone lata.

Kiedyś w końcu nadejdzie czas, gdy I-Pięć będzie musiał dokonać wyboru. Pozostanie z Jaksem czy opuści Jedi i wyruszy w nieznane razem z Denem?

Sullustanin nie był pewien czy chce znać odpowiedź. To przecież niedorzeczne. On, Den Dhur, nieustraszony reporter i cyniczny twardziel traktował I-Pięć jak członka rodziny. Chociaż zdarzało im się czasem pokłócić, Sullustanin czuł do androida niezwykłą sympatię. Wystarczająco silną, aby nie pozwalała mu opuścić świata, którego nienawidził – a raczej tej jego części, której nienawidził...

Podziemia Coruscant: slumsy, ciągnące się przez jakieś pięćdziesiąt najniższych poziomów. Wąskie, pograżone w cieniu alejki i labirynty zaułków, przecinające konstrukcje monumentalnych budowli. Wieżowce i drapacze chmur, wypiętrzone przez wieki tak skutecznie zasłaniały niebo, że promienie słońca z rzadka tu docierały. A jeśli już przebiły się przez grube warstwy pyłu, filtr spalin sprawiał, że miały niepokojący odcień skrzepłej krwi. Zdaniem Dena dobrze oddawało to panującą tutaj atmosferę.

Kogoś, kto zna jego rasę tylko pobieżnie, mogło dziwić, że taką niechęcią darzy ciemne zaułki Coruscant. Wszak mieszkańcy Sullusta wiedli życie w podziemnych korytarzach i pieczarach. Mogło się wydawać, że na dolnych poziomach ludnego świata będą się czuli jak Kalamarianie w wodzie. W czym więc tkwił problem?

W jednym słowie: ohyda.

Mroczna strona Coruscant, zwanego poprawnie Imperialnym Centrum (głównie przez szturmowców, media czy rząd) nie była chlubą planety-miasta. Turyści, dostojnicy, kupcy i inni odwiedzający rzadko mieli szansę, a jeszcze rzadziej chęć wpatrywać się w mroczne rozpadliny między strzelistymi budynkami. Goście woleli spotykać gwiazdy holodramatów, spędzać leniwie czas w wykwinnych restauracjach i zostawiać stopy kredytów w niezliczonych kasynach. Nie mieli ochoty oglądać nędzy i rozpaczki istot wegetujących na poziomach położonych setki kilometrów poniżej eleganckich konstrukcji żeglujących dostojnie wśród chmur. Nie chcieli wiedzieć, że imigranci opuszczający rodzinne planety w pogoni za coruskańskim snem osiedlali się tu masowo jeszcze przed Wojnami Klonów. Pomimo dekretów Palpatine'a, które znacznie ograniczyły napływ obcych, w ekumenopolii w ciągu godziny nadal powstawało więcej nowych budowli niż w innych systemach jądra przez miesiąc.

Wszystkie te zdesperowane istoty musiały gdzieś mieszkać.

Den nie był rasistą. Miał okazję obcować w swoim życiu z tyloma formami organicznymi, że nie uważał żadnych za nadrzędne względem innych. Wystarczało mu, że nikt nie wtrącał się w jego sprawy. Jednak czasem trudno było nie czuć się obco pośród tysięcy istot przemierzających nieustannie zatłoczone uliczki rojowiska. Obco i dość nieswojo, ze względu na brak zamięlowania tych istot do higieny osobistej.

Zgadza się, Sullustanie zamieszkiwali jaskinie, ale porównywanie aksamitnego mroku podziemnych miast, takich choćby jak Pirin, z cuchnącymi koloniami pełnymi najgorszych szumowin galaktyki nie miało sensu. Na ulicach i bazarach obskurnych dzielnic rozrywki dzień i noc kłębił się tłum podejrzanych Kubazów, cwanych Rodian, złośliwych Ughnaughtów i mnóstwa innych istot. Den czasem miał wrażenie, że nie ma tu czym oddychać. Klaustrofobia u przedstawiciela jego rasy była czymś naprawdę smutnym.

Jak gdyby tego było mało, wszędzie pałętali się ludzie. Jak okiem sięgnąć, wędrowali wąskimi, krętymi alejkami, pilotowali też naziemne i powietrzne pojazdy, jak gdyby cała planeta należała do nich. Do czego oczywiście mogło dojść, i to szybko, jeśli potwierdzą się

niepokojące plotki, które dotarły ostatnio do uszu reportera.

A plotki pochodziły z dosyć wiarygodnego źródła. Rhinann powiedział Denowi, że już wkrótce ma wejść w życie nowy plan Imperatora, zgodnie z którym przedstawiciele ras innych niż ludzka zostaną poddani kwarantannie i oddzieleni od reszty populacji. Den nie mógł w to uwierzyć. To prawda, ludzie przewyższali liczebnie wszystkie inne rasy na Coruscant, ale nie byli przecież gatunkiem dominującym. Populacja planety-miasta składała się z setek różnych ras, od Anzatów do Zeolozjan. Zdaniem Dena próba odseparowania ich od ludzi mogła wzniecić bunt, przy którym ostateczne starcie Republiki z Separatystami wyda się wesołym piknikiem.

A jeśli to nie był powód do *se'lahn*, to nie wiedział, co innego mogło nim być.

ROZDZIAŁ 7

Jax wyczuwał subtelną, ale osaczającą go stopniowo falę feromonów Dejah Duare, biochemiczne wołanie o pomoc. Zanim zew stał się zbyt silny, sięgnął po Moc. Ogrzewał delikatnie molekuly powietrza wokół siebie, aż utworzyły coś w rodzaju adiabaticznego pola ochronnego, które odbijało chmurę feromonów. Tarcza sprawdzała się bez zarzutu. Już po chwili mógł ponownie trzeźwo myśleć. Zauważył, że Laranth obrała tę samą taktykę. Miał wrażenie, że Dejah lekko się spieszyła, jak gdyby zrozumiała, że jej metoda nie odnosi skutku. Jax nie miał jej za złe prób wpłynięcia na ich decyzję. Po prostu korzystała za wszystkich środków swojego arsenału fizycznego i biochemicznego, aby zapewnić sobie ich przychylność. Chociaż zgodzili się już pomóc, chciała najwidoczniej zyskać pewność.

Po przygodzie z księciem Xizorem, która omal nie zakończyła się tragicznie, Pavan sprawdził, które z istot rozumnych w galaktyce potrafią wydzielać feromony, aby manipulować uczuciami i zachowaniem innych, dlatego nie był zaskoczony, gdy ich gość spróbował chemicznych sztuczek. Przezorność gwarantowała bezpieczeństwo. Nie był pewien, czy zdolności teleempatyczne Dejah pozwalały na kierowanie emocjami innych bez ich wiedzy, sądził jednak, że Moc ostrzegłaby go, gdyby tak było.

– W porządku. Bierzmy się do roboty – zaproponował, taktownie udając, że nic się nie stało. Zawołał Elomina, który siedział skulony w ciemnym kącie pokoju. – Rhinann, wiesz, z kim w kosmoportach należy się skontaktować. Rozpocznij przygotowania, a ja i Dejah pójdziemy porozmawiać z jej caamasjańskim przyjacielem. Laranth i Den... – Rozejrzał się po pokoju. – Hej, gdzie się podział Den?

– Tutaj – z korytarza dobiegł stłumiony głos Sullustanina. – Musiałem zaczerpnąć świeżego powietrza.

Coś w jego głosie zaniepokoiło Jaksę. Wiedział, że Den bywał czasem niezbyt entuzjastycznie nastawiony do ich działań, jeśli jednak miał jakieś wątpliwości, nigdy nie krył swojej niechęci. Wici Mocy wysłane w stronę przyjaciela powiedziały mu, że Sullustanin jest poirytowany i rozczarowany. Nie wiedział, co go rozdrażniło, ale nie miał czasu sprawdzać tego dokładniej.

Cóż, jeśli ma jakiś problem, wyjawi go prędzej czy później.

– Ruszacie razem z Laranth w teren – zarządził. – Wiesz, czego szukać.

– Tak jest – westchnął Den. Wyglądał na wyraźnie przygnębionego. Laranth jak zwykle nic nie powiedziała, kiwnęła tylko głową i skierowała się do wyjścia. Reporter powlókł się za nią.

Jedi i I-Pięć poszli z Dejah do jej ślizgacza. Jaksowi trudno było zgadnąć, co android sądzi na temat dziwnego nastroju Dena. Jego przyjaciel z niezwykłym jak na maszynę kunsztem potrafił imitować stany emocjonalne, zmieniając kąt nachylenia albo moc fotoreceptorów, i całkiem nieźle naśladował ludzki język ciała. Kiedy jednak nie chciał ujawniać, co czuje, zachowywał się równie obojętnie jak przeciętny automat.

Jax sprawdził chronometr. Było tuż po zachodzie słońca i ulice pogrążyły się powoli w głębokim cieniu. Chociaż latarnie uliczne z założenia miały działać przez długie stulecia, wiele z nich przepaliło się, zostało zniszczonych albo rozkradzionych dawno temu. Oświetlenia dostarczały głównie pręty jarzeniowe noszone przez pieszych i ogień płonący w starych beczkach.

To by było na tyle, jeśli chodzi o zaawansowaną technologię, pomyślał Pavan.

Wokół panowała ciemność, ale nie było mowy o ciszy. Tysiące istot gadało nieustannie w setkach dialektów, gwar i narzeczy, które komponowały się w trudny do zrozumienia bełkot. Cheunh, durese, bocce, hapański i wiele innych języków zagłuszało jego własne myśli. Czasem Jax miał wrażenie, że nawet nie wie, jaki jest jego rodzinny język.

Dejah zostawiła swój ślizgacz trzy metry nad ulicą; unosił się w powietrzu, czekając na powrót właścicielki. Zeltronka sprowadziła go pilotem na dół. F-57 Nucleon ze stabilizatorami inercyjnymi i napędem repulsorowym trzeciej klasy był nowiutkim modelem, ale wyglądał uroczym staroświecko, z szerokimi statecznikami na rufie, kabiną wysuniętą do przodu i jednocześnie owiewką. Karoseria miała kolor ciemnokasztanowy, a po bokach ozdabiały ją stylowe, szerokie pasy chromu. Dejah wydawała się stworzona do pilotowania tego cudenka. Jax był pod wrażeniem. Nieczęsto zdarzało się, żeby pojazd tak pasował do właściciela.

Komputer nawigacyjny zlokalizował punkt wejścia w strumień pojazdów i Zeltronka poderwała ślizgacz ostro do góry. Włączyli się w ruch na poziomie siedemdziesiątym piątym, tuż poniżej warstwy chmur. Piętnaście minut później wylądowali bezpiecznie na parkingu jednego z wyższych pięter luksusowego apartamentowca.

– Czy twój partner się nas spodziewa? – I-Pięć wyostrzył sensory, kiedy tylko znaleźli się w budynku. Ściany holu rozjaśniały delikatne punkty świetlne, tworząc efekt skromnej elegancji. Jax nagle zdał sobie sprawę, jak niechlujnie wygląda. W takich butach, spodniach, bluzie i kamizelce nie rzucał się w oczy na niższych poziomach Coruscant, ale zdecydowanie nie pasował do eleganckich wnętrz apartamentowca. Wzruszył ramionami. Nie musiał się tu przed nikim ukrywać.

Był dziwnie rozdrażniony i zaniepokojony. Moc podpowiadała mu, że coś jest nie w porządku. Nie tak dawno w tym budynku coś się wydarzyło. Ale choć wizje Jedi bywały

czasem zaskakująco dokładne, to zdarzały się też sugestie wyjątkowo niejasne. Tym razem Moc poskąpiła mu szczegółów.

– Nie – odpowiedziała Dejah na pytanie androida. – Próbowałam się z nim skontaktować przez komunikator, ale nie odbierał.

– Nie wyglądasz na zmartwioną. – Jax przyjrzał się jej uważnie.

Uśmiechnęła się do niego blado, gdy kontynuowali wędrówkę w stronę apartamentu.

– Z Vesem czasami trudno się porozumieć – wyjaśniła. – Kiedy nie można się z nim skontaktować, zwykle oznacza to, że tworzy. Kiedy jest zdenerwowany, najchętniej bez opamiętania rzuca się w wir pracy. To jego sposób na radzenie sobie ze stresem. Czasem właśnie wtedy powstają jego najlepsze dzieła.

Dotarli do drzwi na końcu korytarza i Dejah przyłożyła dłoń do panelu identyfikacyjnego.

– Znajdziemy go w studiu, na tyłach...

Nie dokończyła zdania. Zajrzała do środka i krzyknęła przenikliwym, wibrującym głosem.

Pomieszczenie utrzymano w jasnych kolorach: kremowym, perłowym i kości słoniowej, meble były białe, i pewnie dlatego krwawa kałuża wokół ciała Vesa Voletta wyglądała jeszcze bardziej szokująco.

Pol Haus, prefekt policji sektora, był Zabrakiem: przysadzistym humanoidem o krótkich kostnych wypustkach, wyrastających niesymetrycznie z nagiej czaszki. Cały emanował brakiem dyscypliny, od stóp do rogów. Dzięki wysokiemu stanowisku mógł odpuścić sobie noszenie munduru. Jax pomyślał, że jego strój cywilny sprawia wrażenie uszytego przez sparaliżowanego Duga. Prefekt przechadzał się niedbale z rękami w kieszeniach wysłużonego prochowca. Reszta kieszeni wydawała się zdolna pomieścić wszystko, co mogło być potrzebne podczas zbierania dowodów. Pavan ze zdziwieniem zauważył, że skóry Zabracka nie pokrywały rytualne tatuaże, a cera miała niezdrowy odcień, jakby z braku kontaktu ze światłem naturalnym. Obserwował, jak funkcjonariusz krząta się na miejscu zbrodni. Nie zwiódł go pozorny chaos jego działań. Nikt leniwy czy niedbały nie awansował tak wysoko w policji planetarnej. A że Haus nie przywiązywał wagi do swojego wyglądu... cóż, pewnie po prostu nie musiał. Pavan zmarszczył czoło. To wszystko nie wróżyło dobrze, zwłaszcza delegowanie przez dowództwo kogoś z samej góry do prowadzenia dochodzenia. Prefekci nie porzucali ot, tak swoich posterunków żeby osobiście badać sprawy zwykłych zabójstw... Taka brudna robota była zwykle zleczana podwładnym.

Jedi i jego towarzysze czekali w holu. Na miejscu zbrodni kłębił się tłum robotów kryminalistycznych, małych i dużych, rejestrujących i katalogujących wszystko w zasięgu wzroku. Jax wiedział co nieco na temat procedury śledczej; wszystko, z czym mógł mieć kontakt morderca zostanie zeskanowane i przeanalizowane aż do poziomu molekularnego. Roboty zgromadzą wszelkie możliwe dowody, począwszy od tych bardziej oczywistych, takich jak odciski palców, włosy czy sierść, fragmenty naskórka i tak dalej, aż po nietypowe

poszlaki w rodzaju śladów termalnych czy pozostałości wydychanych gazów. Zaskakujące, jak wiele można powiedzieć na temat danej istoty, znając wartość procentową wydychanego przez nią dwutlenku węgla... Tylko bardzo ostrożny przestępca nie pozostawiał po sobie śladów.

Jax obserwował, jak roboty kryminalistyczne wypełniają swoje obowiązki i podziwiał ich systematyczność. Mniejsze jednostki unosiły się na repulsorach kilka centymetrów nad dywanem, żeby nie zdeptać śladów. Pavan był zdumiony, a nawet lekko przerażony tempem i skrupulatnością ich pracy. Prezentowały profesjonalizm i ostatnią rzeczą, jakiej pragnął Jax, było stanie się obiektem ich bezlitosnej dociekliwości.

Prefekt zakończył pobieżną inspekcję pokoju i wyszedł, aby przesłuchać czekających na zewnątrz. Jax wyczuwał niezadowolenie Zabranka. Źródło bioświatła w suficie holu było na granicy wyczerpania i oblewało wszystko jaskrawym blaskiem niczym gwiazda w ostatnich chwilach przed agonią. W tym świetle otoczenie, zwykle skąpane w łagodnej, rozproszonej poświacie, pełne było ostrych cieni. Nadawało to wnętrzu obcego, nieprzyjemnego charakteru. Nawet piękna Dejah wyglądała ponuro. Haus odkaslnął lekko.

– Czy którekolwiek z was dotykało czegoś poza panelem wejściowym?

– Nie – odpowiedział Jax w imieniu ich trójki.

Prefekt nie wyglądał na przekonanego.

– Nawet ciała? Nie sprawdziliście, czy żyje? – Spojrzał na Dejah, która otulona pledem kuliła się na fotelu repulsorowym. – Denat był twoim partnerem. Nie zadałaś sobie trudu, żeby sprawdzić jego funkcje życiowe?

Jax poczuł ukłucie gniewu. Praca prefekta polegała na zadawaniu pytań, ale na to ostatnie właśnie przed chwilą odpowiedział. Kusiło go, żeby zapytać, czy wyraził się niejasno, ale zrezygnował. Poddawanie się emocjom zwykle nie przynosiło nic dobrego, szczególnie jeśli w grę wchodziło morderstwo. Odpowiedział za Dejah, starając się, by zabrzmiało to naturalnie:

– Nie było takiej potrzeby, panie prefekcie. Widzieliśmy, że jest martwy.

– Patrząc na niego z drugiego końca pokoju? – zadrwił Haus. Na jego twarzy malowała się obojętność.

– Wyczułam to... – wymamrotała Dejah. – Miał na sobie piętno śmierci.

Tym razem prefekt nie zakwestionował odpowiedzi. Partnerka artysty, jako Zeltronka, w naturalny sposób wyczuwała feromony adrenaliny i strachu, podobnie jak brak sygnałów życia. Również Jax natychmiast po otwarciu drzwi do apartamentu wiedział dzięki Mocy, że artysta jest martwy. Ujawnianie tej ostatniej informacji Hausowi nie było jednak dobrym pomysłem.

– Sądząc po wielkości plamy krwi na dywanie, proporcjach ciała denata oraz głębokości rany klutej stanowiącej przyczynę zgonu, prawdopodobieństwo przeżycia było prawie zerowe – wtrącił się I-Pięć.

Haus obrzucił androida krytycznym spojrzeniem.

– Proszę, proszę, co za protokolarny mądrala! Wygląda na to, że sporo wiesz na temat morderstw – zagadnął.

I-Pieć nie wyglądał na speszzonego.

– Podczas Wojen Klonów przebywałem w jednostce medycznej Rimsoo w planetarnej strefie wojennej. Moje doświadczenie, jeśli chodzi o obrażenia organizmów żywych, jest niestety nieco głębsze, niżbym sobie tego życzył. Biorąc pod uwagę rozmiar plamy krwi, a także szacunkową chłonność dywanu, można w prosty sposób obliczyć ilość płynu utraconego przez denata. Przeciętna dorosła istota człekokształtna ma około czterech przecinek dziewięć litra krwi, z czego dwa przecinek siedem stanowi osocze. Utrata krwi czwartej klasy, to jest ponad czterdziestu procent, oznacza, że osobnik ma bardzo niewielkie szanse na przeżycie powyżej kilku minut. Jak wynika z mojej oceny, w podłoże wsiąkło około trzech litrów płynu – wyjaśnił. – Nawet jeśli denat ostatnie kilka miesięcy spędził na dużej wysokości, co zwiększyłoby gęstość krwi, liczba pozostałych czerwonych krwinek nie wystarczyłaby do przeżycia. To wszystko można bez trudu stwierdzić z drugiego końca pokoju. – I-Pieć obojętnie przedstawiał fakty, ale Jax słyszał w jego głosie sarkazm. Stłumił cisnący mu się na usta uśmiech.

Prefekt przeniósł spojrzenie z androida na Jaksę.

– Ty programowałeś tego wyszczekanego blaszaka?

Jax pokręcił głową.

– Zawsze taki był – odparł.

Haus prychnął pogardliwie.

– Nie można by go puknąć w ten blaszany łeb i wtłoczyć w jego zwoje nieco więcej kultury? Nie każdy jest tak tolerancyjny, jak ja. – Odwrócił się do przygnębionej Dejah. – Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę: zmarły to Ves Volette, caamasjański rzeźbiarz światła i pani partner. W trosce o wasze bezpieczeństwo wynajęła pani tego gościa – wskazał Jaksę – do ochrony.

Słowa „tego gościa” zabrzmiały dla Jaksę zupełnie jak „tego amatora”. W milczeniu policzył do dziesięciu – najpierw w basicu, a potem w ugnauhckim. Zaskakujące, w jak dziwnych sytuacjach przydawała się wiedza wyniesiona ze Świątyni.

Dejah potwierdziła kiwnięciem głowy słowa prefekta. Zanim jeszcze zjawiły się łapsy, Jax przestrzegł ją przed wspomnianiem choćby słowem o planach opuszczenia planety.

Haus spojrzał lekceważąco na Jaksę.

– Zajmujesz się świadczeniem usług ochroniarskich?

Jaskrawe światło w holu zamigotało upiornie, niemal ich oślepiło. Punkt świetlny oddawał resztki mocy tuż przed przepaleniem. Wszystko wokół oblewał niesamowity, widmowy blask.

– Zgadza się – odparł Jax. – My... to znaczy, ja działałam zgodnie z prawem. To całkiem

nowa profesja: prywatny poszukiwacz. Nie czerpię z tego korzyści finansowych.

– Wygląda na to, że mówisz prawdę. – Zabrak pokiwał głową. – Mój dokbot twierdzi, że w chwili waszego przybycia ofiara była martwa od jakichś dwóch godzin i piętnastu minut. Musicie wyjaśnić, gdzie byliście w tym czasie.

– Oczywiście – przytaknął Jax zadowolony, że w końcu może zgodzić się z funkcjonariuszem.

Zabrak ponownie spojrzał na Dejah.

– Skoro obawiała się pani, że ktoś zagraża artyście, dlaczego nie zwróciliście się do właściwych organów? – spytał.

Zeltronka posłała prefektowi udręczone spojrzenie. Jej twarz w połowie skrywał głęboki cień.

– Planeta ojczyzna Vesa została niedawno zniszczona – wyjaśniła. – Chodzą słuchy, że właściwe organy maczały w tym palce. Z całym szacunkiem, panie prefekcie, mój towarzysz miał powody, aby nie ufać władzom Imperium, podobnie jak ja.

Haus się zamyślił.

– Wiem o katastrofie na Caamas. Nie ma chyba nikogo, kto by o tym nie słyszał. To były działania o charakterze militarnym. – I dodał ostrzejszym tonem: – Policja sektora nie miesza się w politykę.

– Czyżby? – Głos Dejah przepelniała gorycz. – Może ktoś powinien powtórzyć to vesariańskim studentom z Uniwersytetu Imperialnego.

Prefekt nie ukrywał zakłopotania.

– To był... szczególnie przypadek – mruknął. – Jak w każdej dużej organizacji, zdarzają się niestety wpadki. Centurion odpowiedzialny za wspomnianą jednostkę został aresztowany i oczekuje na proces.

– Jestem pewna, że dzięki temu rodzice pomordowanych studentów czują się o wiele lepiej – rzuciła gorzko Zeltronka.

Haus wzruszył ramionami.

– Zaraz ktoś przyjmie od was zeznania i zamontuje wam pierścienie lokalizacyjne. A tej elokwentnej puszce – wskazał na I-Pięć – wtyczkę lokalizacyjną. Nie planujcie lepiej w najbliższym czasie żadnych dalszych wycieczek. Znajdziemy was, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Odwrócił się na pięcie i odszedł. Jax uznał, że nie ma nic przeciwko temu. Nie miał ochoty na dalszą porcję niewygodnych pytań.

Chwilę później podszedł do nich robot policyjny.

– Tędy proszę, obywatele – zakomenderował.

Jax westchnął. Dzień zaczął się niezbyt szczęśliwie. Jeden z dwojga klientów zamordowany, zanim w ogóle zdążyli do niego dotrzeć. Cudownie. Teraz w dodatku byli zamieszani w dochodzenie: w najlepszym razie jako świadkowie, w najgorszym – jako podejrzani. Zaobrączkowano ich policyjnymi pierścieniami lokalizacyjnymi, których nie

mogli bezkarnie się pozbyć. Nie mieli teraz co liczyć na opuszczenie planety. Jaksowi nie podobała się zbyt perspektywa łapsów wężących wokół jego grupy, ale raczej nie miał w tej sprawie wiele do powiedzenia.

Najlepszym rozwiązaniem wydawało się wykrycie sprawcy i dostarczenie Hausowi dowodów, zanim policja znajdzie na nich jakiegoś haka. Jax wiedział, że do przebadania ich skanerem prawdy śledczy potrzebowali nakazu i to był jedyny powód, dla którego prefekt nie zarządził przesłuchania od razu. Pavan pamiętał, że łapsy nie miały prawa zadawać w trakcie badania pytań niezwiązanych bezpośrednio ze śledztwem, jednak takich zasad rzadko kiedy przestrzegano, a już szczególnie na niższych, zapuszczonych poziomach planety-miasta. Pavan nie miał wątpliwości, że gdyby tylko dać im szansę, władze sektora spróbowałyby kopać głębiej, niż było dozwolone. Badanie potwierdziłoby ich niewinność, ale prócz tego było mnóstwo innych rzeczy, które Jedi wołał zachować w tajemnicy. Nawet gdyby próbował pomóc sobie Mocą, zbyt intensywne skanowanie mogło uszkodzić pamięć, albo jeszcze gorzej. Dla mistrza Jedi oparcie się sondowaniu byłoby dziecinnie proste, ale Jax wiedział, że ze swoimi zdolnościami nie ma na co liczyć.

Podsumowując: im szybciej policja rozwiąże zagadkę śmierci Voletta i przestanie się nimi interesować, tym lepiej dla Jaksa i spółki. Jeśli Haus i jego ludzie nie znajdą szybko zabójcy, wtedy Pavan dla własnego dobra powinien sam się o to zatroszczyć. Inaczej on i Laranth będą mieli łapsy na karku do dnia Sądu Ostatecznego.

Aurra Sing nie miała żadnych problemów podczas kontroli służb celnych i imigracyjnych. Chip paszportowy dostarczony przez Vadera gwarantował jej pełny immunitet cywilny. Był to najwyższy przywilej zapewniający nietykalność osobie nienależącej do służb specjalnych czy arystokracji. Łowczyni nagród zjechała szybem repulsorowym trzy poziomy niżej, na parking, gdzie czekała już na nią powietrzna limuzyna z szoferem. Usiadła wygodnie, a pojazd poszybował prosto ku najwyższej warstwie ruchu, ekskluzywnemu pasmu zarezerwowanemu dla pojazdów rządowych.

Minęło trochę czasu, odkąd Sing ostatni raz była na Coruscant, teraz zwanym Imperialnym Centrum. Zdziwiła się, jak szybko i dokładnie usunięto zniszczenia po dywanowych nalotach Separatystów. Odbudowa szła niezwykle sprawnie. Z okien pojazdu widziała ogromnego robota budowlanego. Potężna maszyna systematycznie torowała sobie drogę pośród przeznaczonych do rozbiórki budynków. Aurra wiedziała, że gruz trafi do wnętrza robota, gdzie jego segregacją zajmą się miliardy nanodroidów pracujących głęboko w trzewiach metalowego giganta. Powstanie z tego nowy, elastyczny budulec, z którego zostaną wzniesione kolejne budowle – wszystko, co tylko narodzi się w umysłach architektów i urbanistów.

Był to imponujący przykład władzy i osiągnięć Imperium. Aurry nie skłaniało to jednak do szczególnych refleksji. W końcu nikt nie wyciągał jednej z najgroźniejszych i

najniebezpieczniejszych najemniczek w galaktyce z więzienia, żeby projektowała place zabaw. Obchodziło ją tylko jedno – obiekt jej łowów.

Odkąd sięgała pamięcią, tym, co trzymało ją przy życiu i dawało siłę każdego dnia, był dreszcz emocji towarzyszący polowaniu. Tylko polegając na swoich umiejętnościach i profesjonalizmie, czuła coś zbliżonego do satysfakcji. Zaufanie komuś innemu nie wchodziło w rachubę.

Jedno z jej najwcześniejszych wspomnień dotyczyło okresu, zanim jeszcze nauczyła się chodzić. Pamiętała, jak jej uzależniona od przyprawy matka niosła ją zaśmieconymi uliczkami Nar Shaddaa. Poczucie bezpieczeństwa w ramionach Aunuanny było jedną z niewielu chwil w jej długim życiu, gdy czuła coś na kształt spokoju. Może przypominało nawet uczucie, które inni nazywali szczęściem?

Dla Aurry Sing szczęście było taką samą abstrakcją jak teorie na temat powstania wszechświata.

Wtedy, dawno temu, wydawało jej się, że ten stan będzie trwał wiecznie... I trwał, dopóki gnana narkotykowym głodem Aunuanna nie zostawiła dziecka na brudnym chodniku, aby popędzić na spotkanie z dilerem. Porzucona kupka nieszczęścia, która w przyszłości miała stać się Aurą Sing, płakała przez długie godziny ze strachu i głodu. W końcu, wyczerpana, wczołgała się między stos śmierdzących szmat w rynsztoku. Leżała tam, skomląc cicho. Świtało już, gdy odurzona Aunuanna przetrzeźwiała na tyle, żeby przypomnieć sobie o porzuconym dziecku, a kolejna godzina minęła, nim znalazła swoją córkę.

Sing pokręciła głową niemal niedostrzegalnym ruchem. Kiedy była dzieckiem, bardzo często czuła się przerażona i samotna. Kiedy dorosła, wspomnienia z dzieciństwa sprawiały jej perwersyjną radość, były niczym podarunek od losu. Uzależniona Aunuanna nieświadomie nauczyła swoje dziecko podstawowej lekcji przetrwania: nie ufaj nikomu. Jeśli chcesz przeżyć, troszcz się tylko o siebie.

Aurra przyglądała się strumieniom ruchu powietrznego przepływającym nieustannie w dół. Pojazdy przecinały nawzajem swoje trasy, nurkowały i wznosiły się w skomplikowanym tańcu, który dzięki wszechobecnym węzłom kontrolnym i nawigacyjnym rzadko kiedy powodował przestrzenne korki. Nie miało dla niej znaczenia, kim jest jej cel. Mógł to być sakiyański wojownik, mający do spłacenia honorowy dług swojego klanu, Weequay na ścieżce wojennej czy żądny krwi Januul. Wszystko było lepsze niż pył zenium przeżerający jej płuca w kopalniach zapomnianej planetoidy. Wszystko. Oparła się o miękkie fotele luksusowej limuzyny i uśmiechnęła do siebie. Była zarówno dosłownie, jak i w przenośni parseki od miejsca skazania.

Spodziewała się, że limuzyna zabierze ją na spotkanie z Vaderem do samego serca Imperial City, była więc nieco zaskoczona, gdy pojazd nagle zboczył z trasy dla VIP-ów w miejscu, gdzie nie było żadnych budynków rządowych. Potężna maszyna zanurkowała gwałtownie w wąską przestrzeń między drapaczami chmur. Było wczesne popołudnie i słońce

wisiał w połowie drogi między zenitem a horyzontem, jednak w dole zastała ich noc. Aurra wiedziała, że panuje tu wieczny mrok.

Nieoznakowany pojazd zawisł pół metra nad wąską alejką. Po obu jej stronach wznosiły się masywne fundamenty monumentalnych wieżowców, wpuszczone głęboko w skorupę planety. Ich szczyty ginęły we mgle i ciemności, daleko w górze. Okolica była w niesamowity sposób znajoma; Aurra miała wrażenie, jak gdyby po latach powróciła na rodzinną Nar Shaddaa. W litych murach nie dostrzegła drzwi ani okien. Brakło śladów zamieszkania, a wokół nie było żadnego ruchu pojazdów ani pieszych.

Wysiadła z limuzyny, która niemal natychmiast odleciała, aby zawisnąć wysoko ponad jej głową. Rozejrzała się dokoła. Wrak ślizgacza spoczywał w miejscu, gdzie u podstawy wieżowca rozbił się o ogromny blok ferrobetonu. Z wyjątkiem ledwie słyszalnego pomruku repulsorów limuzyny panowała martwa cisza.

Wcale nie martwa, uświadomiła sobie. Dochodził tu dźwięk, jakiego nigdy wcześniej nie słyszała, a jednak wydawał się dziwnie znajomy. Regularny, miarowy szum stopniowo narastał.

Sięgnęła po miecz świetlny i odwróciła się błyskawicznie, budząc skwierczącą klingę do życia. Czerwony blask oświetlił wnękę u stóp pobliskiego budynku i wysoką sylwetkę w czarnym pancerzu, która się z niej wynurzyła. Zanim zdołała się zorientować, jakie ma zamiary, postać wyciągnęła w jej stronę dłoń w czarnej rękawicy i broń posłusznie do niej poszybowała. Nim znalazła się w ręku Vadera, ostrze zgasło.

Czarny Lord był tak szybki, że rozbroił ją, zanim jeszcze wyczuła zagrożenie. Sing musiała przyznać, że była to imponująca demonstracja biegłości we władaniu Mocą. Pomimo straty oręża nie była bezbronna. Vader pozbawił ją zaledwie drobnej części arsenału.

Przykucnęła w postawie bojowej, a jej dłonie powędrowały do bliźniaczych noży r'ruker'at u pasa. Blaster byłby bezużyteczny – wiedziała, że jej przeciwnik z łatwością odbije strzały mieczem świetlnym. Jej jedyną szansę stanowiło zaskoczenie, a to oznaczało, że musi dostać się na odległość pozwalającą na atak ostrzem. Wykute przez kowali Alwari w dżungli Ansion noże zaprojektowano w taki sposób, aby nie rzucały się w oczy. Wyglądały niczym część ozdoby pasa. Cztery pierścienie dopasowano do uchwytu długich palców. Sing nie wypuszczała ich z rąk przed zakończeniem roboty.

Spodziewała się ataku Czarnego Lorda, jednak Vader zachował się w sposób zupełnie nieoczekiwany. Po prostu stał w miejscu, ignorując ją, jak gdyby była powietrzem. Łowczyni przyglądała mu się w osłupieniu. Obejrzał uważnie jej miecz, a potem, trzymając broń na wyciągnięcie ręki, ponownie ją uruchomił. Karmazynowy promień śmiercionośnej energii rozświetlił mrok. Wydawało się, że nie zrobił nic szczególnego, jednak chwilę później Sing zauważyła, że snop energii staje się jaśniejszy. Klinga jarzyła się coraz mocniej, aż Aurra musiała unieść dłoń by osłonić oczy przed oślepiającym blaskiem. Całe otoczenie – ulica, budynki i rozbity ślizgacz – tonęło w upiornej poświacie. Tylko Vader pozostał widoczny.

Stał tam i trzymał jej broń jak gdyby od niechcenia. Wydawało się, że nie dostrzega otaczającej go straszliwej jasności. Głębokie buczenie miecza świetlnego zmieniało ton na coraz wyższy, aż przestało być w ogóle słyszalne. Wtedy, po oślepiającej eksplozji, snop światła zniknął.

Sing, oszołomiona, trwała w bezruchu. Jej wzrok dostosowywał się do zmian oświetlenia znacznie szybciej niż u innych istot, więc kilka szybkich mrugnięć wystarczyło, by powidok zniknął. Vader stał w miejscu, nadal trzymając w uniesionej dłoni jej bezużyteczną broń. Dostrzegła cienką smużkę dymu unoszącą się z emitera.

Przeciążył zasilający kryształ energetyczny za pośrednictwem Mocy! Sing знаła doskonale budowę miecza świetlnego – w końcu było to jej narzędzie pracy – ale nigdy nie widziała czegoś podobnego.

Czarny Lord otworzył dłoń. Bezużyteczny metalowy cylinder uderzył z głuchym grzechotem o chodnik.

– Jak już wspominałem, mam dla ciebie pracę – przemówił Vader. – Jeśli jeszcze raz podniesiesz na mnie rękę, nawet instynktownie, wylądujesz na najbliższym statku więziennym. Czy wyrażam się jasno?

Sing powoli schowała noże, założyła ręce na piersi i uniosła hardo głowę.

– Mów – rzuciła przez zęby.

Zaułek znany jako Dom Polody był jednym z niewielu miejsc na dolnych poziomach, które nadal zachowały resztki dawnej świetności. Budynki, w głównej mierze ozdobne bloki rezydencyjne, stały ciasno stłoczone obok siebie. Wąskie, kręte przejścia łączące niegdyś plac z resztą podziemia zostały zamurowane lub odcięte w inny sposób. Można było tu trafić wyłącznie krętą uliczką o malowniczej nazwie Zaułek Śnieżnej Ślepoty. Den zastanawiał się wielokrotnie, dlaczego ją tak nazwano. Śnieg na Coruscant od wielu tysiącleci można było spotkać wyłącznie na terenie parków rekreacyjnych, obsługiwanych przez system automatycznej regulacji pogody.

Tanie czynsze i pozory bezpieczeństwa sprawiły, że Dom Polody cieszył się reputacją czegoś w rodzaju kolonii artystów. To właśnie tutaj ponad dwadzieścia lat temu pisarz Kai Konnik napisał swoją obsypaną nagrodami powieść *Plaża gwiazd*. Podczas pobytu na Coruscant fondoriański kompozytor Metrisse stworzył tu słynne *Etiudy czasu i przestrzeni*, a znana ze swoich ekscesów ponętna twi'lekańska tancerka snu Nar Chan urządziła wystawne przyjęcia.

To były piękne dni, zamyślił się Den, próbując nadążyć za Laranth spieszącą ku wylotowi uliczki.

– Zwolnij! – stęknął. – Wyobraź sobie, że nie każdy ma tak groteskowo długie nogi jak ty.

– Więc wyciągaj swoje. – Twi'lekanka obejrzała się przez ramię, nie zwalniając kroku.

Klnąc pod nosem, Den zaczął truchtać.

– Muszę ci wyznać – wydyszał, gdy ją dogonił – że takie ciągłe udowadnianie wszystkim wokół, że jesteś twardą sztuką, staje się powoli męczące. Wiesz, że jesteś twardzielką, ja również to wiem. Każdy, kto zna cię dłużej niż pięć minut i nie uważa cię za twardzielkę, jest ślepy i głuchy. Czy nie mogłabyś więc wyświadczyć mi tej przysługi i na chwilę wyluzować?

Larant zadrżała i spojrzała na niego.

– Dlaczego zakładasz, że mam jakiś wybór? – zapytała.

Nie była to odpowiedź, jakiej spodziewał się Den. Nie żeby liczył na pozytywne rozpatrzenie jego prośby. Na razie również się zatrzymał, wdzięczny za chwilę wytchnienia. Popatrzył w górę, na posepną twarz twi'lekańskiej paladynki. Po jej bliźnie na policzku tańczyły różnobarwne widma kryptonu, argonu i neonu z pobliskiej platformy reklamowej. W jej oczach dostrzegł coś dziwnego. Zamiast zwykłej ponurej mieszanki determinacji i rezygnacji Den z zaskoczeniem zauważył przeblysł błękitu... a także bezgranicznego znużenia. Zniknął tak szybko, jak się pojawił. Ktoś inny mógłby uznać to za złudzenie, ale Den ufał swojemu wyostrzonemu przez lata instynktowi reportera. Moc nie była jedynym sposobem na odkrywanie niewidocznego. Wiedział, że paladynka właśnie odsłoniła przed nim swoje prawdziwe oblicze.

– Wybacz – wymamrotał zmieszany. – Nie chciałem...

– Zapomnij – przerwała mu, wzruszając ramionami. Podjęła marsz, stawiając pewnie nogę za nogą. Po chwili podążył za nią.

Z wysiłkiem próbując dotrzymać jej kroku, zaczął analizować w myślach wszystko, co wiedział na temat Larant Tarak. Nie było tego zbyt wiele. Szara Paladynka należała do odłamu Jedi, który odcinał się od głównego nurtu Zakonu. Nie słyszał o nich nic ponad to, że honorowali kodeks Jedi, ale ich organizacja miała charakter zdecydowanie bardziej militarystyczny. A skoro rycerze Jedi też nie byli raczej nucącymi mantry pacyfistami, Szarzy Paladyni wyglądali na takich, którzy potrafili spuścić porządny łomot. Den przekonał się o tym na własne oczy, bo miał okazję nieraz widzieć Larant w akcji. Twi'lekanka posługiwała się bliźniaczymi blasterami DL-44, z którymi rzadko się rozstawała. Jej sprawność i celność były niewiarygodne. Korzystając z Mocy, potrafiła odbijać śmiertelne promienie strzałami z własnej broni. Nie było to to samo, co odpieranie ataku mieczem świetlnym, ale i tak robiło wrażenie. To mniej więcej tyle, jeśli chodziło o jego wiedzę na temat Szarych Paladynów. Chociaż nie było tego wiele, i tak z pewnością znacznie więcej niż mógł powiedzieć o samej Larant – i to pomimo uczciwych starań i prób, podczas których korzystał ze swoich umiejętności reporterskich. Informacje na temat Twi'lekanki jakby nie istniały; jego poszukiwania natrafiły na nieprzenikniony mur tajemnicy. Den wiedział, że ona i Jax spotkali się podczas masakry znanej jako Noc Płomieni – rzezi, w której wymordowano wszystkie istoty wrażliwe na Moc. Imperialna kampania miała na celu pozbycie się potencjalnych zagrożeń ze strony Jedi oraz wywabienie z ukrycia pozostałych oponentów.

Było to jedno z pierwszych działań całej serii operacji podjętych przez nowo powołane Inkwizytorium. Akcja zakończyła się wielkim sukcesem, zapewniając uczestnikom uznanie samego Palpatine'a.

Jaksowi i Laranth cudem udało się umknąć z zasadzki, chociaż Laranth nie wyszła z niej bez szwanku. Den nie wiedział, czy paladynka była zgorzkniała z natury, czy też ponure usposobienie jakoś wiązało się z piętnem wypalonym tamtej nocy strzałem z blastera, który skrócił jej lekku i przysmażył policzek. Tak naprawdę nie miało to znaczenia. Kimkolwiek Laranth Tarak była wcześniej, ten ktoś spłonął bezpowrotnie w żarze Nocy Płomieni.

Inkwizytorzy, owi „słudzy prawdy”, jak sami się określali, przesiąknięci do szpiku Ciemną Stroną, nadal krążyli po różnych sektorach Centrum Imperialnego, chociaż ostatnio było ich jakby mniej. Większość z nich rozesłano na terytoria Zewnętrznych Rubieży i do innych odległych zakątków galaktyki, gdzie tropili użytkowników Mocy. Ci, którzy pozostali na miejscu, nadal jednak stanowili zagrożenie. Den słyszał, że niektórzy z nich potrafili odnaleźć osobnika wrażliwego na Moc – czy to adepta, czy też mistrza – wśród milionów innych istot. Szanse odkrycia kogoś takiego na Coruscant były bardzo małe, jednak Sullustanin pocił się za każdym razem, gdy Jax czy Laranth używali Mocy.

Twi'lekanka nigdy nie była dla niego niemiła. A choć niejedną raz ocaliła mu życie, Den nadal czasami czuł się w jej towarzystwie niezręcznie. Była tak ponura i mroczna... Nie mógł sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widział ją uśmiechniętą.

Może to niezależne od niej, pomyślał. Zapewne jej mimikę ograniczała ta paskudna blizna...

Tak czy inaczej, to nie był odpowiedni czas do dywagacji na temat przeszłości Laranth. Jax powierzył im misję: mieli sprawdzić dostępność tras podziemnej kolei i wyznaczyć najszybszą i najbezpieczniejszą drogę zabrania Caamasjanina i jego przyjaciółki z planety. Z uwagi na bezpieczeństwo musieli tego dokonać osobiście, nie drogą elektroniczną, ponieważ każdy przekaz niósł ze sobą ryzyko przechwycenia lub wytopienia.

W ich sektorze działało wielu agentów Whiplasha. Każdy z nich odpowiadał za swoją część trasy i nie znał całej reszty. Udzielano im minimalną ilość niezbędnych informacji, a kolejność nawiązywania kontaktów była przypadkowa.

– Na kogo dziś kolej? – zapytał Laranth.

Twi'lekanka zawahała się, zanim udzieliła odpowiedzi.

– Cefalon – powiedziała krótko.

Den klepnął się dłonią w czoło.

– Na dziewczyną ciotkę Słodkiej Sookie! – zajęczał. – Czy musimy mieć znów do czynienia z tym... czymś? On... to... oni... nawet nie wiem, jak to nazwać, w każdym razie przyprawia mnie o dreszcze.

– Współczuję – odparła sucho Laranth. – Ale to właśnie z nim się spotkamy. Chodź, im szybciej będziemy to mieli za sobą, tym lepiej. – Przyspieszyła kroku. Szli teraz ciemną

uliczką, która w miarę upływu godzin robiła się coraz bardziej zatłoczona.

Den jęknął załóżnie i ruszył za nią.

– Czy to coś zmieni, jeśli powiem, że mam złe przeczucia? – zapytał.

– Potraktuj to jak niestrawność – odparła szorstko. – I przejdź nad tym do porządku dziennego.

ROZDZIAŁ 8

Typy organizmów inteligentnych w galaktyce można było podzielić na dwie główne grupy: strunowce i zwojowce. Dzięki panspermii i konwergencji ewolucja nadała znakomitej większości istot rozumnych pierwszą z form. Charakterystyczne było dla nich posiadanie chrzęstnego lub kostnego szkieletu, na szczycie którego w odpowiednich warunkach mogła wytworzyć się tkanka nerwowa. Taki zbitek komórek funkcjonował jako samoświadomy mózg. Bywały oczywiście wyjątki. Na przykład u Huttów, olbrzymich bezkręgowców, zdecentralizowane mózgi składały się z miliardów powiązanych ze sobą ogniw subneuronowych, tworzących jednocześnie ciała tych wielkich mięczaków. Mimo to można było przyjąć, że inteligencja wyewoluowała zasadniczo poprzez wykształcenie strun grzbietowych i uwieńczenie ich szarą materią. To oczywiście wiązało się z przydziałem jednej świadomości na jedno ciało, co według Dena było całkiem rozsądnym rozwiązaniem.

Ze zwojowcami sprawy miały się nieco inaczej. Na ogół zakładano, że tę grupę od innych odróżniało wspólne odczuwanie i myślenie umysłem zbiorowym – wieloma mózgami, które były ze sobą w jakiś sposób sprzęgnięte. Dobrym na to przykładem były baforowce z Ithora czy bank kalamariańskiej wiedzy. Den również tak sądził, dopóki z błędu nie wyprowadził go I-Pięć.

– To, o czym mówisz, to inteligencja symbiotyczna. Zbiorowa świadomość. Inteligencja zwojowa to zupełnie inna sprawa! W zasadzie coś odwrotnego. Umysł cząstkowy – uświadomił go. – Spróbuj wyobrazić sobie, że twoje kończyny same myślą, jak głosi przysłowie.

Den darował sobie po pierwszej próbie.

– To nie ma sensu! – zaprotestował. – A nawet gorzej. To ma antysens!

I-Pięć wydal z siebie mechaniczny odpowiednik westchnienia. A chociaż nie oddychał, wyszło mu to całkiem niezłe.

– Musisz zatem wierzyć mi na słowo – stwierdził.

– Nie mam chyba innego wyjścia – prychnął reporter. – A więc mówisz, że ci... przypomnij mi, jak oni się nazywają?

– Nie nazywają. Ludzie i inne rasy ochrzcili ich Cefalonami, od wyrażenia oznaczającego w starożytnym basicu głowę. Oni sami nie widzą potrzeby używania imion, ponieważ ich

świadomość funkcjonuje czterowymiarowo – tłumaczył mu przyjaciel.

– Brzmi jak wielka kosmiczna bzdura – podsumował Den. – Ale poza tym...

Android wiedział, o co chce zapytać jego rozmówca.

– „Widzą” czas w taki sposób, w jaki my postrzegamy przestrzeń – objaśnił.

– Eee... – Sullustanin nie wydawał się przekonany.

I-Pięć wykazywał nieskończoną cierpliwość rodzica próbującego wytłumaczyć dziecku trudne pojęcie.

– Teoretycznie, w przeciwieństwie do większości istot rozumnych, nie są ograniczeni do linearnego i jednokierunkowego odbioru czasu. Rejestrują bieżące wydarzenia w taki sam sposób, w jaki ty odbierasz punkty położenia przedmiotów w odniesieniu do miejsca, w którym się znajdujesz. Widzisz ten ślizgacz za tobą? – zapytał.

Den obejrzał się za siebie.

– Tak.

– To przeszłość – wyjaśnił I-Pięć.

– Dlaczego? – Sullustanin zmarszczył czoło.

– Bo jest za tobą. Widzisz ten śmietnik przez tobą? To przyszłość.

– Może dla ciebie – obruszył się reporter. – Ja staram się myśleć optymistyczniej.

– Jakie szczęście, że moja metalowa powłoka jest taka solidna – rzucił z sarkazmem android. – Inaczej pękłbym ze śmiechu. – Chwycił przyjaciela za ramiona i odwrócił go tyłem do przodu. – Wykaż odrobinę dobrej woli – poprosił ze zniecierpliwieniem. Wskazał na ślizgacz. – Teraz to przyszłość, a śmietnik jest przeszłością. Rozumiesz? Postrzegają czas i przestrzeń jako czterowymiarową hiperwielokrotność. To proste, naprawdę – zapewnił go.

– Dlaczego mnie nienawidzisz? – zapytał rozżalony Den.

Sullustanin naprawdę starał się to wszystko pojąć, ale teoria była dla niego zbyt skomplikowana. Uważał Cefalonów za najbardziej obcą z obcych ras, jakie kiedykolwiek spotkał, a to już o czymś świadczyło. Na samym Drongarze w ciągu tygodnia oglądał więcej form życia – i to zarówno z zewnątrz, jak i od środka – niż większość mieszkańców galaktyki przez rok. Było jednak coś, co łączyło przyjaciół Sullustanina z tą przedziwną istotą: chęć niesienia pomocy innym. W praktyce oznaczało to, że co jakiś czas trzeba było mieć z nim do czynienia. Ale nikt nie twierdził, że Denowi musi się to podobać.

Jakie to żalosne, pomyślał Haninum Tyk Rhinann. Skończyć tak marnie... Uzależnienie od jego wybawiciela, Jaksa Pavana, było już samo w sobie wystarczającym upokorzeniem, a co dopiero świadomość, że mu zazdrości. Jego *bauth*, jak Elominowie określali połączenie pewności siebie, niezachwianej równowagi, zuchwałości i fantazji, niegdyś chroniące jego ducha niczym twardy pancerz, legło w gruzach. Nie miał przyszłości, celu, gwiazdy przewodniej. Był na wygnaniu. Co gorsza, z własnego wyboru.

Nie zawsze tak było. Jeszcze nie tak dawno temu Rhinann był naprawdę potężny. Jednym

słowem mógł otwierać drzwi albo zamykać je przed wrogami swego pana. Być może raczej mieli ci, którzy zarzucali mu, że tak naprawdę wcale nie miał władzy, świecił tylko blaskiem cudzej chwały, niczym planeta odbijająca światło gwiazdy. Może i tak było... wiedział jednak, że istniały światy lśniące mętną poświatą czerwonych karłów i inne, odbijające oślepiający blask błękitnych olbrzymów. A poza samym Palpatine'em żadna z gwiazd na firmamencie Imperium nie płonęła jaśniej od Dartha Vadera.

Na początku władza uderzyła mu do głowy. I nie bez powodu: Haninum Tyk Rhinann był osobistym asystentem Vadera, jego sługą i doradcą. Bardzo trudno mu było pogodzić się z utratą uprzywilejowanego stanowiska. Ktoś mógłby zapytać: dlaczego skazał się na wygnanie z własnej woli?

Na pozór decyzja była w pełni umotywowana – chciał przetrwać. Jego panu w końcu udało się dorwać tego zatraconego Jedi, Pavana. Niestety, traf chciał, że na miejscu ich konfrontacji, w wyludnionej dzielnicy zamieszkannej przez obłąkane roboty, znajdował się podziemny reaktor. Przeciężenie spowodowane przez miecz świetlny Jaksy groziło nieuchronną eksplozją urządzenia, a łopatki stabilizatorów imperialnego promu klasy Lambda jego pana zostały unieruchomione przez bicz świetlny Jedi. Elomin posłuchał wtedy własnego instynktu, być może jedyny raz w całym swoim życiu: uciekł z zagrożonego statku, a tym samym opuścił swego pracodawcę. Nie pozostało mu więc nic innego, jak tylko zdać się na łaskę Pavana i jego przyjaciół.

Taki brak lojalności wobec Imperium nie mógł ujść płazem, nawet jeśli Rhinann nie miał w tamtej chwili wyboru.

Wszystko byłoby prostsze, gdyby Vader został rozpylony na atomy wraz z resztą załogi promu, jednak Rhinann widział na nagraniu z czujników „Długodystansowca”, że w ostatniej chwili z promu wystrzelono kapsułę ratunkową. Nie potrzebował wyliczeń I-Pięć, który dawał osobie lecącej w środku jeden przecinek osiem procent szansy na ucieczkę przed eksplozją i znalezienie schronienia z dala od miejsca wybuchu. Prawdopodobieństwo przeżycia było nieskończenie większe, jeżeli pasażer kapsuły był mistrzem we władaniu Mocą.

A Rhinann wiedział, że właśnie tak było – w końcu mieli do czynienia z samym Darthem Vaderem, którego uważano za niezniszczalnego. Elomin nie miał wątpliwości co do potęgi Czarnego Lorda – i nie tylko on. Vader był niezwyciężony, ponieważ poza wyjątkową siłą i refleksem przewyższał wszystkich we władaniu tym tajemniczym i wspaniałym zjawiskiem, jakim była Moc.

Moc fascynowała Rhinanna. Chciwie pochłaniał każdy strzęp informacji na jej temat, jeśli mógł go znaleźć – co nie było proste. Palpatine zakazał publikacji nowych danych i nakazał usunąć wszelkie istniejące źródła. Po latach ostrożnych badań Elomin nadal niewiele wiedział o istocie tego przedziwnego fenomenu. Większość uczonych negowała jego istnienie – twierdzili, że to wymysł i relikwiny prymitywnych wierzeń, na szczęście wypieranych w tych

oświeconych czasach przez potęgę nauki. Oczywiście, nikt z nich nie czuł nigdy niewidzialnej pętli zaciskającej się na szyi, gdy Vader zamykał swoją pięść. Rhinann zaś czuł i wiedział, że Moc nie była mitem.

Ze starożytnych przekazów, a także nieco nowszych opracowań Elomin dowiedział się, że Moc stanowi formę czystej energii. Można ją kontrolować i manipulować nią siłą woli. Istniały dwie teorie tłumaczące zjawisko wrażliwości na Moc, które – zdaniem Rhinanna – nie musiały się wzajemnie wykluczać. Jedna z nich mówiła, że dostęp do Mocy jest warunkowany istnieniem endosymbiotycznych organelli komórkowych zwanych midichlorianami, które zwiększały i pogłębiały percepcję. Zgodnie z drugą teorią Moc sama w jakiś sposób wytwarzała midichloriany, aby ułatwić połączenie z konkretnym organizmem, a dzięki temu w różnym stopniu udostępniała podatność na swoje działanie różnym gatunkom i osobnikom. Istniały również dowody na to, że zdolność do odczuwania Mocy i władania nią była dziedziczna, choć powszechnie twierdzono, że do zapewnienia takiej wrażliwości potrzebna była spora pula odpowiednich genów. Nick Rostu, żołnierz z Haruun Kal, podobnie jak inni Korunowie był prawdopodobnie potomkiem Jedi, którzy rozbili się na planecie wieki temu. Jego więź z Mocą była mimo to słaba. Wyglądało na to, że ilość midichlorianów – a co za tym idzie, podatność na Moc – nie zwiększała się wskutek krzyżowania osobników na nią wrażliwych.

Ostatnio Rhinann, zachowując oczywiście najwyższą ostrożność, poddał się badaniu na obecność midichlorianów. Po wielu trudach uzyskał wynik, mozolnie przemycony i przefiltrowany przez masę serwerów i zapór systemowych hypersieci. Tak jak się spodziewał, odczyty były żałośnie niskie: średnio zaledwie dwa tysiące na komórkę. Nikt z tak niskim rezultatem nie poczułby nawet uszczypnięcia Mocy. Chociaż wynik tylko potwierdził jego przypuszczenia, czuł się rozczarowany.

Elomin westchnął, aż jego kły nosowe zawibrowały. Niechętnie doszedł do wniosku, że już za dużo czasu strawił na tę bezcelową pogoń za nieosiągalnym. Lepiej skupić się na czymś bardziej przyziemnym, ale pożytecznym. Zabierze się teraz do poszukiwania części do budowy miecza świetlnego. Uznał, że próby zostania kimś, kim stać się nie miał szans, były nedorzeczne i poniżej resztek jego godności.

Wyciągnął rękę w stronę holoprojektora, chcąc zmienić źródło wyszukiwania danych, kiedy zauważył mrugający punkcik; wskazywał informacje, które mogły odpowiadać określonym przez niego kryteriom. Były datowane na niemal dwadzieścia standardowych lat wstecz i wyglądały na komunikat nadany z jednego z peryferyjnych frontów planetarnych w okresie Wojen Klonów. Dziwne...

Zaintrygowany Elomin postanowił przyjrzeć się tej informacji. Zaczął kopać głębiej i okazało się, że jego znalezisko stanowiło zaledwie resztki wielokrotnie kopiowanego materiału, cyfrowe echo oryginału, który ktoś starał się skrzętnie usunąć z baz danych. Po dwudziestu latach informacje mogły być nie do odzyskania, jednak Rhinann był zdolnym

hakerem. Z nieskończoną cierpliwością i zręcznością udało mu się wycisnąć z sieci wszystko, co się dało.

Ciekawe...

Wszystko wskazywało na to, że trafił na raport z frontu na Drongarze. Był on adresowany do mistrzyni Luminary Unduli, a nadała go padawanka Barrissa Offee. Dotyczył adaptogenicznej rośliny zwanej botą. Offee spisywała, jak – nie wiadomo, przypadkowo czy świadomie – przyjęła dawkę destylatu z tej rośliny. Odkryła, że preparat znacznie zwiększył jej wrażliwość na Moc. Jedi informowała też, że prześle fiolkę wyciągu z boty do Świątyni, aby tam poddano ją dalszym badaniom. Rhinann nie dał rady odczytać fragmentu zapisu, w którym była mowa o sposobie dostarczenia próbki. Sprawozdanie kończyło się stwierdzeniem, że skutki działania rośliny są różne dla różnych ras. W związku z potencjalnymi rozbieżnościami, Offee nalega, aby...

Rhinanna ogarnęła frustracja. Mimo jego usilnych starań reszty wiadomości nie dało się odczytać.

Poczuł, jak z podekscytowania język mu się sierść na uszach. Nie mógł mieć pewności, ale kto wie... Może magiczny bilet do świata Mocy znalazł się właśnie w jego zasięgu?

Jasne, słyszał o Barrissie Offee i jednostce medycznej na Drongarze. Den Dhur i I-Pięć często wspominali pobyt w tej dżungli i swoich towarzyszy niedoli. Nie przypominał sobie, żeby mówili coś na temat tamtejszej flory, a tym bardziej destylatu z boty, ale teraz obiecał sobie, że zrobi wszystko, aby dowiedzieć się czegoś więcej.

Wiedział, że swoje poszukiwania musi utrzymać w najgłębszej tajemnicy, ponieważ Jedi zazdrośnie strzegli swoich sekretów. Jeśli odkrycie Offee było prawdziwe, a Pavan i Tarak wiedzieli o nim, wątpił, by chętnie podzielili się z nim tą wiedzą. Haninum Tyk Rhinann nie był głupi ani lekkomyślny. Wystarczający dowód na to stanowił fakt, że nadal żył, choć nie raz i nie dwa bywał w poważnych tarapatkach. Teraz zaś zamierzał zachować szczególną ostrożność.

Jeśli rewelacje na temat boty się potwierdzą... jeśli istnieje szansa na znalezienie destylatu i jeśli dzięki niemu stanie się silny Mocą... Cóż, wtedy ci, którzy odpowiadali za jego fatalne położenie, gorzko tego pożałują.

ROZDZIAŁ 9

Gdy Typho przyznał się niechętnie sam przed sobą, że jego poszukiwania w ruinach Świątyni Jedi nie mają sensu, nad większą częścią Imperialnego Centrum zapadła już noc. Przepastne magazyny biblioteki zostały ogołocone z większości archiwalnych zapisów – tak elektronicznych, jak i materialnych. Nieważne, jak sprytnym i doświadczonym był hakerem; informacji było zbyt mało, żeby mogły się do czegoś przydać. Skrzydło biblioteki stanowiło niegdyś kopalnię wiedzy na temat historii, kultury, sztuki i mnóstwa innych dziedzin, zebranej z tysięcy światów. Szczątki bogatych zbiorów po niezliczonych aktach wandalizmu i bezmyślnej dewastacji nie nadawały się do niczego. Całe bazy danych, wraz z licznymi kopiami, zostały uszkodzone lub wykasowane, i to chyba dla zwykłej satysfakcji niszczenia. Typho uświadomił sobie, że nie znajdzie tu nic, co mogłoby mu jakoś pomóc.

Stał w długim korytarzu, niegdyś wypełnionym różnego rodzaju nośnikami informacji: prętami i czipami pamięciowymi oraz aktywatorami holoprojeksi. Podobno Zakon znajdował się nawet w posiadaniu kilku starożytnych zapisów stworzonych metodą ręcznego nanoszenia symboli na wysuszoną pulpę drzewną. Typho trzymał w dłoni pręt pamięciowy. Jego treść została zaszyfrowana, tak aby każdy, kto spróbuje ją odczytać, został uraczony niezrozumiałym bełkotem.

Z bezsilną wściekłością cisnął nośnik na pokrytą mozaiką podłogę. Urządzenie roztrzaskało się z oślepiającym błyskiem i odgłosem tłuczonego szkła.

To nie miało sensu. Przetrzęsanie kilometrów kwadratowych budynków, ulic, magazynów i innych instytucji związanych w jakiś sposób z Zakonem zajmie mu resztę życia. Czy warto?

W myślach ujrzał nagle obraz Padme – pięknej, wrażliwej, mądrej, czulej...

Tak, odpowiedział sam sobie. Było warto. Szkolono go, aby poświęcił życie; z całą pewnością mógł poświęcić swój czas.

Wiedział już, czego musi dowiedzieć się w następnej kolejności: czy Anakin Skywalker, ostatnia osoba, która widziała Padme żywą, rzeczywiście zginął na Mustafar? Czy może w jakiś sposób udało mu się opuścić planetę?

Nie był pewien, gdzie powinien szukać odpowiedzi, jednak teraz wiedział przynajmniej, że nie ma sensu marnotrawić czasu w ruinach. Odwrócił się ku wyjściu i zamarł, bo do jego

uszu dobiegł jakiś dźwięk.

We względnie cywilizowanych okolicach Coruscant rzadko panowała cisza, nawet w miejscach tak opustoszałych jak to. Wokół nieustannie rozbrzmiewały monotonne odgłosy ruchu powietrznego, odległe wycie repulsorowych silników większych jednostek startujących z pobliskiego portu kosmicznego, a także ledwie słyszalne trzaski i jęki, gdy ogromne budynki niechętnie oddawały ciepło dnia. Były to dźwięki tak wszechobecne, że nowy przybysz szybko przestawał zwracać na nie uwagę. Stanowiły nieodłączną część planety-miasta.

Uwagę Typho zwróciło jednak coś nowego – cichy chrzęst stóp miażdżących szczątki pokrywające podłogę, odgłos, który natychmiast zaalarmował jego instynkt żołnierza. Zanim się spostrzegł, czał się już z blasterem w dłoni za najbliższym regałem.

Nie musiał długo czekać. Zza jednej z potężnych, strzaskanych kolumn wyłoniła się wysoka kobieta rasy człekokształtnej. Wyglądała niesamowicie. Jej biała niczym alabaster skóra lśniła chłodno w świetle gwiazd, sączącym się do wnętrza przez zawalony sufit. Była łysa, z wyjątkiem rudej grzywy zebranej na czubku głowy. Kombinezon opinający jej smukłe ciało miał odcień zbliżony do włosów. Typho dostrzegł końcówkę jakiegoś urządzenia, może anteny, sterczącą wysoko nad uchem kobiety. Nawet w półmroku widział, że była uzbrojona po zęby. Na plecach nosiła strzelbę, a nisko na biodrach miała przypięte kabury z blasterami. Typho najbardziej zaintrygował jednak przedmiot, który trzymała w prawej dłoni. O ile się nie mylił, była to rękojeść miecza świetlnego.

Po chwili rozpoznał dziwnego przybysza. Zamrugał, nie wierząc własnym oczom. Odgadł, kim była, gdy zdał sobie sprawę, że chyba tylko łowcy nagród pokazywali się publicznie tak dobrze uzbrojeni. Reputacja najniebezpieczniejszych i najbardziej skutecznych łowców wykraczała poza to zamknięte środowisko, a ich imiona powtarzano z lękiem na wielu światach. Niewielu zaś dorównywało renomą kobiecie, którą właśnie miał nieszczęście spotkać: tajemniczej Nar Shaddaance, Aurrze Sing.

Typho, jako zawodowy żołnierz, musiał umieć rozpoznać najniebezpieczniejszych przestępców, na wypadek, gdyby pewnego dnia przyszło mu stanąć z którymś twarzą w twarz. Nikt nie kwalifikował się do tej kategorii lepiej niż Sing. Urodzona w nieznanym okolicznościach w mrocznej miejskiej dżungli Księżyca Przemytników, została przygarnięta przez Jedi, która pragnęła wyszkolić ją we władaniu Mocą. Niestety, przed ukończeniem szkolenia podopieczna została porwana przez piratów; pod ich wpływem zbuntowała się przeciwko dobroczyńcom. Aurrze Sing była okryta złą sławą jak Imperium długie i szerokie. Chodziły słuchy, że miała wyrok śmierci w ponad tuzinie systemów. Słyszał również plotki, że w czasie Wojen Klonów pracowała dla samego hrabiego Dooku.

A teraz weszła w ruiny Świątyni Jedi podobnie jak on, szukając... właśnie, czego? Jeśli jej poszukiwania nie kolidowały z interesem Typho, nie zamierzał wchodzić jej w drogę. Nie przyleciał do Imperialnego Centrum służbowo, nie reprezentował sił zbrojnych. Miał do

załatwienia sprawy osobiste. Nedorzecznnością byłoby zakładać, że wyjęta spod prawa Sing miała coś wspólnego z jego misją. Uznał, że najlepiej zrobi, jeśli po prostu ulotni się po cichu, aby kontynuować swoje poszukiwania, i zostawi niebezpieczną łowczynię nagród samej sobie.

Był jednak mały problem. Całą podłogę wokół pokrywały szczątki sprzętu i urządzeń bibliotecznych. Nie było szans, aby zrobił choć krok bez hałasu. Typho był pewien, że najmniejszy nawet szmer ostrzeże Aurrę o jego obecności. I tak miał wyjątkowe szczęście, że usłyszał ją, zanim go zauważyła.

Znawali się na odludziu, a wokół panował mrok. Typho wątpił, żeby łowczyni miała czas i ochotę wysłuchiwać wyjaśnień dotyczących jego obecności w ruinach, choćby w największym skrócie. Znając jej reputację, podejrzewał, że najpierw będzie strzelać, a dopiero później zadawać pytania.

Kapitan nie uważał się za tchórza, ale w wojskowej hierarchii nikt nie zaszedłby daleko, gdyby był nieostrożny. Wdawanie się w potyczkę z łowczynią nagród byłoby niezbyt rozsądne – i mogło okazać się dla niego fatalne w skutkach. Typho rozejrzał się ostrożnie, cały czas starając się mieć Sing na oku. Zauważył kolejny pręt pamięciowy – leżał na półce naprzeciwko niego, na poziomie oczu. Poruszając się bezszelestnie, sięgnął po urządzenie. Chwycił je i przygotował się do ciśnięcia na podłogę, byle dalej od siebie. Liczył, że błysk i huk zapewnią mu nieco czasu na...

Znalazła się przy nim tak szybko, że nie dostrzegł żadnego ruchu. Jej miecz świetlny natychmiast obudził się do życia. Mózg kapitana niemal mechanicznie zarejestrował, że zapalone ostrze ma dokładnie ten sam kolor, co jej włosy i kombinezon. Miał niepowtarzalną okazję przyrzeć mu się dobrze, ponieważ rozżarzona klinga znalazła się tuż obok jego gardła. Łowczyni przyparła go plecami do regału.

Typho uświadomił sobie, że oto popełnił głupi i prawdopodobnie śmiertelny błąd: zapomniał, że Sing ma do dyspozycji Moc. Jej umiejętności w tej dziedzinie były surowe i niekontrolowane, ale najwidoczniej wystarczająco silne, aby uprzedzić ją o jego obecności.

– Kim jesteś? – wychrypiała głosem zimnym i twardym niczym alabaster, który przypominała jej skóra. Chwył na rękojeści miecza świetlnego, oddalonego zaledwie o centymetry od jego gardła, był niewiarygodnie pewny, ostrze nie drgnęło ani o włos. – A co ważniejsze – dodała – kto cię przysłał?

– Nikt mnie nie przysłał. – Typho próbował zachować spokój. Starł się mówić najłagodniejszym głosem. – Jestem kapitan Typho z Naboo, były członek Rady Ochrony Senatu. Przyszedłem tu w prywatnej sprawie. Nie reprezentuję nikogo oprócz siebie samego.

– Dlaczego ci nie wierzę? – zapytała z sarkazmem. Jej oczy w świetle szkarłatnej klingi lśniły krwawym blaskiem, jak gdyby spijały jej energię.

Typho zrozumiał, że jeżeli chce ocalić skórę, zostało mu tylko kilka chwil. W oczach Sing widział mieszaninę szaleństwa i żądzę krwi. Z całą pewnością łowczyni nagród nie była

osobą, którą dałoby się namówić na przyjacielską pogawędkę w ruinach ciemnego i wyludnionego gmachu w środku nocy. Zamiast marnować czas na zastanawianie się, czy nieznajomy w jakiś sposób jej zagraża, po prostu go zabije. O ile...

Typho w dłoni nadal trzymał bezużyteczny pręt pamięciowy. Bez zastanowienia, tak aby nie dać jej nawet cienia szansy na odczytanie swoich intencji, zamknął mocno oczy i zacisnął rękę w pięść. Zmiażdżone urządzenie wybuchło z porażającym blaskiem i głośnym hukiem.

Jego rękawica była na tyle gruba, że ochroniła dłoń przed żarem eksplozji. Podstęp odniósł pożądaną skuteczną: Sing zachwiała się z okrzykiem zaskoczenia, na krótką chwilę oślepiła. Typho działał szybko, wiedząc, że ma tylko jedną szansę. Błyskawiczny kopniak w nadgarstek wytrącił miecz świetlny z długich palców łowczyni, a ostrze automatycznie zgasło. Typho chwycił rękojeść w locie.

Podczas inspekcji na Coruscant miał okazję ćwiczyć walkę mieczem świetlnym pod okiem Qui-Gon Jinn i Mace'a Windu. Był z bronią Jedi oswojony o wiele bardziej niż przeciętny oficer z Naboo. Chociaż poszczególne miecze różniły się między sobą detalami i wyglądem, o którym decydował właściciel, niektóre cechy były niezmiennie. Jednym z takich elementów był włącznik, umieszczany najczęściej pod kciukiem prawej dłoni.

Typho wduśił przycisk i poczuł wibracje przeszywające jego ramię, gdy czerwone ostrze ponownie rozświetliło mrok. Głębokie buczenie zmieniło ton, kiedy poruszył ostrzem na próbę. Jeżeli Sing zdecyduje się użyć przeciwko niemu blastera, będzie po nim – nie miał dostępu do Mocy, która pozwoliłaby mu odbić strzał.

Zupełnie nie spodziewał się jednak tego, co zrobiła łowczyni: odpięła od pasa drugi miecz, który natychmiast włączyła. Tuż przed nim zaskwierczała klinga szmaragdowej energii.

– Wspaniale! – wykrzyknęła z zachwytem. Oblizwała wargi, a na jej twarzy pojawił się wyraz okrutnej uciechy. Typho nie miał już żadnych wątpliwości – ta kobieta z pewnością była obłąkana.

– Minęły całe wieki, od kiedy miałam okazję powalczyć z kimś na miecze! – Cofnęła się i przyjęła pozycję obronną. Jej białą skórę oblewała niesamowita zielonkawa poświata. – Widzę, że wiesz, jak włączyć broń. Mam nadzieję, że radzisz sobie z nią na tyle dobrze, by zapewnić mi nieco rozrywki. – Zanim dokończyła zdanie, rzuciła się ku niemu, unosząc klingę wysoko nad głowę.

Typho nie miał wyboru; musiał się cofnąć, młóćąc dziko mieczem w nadziei odparcia ataku. Kilka godzin ćwiczeń w żaden sposób nie mogło przygotować go do walki z kimś posługującym się biegle energetycznym ostrzem. Pojedynek na miecze świetlne różnił się pod wieloma względami od walki tradycyjną bronią, przede wszystkim dlatego, że cały ciężar miecza skupiał się w rękojeści. Broń należało mimo to trzymać oburącz z powodu efektu precesji żyroskopowej, który nadawał ostrzu pozorną masę.

Zdołał zablokować pierwsze dwa ciosy. Udało mu się to bardziej dzięki szczęściu i

zapałowi niż elementarnym umiejętnościom. Wiedział, że walka nie potrwa długo. Jego szanse były tym bardziej nikłe, że widział tylko na jedno oko. Nie pierwszy raz przeklinał wypadek przy programowaniu genetycznym, wskutek którego jego organizm odrzucał transplanty klonowane z własnych organów.

Chociaż Typho wkładał w walkę serce, Sing szybko i bez większego wysiłku zmusiła go do cofania się przez zasłaną szczątkami biblioteczną nawę. Chwilę później przyparła go do resztek podstawy kamiennej kolumny. Uśmiechając się bez cienia wesołości, uniosła ostrze.

– Działam z polecenia Lorda Vadera... liczyłam, że trafię tu na trop Jedi o imieniu Jax Pavan – oznajmiła. – Jeśli wiesz coś o miejscu jego pobytu, może pożyczysz jeszcze kilka sekund... Nie? Trudno. A więc...

Typho widział, że gotuje się do zadania ostatecznego ciosu. Jego jedyną szansą był atak z zaskoczenia. Rzucił się w jej stronę, uchylając przed zielonym ostrzem. Gwałtownym ruchem skierował własną klingę wysoko w górę, jak gdyby nadal nie potrafił poradzić sobie z punktem ciężkości broni. Poczul fałę gorącą na plecach, gdy jej miecz minął go o grubość wąsa nexu. Następny ruch jego przeciwniczki był dokładnie taki, jakiego się spodziewał – i na jaki liczył. Wybrała najłatwiejszy sposób na uniknięcie jego niezdarnego ataku. Zanurkowała, a Typho chybił – szkarłatne ostrze przeszło tuż ponad głową Sing. Chwilę później jej triumfalny uśmiech zmienił się w grymas bólu. Ciałem wstrząsnął pojedynczy spazm i Aurra runęła na zaśmieconą podłogę. Nie ruszała się, więc uznał, że jest albo martwa, albo nieprzytomna – nie zamierzał tego sprawdzać i nie obchodziło go to zbytnio. Rękojeść wysliznęła się z dłoni Sing, a ostrze zgasło. Kapitan zatoczył się, spoglądając na rozciągniętą na posadzce postać. W półmroku ledwie dostrzegał ciekłą smużkę dymu, unoszącą się z osmalonego przez jego ostrze kikuta anteny biokomputera. Szok biosprężenia zwrotnego dopełnił dzieła.

Przyjrzał się lepiej i zauważył, że z jej ust unoszą się niewielkie obłoczki pary – nie była więc martwa, a tylko nieprzytomna. Typho zdecydowanie nie miał ochoty przebywać w pobliżu, gdy łowczyni wróci do siebie. Jej wiotkim ciałem zaczynały już wstrząsać drgawki zwiastujące bliski powrót świadomości. Kapitanowi przeszło przez myśl, że mogła po prostu udawać nieprzytomną, żeby go zwabić bliżej i zaatakować...

Najrozsądniejszym wyjściem byłoby dokończenie dzieła i pozbawienie Aurry życia, ale nie potrafił się przemóc. Jego wuj, Panaka, sprawujący funkcję ochroniarza Padme w czasach, gdy była królową, nauczył go, że warto okazywać laskę, gdy tylko jest to możliwe. Uświadomił mu, jak łatwo stać się równie bezlitosnym jak przestępca, których ścigali. Typho nie mógł pozwolić sobie na niepotrzebne okrucieństwo. Chciał pomścić Padme, ale nie za cenę zbrukania jej pamięci. Chociaż Aurra Sing była do szpiku kości przesiąknięta złem, dobiecie nieprzytomnej kobiety nie wydawało się godne żołnierza. Uznał to za próbę honoru. Zjawił się tutaj, aby szukać sprawiedliwości. Nie zrobi nic, aby można było pokusić się o stwierdzenie, że bliżej mu było teraz do łowcy nagród niż do wzorowego żołnierza surowo

przestrzegającego wojskowego kodeksu Naboo. Sing szukała zarobku, on – zemsty. Nie jemu było oceniać, którym z nich powodowały bardziej honorowe pobudki. Szukała Jedi o imieniu Jax Pavan, nie Typho. Gdyby tak było, nie miał wątpliwości, żeby mu o tym powiedziała. Spotkali się przypadkiem, teraz zaś rozstaną się równie zwyczajnie i nie zobaczą zapewne nigdy więcej.

Kapitan Typho zostawił nieprzytomną Aurę Sing w gruzach Świątyni Jedi i znikł w ciemnościach nocy Coruscant, aby dowiedzieć się, czy Jedi Anakin Skywalker nadal żyje.

ROZDZIAŁ 10

– Sługa? Adiutant?

Uprzejma zwięzłość pytań Cefalona jak zwykle zaskoczyła Dena. Na ekranach monitora obok zbiornika, w którym pływały submózgi istoty, pojawiała się standaryzowane tłumaczenie na basic. Z wielkiego słoja dobiegało nieustanne ciche brzęczenie, jak gdyby zespół komputerów pracowicie analizował i wymieniał się danymi na temat różnych fragmentów rzeczywistości. W jakiś sposób te wyniki formowały się w spójne myśli – lub coś, co miało być spójnymi myślami Cefalona. Informacje były później przetwarzane przez centralny mózg, który umiał operować pojęciami abstrakcyjnymi. Den nie udawał, że rozumie, w jaki sposób to działa. Miał dość problemów z jednym umysłem, którym obdarzyła go natura. Na samą myśl o konieczności radzenia sobie z materiałem przekazywanym przez kilka półautonomicznych submózgów kręciło mu się w głowie.

Te wszystkie upiorne zawiłości funkcjonowania były jednak niczym w porównaniu z wyglądem Cefalona. Opasłe cielsko istoty, przyczepione do koralowej narośli na masywnej podstawie, pławiło się w żółtawej siarczynowej chmurze, zamknięte w ogromnym zbiorniku. Od świata oddzielała je wyłącznie gruba, przejrzysta ściana. Stwór rezydował w tanim lokum, położonym na jednym z niższych poziomów Coruscant. Den nie wiedział, czy miejsce pobytu tej przedziwnej formy życia było jej domem, biurem czy ambasadą. A może jeszcze czymś innym?

Widok ich informatora przyprawiał Sullustanina za każdym razem o dreszcz obrzydzenia. Skóra Cefalona była pokryta szaroburymi cętkami i przywodziła na myśl nieświeże mięso, zaś ciało przypominało kształtem sflaczałą kulę, obwieszoną chaotyczną płataniną macek, czulek, wąsów i szczypiec. Den nie dostrzegał nic, co przypominałoby choć w minimalnym stopniu organy zmysłów. Według I-Pięć, Cefalon postrzegał otoczenie matrycami elektrolokacyjnymi – czymkolwiek one były. Otwór gębowy stworzenia przesłaniała rogowa płytką, filtrująca pożywne mikroorganizmy z gęstej metanowej zawiesiny.

Organizm Cefalona stanowił z pewnością jeden z najdziwniejszych tworów w galaktyce. Na jego temat krążyło bardzo niewiele potwierdzonych informacji. Podobno imperialni naukowcy z pomocą wrażliwego na Moc Inkwizytora zdołali zidentyfikować dziesięć różnych stanów emocjonalnych stworzenia, z których tylko trzy nieznacznie

przypominały emocje odczuwane przez większość ras człekokształtnych. Mogło być ich oczywiście więcej, ale chodziły plotki, że podczas prób ogarnięcia swoim intelektem zmiennych stanów czterowymiarowej świadomości Cefalona Inkwizytor postradał zmysły.

Tym pozytywnym akcentem rozpocznijmy dzisiejsze negocjacje, pomyślał ponuro Den.

– My, eee... mamy dwie istoty, które zobowiązaliśmy się... eee, to znaczy, one muszą... – wydukał.

„Wywód był/jest/będzie niepotrzebny”. – Na monitorze pojawiły się słowa tłumaczenia.

To była kolejna irytująca sprawa związana z Cefalodem: postrzegając wydarzenia w czasie tak samo jak Den, widział przedmioty w trzech wymiarach, zawsze wiedział z wyprzedzeniem, co ktoś powie. Istota nie była wszechwiedząca – nie mogła objąć w czwartym wymiarze każdego zdarzenia, podobnie, jak nikt nie potrafił zobaczyć wszystkiego z jednego punktu. Wyglądało jednak na to, że wie wystarczająco dużo na temat bliskiej przyszłości, żeby móc przewidywać ją z niepokojącą dokładnością.

„Istoty rozumne nie powinny być/nie powinny się jednoczyć. Obecny zbiór punktów zależny od mało realistycznych modalności. Dotychczasowy zbiór punktów w stanie niezdefiniowanym. Matryce prawdopodobieństwa nieokreślone. Ja/my postrzegamy nieciągłość. Sugerowany stan ostrożności/pasywności/obserwacji” – ogłosił Cefalon.

To był właśnie jeden z największych problemów podczas prób komunikacji ze stworzeniem postrzegającym nielinearnie, przynajmniej dla Dena. Przekład próbował jak najwierniej oddać sens bezładnej wypowiedzi Cefalona i pozorny brak konsekwencji w chaosie czasów i osób. Kłopotliwe było również dopasowanie jego statycznej percepcji strumienia czasu do pojęć przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. W efekcie tłumaczenie często wydawało się bełkotem. Sullustanin miał chwilami wrażenie, że może zdołałby je zrozumieć, gdyby tylko jego mózg wyposażono w dodatkowy płat lub dwa. Zazwyczaj jednak pojęcie sensu cefalońskich porad wydawało mu się równie nieosiągalne, jak luksusowy skyhook.

Tak było i tym razem. Zagubiony w labiryncie znaczeń Den spojrzał bezsilnie na Laranth.

– Masz jakiś pomysł, co znaczy to czterowymiarowe poodoo? – zapytał.

Two'lekanka pokręciła głową.

– Mam wrażenie, że jest niezdecydowany – stwierdziła. – Rozumiem tyle, że radzi nam czekać i obserwować. – Paladynka odwróciła się w stronę drzwi.

Den prychnął z irytacją, widząc, że jego towarzyszka zbiera się do wyjścia.

– To wszystko? – jęknął. – Przebyliśmy całą tę długą i niebezpieczną drogę tylko po to, żeby...

– To były trzy przecznice, Den – przypomniała mu Laranth.

– Nie o to chodzi – obruszył się Sullustanin. – Cefalon powinien dać nam wskazówki dotyczące najlepszych tras Podziemnej Kolei, nazwiska urzędników, których powinniśmy przekupić... tego typu rzeczy! On... przepraszam, to ma być naszym informatorem w

departamencie prognozowania! Lepszą radę znalazłbym w kalamariańskim ciasteczku z wróżbą! – prychnął.

Paladynka wydawała się niewzruszona. Den westchnął i ruszył za nią. Gdy był już przy wyjściu, spostrzegł, że na monitorze pojawiają się kolejne słowa. Odwrócił się w stronę ekranów, łypiąc groźnie na Cefalona.

Mógłby chociaż zafundować sobie wokabulator, pomyślał ze złością, czytając ostatnie przemyślenia istoty.

„W alternatywnym prawdopodobieństwie dostrzeżono zagrożenie. Zbieżna wyjątkowa nieciągłość w Mocy. Priorytet dla wzmożonej czujności względem operacji odzyskiwania zbiega” – głosiła transkrypcja.

– Wystarczy – powiedział Den. – To za głupie, nawet jak na czterowymiarowy worek pływających mózgow. – Zauważył, że jego towarzysza również czyta słowa Cefalona. – Dasz radę przetłumaczyć tłumaczenie? – zapytał z odrobiną nadziei.

Larant zaprzeczyła.

– Martwmy się o jedną rzecz naraz – powiedziała. – Mam przeczucie, że ta robota nie będzie należała do najłatwiejszych.

Den westchnął i wyszedł za nią.

– A czy w ogóle trafiają się łatwe? – zapytał żałośnie.

– Powtórzmy, co już wiemy – zaproponował Jax.

– To niezbyt trudne – wtrącił I-Pięć. – Ponieważ w tej chwili nie wiemy na dobrą sprawę nic.

Android, Jedi i Zeltronka siedzieli w barze zwanym Kantyną Pijany Dewback w Południowym Podziemiu.

To znaczy tylko Jax i Dejah siedzieli. I-Pięć stał obok, starając się zachowywać jak na rzetelnego androida protokolarnego przystało. Nie robiło mu różnicy, czy stoi, czy siedzi – mógł tu tkwić aż do zawalenia budynku, jednak Pavan wiedział, że jego towarzysz nie przepada za odgrywaniem roli posłusznej maszyny. Gdy tak patrzył na wyprężonego karnie I-Pięć, nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

Bywali w kantine dosyć często w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Było to niezłe miejsce, aby się odprężyć i ustalić przy okazji plan działania. Bar był spokojny i leżał na uboczu, serwowano tu również całkiem niezłe jedzenie i tanie drinki. Ma się rozumieć, jako wychowanek Świątyni Pavan nie gustował w alkoholach, nie mówiąc o innych środkach stymulujących. Teraz delectował się więc schłodzoną breją, doprawioną różnymi egzotycznymi sokami owocowymi, wymieszaną z ponoć zdrowymi substancjami, takimi jak sproszkowany guroot czy suszony kaminoński gąbczak. Nie było to smaczne, ale tak naprawdę nazwa napoju wcale tego nie sugerowała.

Dejah siedziała wpatrzona markotnie w opróżnioną do połowy szklanek arboitańskiego

twistera. Nie był to napój, którego zamówienia można było oczekiwać po istocie tak delikatnej jak Zeltronka. Jax widział kiedyś na własne oczy, jak kilka takich drinków powaliło dwumetrowego Weequaya. Sam zapach mikstury mógłby sprawić, że dwugłowemu Troiowi poplącą się szyje. Pawanowi obilo się kiedyś o uszy, że Zeltronowie mają po dwie wątroby...

Przydadzą się jej, pomyślał, obserwując, jak Dejah wychyla szklanke do dna.

Nie dziwił się jej. Z tego, co mówiła, zanim znaleźli ciało jej partnera, wywnioskował, że była bardzo przywiązana do Caamasjanina. Jax nie sądził, aby było to coś poważniejszego, ale w przypadku Zeltronów nawet sympatia wystarczała, żeby szczególnie boleśnie odczuwali stratę bliskiej osoby. Rasa była znana z silnego odczuwania emocji. Podobno wybitne zdolności empatyczne nie pozwalały im lekko traktować jakiegokolwiek związku. Kiedy zdarzała się tragedia, przeżywali ją szczególnie boleśnie. To oczywiście działało w obie strony – płomienne uczucie mogło przeobrazić się w mgnieniu oka w zacieklą nienawiść.

Pogrążony w myślach, uświadomił sobie nagle, że I-Pięć coś mu tłumaczy i oczekuje na jego odpowiedź. Android promieniował zniecierpliwieniem pomieszanym z rezygnacją, jakby się zastanawiał, kiedy Jedi przebudzi się z cichej zadumy.

– Przepraszam – wymamrotał skruszony Jax. – Co mówiłeś?

I-Pięć nie miał organów, które pozwoliłyby mu odchrząknąć, wydał więc z siebie suchy elektroniczny trzask.

– Pozwolę sobie powtórzyć: ludzie prefekta Hausa jeszcze nie odnaleźli narzędzia zbrodni. Sądzę, że jego odkrycie rzuciłoby nieco więcej światła na naszą zagadkę.

– Minęły trzy godziny, odkąd opuściliśmy apartamentowiec – obliczył szybko Jedi. – Skąd możesz wiedzieć, że roboty kryminalistyczne jeszcze nic nie znalazły?

– Ponieważ monitoruję częstotliwość zarezerwowaną dla transmisji instytucji prawnych sektora – wyjaśnił android. – Nie pojawiła się żadna wzmianka na ten temat.

Jax pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Pewnego dnia wykryją te twoje nielegalne wtyki i poczęstują cię impulsem rezonacyjnym, który sprawi, że staniesz się równie inteligentny jak opiekacz do grzanek – rzucił z dezaprobatą.

– To obiecująca perspektywa, zważywszy na wasz poziom intelektualny – odgryzł się android. – Skoro już sobie ulżyłeś, czy możemy wrócić do meritum?

– Oczywiście. – Jax szybko spojrzał na Dejah. Zeltronka osunęła się na siedzeniu i teraz na wpół leżała w miękkim fotelu. Jej powieki trzepotały niespokojnie, a oddech stał się cięższy. – Mógłbyś mówić nieco ciszej? Co prawda w tym stanie i tak pewnie nic do niej nie dociera – stwierdził.

– Bez dwóch zdań – potwierdził I-Pięć. – Moje czujniki olfaktoryczne obliczyły objętość alkoholu w jej krwi. Biorąc poprawkę na specyfikę tej rasy, zakładam, że wkrótce zapadnie w stan zbliżony do śpiączki, który utrzyma się aż do poranka. Skład jej feromonów sugeruje około dwudziestu jednostek miary alkoholu.

Jax wsunął poduszkę pod głowę Dejah i opadł na swoje krzesło. Odgonił ręką chmurę stympręcikowego dymu, który napłynął z pobliskiego stolika, okupowanego przez grupę hałaśliwych Kubazów.

– Wiemy, że Volette zginął od pojedynczej rany kłutej zadanej w splot trzewny. – Jedi zapatrzył się w przestrzeń. – Jeśli dobrze pamiętam z lekcji ksenobiologii, jest to część węzła systemu autonomicznego. Zgadza się?

– Owszem, u większości owłosionych mezomorficznych istot człekokształtnych, takich jak Caamasjanie czy Equanie – potwierdził I-Pięć. – Rana kłuta zadana w ten punkt niemal zawsze bywa śmiertelna, podobnie jak cios w mięsień sercowy w przypadku ludzi. Doniesienia służb planetarnych potwierdzają, że morderca posłużył się najprawdopodobniej pasywnym narzędziem o krótkim ostrzu.

Jax pokiwał z namysłem głową. „Pasywność” oznaczała, że użyto czegoś innego niż wibroostrze albo podobna broń zasilana źródłem energii.

– A więc Volette został zamordowany prymitywnym nożem lub czymś podobnym – stwierdził. – Pytanie, w jaki sposób do tego doszło? Jeśli teoria policji się potwierdzi, była to broń łatwa do ukrycia, a jej użycie wymagało bliskiego kontaktu z ofiarą.

– To z kolei wskazuje na kogoś bardzo silnego – dodał Five. – Tors Caamasjan chroni warstwa grubej chrząstki. – Android wskazał na Dejah. – A to wyklucza naszą klientkę z grona podejrzanych.

Jax przytaknął. Duare mogła spokojnie zbliżyć się do Voletta, jednak z pewnością nie dałaby rady ugodzić go z wystarczającą siłą, aby przebić ochronny pancerz. Szczególnie, jeśli cios zadano bronią niewspomaganą wibracyjnie. Zeltronka po prostu nie miała tyle siły.

Jedi uświadomił sobie, że na myśl o uwolnieniu Dejah od podejrzeń poczuł ulgę. Czyżby przez jego tarczę przedostały się jakieś zabłąkane feromony? Miał nadzieję, że nie. Życie było wystarczająco skomplikowane i bez tego. Choć wykluczyli Duare z grona podejrzanych, pozostawało nadal miliardy możliwości. Czekало ich dużo pracy.

– Nie mamy wyjścia, I-Pięć. Musimy znaleźć zabójcę, zanim prefekt weźmie nas pod lupę – westchnął. – Jeżeli łapsy zaczną się domyślać, że jesteśmy związani z Whiplashem, zostanie z nas mokra plama. Zamkną nas w kapsule i wystrzelą w kosmos. – Jax uniósł prawą dłoń, na której lśniła obręcz pierścienia lokalizacyjnego. – Nie ma sposobu, żebyśmy mogli zdjąć te policyjne błyskotki albo wyłączyć je bez sparaliżowania sobie przy okazji układu nerwowego i zaalarmowania władz.

– To chyba oczywiste – zgodził się android.

– Nie bądź taki mądry – skarcił go Pavan. – Masz ogranicznik, więc jesteś tak samo uziemiony jak... – Przerwał w pół zdania i zapatrzył się na swojego przyjaciela z otwartymi ustami. I-Pięć pomachał mu przed nosem wtyczką lokalizacyjną, którą niedawno do jego płyty piersiowej przyspawał iskrowo robot policyjny. Zaskoczenie Jedi po chwili zmieniło się w szeroki uśmiech i Jax pokręcił z niedowierzaniem głową. – Czy jest coś, czego nie

potrafisz? – zapytał.

– Tak – odarł zwięźle I-Pięć. – Nie umiem tańczyć.

Jedi wziął od niego ogranicznik i przyjrzał mu się uważnie.

– Nigdy nie mówiłeś, że masz zainstalowane nielegalne oprogramowanie przeciwogranicznikowe – rzucił.

Android wzruszył metalowymi ramionami.

– Odrobina tajemniczości jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Jax odrzucił urządzenie przyjacielowi. I-Pięć złapał je bez trudu w locie, nie patrząc nawet w tamtą stronę.

– A co, jeśli spróbują cię namierzyć? – spytał Pavan.

– Zapętlą się – wyjaśnił jego towarzysz. – Będą chodzić w kółko po własnych śladach i nawet się nie zorientują. – Android postawił ogranicznik na podłodze i wycelował w niego palec wskazujący. Dyskretny strzał zmienił urządzenie w kupkę zwęglonych części. I-Pięć odwrócił się i obrzucił spojrzeniem nieprzytomną Dejah. – Zdaje mi się, że plan opuszczenia Coruscant będzie musiał poczekać.

– Nie zapominaj, że to teraz Imperialne Centrum.

I-Pięć wydał z siebie dźwięk przypominający pogardliwe prychnięcie.

– Jestem androidem. Nigdy się nie mylę.

– W obecności kilku szturmowców czy Inkwizytora na pewno szybko zmienisz zdanie.

– Jak mawiał twój ojciec: „Nieważne, jak to zwą, to tylko zatłoczona, nic niewarta sterta kamieni”.

Jax zamilkł i zamyślił się, wspominając Lorna.

– Denerwujesz się, gdy mówię o twoim ojcu? – zapytał po dłuższej chwili I-Pięć.

– Nie – powiedział Jax. – Czasem zastanawiam się po prostu, co by powiedział na styl życia, jaki wybrałem. Jak oceniłby moje decyzje.

Android przysunął się bliżej Pavana.

– Zbyt dużo tych decyzji podjęto za ciebie, Jax – stwierdził. – Znałem Lorna Pavana lepiej niż ktokolwiek inny i uważam, że byłby z ciebie naprawdę dumny – zapewnił go.

– Wydawało mi się, że nienawidził Jedi. – Jax spojrział na niego z zaskoczeniem.

– Bo tak było. – Jego towarzysz kiwnął głową. – Ale tylko dlatego, że odebrali mu jedyne dziecko. Nie miałyby do ciebie pretensji o wstąpienie do Zakonu. Sądzę, że pochwaliby wybory, jakich dokonałeś, a na pewno większość z nich. Szczególnie decyzję pozostania na Coruscant i dołączenia do Whiplasha. Lorn zawsze podziwiał odwagę, a zwłaszcza stawanie w obronie słabszych.

Jax zapatrzył się w przestrzeń.

– W pewnej chwili niemal stchórzyłem – przyznał cicho.

I-Pięć sprawiał wrażenie lekko zaskoczonego.

– Kilka miesięcy temu miałem zamiar spakować manatki i zwiąć – wyjaśnił Jedi. – Wtedy Nick Rostu wyjawiał mi, co się stało z mistrzem Piellem. – Wzruszył ramionami. –

Kiedy się o tym dowiedziałem, nie mogłem odlecieć. A już na pewno nie wypełniając jego ostatniej woli.

– Zrobiłeś to najlepiej, jak umiałeś. Co więc trzyma cię jeszcze na planecie? – spytał Five.

– To się nigdy nie skończy – odpowiedział gorzko Jax. – Zgładzić Imperatora i Vadera, aby wyzwolić galaktykę? To czyste szaleństwo! – Pokręcił głową. – Powinienem wynosić się stąd natychmiast, dopóki jeszcze mam czym.

– Den na pewno by się z tobą zgodził – oparł android. – Bardzo ochoczo – dodał.

– Wiem o tym. – Jax westchnął. – A mimo to...

– Nie możesz tego zrobić – dopowiedział android.

– Za dobrze mnie znasz – stwierdził Jedi z rezygnacją.

– Dużo wiem o ludziach – wyznał I-Pięć. – Poznałem twój gatunek na wylot. Widywałem najbardziej szlachetne, ale też najbardziej podle z ludzkich odruchów. Wachlarz waszych zachowań jest imponujący. Dlatego nie jestem zaskoczony, że tkwisz tu nadal, by walczyć o to, co w gruncie rzeczy uważasz za przegraną sprawę. Od dnia, w którym cię spotkałem, wiedziałem, jak postąpisz, gdy przyjdzie ci dokonać wyboru.

– Naprawdę? – Jax powiódł wzrokiem po krzykliwych holoreklamach na ścianach i przedstawicielach licznych ras siedzących w barze. Każdy z nich pozwalał, żeby zbawienna chemia w jakiś sposób zmieniała stan jego świadomości: bywalcy palili, pili i na różne inne sposoby przyjmowali substancje odurzające. Poczul się nagle bardzo zmęczony. – No i jaki to był wybór? – spytał przyjaciela.

– Właściwy – zapewnił go android.

Aurra Sing ocknęła się w ruinach Świątyni Jedi zdezorientowana i wściekła, z pulsującym bólem głowy. Ciemnoskóry mężczyzna zniknął, co nie było specjalnie zaskakujące. Zastanawiające było raczej to, że nadal żyła.

Ostrożne rozejrzenie się po najbliższym otoczeniu potwierdziło, że była sama. Jej przeciwnik, kapitan Typho z Naboo, uciekł, zabierając ze sobą jeden z jej mieczy świetlnych. Nawet w szale wściekłości Sing musiała przyznać, że jest pod wrażeniem. Naprawdę pomysłowo ją przechytrzył – najpierw uspił jej czujność, a potem wykorzystał przeciwko niej jej własny implant. Pokonał ją najgorszy wróg, jaki groził jej podobnym: zbyt pewność siebie. Wiedziała, co ją zgubiło, ale nie zmieniało to jej zdania, że mężczyzna świetnie sobie poradził.

Aurra uśmiechnęła się z satysfakcją. Ambitny przeciwnik jest naprawdę wart zachodu – wytopienie go będzie miłą rozrywką.

Przyjemności musiały jednak poczekać do czasu, aż zakończy swoje główne zadanie: dostarczenie Jaksza Pavana Lordowi Vaderowi. Nie miała zamiaru wracać na Oovo Cztery, a najlepszą gwarancją, że już nigdy nie będzie musiała oglądać tej parszywej asteroidy, było wypełnienie misji. Nie żeby miała coś przeciwko samemu zadaniu. Możliwość wytopienia

jednego z ostatnich Jedi była frajdą, za którą chętnie sama zapłaciłaby Vaderowi, gdyby było trzeba.

Wokół panowała cisza, słychać było tylko niesamowity świst wiatru pośród kolumn i zaułków zrujnowanej Świątyni. Poza nieprzerwanym strumieniem pojazdów powietrznych przecinającym bezchmurne niebo nie było najmniejszego ruchu. Wszystko wyglądało niezwykle spokojnie, ale Aurra Sing nie dała się zwieść pozorom. Nieustanna czujność tak bardzo weszła jej w krew, że nie umiała się jej pozbyć, podobnie jak nie była w stanie przestać oddychać.

Tuż za nią rozległ się ledwie słyszalny szelest.

W mgnieniu oka miecz świetlny Sing znalazł się w jej dłoni. Łowczyni zawirowała w śmiertelnym piruecie, aby powitać intruza, kimkolwiek była przyczajona za nią istota.

Na podłodze przed nią, elegancko przecięte na pół, spoczywało ciało dużego, uzbrojonego szczeropodobnego osobnika. Zwłoki zdrząły w krótkim spazmie i znieruchomiały.

Aurra Sing wyłączyła broń, przyczepiła ją do pasa i wyszła na zewnątrz, zdecydowana odnaleźć Jaksa Pavana.

– Zbieżna wyjątkowa nieciągłość w Mocy? – powtórzył słowa Cefalona Jax. Zerknął na Dena i paladynkę. – Macie jakiś pomysł, co to może znaczyć?

– Prawdę powiedziawszy – stwierdził Sullustanin – rozmyślałem o tym bardzo długo i wnikliwie. Doszedłem do zaskakującego wniosku, że nie mam zakichanego pojęcia – obwieścił.

– Rzeczywiście, zaskakujące. – Jax zwrócił się do Laranth. – Mam nadzieję, że chociaż ty coś z tego rozumiesz?

Twoja lekanka pokręciła głową.

– Chciałabym – westchnęła. – Niestety, nic mi nie przychodzi do głowy.

Jax rozejrzał się po pokoju. Zgromadzili się w pełnym składzie, z wyjątkiem Rhinanna i Dejah. Jedi nie miał pojęcia, gdzie podziwia się Elomin, a Zeltronka odsypiała właśnie gigantycznego kaca. Westchnął ciężko.

– Ktoś jeszcze chce zgadywać? – zapytał.

– Zapewne ma to coś wspólnego z postrzeganiem czterowymiarowym. – I-Pięć podjął wyzwanie. – Wiemy, że Cefalon postrzega przyszłość tak, jak my widzimy drogę przed nami. Niestety, jest to kręta ścieżka, wijąca się zwodniczo we mgle, odsłaniającej coraz to nowe kształty.

– Jejku, toż to czysta poezja! – Den zamrugał w parodii podziwu. – No, prawie czysta – dodał z naciskiem.

I-Pięć zerknął z wyższością na przyjaciela.

– Odezwał się przedstawiciel kultury, której największym osiągnięciem artystycznym jest

hymn na cześć kompleksu militarno-przemysłowego. – Wydał z siebie odpowiednik pogardliwego prychnięcia. – To pewne, że Cefalon próbuje nas przed czymś przestrzec. Musimy tylko zgadnąć, co to może być.

Den przewrócił oczami. U Sullustanina robiło to całkiem imponujące wrażenie.

– Dlaczego, do ciężkiej cholery, to wszystko musi być takie enigmatyczne? – zapytał z pretensją w głosie. – Dlaczego choć raz nie możemy udać się do wróżki, która w jasny sposób przepowie nam przyszłość? Na przykład: „Za tydzień w Slumsach Blackpit wybuchnie epidemia ropnej dżumy. Noście rękawiczki”...albo coś w tym stylu.

– Wątpię, żeby Cefalon wypowiadał się niejasno tylko po to, żeby zrobić na nas wrażenie – zauważył android. – Przełożenie czterowymiarowości na basic nie jest wcale takie proste.

Jax miał już coś odpowiedzieć, gdy w drzwiach zamajaczył wysoki cień. Był to Rhinann. Omiótł obojętnym spojrzeniem zgromadzonych i zatrzymał wzrok na Jaksie.

– O ile mogłem stwierdzić – rzucił posepnie – na Coruscant nie ma żadnych mieczy świetlnych.

– Jesteś pewien? – zapytał nieufnie Den. – Sprawdziłeś za kanapą? – dodał podejrzliwie.

Rhinann zignorował jego żart.

– Moje poszukiwania były dokładne i wyczerpujące – oznajmił. – Oczywiście, całkiem możliwe, że w mieście o powierzchni pięć przecinek jeden razy sto i osiem kilometrów kwadratowych broń osiągająca po włączeniu mniej więcej metr długości mogła umknąć mojej uwadze. Jeśli wątpisz w moją skrupulatność, zachęcam do podjęcia własnej ekspedycji.

– A co z kryształami? – zapytał Jax.

– Ani śladu adegańskich, hum ani dantooińskich. Ale tak samo – zastrzegł – nie mogę zagwarantować, że ktoś gdzieś nie trzyma sobie jednego na kominku dla ozdoby. Nie ma sposobu, aby to sprawdzić.

Jax zgadzał się z nim. Chociaż większość rycerzy Jedi została wymordowana przez klony na innych planetach, w Świątyni nadal przebywała w tym czasie spora grupa uczniów i mistrzów. Jax wiedział, że Palpatine zarządził zniszczenie całej broni Jedi, a słowa Rhinanna potwierdzałyby tylko, że rozkaz wykonano bardzo skrupulatnie.

– Masz rację, z małym wyjątkiem – wytknęła Elominowi Laranth. – Co najmniej jeden miecz ma Vader.

– Vader jest Sithem – wtrącił Jax, zanim Elomin zdołał coś odpowiedzieć. – A przynajmniej tak głosi plotka. Osobiście uważam, że to prawda, sądząc po jego biegłości w posługiwaniu się mieczem świetlnym i Mocą. – Mina mu zrzędła. – Zdaje się, że mieliście rację. Chyba sobie daruję.

– Bycie Jedi to nie tylko machanie mieczem świetlnym – zauważyła paladynka. – Mając do dyspozycji Moc, można się nauczyć innych, równie skutecznych sposobów walki.

– Wiem. – Jax odwrócił wzrok. – Po prostu nigdy nie miałem wyboru. Zostałem pasowany na rycerza Jedi tuż przed wykonaniem Rozkazu Sześćdziesiątego Szóstego. Od

tamtej pory całe moje życie jest jedną długą próbą przetrwania. Większość czasu spędziłem, starając się nie wychylać i nie korzystać z Mocy. – Uśmiechnął się z przymusem. – Tak naprawdę miałem szansę użyć broni Jedi w walce tylko raz, podczas spotkania z księciem Xizorem. Jak na ironię, odebrał mi wtedy miecz, a ja musiałem bronić się biczem świetlnym.

– Nie wspominając już o tym, że twoje połączenie z Mocą było wtedy cokolwiek niestabilne – dodał Den.

– Chcę cię poinformować, że uważam tę misję za zakończoną. Mam inne sprawy na głowie. – Beznamiętny głos Elomina sugerował, że nie zamierza poświęcać sprawie ani chwili więcej.

Jax z zaskoczeniem usłyszał nagle głos Sullustanina.

– Poczekaj chwilę – powiedział reporter.

Den miał dziwne wrażenie, że te słowa wypowiedział ktoś inny. Jego usta zdawały się działać niezależnie od mózgu, więc czuł się zakłopotany i poirytowany. Zdarzało się to już wcześniej, ale teraz nasunęło mu się skojarzenie z półautonomicznymi submózgami Cefalona. Taka werbalna samowola rzadko kiedy dobrze się kończyła.

– Poczekaj chwilę – mówił on-nie-on. – Jestem pewien, że Rhinann odwalił kawał dobrej roboty próbując znaleźć miecz świetlny. Jednak gokoba można wypatroszyć na wiele różnych sposobów.

– Cóż za kwiecista metafora – zauważył z przekąsem I-Pięć.

– Byłem kiedyś reporterem, zapomniałeś? – obruszył się Den. – I to niezłym. Potrafię wywęszyć dobrą historię przez litą skałę podczas burzy piaskowej!

– Zakładam, że zmierzasz do jakiejś puenty? – Android wydał z siebie coś na kształt westchnienia. – Zanudzanie kogoś na śmierć to dość wyrafinowana tortura.

– Lepsza niż twoje żarty. – Den przeniósł wzrok na Jaksę. – Skoro z mieczem możesz poczuć się pewniej, zobaczę, co się da zrobić.

– Dlaczego sądzisz, że uda ci się lepiej niż mnie? – Rhinann rzucił mu posępne spojrzenie.

– Bez urazy. – Den uniósł dłonie w uspokajającym geście. – Po prostu mam takie przecucie, jasne? Może coś znajdę, może nie. Jestem pewien, że włos ci z uszu nie spadnie.

– Wystarczy – przerwał Jax. – Den, jeśli mówisz serio, to nie mam nic przeciwko, ale prowadź swoje poszukiwania w wolnym czasie. Naszym priorytetem jest odnalezienie zabójcy Voletta i potrzebuję twoich zdolności śledczych przede wszystkim tutaj.

– Tak jest, szefie. – Den opadł na oparcie krzesła. Nadal nie wiedział, dlaczego zgłosił się na ochotnika, ale jednego był pewien: nie lubił Rhinanna. Wysoka, wiecznie ponura istota potrafiła z prędkością nadświetlną zepsuć nastrój każdemu. Poza tym dawno nie korzystał ze swojego reporterskiego nosa. Tropienie informacji będzie miłą odmianą.

Przynajmniej dopóki ciekawość nie zaprowadzi go zbyt blisko Vadera.

– Nie mieliśmy prawdziwych przyjaciół – mówiła Zeltronka. – Tylko znajomych i partnerów w interesach. Przylecieliśmy na Coruscant niedawno, niewiele ponad dwa miesiące temu i większość czasu zabrało nam nawiązywanie kontaktów. Nie wystarczało go na życie towarzyskie. Planowaliśmy... – Przerwała i zacisnęła usta. Jax z zaskoczeniem zauważył, że Zeltronka próbuje się nie rozplakać. Słyszał kiedyś, że jej rasa była znana za szczególnego umiłowania uciech życia; Zeltronowie pracowali z zapalem tylko wtedy, gdy wiązało się to z obietnicą przyjemności. Powszechnie wiadomo było również, że nie mogli, a może nie chcieli radzić sobie z negatywnymi emocjami. Dejah wydawała się ulepiona z nieco innej gliny.

– Byliśmy dość samotni – podjęła. – Jediną osobą, z którą widywaliśmy się częściej, był baron UMBER.

Jax, Dejah i I-Pięć oglądali właśnie mecz wstrząsopiłki między Rodianami a Haserianami z trybun lokalnego parku rozrywki. Tłum kibicował z takim entuzjazmem, że bezpiecznie zagłuszał rozmowę ich trójki.

Android przez chwilę analizował usłyszane informacje.

– Nie kojarzę nikogo o nazwisku UMBER. Tytuł z pewnością oznacza, że jest kimś ważnym. Mogłabyś powiedzieć nam o nim coś więcej? – poprosił Zeltronkę.

– Przepraszam – odparła zmieszana Dejah. – Założyłam, że jego nazwisko jest dosyć znane, ale baron pochodzi przecież z Vindalii. To sporo tłumaczy, bo o Vindalianach nie wiadomo zbyt wiele; są bardzo skryci. Pewne jest jedno: to wielcy miłośnicy sztuki, a ród UMBER nie jest wyjątkiem. Baron ma w swojej kolekcji dużo prac Vesa. – Przerwała i zmarszczyła z troską czoło. – Nie wiem, czy już słyszał o jego śmierci... Vindalianie nie są szczególnie towarzyscy, więc nie przywiązują dużej wagi do informacji z życia publicznego. Jeśli jeszcze nie wie, wiadomość na pewno będzie dla niego wstrząsem.

– Policja sektora już go pewnie poinformowała – zauważył Pavan.

Dejah przygryzła dolną wargę.

– Jakżeby inaczej. – W jej głosie pobrzmiwała gorycz. – Z pewnością zawiadomili go o tym w bardzo delikatny sposób.

– Wydaje mi się, że Pol Haus jest całkiem rzetelnym łapsem – zmienił temat Jax. – Co oznacza, że możemy mu ufać tak długo, jak długo nie wchodzimy mu w paradę. Jak każdy na wysokim stanowisku, nie jest jednak odporny na wpływy polityczne ani naciski wyższych sfer. Nie pozwoli, żeby ktokolwiek stanął mu na drodze podczas prowadzenia śledztwa. Założę się, że samego prefekta przypisano do badania sprawy zabójstwa Voletta dlatego, że twój towarzysz był dosyć znaną osobistością. – Jedi zastanawiał się nad czymś przez chwilę. – Nie byłbym zaskoczony, gdyby już na niego naciskano. Jego przełożonym najpewniej zależy na szybkim rozwiązaniu zagadki śmierci artysty, zagrzebaniu akt sprawy jak najgłębiej i uniknięciu rozgłosu. Tym bardziej że Palpatine zaryzykował tak drastyczny krok, jak zniszczenie całej planety... tak się składa, że rodzinnego świata Vesa. Jeśli to rzeczywiście on

odpowiada za tę katastrofę – zastrzegł. – Haus przyjmie każde rozsądne wytłumaczenie, które będzie wygodne dla władz.

Dejah wyglądała na przygnębioną.

– Więc mówisz, że lepiej nie drażnić śpiących akków? – zapytała zrezygnowana.

– Najbezpieczniej byłoby oczywiście, gdybyśmy zabrali cię z planety – wtrącił I-Pięć.

Zeltronka przez kilka minut przyglądała się z roztargnieniem grze. Rodianin strzelił właśnie bramkę i tłum oszalał z radości. Gdy w końcu Dejah przemówiła, jej głos był zaskakująco spokojny.

– Nic z tego. – Pokręciła zdecydowanie głową. – Wiem, że gdyby chodziło o mnie, Ves nie spocząłby, zanim sprawiedliwości nie stałoby się zadość. Nie ruszę się z planety, dopóki nie zrobię wszystkiego, co w mojej mocy, żeby odnaleźć mordercę.

– To szlachetna decyzja. – Jax odetchnął głęboko. – Podziwiam twoją determinację. – Obejrzał się na I-Pięć. – Sugeruję, żebyśmy namierzyli naszego barona i z nim porozmawiali. – Uśmiechnął się bez przekonania. – Możemy sobie uciąć pogawędkę na temat sztuki.

– Jego conapta znajduje się w sektorze jeden-zero-jeden-siedem na Wzgórzach Manarai, pod numerem 17 przy Alei Gallifrey – podsunął usłużnie I-Pięć.

– To jego prywatny adres. – Dejah wyglądała na zaskoczoną. – Nie ma go w bazach danych. Jak ci się udało...?

Android puknął palcem w metalową głowę.

– Ma się te wtyki.

ROZDZIAŁ 11

Wzgórza Manarai były jedną z najbardziej ekskluzywnych dzielnic Imperialnego Centrum, a to już o czymś świadczyło. Większość zabudowań stanowiły tu luksusowe conapty, zaprojektowane w eklektycznym stylu przez znakomitego Benitsa Stineksa, jednego z najsłynniejszych architektów w galaktyce. Budynek, w którym mieszkał Umber, był półautonomiczną bryłą, ozdobioną wysoko sklepionymi łukami i strzelistymi wieżyczkami. W eleganckim otoczeniu Jax znów poczuł się nieswojo.

Ich przybycie oznajmił melodyjny kurant, i zaraz drzwi otworzył android protokolarny. Wypolerowany na wysoki połysk model 3PO obrzucił pogardliwym spojrzeniem I-Pięć. Jego receptory zabłyśły, gdy rozpoznał Dejah.

– Panienska Duare, co za niespodzianka! Mój pan będzie zachwycony – powiedział uprzejmie. – Proszę za mną. – Zeltronka ruszyła za ich przewodnikiem do przedpokoju. Pochód zamykali Jax i I-Pięć.

– Proszę siadać. – Android zakrzętał się wokół gości. – Napiją się państwo czegoś? Nie? Pójdę więc powiedzieć baronowi o tej niespodziewanej i jakże miłej wizycie. – Odmaszerował sztywno i znikł w łukowo sklepionym korytarzu. Jax zapatrzył się na ścieżkę wydeptaną przez automat w puszystym dywanie, po czym rozejrzał się po pomieszczeniu. Znajdowali się w dużej sali o ścianach pełnych wnęk i nisz. Dzięki takiemu zabiegowi w pokoju było znacznie więcej miejsca na obrazy, płaskorzeźby, ceramikę i inne dzieła sztuki. Pośród nich, ładnie wyeksponowane na ruchomych podstawach, promieniowały instalacje świetlne. Jax zgadywał, że musiały być rzeźbami Vesa Voletta. Trójwymiarowe obrazy falowały w hipnotycznym, dostojnym rytmie. Pavan przyglądał się z zapartym tchem, jak widma zmieniają, odcienie i kształty. Każda z prac była nieziemsko piękna, pełna harmonii i wdzięku.

Oderwał w końcu wzrok od fascynującego zjawiska i zerknął na Dejah. Zeltronka również wpatrywała się z podziwem w rzeźby, ale jej spojrzenie było bezbrzeżnie smutne.

I-Pięć podszedł do jednej z instalacji i przyjrzał się uważnie płynnej poświacie.

– Bardzo interesujące – stwierdził. – Sygnatura energetyczna jest bardzo podobna do widma fali hydromagnetycznej miecza świetlnego. Zaryzykowałbym hipotezę, że jego źródłem energii jest kryształ: adegański, luxum lub podobny.

Jedi z zaskoczeniem uniósł brwi.

– Dokładnie takich kryształów używa się w mieczach świetlnych – zauważył.

– Zgadza się – odpowiedział nowy, donośny głos.

Jax spojrział w stronę, z której dobiegły słowa. W wejściu stała wysoka, dwunożna postać. Istota była szczupła, niemal wychudzona, ubrana w szatę z kosztownego błyszczojedwabiu. Budowa ciała i rysy twarzy osobnika były bardzo zbliżone do ludzkich, ale coś w oczach i kształcie uszu nadawało jego obliczu nieco lisi charakter. Podszedł do ich grupy i uściskał Zeltronkę serdecznie.

– Moja droga Dejah – przemówił pełnym współczucia głosem. – Co za straszny cios! Dowiedziałem się o Vesie niecałe dwie godziny temu, od jakiegoś gburowatego prefekta policji. – Poklepał ją po plecach. – Musisz być zdruzgotana. Próbowałem skontaktować się z tobą, gdy tylko się dowiedziałem, ale...

– Wyłączyłam komunikator – wymamrotała Zeltronka przepraszająco.

– Doskonale cię rozumiem – zapewnił ją natychmiast gospodarz. – Nie musisz się tłumaczyć... – jak mógłbym mieć do ciebie pretensje? Jeśli tylko mogę coś dla ciebie zrobić, proszę, nie krępuj się poprosić. – W końcu łaskawie zauważył resztę gości. – Och, widzę, że przyprowadziłaś przyjaciela. – Pominięty I-Pięć wyprostował się sztywno, ale nic nie powiedział.

– Wybacz – odparła zmieszana Dejah. – Gdzie moje maniery? Baronie Umber, oto Jax Pavan, kapitan frachtowca „Długodystansowiec”. Jaksie, pozwól, że ci przedstawię barona Vlacana Umbera z Flavin Hold na Vindalii.

W swojej krótkiej karierze rycerza Jax miał okazję zapoznać się z zawilóściami protokołu galaktycznego i etykiety towarzyskiej różnych ras.

– To dla mnie zaszczyt, baronie. – Pochylił głowę i wykonał skomplikowany ruch dłonią.

Zdumiony Umber otworzył szeroko oczy i Pavan zdał sobie sprawę, że te wyszukane maniery muszą wyglądać dość kuriozalnie u osoby o tak skromnym wyglądzie.

– To ja jestem zaszczycony. – Baron odpowiedział mu równie złożonym gestem. Spojrzął na I-Pięć, który stał obok Jaksza niczym wzorowy robot protokołarny. – Seria Orbots? – zapytał. – Kolekcjonerski rarytas. Ładnie wyklepany – pochwalił.

Jax powstrzymał się od uśmiechu na myśl o niecenzuralnej odpowiedzi, jaka bez wątpienia tłukła się po pozytronowym mózgu androida.

– Baronie – odezwał się. – Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym zadać parę pytań dotyczących pańskiej znajomości z Volettem.

Umber ponownie nie zdołał ukryć zaskoczenia. Spojrzął na Dejah, która skinęła uspokajająco głową.

– W porządku, Vlacan. Można mu zaufać. Obiecał pomóc mi w odnalezieniu zabójcy Vesa.

– Rozumiem. – Pomimo zapewnień Zeltronki, sceptycyzm Vindalianina był widoczny

gołym okiem. Baron spojrział ponownie na Jaksę, tym razem z nieco większą rezerwą.

– Współpracuje pan z policją sektora? – zapytał oschle.

Jax uznał, że źle skrywana pogarda gospodarza raczej go bawi, niż irytuje.

– Prowadzę dochodzenie na własną rękę. Dejah powierzyła mi rozwiązanie tej sprawy nieco mniej oficjalnymi kanałami.

Nie spuszczać wzroku z Jaksę, Umber skierował kolejne pytanie do Zeltronki:

– Jesteś pewna, że to rozsądne, Deej? Raczej wątpię, żeby trybunał uznał jakiegokolwiek fakty ujawnione w takim śledztwie.

– Prawo honoruje dowody przedstawione przez podmioty zewnętrzne, w oparciu o zasadę deontologii. – I-Pięć nie byłby sobą, gdyby zmarnował okazję do popisu.

Oczy Vindalianina zamieniły się w wąziutkie szparki.

– Nie przypominam sobie, żeby ktoś udzielił ci głosu, automacie – wycedził. – Nie mówiąc już o tym, że nigdy bym nie pytał byle maszyny o zdanie w kwestiach prawnych.

– Wiedza na temat prawa, szczególnie w odniesieniu do przepisów imperialnych, jest ważnym aspektem protokołu – wyjaśnił niezrażony I-Pięć. – Trzeba przyznać, że ostatnimi czasy codziennie tyle aktów prawnych jest ogłaszanych, uchylanych i zmienianych, że nawet wybitni specjaliści mają problemy z byciem na bieżąco. Przyznanie się do ignorancji to dla pana żaden wstyd, baronie.

Vindalianin wyglądał na bliskiego apopleksji.

– Do niczego się nie przyznawałem! – wybuchnął. – A już na pewno nie do ignorancji! A poza tym...

Zanim dokończył zdanie, Dejah położyła mu rękę na ramieniu. Sam dotyk Zeltronki wystarczył, aby ugasić gniew arystokraty. Nadal jednak w oczach barona widniały resztki frustracji. Nie spuszczał wzroku z I-Pięć.

– Masz trochę racji, automacie. Postępowanie zgodnie z obowiązującą dziś ustawą jutro może być traktowane jak przestępstwo – przyznał niechętnie. – Ale tak czy owak nie przypominam sobie żadnych przepisów dopuszczających do głosu androidy, a już szczególnie gdy nie są o to proszone.

Jax zdecydował, że czas zakończyć tę bezcelową wymianę zdań.

– Oprogramowanie I-Pięć zostało ostatnio zmodyfikowane – wyjaśnił. – Jego zachowanie czasem odbiega nieco od standardów. – Rzucił androidowi ostrzegawcze spojrzenie. – Cierpi na usterkę zwaną syndromem nadaktywnego wokabulatora.

I-Pięć wyglądał na tak poirytowanego, jak tylko mogła sobie na to pozwolić maszyna.

– Funkcjonowanie mojego otworu symulacji werbalnej jest absolutnie zgodne z normami fabrycznymi – stwierdził oschle.

– Być może – odparł Jax. – Ale nie wiem, czy da się to powiedzieć o mózgu. Powinieneś okazywać naszemu gospodarzowi należny szacunek.

Zapadła niezręczna cisza; Jedi nie spuszczał z I-Pięć karcącego wzroku. Zrezygnowany

android odwrócił się w końcu do barona Umbera i złożył sztywny ukłon.

– Proszę mi wybaczyć, jeśli nieumyślnie pana obraziłem.

– A co dalej? – naciskał Jax.

I-Pięć w jakiś sposób zdołał przywołać na nieruchome oblicze wyraz pogardy. A może po prostu Jaksowi się tak zdawało, bo zbyt dobrze znał swego mechanicznego przyjaciela? W każdym razie miał nadzieję, że baron nie zauważy braku szacunku.

– Chciałbym również przeprosić za zabieranie głosu bez pozwolenia – dodał I-Pięć.

Umber wyglądał na udobruchanego.

– Nie ma o czym mówić, nic się nie stało – stwierdził wspaniałomyślnie. – Brak oglądy twojej maszyny jest w pełni zrozumiały, jeśli jej oprogramowanie zostało nieudolnie spersonalizowane.

– Nieudolnie? – powtórzył oburzony I-Pięć. – Chciałbym podkreślić, że...

– ...nasze pytania będą zwięzłe, a wizyta krótka – pospiesznie dokończył Jax. Posłał przy tym I-Pięć ostrzegawcze spojrzenie, które niemal wytopiło mu dziurę w metalowym czerepie. Wszedł między androida a ich gospodarza, uniemożliwiając im kontakt wzrokowy. – Dejah mówiła mi – wrócił do tematu – że od dawna kolekcjonuje pan dzieła świętej pamięci artysty.

Umber przytaknął. Odwrócił się i szerokim ruchem wskazał wnęki, w których lśniły najlepsze z prac Voletta. Ich blask wystarczał, aby rozświetlić spore pomieszczenie.

– Od chwili, gdy zobaczyłem jego dzieła, wiedziałem, że muszę któreś zdobyć – wyjaśnił baron. – Po pierwszym przyszła kolej na drugie, a dla zrównoważenia kształtu i kompozycji drugiego potrzebne było trzecie... Gdy kupiłem czwarte i piąte, traktowałem już Vesa nie tylko jako partnera w interesach, ale też przyjaciela. – Umber spojrział w stronę milczącej Dejah. – Czułem się także przyjacielem jego towarzyski.

Duare się uśmiechnęła.

– Ves gardził światkiem sztuki na Coruscant, gdzie od twórców oczekiwano się wchodzenia w zażyłość z potencjalnymi kupcami, schlebienia ich niewyrobionym gustom i zniżek po znajomości – wyjaśniła. – Był prawdziwym artystą. Jeśli komuś podobała się jego sztuka, w porządku. Jeśli nie – nie przejmował się tym, nie darł z tego powodu szat. Zdawał sobie sprawę z różnic w gustach; wiedział, że gdyby było inaczej, wszystkie dzieła byłyby takie same.

Umber pokiwał z namaszczaniem głową.

– To czyniło Vesa tak niezwykłym, podobnie jak jego prace – rzekł. – Był absolutnie niezależny od rynku sztuki komercyjnej. Robił to, co chciał i jak chciał.

Dejah wróciła myślami do szczęśliwych chwil spędzonych z artystą.

– Pamiętam, jak pewnego razu odwiedził Vesa jakiś senator z bogatego świata. Chciał kupić jedną z prac. – Zeltronka uśmiechnęła się do swoich wspomnień. – Poprosił mojego partnera, żeby ten zmienił nieco strumień spektrum rzeźby, ponieważ według niego efekt lepiej by się wtedy komponował z wystrojem jego sypialni. Proponował naprawdę duże

pieniądze, Ves mógł na tym całkiem nieźle zarobić. A on... po prostu odmówił, grzecznie, ale zdecydowanie. „Ta wizja kolorów powstała w moim umyśle, wyjaśnił senatorowi, a te kolory przybrały taki kształt. Całość jest taka, jaką ją stworzono... podobnie jak ja czy pan”. – Dejah przeniosła wzrok na Jaksę. – To był cały Ves. Tak naturalny jak jego sztuka.

– Naturalność to inne określenie szczerości – powiedział Jedi. – A szczerość jest czasem mylona z arogancją.

Baron uśmiechnął się pod nosem.

– Co pana tak bawi, baronie? – zapytał oschle Jax.

– Proszę mi wybaczyć – odpowiedział Umber. – Gdyby znał pan Vesa, dotarłby do pana absurd tej sugestii. Volette arogancki? Nigdy by celowo nikogo nie obraził.

– Ale czasem tak się działo mimo woli? – Jax spojrzał na Dejah, która po chwili wahania pokiwała powoli głową.

– Większość osób wybaczała mu, bo był artystą, a artystów traktuje się zwykle pobłaźliwie. Mogą sobie pozwolić na rzeczy, które nie uszłyby płazem zwykłym śmiertelnikom.

– Lub wydałyby na nich wyrok – wtrącił I-Pięć.

Tym razem Umber nie ofuknął androida za odzywianie się bez pozwolenia.

– Czy Ves kiedykolwiek pana obraził, baronie? – zapytał Jax.

Umber wyglądał na zaskoczonego.

– Nie, skądże znowu! Rozumiałem jego sztukę, dlatego rozumiałem jego samego. Zawsze panowała między nami zgoda i darzyliśmy się wzajemnym szacunkiem. Co prawda, mieliśmy różne sympatie polityczne i czasem dochodziło między nami do ostrej wymiany poglądów, ale to chyba normalne... – Przerwał, a po chwili zapytał z niedowierzaniem: – Nie sądzi pan chyba, że mam coś wspólnego z jego śmiercią?

– Oczywiście, że nie – zapewnił go natychmiast Jax, choć właściwie myślał dokładnie odwrotnie. Jako Jedi zobowiązał się zawsze mówić prawdę, jednak drobny błąd w imię wyższych celów nie był chyba ciężkim przestępstwem. – Próbuję po prostu naświetlić obraz pańskich stosunków z artystą – wyjaśnił. – Dzięki temu lepiej zrozumieć, kim był i jak wyglądało jego życie towarzyskie. To z kolei pomoże zawęzić krąg jego potencjalnych wrogów, a więc podejrzanych.

– Być może był to ktoś, kto posiada dużą kolekcję rzeźb artysty – zasugerował I-Pięć. – Taka osoba mogła wpaść na pomysł, że wzbogaci się na śmierci Voletta, ponieważ wtedy wartość jego prac znacznie wzrośnie.

Jax zaczął się poważnie zastanawiać nad wyłączeniem stanowczo zbyt gadatliwego towarzysza. Korciło go, żeby wydobyć velmoriański ogniomicz z kabury u pasa i uciszyć androida raz na zawsze.

Na szczęście dla I-Pięć i ku zaskoczeniu Jaksę, baron nie wydawał się urażony uwagą protokolarnego mądrali. Zamiast tego pokiwał z namysłem głową.

– To niewykluczone. Śmierć Vesa jest jednak cały czas zbyt świeżą sprawą, żeby wpłynąć na kształtowanie cen na rynku. Ja na przykład cenię sobie wszystkie jego dzieła i nie mam najmniejszego zamiaru sprzedawać żadnego z nich. Mogę z czystym sumieniem stwierdzić, że ich wartość rynkowa jest dla mnie bez znaczenia. – Baron rozłożył ramiona, demonstrując stylowe wnętrze. – Jak widzicie, dzięki mojej pozycji i środkom mogę sobie pozwolić na życie w luksusie bez pozbywania się choćby części mojej kolekcji. Gdybym nawet był zmuszony zacisnąć pasa, moje voletty będą ostatnią rzeczą, z jaką się rozstanę.

Dejah uśmiechnęła się ciepło.

– Baron Umber bardziej niż ktokolwiek inny zasługuje na honorowy tytuł mecenasa sztuki. Ves też o tym wiedział – zapewniła Vindalianina.

Gospodarz skłonił się Zeltronce.

– Dar twojego zaufania to dla mnie ogromny zaszczyt – powiedział z wyszukaną kurtuazją. Gdy się wyprostował, spojrzał na Jaksę. – Czy mogę jeszcze jakoś pomóc? Macie ochotę poszukać w moim domu narzędzia zbrodni albo śladów DNA?

– Nie, raczej nie. – Jax uniósł w obronnym geście dłoń. – Wierzę panu, baronie, podobnie jak zapewnieniom Dejah. Przekonałem się na własne oczy, jak ceni pan sztukę artysty. Ktoś taki nie może mieć nic wspólnego ze śmiercią Vesa. – Jedi wyciągnął szyję i zerknął za plecy gospodarza. – Mamy towarzystwo? – zapytał.

Umber odwrócił się i skinął na stojącą w cieniu postać.

– Moja droga, przywitaj się z naszymi gośćmi – poprosił. – Jest z nami Dejah.

Vindalianka była słusznej postury, choć nie można było jej odmówić urody. Dymorfizm płciowy występował u większości ras człekokształtnych, ale zwykle to osobniki płci męskiej osiągały większą masę. Zwykle, ale nie zawsze. Samica, która wynurzyła się z ukrycia, była nie tylko znacznie potężniejsza od barona, ale też o parę ładnych centymetrów wyższa.

– To Kirma, moja żona – przedstawił ją Umber.

Baronowa nosiła powłóczystą, dopasowaną szatę z wirojedwabiu, która jeszcze podkreślała jej gabaryty. Jax był nieco zaskoczony. Widać to, co dla niektórych ras jest brakiem gustu, u innych stanowi szczyt dobrego smaku, pomyślał. Nie wiedział o Vindalianach zbyt wiele, więc zważywszy na fason obcisłej sukni baronowej, mógł jedynie zgadywać, że tusza jest u nich wyznacznikiem atrakcyjności lub oznaką statusu.

Jedyną ozdobę stroju arystokratki stanowiła kolia z lekko polerowanych zielonych kamieni. Jax nie znał się na astrogeologii na tyle, żeby je rozpoznać. Ponieważ wiedział już, że baronowi na niczym nie zbywało, uznał, że skromność biżuterii jego partnerki była albo zamierzona, albo po prostu Kirma nie miała czasu odpowiednio się przygotować na przyjęcie gości. Pavan mimowolnie spojrzał na Dejah. Zeltronka nie nosiła żadnych ozdób i była ubrana nadzwyczaj prosto, ale zdaniem Jaksę o głowę przewyższała klasą żonę arystokraty.

– Deej zatrudniła tego dżentelmena do znalezienia zabójcy Vesa – wyjaśnił Umber. Ponownie zignorował I-Pięć, jednak tym razem android nie zaprotestował. Przyglądał się w

skupieniu masywnej Vindaliance.

– Biedny Ves! – Kirma Umber zamruwała gwałtownie. Jax domyślił się, że w ten sposób jej rasa okazuje smutek. – Któż mógł chcieć śmierci bezbronnego artysty?

– Zniesmaczony krytyk – nie mógł się powstrzymać I-Pięć. Kirma spojrzała na niego beznamiętnie. Chyba umknął jej sarkazm androida.

– Czy już coś wiadomo? – zapytała.

– Jax Pavan, miło mi – przedstawił się Jedi. – Dopiero zaczęliśmy śledztwo. Próbujemy odtworzyć wydarzenia sprzed śmierci Vesa, rozmawiając z osobami, z którymi utrzymywał bliskie stosunki. – Wskazał na Dejah. – Postanowiliśmy spotkać się z wami, ponieważ posiadają państwo dużą kolekcję dzieł artysty.

– Mój mąż jest prawdziwym koneserem rzeźb świetlnych – zapewniła baronowa. – Muszę przyznać, że i ja jestem pod wrażeniem tej formy sztuki.

– Nie wydaje się pani zmartwiona śmiercią artysty – zauważył I-Pięć.

– Co za nedorzecznosc! – Kirma Umber zatrzepotała długimi rękami. – Ves Volette był nam bardzo bliski! Darzyłabym go zresztą taką samą sympatią, gdyby był ubogim amatorem – zapewniła z oburzeniem. – Oczywiście, nie ma się co spodziewać, że bezduszna maszyna pojmie głębię takich uczuć.

– Oczywiście, że nie – potwierdził sucho I-Pięć i zamilkł, obrażony, za co Jax był mu ogromnie wdzięczny.

– Czy nie dublujecie pracy policji? – zapytała Kirma z niepokojem.

– Tylko uzupełniamy – poprawił ją Jedi. – Prowadzimy śledztwo nieoficjalnymi kanałami. Czasem można się w ten sposób dowiedzieć naprawdę ciekawych rzeczy.

– Sami widzicie, jak bardzo wstrząsnęła nami śmierć nieodżałowanego Vesa – powiedział baron, rozkładając ręce. – Jeśli mógłbym w jakiś sposób pomóc, jestem do waszej dyspozycji.

– Dziękuję, baronie. – Jax zerknął na Dejah. – Mówiłem, że to nie zajmie dużo czasu.

– Dopiero co przyszliście... – Gdy Umber zbliżył się do Jaksa, Jedi wyczuł od niego słaby zapach pomegrailu. Nie miał tak wyczulonego węchu, żeby stwierdzić, czy to jego naturalna woń, czy syntetyczny aromat. – Może zostanieie na drugie śniadanie? – spytał uprzejmie Vindalianin.

– Dziękujemy, ale nie jesteśmy głodni – zapewnił gospodarza I-Pięć.

Baron uśmiechnął się grzecznie na dowcipną uwagę automatu.

– Czy jest coś, co mógłbym dla was zrobić? – nalegał, przenosząc wzrok z Dejah na Jaksa.

Jedi wahał się, ale tylko przez chwilę.

– Myślę, że tak. Potrzebuję kryształu skupiającego energię – wyznał. – Najlepszy będzie adegański albo luxum, ale wezmę wszystko, z czym zechce się pan rozstać.

Umber chyba źle go zrozumiał.

– Chcecie kupić jednego z moich Volettów? – zapytał.

Jax pokręcił głową.

– Nie rzeźbę. Sam KSE – sprostował.

Baron był wstrząśnięty i nie starał się tego ukryć.

– Te kryształy są zamontowane w sercu każdej rzeźby. Nie! – poprawił się szybko. – Kryształy to serca rzeźb!

Jaksa zaskoczyła nieco gwałtowna reakcja Vindalianina. Uznał jednak, że skoro odważył się już zapytać, nie podda się tak łatwo.

– Proszę wybaczyć moją ignorancję – odezwał się. – Nie jestem w tej dziedzinie ekspertem, ale czy nie dałoby się takiego kryształu czymś zastąpić? Jakimś innym źródłem energii? Może marylitem albo sprasowanymi pod ciśnieniem okruchami halurium?

Umber był nieugięty.

– Ponieważ w swojej szczerości przyznał się pan do ignorancji, nie potraktuję tego jako zniewagi. Proszę zrozumieć: kiedy z rzeźby świetlnej zostanie usunięty kryształ, dzieło jest nie do odzyskania. Te prace są niepowtarzalne, niczym nie da się zastąpić ich źródła energii. Można skopiować obraz, hologram czy utwór muzyczny... jeśli oryginał ulegnie zniszczeniu, da się go w jakiś sposób odtworzyć. Twórczość Voletta to zupełnie inna sprawa; jeśli instalacja raz zostanie wyłączona, będzie równie martwa jak świętej pamięci artysta.

– Co się dokładnie stanie, gdy wymieni się kryształ? – zapytał I-Pięć.

Kirma popatrzyła z wyższością na androida.

– Otrzymamy bezkształtną plamę światła – stwierdziła. – To wszystko. Może być nawet zabarwiona podobnie do oryginału, ale układ, przenikanie, dynamika... to wszystko zostanie bezpowrotnie utracone. – Vindalianka spojrzała pytająco na swojego partnera. – Czy nie tak, kochanie?

– W rzeczy samej – przyznał jej rację Umber. – Nie mógłbym pozwolić na zniszczenie pracy Voletta, tak samo jak nie dałbym się pozbawić kończyny. A już szczególnie w sytuacji, gdy nie ma szans na nowe dzieła. – Odwrócił się i popatrzył na swoją kolekcję. Pavan nie musiał sięgać po Moc, żeby wyczuć jego wzburzenie. – Nawet gdybym potrzebował kredytów, młody człowieku, nie mógłbym... po prostu nie byłbym w stanie tego zrobić, rozumiesz? – Przyglądał się Jaksowi natarczywie. – Nie mam prawa. Tym bardziej teraz, gdy zachowanie rzeźb Voletta jest czymś więcej niż przyjemnością. To obowiązek.

Widać było, że Dejah zgadza się z każdym słowem Umbera – podczas jego przemowy potakiwała niemal bez przerwy.

– Mówiłam ci przecież o pasji barona – przypomniała Jaksowi. – Zrobiłby dla Vesa wszystko.

– Tak, zgadza się. – Jedi westchnął. Jeśli miał gdzieś zdobyć kryształ do miecza świetlnego, to na pewno nie tutaj. Musi poszukać gdzie indziej. Chyba że, przypomniał sobie, Den będzie miał więcej szczęścia.

Kirma Umber pożegnała się z gośćmi i poszła do siebie. Baron odprowadził ich do drzwi.

– Pozwoli pan, że zapytam z czystej ciekawości, do czego prywatnemu detektywowi kryształ skupiający energię? Wiem, że tak rzadki przedmiot ma wiele zastosowań, ale nie bardzo umiem wyobrazić sobie, do czego mógłby się przydać w pańskiej profesji. Tym bardziej zważywszy na cenę takich klejnotów. – Zawiesił głos i po chwili dodał: – Oczywiście, nie musi się pan tłumaczyć. To nie moja sprawa, po co panu KSE.

– Mój właściciel jest świeżo upieczonym wynalazcą – pospieszył z wyjaśnieniem I-Pięć.
– Ma zamiar skonstruować sondę, która pozwoli mu lokalizować wadliwe połączenia synaptyczne w jego mózgu.

Jax zatrzymał się w drzwiach i spiorunował androida wzrokiem.

– Jeśli już mowa o wadliwych połączeniach, to najwyższy czas, żeby ktoś pomajstrował przy twojej blaszanej potylicy – rzucił cierpko.

– Widzi pan? – I-Pięć wskazał na Pavana oskarżycielsko. – To tylko potwierdza moje słowa.

Umber zmusił się do bladego uśmiechu.

– Twój android jest nie tylko wyjątkowo rezolutny – stwierdził. – Ma też niezwykle poczucie humoru.

– Wcale nie. – Jax przepuścił Dejah w drzwiach. – Jest po prostu pyskaty. Co do pańskiego pytania, baronie... kryształ jest mi potrzebny w pracy. Na pewno rozumie pan, że nie wolno mi zdradzać prywatnych szczegółów.

Umber uniósł pytająco brwi.

– Prywatnych? Cóż, w takiej sytuacji nie będę nalegał.

Jax patrzył, jak baron długo i wylewnie żegna się z Duare. Stanowczo zbyt długo, przeszło mu przez myśl, ale potrafił to zrozumieć. Każdy, komu choć przez chwilę dane było obcować z czerwonymi Zeltronami, szczególnie płci przeciwnej, chętnie przedłużał kontakt.

Baron w końcu uwolnił przyjaciółkę z uścisku, ale jeszcze przez chwilę trzymał jej dłonie zamknięte w swoich.

– Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, Dejah... czegokolwiek... ja i Kirma jesteśmy na każde twoje skinienie.

– Dziękuję, baronie. Za wszystko. – Zeltronka uśmiechnęła się z wdzięcznością. – Ves także byłby zobowiązany, gdyby był tu z nami.

– Jest. – Umber wskazał gestem na swoje mieszkanie. – Dzięki Vindalii zawsze będzie.

Podczas jazdy windą na parking Jax przedstawił im swoje spostrzeżenia.

– Nie sądzę, żeby baron Umber miał cokolwiek wspólnego ze śmiercią Vesa – oznajmił.

Dejah pokiwała energicznie głową.

– Mówiłam ci. To nasz najlepszy przyjaciel na Coruscant. Zawsze, gdy mieliśmy jakiś problem, Ves mógł liczyć na jego pomoc – powiedziała.

– To bardzo śmiały wniosek, po tak krótkiej wizycie w czyimś domu – wtrącił I-Pięć.

Jedi spojrzał obojętnie na androida.

– Nie zgadzasz się z moją oceną? A to dlaczego? – zapytał. – Zakładam, że masz jakiś powód, oprócz oczywiście osobistej niechęci do arystokraty.

– Nie bądź śmieszny. – Android nie dał się sprowokować. – Potraktowałem go dokładnie tak samo, jak potraktowałbym każdego podejrzanego.

– Gburowato – uściślił Pavan.

– Z dystansem – poprawił go I-Pięć. – Nie czepiam się, jestem po prostu bezpośredni. To najlepszy sposób na szybkie uzyskanie potrzebnych informacji.

– Chyba od robotów – zakpił Jax. – Jako android protokolarny powinieneś wiedzieć, że przesłuchiwanie istot żywych wymaga cierpliwości, wyrozumiałości i czegoś jeszcze. Mam wrażenie, że tego ostatniego brakuje ci szczególnie.

– Co to takiego? – zapytał z grzeczną ciekawością I-Pięć.

– Wycucie – odpowiedział mu Jedi. – Gdybym pozwolił ci dłużej paplać, wyrzuciliby nas stamtąd w ciągu kilku minut.

I-Pięć wzruszył po swoim ramionami.

– Mała strata, skoro nasza klientka już wcześniej zapewniła, że rozmowa z Vindalianinem nic nie wyjaśni.

Pavan zamilkł i odwrócił ostentacyjnie wzrok. Po dłuższej chwili I-Pięć najwyraźniej przypomniał sobie, że jest modelem protokolarnym.

– Przykro mi, że nie sprzedał ci kryształu – rzucił współczującym tonem.

Pavan wzruszył ramionami.

– Ci wielbiciele sztuki... Uważają się za nie wiadomo kogo – burknął, rozżalony.

Dejah położyła mu rękę na ramieniu. Ten zwyczajny gest uspokoił go, napełnił jego myśli optymizmem i sprawił, że się rozchmurzył. Frustracja z powodu spędzenia połowy dnia na bezowocnych dyskusjach minęła, jak ręką odjął. Jax wiedział, że Zeltronka zademonstrowała mu właśnie część tajemniczych zdolności swojej rasy.

– Muszę ci jednak przyznać rację – stwierdził android – bo zakładam, że podczas rozmowy z baronem sondowałeś go poprzez Moc.

Jax skinął głową. Turbowinda właśnie dowiozła ich na opustoszały o tej porze parking. Czekając na odblokowanie, aktywację i przybycie ich pojazdu mieli okazję nacieszyć oczy stylowymi dekoracjami otoczenia.

– Zgadza się. – Pavan potwierdził przypuszczenia przyjaciela. – Monitorowałem go przez całą wizytę. Nie znalazłem nic, co sugerowałoby, że jest w jakiś sposób zamieszany w morderstwo Voletta.

– Ja też nie – zapewnił go I-Pięć. – Brak reakcji skórno-galwanicznej, kontakt wzrokowy bez odchylenia, żadnych nagłych zmian ubarwienia, słowem, nic podejrzanego.

– W porządku. Możemy go w takim razie wykluczyć. – W głosie Pavana słychać było ulgę.

– Sprawdziłeś kobietę? – chciał wiedzieć android.

Jedi uniósł brew. Dejah, do tej pory milcząca, gapiła się na robota z niedowierzaniem.

– Chyba nie sądzisz, że Kirma Umber może mieć coś wspólnego ze śmiercią Vesa? To nonsens!

– Dlaczego? – zapytał rzeczowo I-Pięć.

Zaskoczona Dejah odpowiedziała dopiero po chwili.

– Przede wszystkim, baronowa nie interesowała się specjalnie twórczością Vesa. To jej mąż był prawdziwym miłośnikiem sztuki – przypomniawszy. – To znaczy, jestem pewna, że ona też ją podziwiała i darzyła szacunkiem... któż mógłby nie cenić Vesa? Uważam, że Kirma doskonale rozumiała pasję męża.

– To żaden argument – stwierdził chłodno android. – Każdy, kto miał kontakt ze zmarłym, jest podejrzany.

– Nawet ja? – zaatakowała go Dejah.

– Nawet ty, chociaż zostałeś wykluczona z powodu braku predyspozycji fizycznych – odparł I-Pięć.

– Braku predyspozycji fizycznych? Ty chodząca, przemądrzała płytka drukowana! Niech no tylko...

– Uspokójcie się. – Jax spojrzał surowo na I-Pięć. – Dejah nie jest podejrzana, wiesz o tym. Gdyby miała cokolwiek wspólnego ze śmiercią jej partnera, od razu bym to wyczuł.

Android wy dobył z siebie mechaniczny odpowiednik parsknięcia.

– Niech ci będzie. – Spojrzał na wciąż wściekłą Zeltronkę. – Widzisz? Zawsze przyjmuję racjonalne argumenty. Nadal jednak – zwrócił się ponownie do Jaksa – pozostaje pytanie, co z baronową.

Pavan wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– Wysondowanie jej byłoby tylko dopełnieniem formalności. Uważam, że Dejah ma rację.

Baronowa była im życzliwa, nawet jeśli nie w pełni dzieliła w pełni bezgranicznego entuzjazmu jej męża dla sztuki Voletta.

– Poza tym pamiętaj – wytknęła androidowi Dejah – że mam własne zdolności empatyczne. Nie wyczułam od Kirmy niczego niepokojącego.

– Tak czy inaczej – podsumował Jax – Pol Haus i jego ludzie z pewnością sprawdzą Umberów na własną rękę.

I-Pięć nadal nie wyglądał na przekonanego.

– Wątpię, żeby w skład ekipy kryminalistycznej prefekta wchodziła osoba władająca Mocą – zauważył.

Rozmowę przerwało pojawienie się kabrioletu Dejah. Gdy włączyli się w strumień ruchu, Jax zagryzł wargi. Ich pojazd wyprzedził wlokącą się przed nimi niezgrabną landarę i ślizgacz przyspieszył płynnie, a Zeltronka zerknęła w jego stronę.

– Co teraz? – spytała.

– Masz rejestr osób prowadzących interesy z Vesem? Będziemy też potrzebowali listę waszych znajomych spoza branży artystycznej.

Duare kiwnęła głową.

– Ktokolwiek to zrobił, pozostawił studio nietknięte – powiedziała. – Nie miałam jeszcze czasu sprawdzić wszystkiego dokładnie... – Przerwała, poświęcając całą uwagę manewrowaniu między wieżowcami. – Jeśli nic nie zginęło, powinnam mieć wszystkie dane. Kiedy was podrzucę, wrócę do domu i ich poszukam.

– Dobrze – zgodził się Pavan. – Gdy tylko dostarczysz nam listę, zaczniemy sprawdzać kontakty.

– Czego będziemy szukać? – chciała wiedzieć.

– Osób, które po śmierci Vesa zniknęły lub wyjechały – wyjaśnił Jedi. – Każdego, kto próbował wejść w posiadanie prac Vesa przed zabójstwem. A przede wszystkim tych, którzy mogli mieć motyw. Na tle politycznym, zawodowym... nigdy nie wiadomo. Może to być jakaś transakcja, która nie doszła do skutku, nieudane negocjacje... Coś na pozór błahego, jak na przykład nieumyślna zniewaga. – Spojrzał na Dejah. – Zdaję się na ciebie, jeśli chodzi o tego typu sprawy.

– Zrobię, co w mojej mocy – obiecała Zeltronka.

Gdy opuścili strumień ruchu, pojazd atmosferyczny przyspieszył i zanurkował gwałtownie, kierując się w stronę Domu Polody.

ROZDZIAŁ 12

Aurrę Sing wprowadzono do kwater nowego pracodawcy. Drzwi zamknęły się za nią z sykiem, a dwóch eskortujących ją czerwonych strażników zostało przed wejściem. Aurra znalazła się sam na sam z Darthem Vaderem.

Cały czas czujna, omiotła dyskretnie wzrokiem wnętrze komnaty. W pokoju panował półmrok, ale słabe oświetlenie jej nie przeszkadzało. Widziała wyraźnie każdy szczegół w niewielkim pomieszczeniu. Zauważyła, że z wyjątkiem dopasowującego się do ciała krzesła i prostego biurka nie było tu żadnych mebli. Jedną ze ścian aż po sufit pokrywały monitory, rzędy aparatów i sprzętu, którego na pierwszy rzut oka nie potrafiła rozpoznać.

Vader stał na drugim końcu pokoju. Ciszę przerywał jedynie miarowy odgłos wspomaganego sztucznie oddechu Czarnego Lorda. Soczewki hełmu, skrywające jego oczy – o ile miał oczy – były skierowane na Aurrę, ale w obecności Vadera nikt nigdy nie mógł być pewien, na co lord akurat patrzy. Wydawało się, że widzi wszystko i wszystkich wokół. Sing wiedziała, że to, czego nie rejestrował wzrokiem, potrafił wyczuć za pośrednictwem Mocy.

Była ciekawa, w jaki sposób Vader śpi – a raczej czy w ogóle sypia. Według jednej z legend krążących na temat biopancerza Czarnego Lorda, jego ciało zostało okrutnie zdeformowane w wyniku poparzenia kwasem albo ogniem. Po tych obrażeniach jego i gardło płuca wymagały stałego podtrzymywania funkcji mechanizmem, który nie pozwalał mu długo trwać w pozycji leżącej. Jeśli więc wierzyć plotkom, był zmuszony odpoczywać, siedząc lub na stojąco.

Różne hipotezy na temat jego pochodzenia zgadzały się zasadniczo w jednym punkcie – Vader był bardziej maszyną niż człowiekiem. Aurra zastanawiała się, skąd czerpał siłę, co pozwalało mu przeć z taką determinacją naprzód. Nawet jeśli był Lordem Sithów, jak głosiła jedna z teorii, potrzebował jakiegoś bodźca do wypełniania zleceń Palpatine'a. Nawet dążenie do celów, które sam sobie wybierał, wymagało motywacji. A tym bardziej takich celów, które innym mogły się wydawać nierealne.

Sing uważała, że wie.

Kierowała nim nienawiść.

To wściekłość gnała Vadera przez kolejne dni. Gniew był tym paliwem, które podsycało jego istnienie. Poświęcił się Ciemnej Stronie bez reszty. Sing była pewna, że nie pozostało w

nim nic ludzkiego. Nie miał ani odrobiny współczucia czy litości dla istot żywych. Więz Aurry z Mocą nie była bardzo silna, ale mówiła jej, że Vader był tak samo bezlitosny dla wszystkich, bez różnicy. Ci, którzy mieli nieszczęście znaleźć się przed jego obliczem, mogli być pewni jednego: będą traktowani sprawiedliwie – ale bez miłosierdzia.

Aby nienawiść mogła stanowić źródło motywacji, należało ją jednak na czymś skupić. Potrzebny był obiekt – albo obiekty. Sing podejrzewała, że znalezienie ofiary nie stanowiło dla Vadera problemu. Zawsze istniał ktoś, kim można było gardzić, jakieś bliżej nieokreślone masy istot, które przyciągały jego uwagę i wrogość niczym magnes. Gdyby tego zabrakło, nowego materiału, na którym mógłbym skupiać swoją agresję, zawsze potrafił dostarczyć mu Imperator. Palpatine również był pełny nienawiści, ale umiał lepiej się kontrolować, bardziej sprawnie manipulować potencjałem Ciemnej Strony. Aurra nie miała wątpliwości, że Vader pewnego dnia dorówna kunsztem swojemu władcy.

Teraz jednak przepełniające go uczucie było niczym niekontrolowany strumień, rwąca rzeka, reaktor na granicy przeciążenia. Gniew buzował w nim silniej z każdym uderzeniem tego, co zostało z jego serca. Kierował nim tak samo, jak rozpaczliwa chęć osiągnięcia celu, niespełnione pragnienie czy nagląca potrzeba napędzały inne, późniejsze istoty. Sing czuła wściekłość Vadera, gwałtowną niczym żar rozpalonego do białości pieca. Nie był w stanie jej ugasić, w najlepszym wypadku mógł starać się nią kierować. A Sing wiedziała, że do tego potrzebował obiektu.

Tym właśnie obiektem był teraz Jax Pavan. Od niedawna również dla niej.

Uwagę Czarnego Lorda z pewnością zaprzętało mnóstwo innych, niecierpiących zwłoki spraw. Aurra zdawała sobie sprawę, że sprawowanie władzy na taką skalę wymaga wielkiego skupienia i poświęcenia. Zmian ustrojowych nie dokonywano ot, tak, jednym skinieniem czy wydaniem od niechcena paru dekretów. Pracy było aż nadto: coraz to nowi politycy do przekupienia, przeciągnięcia na swoją stronę czy zgładzenia; wielkie koncerny do starcia z powierzchni planet i całe rasy czekające na decyzję o ułaskawieniu albo rozpyleniu na atomy. Nie miało znaczenia, jak dużą przyjemność mogło Vaderowi sprawić osobiste wytropienie i pozbycie się tego parszywego Jedi, Jaksy Pavana. W jego obleczonej w czarne rękawice dłoniach ważyły się losy całych światów, więc priorytet stanowiły sprawy wagi imperialnej. Musiał zrezygnować, przynajmniej na razie, z policzenia się z Pavanem osobiście na rzecz kogoś innego. Profesjonalisty. Aurry Sing.

Oczywiście, była teraz nieuzbrojona. Osoby dopuszczane do Czarnego Lorda podlegały ścisłej kontroli i imponujący arsenał łowczyni nagród skonfiskowano jej już przy wejściu do Pałacu Imperialnego. Chociaż o potęgę i odwagę Dartha Vadera krążyły legendy, Czarny Lord z pewnością nie był na tyle głupi, żeby powierzać swoje bezpieczeństwo wyłącznie Mocy. Ciemna Strona była sojusznikiem dającym wiele przywilejów, jednak prawdziwej skuteczności nie gwarantowały same umiejętności, ale też rozsądek i ostrożność. Moc czy nie Moc, Vader z pewnością nie był na tyle lekkomyślny, żeby pozwolić komuś na paradowanie

po swoich apartamentach z detonatorem albo blasterem.

– Sing. – Jej gospodarz był oszczędny w słowach.

– Lordzie Vader. – Harda łowczyni nie widziała powodu, żeby się kłaniać. Skinęła tylko ledwie zauważalnie głową. Jeśli Czarny Lord poczuł się znieważony, nie dał tego po sobie poznać.

– Spodziewałem się ciebie – stwierdził.

– Z pewnością Moc cię uprzedziła. – Bezceremonialnie podeszła kilka kroków bliżej. Rozejrzała się po naszpikowanych elektroniką ścianach, po czym przeniosła spojrzenie na swojego rozmówcę. – A więc tak mieszkasz... ciekawe.

Vader gestem wskazał komnatę.

– Mój... styl życia jest wymuszony koniecznością ciągłego nadzoru. Korzystam z rozwiązań technicznych raczej zbędnych większości istot organicznych.

Aurra oceniła krytycznym wzrokiem ostre załomy sufitu i pełne kantów płaszczyzny ścian. Skinęła głową.

– Widzę, że lubisz abstrakcję – rzuciła.

– Dobrze się czuję w otoczeniu form nieorganicznych.

– To widać – przyznała. Spojrzała na niego z zaciekawieniem. – Mówią, że cenisz sobie surowość i prostotę. A może to wszystko tylko na pokaz? – zapytała śmiało.

Jego ton nie uległ zmianie, a jednak miała wrażenie, że teraz była w nim pogarda.

– Uważasz, że ktoś taki jak ty potrafiłby zrozumieć moje intencje? – zapytał. – Daruj sobie. To poza twoim zasięgiem. Poza zasięgiem kogokolwiek.

– Źle mnie oceniasz – odparła zuchwale. – Po prostu lubię wiedzieć, dla kogo pracuję. Mój zawód wymaga zapoznania się z profilem ofiary. Osobiście hołduję zasadzie, że dobrze jest również zdobyć jak najwięcej informacji na temat zleceniodawcy.

– Kredyty... – Potężna czarna postać wypluła to słowo z obrzydzeniem. – Marna motywacja. Sing wzruszyła ramionami.

– Dla mnie w sam raz – stwierdziła. – Proponujesz coś lepszego?

Czarny Lord uniósł zaciśniętą pięść, a jego głos przybrał na sile.

– Porządek! Organizacja! – Słowa powtórzyło echo odbite od ścian komnaty.

– Wolę kredyty, dzięki – skwitowała kwaśno Aurra.

Jej rozmówca w niemym rozbawieniu pokręcił głową zakutą w lśniący hełm.

– Nawet tam, gdzie można by się spodziewać rozsądku, rozbrzmiewają żałosne głosy ignorantów.

Sing poczuła, że ogarnia ją gniew. Nie miała broni, ale to wcale nie znaczyło, że była bezbronna.

– Uważasz mnie za głupią, Lordzie Vader? – wycedziła przez zęby.

Złowroga postać się roześmiała. Niewielu osobom dane było słyszeć śmiech Czarnego Lorda Sithów. Odgłos rozbawienia, przefiltrowany przez skomplikowane systemy

podtrzymywania życia, brzmiał niczym zwielokrotniony pomruk detonatora na granicy eksplozji. Ale był to prawdziwy śmiech, szczery, chociaż bezduszny.

– Rozśmieszyłaś mnie. – Vader przechylił nieznacznie głowę na bok. – Niewielu udało się tego dokonać. Może faktycznie jesteś coś warta? – Zastanowił się.

Aurra przeniosła nieznacznie punkt ciężkości na lewą nogę, którą wysunęła ostrożnie w tył. Wbiła w Czarnego Lorda gniewne spojrzenie. To monstrum w czarnym pancerzu wyprowadzało ją z równowagi. Coś takiego zdarzało się bardzo rzadko, a gdy już do tego doszło, zazwyczaj ktoś żegnał się z życiem.

– Nie jestem niczym błaznem – warknęła. – Zatrudniłeś mnie, abym kogoś dostarczyła, żywego lub martwego. Nie pogardzę zabiciem dwóch za cenę jednego.

Wydawało się, że jej stwierdzenie rozbawiło Vadera jeszcze bardziej. Rozłożył opięte czarnym kombinezonem ramiona.

– Aurro Sing, jeśli mnie zabijesz, kto dopilnuje wypłacenia ci kredytów, których tak gorąco pragniesz? – zapytał.

Łowczyni odwróciła głowę na bok i splunęła z pogardą na lśniąca podłogę.

– Spokojna głowa, wypełniłam już odpowiednie druczki. – Zmrużyła oczy.

– Wspaniale! – zawołał i w ciszy komnaty ponownie zabrzmiał jego donośny śmiech. – Przewyższasz moje oczekiwania. Sądzę, że nasza współpraca będzie trwała i owocna.

Pochlebstwo spłynęło po niej jak kropla rtęci po gładkiej powierzchni stali.

– Współpracuję dłużej tylko z tymi, których szanuję... i którzy szanują mnie – rzuciła cierpko.

– Oczekujesz zatem szacunku? – Mroczna postać postąpiła ku niej i zastygła w bezruchu, a jej dłonie powoli zacisnęły się w pięści. – Wydawało mi się, że jedynie kredytów. Pieniądze łatwo zdobyć. To głupstwo. Szacunek... – zawiesił głos. – Szacunku nie można dostać ot tak. Trzeba na niego zasłużyć.

Rzuciła się na niego z furją, wspomagając Mocą perfekcyjnie wygimnastykowane mięśnie. Dzieliło ich tylko kilka kroków... W ułamku sekund pięść łowczyni dosięgnie jego maski i Aurra przekona się, z jakiego tworzywa wykonano kompozytową zbroję. Nie знаła nikogo, komu udałoby się wcześniej zobaczyć, co kryje się pod czarną maską. Miała zamiar sprawdzić to sama. Jej plan nie doszedł jednak do skutku. Czarny Lord po prostu unióś prawą dłoń i ciało Aurry, pchnięte niewidzialną siłą, przeleciało przez cały pokój. Chociaż cios ją zaskoczył, nie przestała trzeźwo myśleć. Przybrała w locie pozycję embrionalną i odbiła się nogami od przeciwległej ściany. Wylądowała płynnie, w pewnym rozkroku. Natychmiast przyjęła postawę bojową.

– Odruchy zwierzyny – podsumował Vader. Chociaż pod ręką miał miecz świetlny, najwyraźniej nie zamierzał go użyć przeciwko niej. – Tego właśnie potrzeba Imperium: sfory dobrze wyszkolonych, oswojonych bestii.

– Oswojonych?! – wykrzyknęła. – Zaraz ci pokażę, kto jest oswojony! – W połowie

wysokoku Aurra sprawnie zmieniała położenie ciała, aby zwiększyć siłę kopnięcia.

Nadnaturalnie szybkim ruchem, który mimo to sprawiał wrażenie wykonanego od niechcenia, Vader uchylił się i zatrzymał jej atak, wyciągając po prostu dłoń. Silniejsze pchnięcie złamałoby jej z pewnością kręgosłup. Dotyk Czarnego Lorda był niemal jak pieszczota – Vader sygnalizował jej tylko, do czego był zdolny.

Wylądowała w przysiadzie i runęła na niego z furią jeszcze raz. Poruszała się niczym błyskawica – nawet maszyna miałaby problem z dorównaniem jej szybkością. Gdy dopadła Vadera, wysunęła prawą stopę i zatoczyła nią krąg: miała zamiar podciąć mu nogi.

Równie dobrze mogła próbować ściąć spizodrzewo. W ostatniej chwili Czarny Lord wyciągnął w jej stronę ramiona. Przez pokój przetoczyła się gwałtowna fala Mocy, która niemal ściąła z nóg strzegących wejścia strażników. Nie stało się tak tylko dlatego, że to nie oni byli celem ciosu.

Spokojnie, jak gdyby podziwiając nowy eksponat w Imperialnym Muzeum, Vader obszedł rozpląszczoną na podłodze postać. Aurra Sing leżała na wznak, niezdolna do żadnego ruchu. Miała wrażenie, że do ziemi przygniata ją ogromny ciężar. Z bezsilną wściekłością obserwowała, jak Mroczny Lord przechadza się niespiesznie wokół, a potem znika z jej pola widzenia.

Bardziej poczuła, niż zobaczyła niedbały ruch jego dłoni. Nagle znów mogła oddychać. Gdy wstała, sięgnęła ręką do gardła. Zalała ją kolejna fala gniewu.

Vader machnął w jej stronę ręką, nie zaszczyciwszy nawet spojrzeniem.

– Wystarczy, łowczyni – rzucił. – Popełniłaś karygodny błąd, jak ktoś, kto ma nikłe pojęcie o potędze Ciemnej Strony Mocy.

Aurra z trudem utrzymywała się na nogach. Wpatrywała się w swojego przeciwnika, dysząc z wyczerpania.

– Jaki błąd? – spytała kwaśno.

– Nie wiesz, jak ją kontrolować – wyjaśnił. – Pozwalasz, żeby to ona tobą kierowała. Oto cała różnica między nauczycielem a uczniem. Potrafisz korzystać z Mocy, ale obawiam się, że nigdy jej nie okiełznasz.

Aurra uniosła ręce i przyjęła pozycję obronną.

– Skoro zamierzasz mnie zabić, przestań gadać i zrób to! – wyzwała go.

– Zabić? Ciebie? – Po raz pierwszy Vader wyglądał na zaskoczonego. – Czemu miałbym się ciebie pozbywać? Choć jesteś kiepsko wyszkolona, nadal więcej z ciebie pożytku niż z rozmaitych niekompetentnych istot, z którymi mam do czynienia na co dzień. Masz odwagę, umiejętności, jesteś zdeterminowana. Taki potencjał nie powinien się marnować – stwierdził. – Twoja zuchwałość mi nie przeszkadza. Czemu miałbym zabijać kogoś, kto może mi się przydać?

Zmienił coś w ustawieniu przełączników na panelu piersiowym i jego głos stał się nieco łagodniejszy.

– Powiedz mi, łowczyni, jak przebiegają poszukiwania Jedi Jaksy Pavana? – zapytał.

Sing oddychała już spokojniej. Rozluźniła się i opuściła swobodnie ramiona. Odręczenie oznaczało kapitulację, ale teraz już wiedziała, że w obecności Vadera nie miało znaczenia, jak dobrze była przygotowana do walki. Wynik był z góry przesądzony i nie musiała korzystać z Mocy, aby o tym wiedzieć.

– Zdobywam informacje. Pomimo mojej reputacji nie jestem w Imperialnym Centrum znana na tyle, żebym nie musiała nawiązywać nowych kontaktów, wyszukiwać nowych źródeł. Czasem potwierdzenie tożsamości zabiera nieco czasu. – Uśmiechnęła się paskudnie.
– Musiałam porachować trochę kości.

– Ku chwale Imperium – pochwalił ją Vader. – Rób, co uważasz za stosowne. Metody mnie nie obchodzą. Chcę efektów.

– Tak słyszałam. – Pokiwała głową.

– Potrzebujesz czegoś? Wystarczy jedno moje skinienie, a...

Ośmieliła się wejść mu w słowo.

– Wiem o tym, ale jestem już blisko. To nie potrwa długo. Czuję to. – Rozchyliła nozdrza.

– Poprzez Moc? Czyżbyś umiała kontrolować ją do tego stopnia?

– Nie poprzez Moc – zaprzeczyła. – Dzięki instynktowi. To coś innego. Nazwałabym to... skutkiem długoletniego doświadczenia.

– Wiem o twojej długowieczności. Oby dalej dobrze ci służyła.

Tym razem Aurra skłoniła głowę z większym szacunkiem.

– Ku twojej chwale, Lordzie Vader.

Czarny hełm pochylił się w geście uznania.

– Wygląda na to, że nawet taka dzika bestia jak ty szybko się uczy – powiedział Vader. – Zachęcające. Teraz ruszaj i wróć z kością, po którą cię wysłałem.

Skłoniła się raz jeszcze i z upiornym uśmiechem na ustach opuściła komnatę.

Omówienie interesów miało niekonwencjonalną formę, ale okazało się owocne. Udowodniła Czarnemu Lordowi, że jest warta swojej ceny. A poza tym każde spotkanie z Darthem Vaderem, które nie skutkowało śmiercią czy okaleczeniem gościa, można było uznać za udane.

ROZDZIAŁ 13

Rynek Ploughtekal nie był największym bazarem na terenie Imperialnego Centrum, choć właściwie nie było sposobu, żeby to stwierdzić ze stuprocentową pewnością – tym bardziej że teren i liczba handlarzy na targowisku zmieniały się nieustannie. Istoty, które prowadziły tu interesy – a często również mieszkały – nie były zbyt skłonne do współpracy z władzami, i nic dziwnego; gdyby zarejestrowały swoją działalność, nałożono by na nie podatki.

O Ploughtekal mawiano, że w jego otchłani można znaleźć wszystko: przedmioty i usługi legalne, nielegalne albo niewyobrażalne były na wyciągnięcie ręki – naturalnie, jeśli tylko wiedziało się, do którego miejsca w labiryncie uliczek i poziomów należy się udać. Większości sklepików próżno by szukać w wykazach elektronicznych – trzeba było je znajdować w sposób tradycyjny: chodząc i pytając o drogę.

Słowa niosły się po uliczkach i zaułkach Ploughtekal z prędkością holonewsów. Wywiad imperialny powiadamiał policję sektora o szczególnie przestępczych procederach, ale gdy łapsy przybywały na miejsce, po dawno zwiniętym interesie nie było już śladu. Otwierano go gdzie indziej, kilometry dalej i poziomy wyżej czy niżej, pod całkiem inną nazwą. Właściciele przenosili i zamykali swoje kramy nieustannie, niczym w przedziwnej i skomplikowanej parodii dejarika, rozgrywanej jednocześnie przez tysiące graczy.

Innymi słowy, było to coś na kształt piekła planistów, jak często w myślach nazywał to miejsce Den.

Wąskie uliczki zapępniały ciasno stłoczone stragany, oferujące wszystko – od kawałków pieczonego jastrzębionietoperza po zakazane holofilmy. Liczba stoisk była jednak niczym w porównaniu z wielogatunkowym tłumem istot wybierających, naciągających i targujących się o cenę. Kakofonia krzyków, skrzeków, pisków, ćwierkania i setek innych form komunikacji sprawiała, że Den zaczął obawiać się o swoje delikatne uszne membrany. Jakby tego było mało, powietrze przesycił tu zawsze gęsty, lepki odór wszelkiego rodzaju potraw: od gungańskiej polewki po wookiańskie luau, a także zmieniających świadomość używek, począwszy od stympręcików, a na przyprawie i igiełkach śmierci kończąc. Wszechobecny smród niemytych ciał tysięcy ras dopełniał piorunującego efektu. Den pomyślał, że w porównaniu z cuchnącym chaosem Ploughtekal czas spędzony na Drongarze był sielanką.

Maszerując uliczkami na poziomie H-26, Sullustanin wertował wyświetlacz osobistego

asystenta wielozadaniowego, zwanego w skrócie OAW. Miał w nim spis wszystkich części, których Jax potrzebował do sklecenia prostego świetlnego miecza. Na liście znajdowało się absolutne minimum elementów koniecznych do zbudowania eleganckiej i śmiertelnej broni rycerzy Jedi. Drugi wykaz zawierał części, które uczynią broń Jaksy bardziej funkcjonalną i dopasowaną do jego indywidualnych potrzeb.

Tani plecak na grzbiecie reportera był w połowie pełny. Niektóre części znalazł z łatwością, bo były powszechnie dostępne, jak na przykład soczewki skupiające czy emitery, nadprzewodniki i ogniwa zasilające. Przy całej różnorodności asortymentu oferowanego na Ploughtekal, pozostałe elementy były albo trudno dostępne, albo nieprzyzwoicie drogie. Powoli, metodycznie Den pokonywał tę drugą przeszkodę, korzystając z sieci kontaktów i swoich słynnych zdolności mediacyjnych. Gdyby jednak nawet zdobył wszystkie przedmioty z listy, bez kryształu całość była warta tyle co kupa złomu, uświadomił sobie z ponurą rezygnacją.

– Uważaj, jak chodzisz, pokrako! – wykrzyknął z oburzeniem do istoty, która omal go nie rozdeptała.

Masywny Herglic odsunął się pospiesznie na bok z pełnym skruchy chrząknięciem. Mógł z łatwością zmiażdżyć Sullustanina jedną stopą i nawet tego nie zauważyć, ale przedstawiciele jego rasy byli zwykle zawstydzeni swoimi gabarytami. Dlatego właśnie Den pozwolił sobie na okazanie złości. Gdyby do takiej kolizji doszło z parą Cantrozjan idących tuż za Herglicem, byłby zapewne nieco mniej odważny. Szybki ruch jednej łapy któregoś z kotowatych mógł zagwarantować mu ekspresowo gorączkę cantrozjańskiego pazura.

Z westchnieniem zerknął jeszcze raz na listę w OAW i odhaczył kilka kolejnych pozycji.

Całkiem nieźle mi idzie, pomyślał. Szczególnie, że zdołał to wszystko zebrać w tak krótkim czasie i stosunkowo niewielkim kosztem. Jeśli dodać elementy dostarczone wcześniej przez Rhinanna, Jax powinien mieć teraz dość komponentów do rozpoczęcia budowy miecza. Den musiał przyznać, że chociaż Elomin działał mu często na nerwy, dobrze znał swój fach.

Błądząc od sklepu do sklepu, od źródła do źródła, mozolnie gromadził część po części, targując się zaciekle. Nadal jednak nie zdołał zdobyć kluczowego elementu miecza – kryształu skupiającego energię, KSE.

– To jeszcze nie koniec – wymamrotał do siebie. W najgłębszych czeluściach rynku wciąż istniało parę miejsc, w których miał zamiar spróbować szczęścia.

Chociaż wydawało się to nieprawdopodobne, im dłużej przedzierał się przez kipiący, gwarny labirynt, tym tłum stawał się gęstszy. Den wiedział doskonale, że tłok i hałas są nieodłącznymi cechami podobnych miejsc na wszystkich światach, ale dla kogoś o posturze Sullustanina wędrówka przez ogromny rynek na dłuższą metę stawała się męcząca, a nawet niebezpieczna. Z drugiej strony jednak, niski wzrost pozwalał mu przedostawać się do miejsc, do których przedstawiciele potężniejszych ras nie mieli dostępu. Niestety, w żadnym z nich nie natrafił na najmniejszy ślad niczego, co przypominałoby choć odrobinę KSE. W końcu dał

za wygraną.

Z całkiem okazałym skądinąd zbioru dostarczonych części Jax powinien bez trudu złożyć miecz świetlny, pomyślał reporter, kierując się ku wschodnim krańcom wielkiego bazaru. Tyle że urządzenie nie będzie działało. Sullustanin włożył się powoli w stronę odległego wyjścia. Miał dość przedzierania się przez tłum gruboskórnych i ordynarnych istot. Pomyślał z ponurą satysfakcją, że jeśli jego bagaż zacznie mu zbyt ciężko, zawsze może po prostu zacząć rzucać jego zawartością w irytującą hołotę.

Gdy już miał opuścić rynek, coś przykuło jego uwagę. Wyciągnął szyję i w jednym z kiosków, pośród masy szemranych artykułów, wypatrzył podrabiane odznaki policyjne. Den podszedł bliżej i przyjrzał im się uważnie. Widywał już wcześniej fałszywki, ale musiał przyznać, że te były całkiem niezłej jakości. Stopień posiadacza, jego podobizna i numer odznaki wydawały się unosić w powietrzu, tuż ponad powierzchnią płytki – wyraźne i wiarygodne.

Kaprawy Toydarianin, najwyraźniej właściciel budy, zauważył jego zainteresowanie. Poszperał pod ladą i wyciągnął spod niej odznakę z wizerunkiem Sullustanina. Szczęząc zębami, podsunął ją Denowi pod nos.

– Hm? Eeee? Podobieństwo doskonałe, czyż nie? Hm? Tylko cztery kredyty... okazja!

Den nie musiał długo się przyglądać, żeby uznać podobieństwo za zdecydowanie niewielkie. Sullustanin na hologramie miał dużo cieńsze fałdy policzkowe i węższe wargi, nie mówiąc już o tym, że jego skóra miała odcień o ton jaśniejszy od Dena. Reporter wiedział jednak aż za dobrze, że takie detale były nie do wyłapania przez kogoś spoza jego rasy. Sięgnął po portfel. Miał pewien pomysł...

Powierzchnię Imperialnego Centrum pokrywały niezliczone budynki, które zaprojektowano z myślą o wywarciu na mieszkańcach i turystach jak największego wrażenia. I tak na przykład Stadion Orvum był wyjątkowy nie z powodu możliwości pomieszczenia setek tysięcy widzów, ale dlatego, że każde z jego siedzeń mogło zostać przystosowane do indywidualnych potrzeb wielu ras. Pobliski Komplex Protoriański składał się z pięciu strzelistych iglic połączonych przejrzystą bańką, która mieściła trzy wykwintne restauracje i tarasy widokowe dla turystów.

Wysoko, ponad warstwą chmur wznosiła się imponująca Wieża Aquala. Podtrzymywany przez liczne generatory pół budynek składał się w całości z wody. Istoty nieprzystosowane do życia w środowisku wodnym mogły wypożyczyć odpowiedni aparat oddechowy i nurkować w wielopoziomowym akwarium. Dla organizmów posiadających skrzela był to prawdziwy raj, pełen wygód i licznych atrakcji.

Największe koncerty w galaktyce prześcigały się cały czas w tworzeniu coraz to bardziej widowiskowych, nowoczesnych i imponujących siedzib. Komplex biur Mobolo Machines składał się z kilku wieżowców krążących nieustannie w powolnym, dostojnym tańcu. Kwatera główna Kiskar Repulsorlifts stanowiła żywą reklamę spółki – jej budynki unosiły się

dokładnie pięć metrów nad ziemią. Każdy mógł spacerować pod olbrzymią konstrukcją i podziwiać potęgę technologii, która utrzymywała budowlę w powietrzu na dokładnie tej samej wysokości dzień po dniu.

Kapitan Typho wysiadł z powietrznej taksówki w pobliżu obiektu, który wyglądał raczej niepozornie w porównaniu z pełnymi przepychu centrami rozrywki czy okazałymi wysokościami. Pomimo celowej skromności architektonicznej, surowe bryły biurowców budziły u większości istot uzasadniony respekt, a także odrobinę lęku, ponieważ były siedzibą imperialnego rządu.

Aby zakwaterować niezliczone oddziały służb cywilnych Imperium, zmodyfikowano istniejący kompleks biznesowy. Na pozór było to umotywowane oszczędnością czasu i kosztów. Prawdziwą przyczyną była chęć zatajenia wielu wprowadzonych tam rozwiązań, które z pewnością by zaszokowały i oburzyły nieliczne organizacje obrony praw obywatelskich, nadal działające w Nowym Ładzie.

Z zewnątrz grupa biurowych budynków zachowała pierwotny, nieciekawo wygląd. W środku zmieniono je nie do poznania. Poza ściśle chronionym specjalistycznym aresztem tymczasowym dla niebezpiecznych więźniów politycznych mieściło się tu w pełni wyposażone centrum medyczne, zapewniające imperialnemu personelowi najlepszą opiekę. Część pięter zajmowały luksusowe kwatery mieszkalne. Supernowoczesne urządzenia komunikacyjne pozwalały nowemu rządowi utrzymywać stały kontakt z licznymi, nawet najbardziej oddalonymi światami, koloniami i sojusznikami. Podobnie jak w Pałacu Imperialnym, zainstalowano tu kosztowne systemy podtrzymywania życia, zdolne zapewniać na stałe optymalne warunki. Gdyby okazało się to konieczne, twierdza biurokracji mogła znakomicie funkcjonować przez długi czas bez żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym.

Typho, zbliżając się do budynku, stwierdził, że jest pod wrażeniem, ale nie czuł się przytłoczony. Pragnienie wypełnienia misji, które przywiodło go tutaj aż z Naboo, było silniejsze niż strach, a nawet niż śmierć.

W środku wmieszał się natychmiast w strumień interesantów. Chociaż porządku pilnowały tu liczne służby, przedstawiciele wielu cywilizowanych światów sporadycznie potracali się i przepychali w walce o miejsce w kolejce. Nikt nie miał zamiaru spędzać tu więcej czasu, niż było konieczne. Każdy miał do załatwienia jakieś interesy, których nie można było załatwić inaczej niż osobiście. Typho zdawał sobie z tego doskonale sprawę. Sam przybył tu po informacje, których nie mógł uzyskać w żaden inny sposób. Zemsta na odległość nie jest najlepszym wyjściem.

Chociaż kompleks był ogromny, obsługa przebiegała nadzwyczaj sprawnie. I całe szczęście. Skazanie tysięcy sfrustrowanych istot na wielogodzinne okupowanie korytarzy nie skończyłoby się dobrze.

Typho również miał nadzieję, że nie zabawi tu długo. Sam był swego czasu trybikiem w urzędniczej machinie na ojczystej planecie, znał więc dobrze system funkcjonowania

kompleksów rządowych. Ten, w którym się znajdował, był wprawdzie znacznie większy aniżeli jakikolwiek inny, działał jednak całkiem podobnie. Pomimo sporadycznych potknięć, Typho nie miał zbyt wielu trudności z przebrnięciem przez stosy wymaganych flimsidruczków ani trafieniem do odpowiednich stanowisk.

Jego wytrwałość w końcu została nagrodzona i znalazł się w skromnym pokoju, gdzie kilkanaście istot obsługiwało petentów. Mniej więcej połowa urzędników to byli ludzie, a resztę stanowiła zbieranina rozmaitych ras. Typho cierpliwie czekał na swoją kolej. W końcu został wezwany do punktu obsługiwanego przez niewielką istotę, która po potwierdzeniu jego tożsamości i przejrzeniu wymaganej dokumentacji była gotowa mu pomóc.

Kapitan widywał już wcześniej Jenetów na takich stanowiskach. Gryzoniopodobne stworzenia były niskie i korpulentne, miały wystające siekacze, a głowy i grzbiety porośnięte kępkami białego futra, więc z punktu widzenia istot człekokształtnych nie stanowiły najatrakcyjniejszej z ras. Powszechnie znana była jednak ich skrupulatność oraz niezawodna pamięć. Chociaż Imperator służył z pogardy wobec ras innych niż ludzka, umiał wykorzystywać ich wyjątkowe zdolności, zatrudniając na odpowiednich stanowiskach. A któż lepiej niż Jenetowie może się sprawdzić w biurokracji, gdzie najważniejsza jest pamięć do szczegółów? – pomyślał Typho, obserwując gryzoniopodobnego przy pracy.

Jenet mówił przy akompaniamencie irytujących chrząknięć i pisków, ale kapitan musiał przyznać, że jego basic był całkiem niezły.

– Twierdzisz więc, że jesteś Typho, kapitan ochrony rodziny królewskiej na Naboo? – zapytał urzędnik.

– Tak – zapewnił mężczyzna.

– Nazywam się Losh. Widziałem wcześniej holoobrazy twojego świata. Wygląda jak wielka, brzydka kałuża – stwierdził Jenet.

Typho pokiwał głową.

– Masz rację, ale i tak pod względem brzydoty nic nie może się równać z Garban – oznajmił.

Jenet poruszył z uznaniem wąsikami na takie znieważenie ojczystej planety jego rasy. Widać było, że jest bardzo zadowolony i nieco zaskoczony.

– Znasz zwyczaje Jenetów?

– W ogólnych zarysach – przyznał Typho skromnie. – Do moich obowiązków jako pracownika ochrony należy znajomość protokołu galaktycznego. Prawienie komuś z systemu Tau Sakar, a tym bardziej z samej Garban, wyszukanych komplementów nie byłoby dobrym pomysłem.

– W rzeczy samej. – Biurokrata był pod wrażeniem. Bardzo rzadko spotykał interesantów, którzy wiedzieli i rozumieli, że u Jenetów obrzucanie się obelgami świadczyło o uznaniu i szacunku. – Twoja tożsamość się zgadza, dokumenty również. – Przebiegł wzrokiem po informacjach wyświetlanych przed nim w powietrzu, gładząc lewy wąsik. –

Widzę, że nie pierwszy raz odwiedzasz Imperialne Centrum? Typho ponownie przytaknął.

– Miałem już wcześniej tę przyjemność.

– Nie muszę ci chyba reklamować licznych atrakcji planety-miasta? – Istota wydała z siebie piskliwe westchnienie. – Co prawda, jako urzędnik średniego szczebla, mam szczęście, jeśli znajdę raz w roku tydzień lub dwa na oddawanie się tym atrakcjom. Co cię tu sprowadza, kapitanie? – spytał.

Pomimo miłej atmosfery Typho ani na chwilę nie stracił czujności. Jenet wykonywał swoje obowiązki niezwykle fachowo: luźna pogawędka miała uspić ostrożność petenta i skłonić go do wyjawienia jak największej ilości informacji.

– Nie przyjechałem tu w celach turystycznych – przyznał bez ogródek.

Jenet poruszył gwałtownie wąsikami.

– Domyśliłem się – rzucił. – To nie punkt obsługi turystów. Powtórzę raz jeszcze: czego szukasz?

– Informacji – odparł kapitan.

– A konkretnie? – Losh wskazał na pozostałe stanowiska. – Nie jesteśmy w parku rozrywki. Nasza sekcja zajmuje się podróżami rządowymi – przypomniał. – A ty jesteś pracownikiem rządowym, choć pochodzącym z pośledniejszego systemu planetarnego. Niech zgadnę: szukasz informacji dotyczących podróży kogoś z Naboo? Kogoś, kto wykorzystał fundusze państwowe do odwiedzenia Imperialnego Centrum w celach pozarządowych?

– Nie – zaprzeczył Typho.

– Hm... A więc śledzisz kogoś, kto ominął systemy ochrony Naboo i przybył tutaj szukać azylu – zgadywał dalej Jenet.

– Również nie. – Chociaż drugi strzał urzędnika był znacznie celniejszy, kapitan zwlekał z wyjaśnieniami.

Ciekawość istoty sięgnęła szczytu. Właśnie trafiła mu się szansa oderwania od codziennej rutyny; chętnie zaangażuje się w konsultacje bardziej niż zwykle.

– Wygląda to na coś niezwykłego – stwierdził ze znanstwem. – Kapitanie, miło mi się z tobą gawędzi, chociaż na widok twojej brzydkiej gęby robi mi się niedobrze – dodał grzecznie. – Czeka na mnie jednak dużo innych obowiązków. W czym mogę ci pomóc? Postaraj się o zwięzłą relację.

– W porządku. Przyszedłem tu, żebyś użył tych swoich kaprawych oczek – wyjaśnił uprzejmie Typho – do znalezienia nazwisk pewnych osób, które odwiedziły konkretne miejsca w określonym czasie.

– Szczegóły podróży. – Wąsiki Jeneta drgnęły. – Nic prostszego. – Różowe palce istoty zatańczyły wokół kontrolek unoszących się nad biurkiem. – Słucham.

Podczas podawania danych Typho próbował nie okazywać zdenerwowania.

– Kiedy senator Padme Amidala z Naboo doznała śmiertelnych obrażeń na terenie kopalni na Mustafar, ochraniał ją Jedi Anakin Skywalker. – W tym momencie jego dociekania

stawały się niebezpieczne. – Chcę wiedzieć, czy ów Jedi przeżył, a jeśli tak, poznać miejsce jego pobytu.

Wąsiki Losha znieruchomiały i istota cofnęła ręce znad wirtualnej klawiatury.

– Wszyscy Jedi zostali zgładzeni. Imperator pozbył się na dobre tego parszywego robactwa z galaktyki – przypomniał. – Szukanie danych na ich temat stanowi naruszenie imperialnego prawa. Jako pracownik ochrony, powinien pan o tym doskonale wiedzieć, kapitanie.

Typho spodziewał się takiej reakcji.

– Utrata nieodżałowanej senator Amidali stanowiła okrutny cios dla mieszkańców naszej planety – powiedział. – Jako urzędnik odpowiedzialny za jej osobiste bezpieczeństwo, mam szczególny interes w ustaleniu okoliczności jej śmierci. – Jego słowa brzmiały szczerze. – Chociaż jesteś tylko marnym gryziptiórkiem i awans na wyższe stanowisko leży poza zasięgiem twojego wątego umysłu, z pewnością to zrozumiesz i okażesz współczucie.

– Codziennie jestem zmuszony obcować z podobnymi idiotami, ulituję się więc również nad tobą – odparł Jenet. – Współczucie nie wchodzi jednak w zakres moich kompetencji.

– Informacje są dla mnie cenniejsze od współczucia – zapewnił go gorliwie Typho.

Losh nadal wyglądał na niezdecydowanego, a Typho starał się z całych sił zachować spokój. Wiedział, że szczeropodobna istota może w każdej chwili zakończyć konsultacje i odesłać go z kwitkiem. Jeśli tak się stanie, kapitan będzie musiał zaczynać całą zabawę od nowa – w innej sekcji, z innym urzędnikiem. Szybkie sprawdzenie szczegółów ujawni kolejnemu pracownikowi, że kapitan dopiero co rozmawiał z konsultantem. W najlepszym wypadku jego żądanie zostanie po prostu odrzucone. W najgorszym ktoś zainteresuje się ochroniarzem szukającym zakazanych informacji i... – Typho zadrżał na samą myśl, chociaż nadal bardziej niż na ratowaniu własnej skóry zależało mu na rozwiązaniu zagadki śmierci Padme.

Po dłuższej chwili palce Losha zaczęły manipulować przy ekranie.

– Nie wiem, czemu w ogóle ci pomagam. Nie powinienem tego robić. Wyszukiwanie informacji o podróżach Jedi to nie moja działka – burknął.

– Robisz to, ponieważ jesteś marną, sfrustrowaną i obrzydliwą imitacją urzędnika – wyjaśnił mu Typho.

Jenet pochylił głowę i zjeżył białą sierść na karku.

– Raczej dlatego, że mam ochotę przestać słuchać biadolenia durnego pozaświatowca – wyprowadził Typho z błędu.

Kapitan zmusił się do uśmiechu.

– Może i tak.

Uzyskanie informacji zajmowało zwykle mniej czasu niż wpisanie żądania.

– Jestem zaskoczony, ale w naszych archiwach faktycznie są dane, których potrzebujesz. Ku przestrodze mieszkańców galaktyki zachowano informacje na temat marnych losów

każdego z tych wykolejeńców Jedi. Zobacz sam. – Jednym ruchem palca istota sporządziła kopię wyników, która wyświetliła się natychmiast przed kapitanem.

Przeszukał listę wzrokiem. Obok nazwiska każdego Jedi widniały szczegóły na temat okoliczności jego śmierci. Od czasu do czasu pojawiały się słowa „niepotwierdzone”, „nie wiadomo” lub rzadziej „możliwe, że nadal żyje”. Studiował uważnie cały spis, dopóki nie natknął się na informacje, których szukał.

Z zainteresowaniem zauważył najpierw wśród pozycji oznaczonych hasłem: „prawdopodobnie przebywa na terenie imperialnego centrum” imię, które niedawno usłyszał: Jax Pavan. Obiekt polowania Aurry Sing.

Typho zdecydował, że to nie jego problem. Miał własne rachunki do uregulowania.

Odnalazł teraz wpis obok nazwiska Anakina Skywalkera. Serce zabiło mu szybciej – informacje potwierdzały, że Jedi rzeczywiście zginął na wulkanicznej planecie Mustafar. Przeczytał raz jeszcze całą listę, ale nie było tam nic na temat Padme. Choć czuł się nieco rozczarowany, wiedział, że nie ma już na co liczyć. Wykaz uwzględniał Jedi, nie zwykłych śmiertelników, zresztą o śmierci Padme było głośno w mediach, a już szczególnie na Naboo.

Rzucił ostatnie spojrzenie na wyświetlacz. Nie było słowa o tym, co Skywalker robił na Mustafar, kiedy zamordowano panią senator, choć to akurat Typho wiedział. Jedi miał strzec Padme. Kapitana zaskoczył brak opisu sposobu śmierci Skywalkera – podano tylko suchy fakt o miejscu.

Typho zamyślił się głęboko. Skywalker nie był pierwszym lepszym Jedi. Był jednym z najlepszych, biegle władającym Mocą, osobiście wyznaczonym do ochrony pani senator. Kapitan nie mógł sobie wyobrazić, kto jeszcze, obecny w tamtym czasie na Mustafar, mógłby zabić Padme w sposób potwierdzony przez autopsję.

A jeśli Skywalker naprawdę zabił Padme, to w jaki sposób zdołał potem uciec? I, co ważniejsze, dlaczego oficjalny raport sugerował, że był martwy?

Nawet jeśli to Jedi zabił Padme, to przecież Imperator wydał wyrok śmierci na wszystkich członków Zakonu. Nikt nie byłby na tyle głupi, żeby kryć kogoś z nich. A uśmiercenie Padme tym bardziej napiętnowałoby Skywalkera jako zdrajcę.

Typho stwierdził po namyśle, że w takim razie powinien przyjąć oficjalne dane za pewnik. Anakin Skywalker nie żył, choć nie wiadomo, jak do tego doszło. Na ognistej Mustafar śmierć czyhała na każdym kroku. Jeśli Jedi wpadł do wrzącej lawy lub spłonął w erupcji wulkanu, dlaczego nie było o tym słowa w raporcie? Wyjaśnienie nasuwało się samo – zginął w inny sposób. Z ręki kogoś innego?

Typho widział na własne oczy, co potrafił Skywalker. Jeśli przyczyną jego zgonu nie były niebezpieczne warunki panujące na Mustafar – a gdyby tak było, raport powinien o tym wspominać – można było podejrzewać udział osób trzecich. To miałyby sens. Ktokolwiek pragnął śmierci Padme i pozbawił ją życia, pozbyłby się najpierw z pewnością jej ochroniarza. Czy było możliwe, że istniał ktoś na tyle potężny, żeby pokonać Jedi

Skywalkera?

Typho wiedział, że mógł tego dokonać sam Imperator. Padme została jednak zamordowana, zanim jeszcze Palpatine przejął władzę w galaktyce. Kapitan zupełnie nie mógł sobie wyobrazić, dlaczego śmierć pani senator miałaby umocnić pozycję polityka. Któż więc inny mógł być na tyle silny, żeby zgładzić Skywalkera? Może inny Jedi – ale dlaczego, u licha, inny Jedi miałby chcieć śmierci drugiego rycerza, nie mówiąc już o uwielbianej senator z Naboo? Kto byłby tak biegły we władaniu Mocą i zdolny do takiej nienawiści?

Nagle go olśniło. Wszystkie kawałki układanki wskoczyły na swoje miejsca.

Sith.

Jedynie Czarny Lord Sithów mógł dysponować wystarczającymi umiejętnościami, aby pokonać Jedi równie silnego jak Anakin Skywalker. Jedynie ktoś tak do szpiku kości zły mógł zabić kogoś tak czystego i dobrego jak Padme. Typho uświadomił sobie, że pani senator była zwolenniczką Republiki, a więc miała z pewnością wielu wrogów – tak w senacie, jak i poza nim. Jej śmierć ucieszyłaby wielu sympatyków Imperium, włącznie z Sithami.

Oczywiście, przypuszczenia kapitana wymagały potwierdzenia. Im głębiej jednak Typho analizował swoją hipotezę, im dłużej oceniał szanse i prawdopodobieństwa, tym większego sensu nabierała jego teoria.

Teraz musiał zdobyć nazwisko. Znaleźć winnego. Nie sądził jednak, by taki przeciętny urzędnik miał dostęp do danych na temat Sithów.

– Wszystko w porządku? – zapytał z troską Losh. – Co nie znaczy, że obchodzi mnie samopoczucie tak żalosego pomiotu, jak ty...

– Nic mi nie jest. Upewniałem się tylko, że dostarczyłeś mi właściwe informacje, ty parszywa kupo karmy dla robali – uspokoił go rozmówca.

Wąsiki Jeneta opadły lekko.

– Wiem, że przybyłeś do Imperialnego Centrum w sprawach urzędowych, ale polecam też twojej uwadze liczne rozrywki i atrakcje dostępne na naszym świecie. – Czerwone oko mrugnęło porozumiewawczo. – Niższe poziomy oferują cały wachlarz przyjemności, których próżno szukać na innych planetach. Oczywiście, jako przykładowemu ojcu i mężowi, nic mi na ich temat bliżej nie wiadomo.

– Oczywiście, że nie. – Typho wstał. – Dziękuję za poświęcenie czasu i pomoc. Mam nadzieję, że jutro się utopisz – pożegnał się grzecznie.

– I niech twoje wzdęte zwłoki wypłyną z głębin, by unieść mojego trupa na powierzchnię – odparł uprzejmie gryzoń i szybkim ruchem dłoni wymazał informacje zawieszony w powietrzu między nimi. Konsultacja dobiegła końca.

Kapitan spokojnie opuścił budynek. Bramka ochrony nie zapiszczała, gdy wychodził, ponieważ zostawił swój blaster i miecz świetlny Sing w schowku przed wejściem do budynku. Wszyscy wokół zajęci byli załatwianiem własnych interesów. Kompleks imperialny był miejscem, w którym każdy pilnował swoich spraw. Ochrona budynku nie poświęcała

kapitanowi z Naboo żadnej uwagi. Szukali tych, którzy mogli zakłócić pracę biura lub próbowali przedostać się do sekcji o ograniczonym dostępie. Roboty-ochroniarze maszerowały sztywno, toczyły się i przemykały obok niego; ignorowali się nawzajem.

W jaki sposób Typho mógł się dowiedzieć, czy na Mustafar w chwili śmierci Padme znajdował się Lord Sithów? Jeśli faktycznie tak było, zagadka zostałaby rozwiązana. Zatrzymał się w jednej z jadłodajni. Podobnie jak każda maszyna, ciało funkcjonowało lepiej, jeśli dostarczało mu się odpowiedniego paliwa. Zjadł więc i wypił coś naprędce, chociaż miał wrażenie, że potrawę przyrządzono z popiołu.

Gdzie i jak zacząć? Komuś innemu takie wyzwanie mogło wydawać się ponad siły, ale nie Typho. Był równie doświadczony jak zdeterminowany. A gdy już raz udało mu się dostać do kompleksu imperialnego, kolejne wizyty będą łatwiejsze.

Plan działania wykrystalizował się w jego głowie pod koniec posiłku. Sith zdolny do zgładzenia Anakina Skywalkera musiał być na usługach samego Imperatora. Palpatine z pewnością trzymałby go blisko siebie, aby korzystać z jego usług, ale i po to, by po prostu mieć go na oku. Typho musi się dowiedzieć, czy w pobliżu Imperatora kręcił się jakiś Sith. Chodziły słuchy, że liczba działających jednocześnie członków Zakonu już dawno została zredukowana do dwóch: mistrza i ucznia. Kapitan wątpił, czy to prawda; jego zdaniem taki minimalizm był zbyt ryzykowny. Bardziej prawdopodobnym scenariuszem było istnienie wielu członków. Chociaż myśl o złowrogim zgromadzeniu powinna napełniać go lękiem, Typho czuł się dziwnie pokrzepiony. Wiedział dlaczego: jeśli jego wnioski okażą się celne, zabójca Padme musi przebywać gdzieś w pobliżu, gotów na każde skinienie ręki Imperatora. Szansa na odkrycie tożsamości mordercy napełniła go nadzieją i utwierdziła w decyzji.

Jutro, obiecał sobie. Gdy wypocznie, powróci w poszukiwaniu informacji dużo bardziej niebezpiecznych niż te, które udało mu się zdobyć dzisiaj. To nie będzie łatwe – w końcu nikt przy zdrowych zmysłach nie dąży celowo do spotkania z Sithem. Ale kapitan Typho nie był przy zdrowych zmysłach.

Był zakochany.

Część II

Ceremonia przejścia

ROZDZIAŁ 14

Nie bez powodu qarek'k znaczyło w neimoidiańskim „nurkowanie”. Aby dostać się do klubu, należało minąć bramę i zejść piętro niżej, do specjalnej poczekalni. Potężne repulsory po obu stronach szybu opuszczały gości pojedynczo, a skanery bezpieczeństwa, zamontowane na górze i po bokach, przeprowadzały pełną kontrolę każdego z delikwentów. Ci, którzy pomyślnie przeszli selekcję, byli delikatnie opuszczani na ziemię i mogli wejść do budynku. Tych, którym się to nie udało, którzy zachowywali się agresywnie lub sprawiali problemy, odsyłano z powrotem na ulicę.

Posiadanie broni nie było zakazane. Nieuzbrojony pieszy stanowił rzadki widok na dolnych poziomach Coruscant. Rozsądni właściciele Qarek'ka nie mieli nic przeciwko wnoszeniu przez klientów nawet najwymyślniejszych i najgroźniejszych urządzeń. Każda próba użycia broni na terenie klubu groziła jednak bliskim – i bardzo nieprzyjemnym – kontaktem z członkami najtwardszej ekipy ochroniarskiej sektora. Starzy wyjadacze, weterani Wojen Klonów, wiele w swoim życiu widzieli i radzili sobie z najgorszymi mętami – i to niejednym razem.

Właśnie do tej paskudnej przystani łajdaków, morderców i innych galaktycznych szumowin zmierzała niezwykła postać – kobieta w trudnym do określenia wieku, o czerwonej czuprynie i śnieżnobiałej skórze. Aurra Sing mogła na przykład zaakcentować swoje wejście kilkoma fikołkami i piruetami. Nie widziała jednak powodu, dla którego miałyby zabawiać szemraną klientelę Qarek'ka, więc po prostu wskoczyła do szybu i czekała cierpliwie, aż system bezpieczeństwa przeszuka ją i opuści na ziemię.

Według dostarczonego jej identyfikatora była dziś tajną agentką w misji imperialnej. Nie zadawano jej żadnych pytań. Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, widok miecza świetlnego wiszącego swobodnie u pasa spowodowałby natychmiastowe wezwanie plutonu szturmowców i Inkwizytorów. Ochroniarz sprawdzający Aurę uniósł tylko ze zdziwieniem brwi. Nikt nie śmiał kwestionować autorytetu Vadera.

Kontrola wizualna przeprowadzona przez Sakiyanina była ostatnim etapem selekcji. Gdy wykidajło potwierdził tożsamość Aurry z dokumentem, grzecznie wskazał jej drogę. Stukredytowy banknot ukryty pod kartą błyskawicznie zniknął w rękawie łysej człekokształtnej istoty.

Chociaż wyraz twarzy Sing nie zmienił się ani na jotę, łowczyni uśmiechnęła się do siebie w myślach, zapuszczając w labirynt sal. Nawet z imperialną przepustką nie zaszkodziło mieć głównego bramkarza po swojej stronie.

Jej uszy wypełnił hałas wielu zespołów grających równocześnie. Niezliczone źródła światła – stałego i ruchomego – oblewały przylegające do siebie pomieszczenia całą paletą barw, włącznie z podczerwienią i ultrafioletem. U niektórych ras zbyt długie wystawienie na dawkę któregoś z widm mogło powodować poważne poparzenia lub nawet zmiany nowotworowe. Właściciele nie ponosili jednak odpowiedzialności za takie przypadki. Każdy, kto był wystarczająco dorosły, zdegenerowany i zdeterminowany, aby korzystać z rozkoszy Qarek'ka, wchodził do klubu na własne ryzyko.

W końcu Aurra znalazła wolny stółek w sali zwanej Karmazynowym Redrumem. Barman, Amanin, spojrzał na nią z uznaniem.

– Coś do picia, twardzielko? – Hipersoniczna bańka otaczająca bar pozwalała na prowadzenie rozmowy mimo ogłuszającego jazgotu dwóch rywalizujących ze sobą zespołów.

Sing uśmiechnęła się do istoty stojącej za barem.

– Czemu sądzisz, że jestem twardzielką, płaskogłowy? Nie wyglądam na mięką i milusią? – zapytała.

Czerwone oczka Amanina, przystosowane do widzenia w słabym świetle, skupiły się na niezwyklej klientce.

– Nic z tych rzeczy, kobieto. W mojej karierze widziałem wiele podobnych do ciebie – zapewnił ją.

– Bystry jesteś – pochwaliła go. Ubarwienie wskazywało, że ma do czynienia z samcem.

– Jestem tylko barmanem – odparł skromnie. – Nie szukam kłopotów.

– Nie bój się, ja też nie szukam kłopotów, tylko informacji. Nalej mi merenzańskie złoto, z lodem – poprosiła.

Barman się zawahał.

– To kosztowny trunek – powiedział.

Kiedy Sing błysnęła kartą, zmarszczył czoło.

– Preferujemy gotówkę – wyjaśnił.

– Ale w moim przypadku zrobisz wyjątek – głos łowczyni nie dopuszczał sprzeciwu.

Amanin przyjął kartę bez słowa protestu.

– Jaki rodzaj lodu? – Wskazał na rzeźbiony barek za swoimi plecami, wypełniający całą przestrzeń między podłogą a sufitem. Półki pełne były najróżniejszych mikstur. – Mamy wszystkie rodzaje, od gorącego do suchego.

– Wystarczy tradycyjny – zapewniła go.

Przysłuchiwała się dwóm zespołom, które wypełniały wnętrze Karmazynowego Redrumu kakofonią dźwięków. Każdy składał się z przedstawicieli kilku różnych ras. Wyglądało na to, że przedmiotem rywalizacji nie jest muzyczny kunszt. Aurra odniosła wrażenie, że próbują

się po prostu wzajemnie zagłuszyć. Amanin wrócił i podał jej chłodny napój w wysokiej szklance. Sing upiła łyk i uśmiechnęła się leniwie.

– Zaczne – uznała. – A wracając do kwestii gotówki... – Odpięła powoli sakwę u pasa i pozwoliła mu zajrzeć do środka. Na widok zawartości oczy Amanina stały się niemal tak duże jak jej własne.

– Nie powinnaś nosić przy sobie tylu pieniędzy – ostrzegł ją. – Jeśli ktoś to zauważy, może ci grozić niebezpieczeństwo.

– Nie martw się o mnie – odparła beztrzesko. – Do rzeczy. Za drinka płacę kartą. Za jedzenie płacę kartą. Za informacje płacę gotówką, jasne?

Amanin był zbyt niski, aby wychylić się za bar. Podciągnął się więc na rękach, tak aby jego głowa znalazła się naprzeciwko twarzy klientki.

– Co chcesz wiedzieć? Jakich informacji potrzebujesz? – spytał ściszym głosem.

– Szukam mężczyzny o imieniu Jax Pavan. Być może posługuje się również innymi przydomkami. – Wyciągnęła holobazę. Urządzenie wyświetliło ponad barem trójwymiarowy portret człowieka, o którego pytała. Wizerunek obracał się wolno w powietrzu. – To Jedi, chociaż niezbyt doświadczony – wyjaśniła Sing.

Kąciki mięsistych warg Amanina opadły w wyrazie głębokiej troski.

– Wszyscy Jedi zostali zgładzeni. Wymordowani przez sługusów Imperatora... – Przypatrzył się jej uważniej. – Jesteś na usługach Imperium? – zapytał nieufnie.

– Pracuję na własną rękę. A właściwie na zlecenie Lorda Vadera – rzuciła beztrzesko.

Barman zawahał się, przez chwilę mierzył ją poważnym spojrzeniem, po czym wybuchnął śmiechem.

– Twardzielka z poczuciem humoru! – rzucił. – To naprawdę rzadkie. W porządku, nie mój interes, dla kogo pracujesz.

– Cieszę się, że doceniłeś mój dowcip. – Obraz zniknął i Aurra schowała holobazę do kieszeni. – Może ten ktoś wcale nie jest Jedi, a ja zostałam po prostu źle poinformowana? Szczerze powiedziawszy, nie obchodzi mnie, czy jest Wielkim Mistrzem, czy zbieraczem złomu. Po prostu muszę go odnaleźć.

– Chciałbym ci pomóc, twardzielko – zapewnił ją barman. – Moja rasa szczyści się doskonałą pamięcią.

– Wiem o tym. To dlatego tak często jesteście zatrudniani jako tropiciele. – Uśmiechnęła się zalotnie. – Apeluję do twojej natury najemnika.

– Nie mogę udzielić ci informacji, których nie posiadam. Chciałbym pomóc, ale po prostu nie mam jak. – Wyciągnął długą, trójpalczastą dłoń i wskazał na sąsiednią salę, Zieloną Dystopię. Muzyka grała tam jeszcze głośniejsze niż w Karmazynowym Redrumie. – Spróbuj pogadać z moim kumplem, Calathianinem – poradził jej.

Czego się nie robi dla pieniędzy, wolności i Czarnego Lorda Sithów, pomyślała refleksyjnie i zeskoczyła ze stolka.

Kiedy torowała sobie drogę do wskazanej przez barmana sali, natknęła się na wyjątkowo rozochoconą trójkę bywalców. Wyglądało na to, że dobre kilkanaście drinków temu założyli się, który z ich pijanej w sztok grupy utrzyma jak najdłużej pion i będzie w stanie jako tako kontaktować. Tarasowali jej przejście.

Wstawiona trójka powitała Aurę entuzjastycznie i natychmiast skupiła na niej całą uwagę. Agresywny Zabrak opierał się na ramieniu wilkopodobnego Shistavanena, a z boku chwiał się potężny Utaj.

Od wesołego tria Sing dzieliło zaledwie kilka kroków. Upiła łyk drinka i spokojnie szła do zielonej sali. Na powitanie wyszedł jej Zabrak. Był wysoki, umięśniony i, jak głosiło powiedzenie, „ululany po same rogi”. Odsłonił w uśmiechu imponujące uzębienie.

– Nie widziałem cię tu nigdy wcześniej, śnieżynko – zagaił.

– Nie byłam tu nigdy wcześniej – odparła beznamiętnie. – Przepraszam, chciałabym przejść.

Pijana istota położyła potężne łapsko na jej ramieniu. Sing obrzuciła rękę pełnym odrazy spojrzeniem i odsunęła się nieco, pozwalając, aby ześlizgnęła się z jej ciała.

– Nie próbowałabym tego ponownie – ostrzegła go.

– Dlaczego? – Jego uśmiech stał się szerszy. – Nie podoba ci się mój dotyk?

– Nieszczególnie. Poza tym nie podoba mi się twój wygląd, twoje zachowanie, twój oddech, a szczególnie twój smród. Potwornie cuchniesz – poinformowała go. Popatrzyła na resztę odurzonych kompanów Zabranka. – Jeśli mam być szczerą, wszyscy śmierdzą. Ale przynajmniej różnie. – Skrzywiła się z obrzydzeniem.

Shistavanen i Utaj wymienili rozbawione spojrzenia.

– Prawdziwa z ciebie twardzielka – uznał Utaj.

– Zabawne, to samo powiedział mi barman. Może powinnam zmienić fryzurę? – spytała ironicznie.

Twarz istoty wykrzywił grymas gniewu.

– Może powinnaś być grzeczniejsza? – zapytał bełkotliwie.

– Racja – zgodził się Zabrak. – Szkoda byłoby, gdyby takiej ślicznej śnieżynce stała się krzywda. Chcemy się tylko zabawić. – Złapał ją znowu za ramię.

Aurra Sing poczuła się nagle nieskończenie zmęczona – nie miała czasu na takie rzeczy. Przypomniała sobie jednak, że podczas polowania najlepiej nie zwracać na siebie niepotrzebnie uwagi. Postanowiła dać im ostatnią szansę.

– Powiedziałam, żebyś tego nie robił – zwróciła się do Zabranka. – Zabieraj łapę albo się z nią pożegnaj – zagroziła.

Intruz nachylił się ku niej. Jego oddech był przesiąknięty alkoholem.

– Daj buziaka. – Złożył usta do pocałunku.

Nikt nie potrafił powiedzieć, co nastąpiło potem. Każdy widział skutek, ale wszystko działo się tak szybko, że podczas późniejszego przesłuchania wszyscy powtarzali to samo:

dostrzegli tylko błysk światła.

Zabrak w jednej chwili nachylał się w stronę Sing, a już sekundę później chwiał się na nogach, patrząc z niedowierzaniem na swoje lewe ramię odcięte z chirurgiczną precyzją w łokciu. Przedramię leżało nieruchomo na podłodze. Okaleczona istota opadła ciężko na siedzenie, gapiąc się w szoku na przysmażony kikut. Pozostała dwójka przez chwilę stała w osłupieniu, jednak nie trwało to długo.

– Łapać ją! – krzyknął Utaj i razem z Wilkoczłowiekiem runęli w jej stronę. Zalśniły wibroostrza żądne krwi.

Chwilę później głowa Shistavanena wlepiła niewidzący wzrok w pstrokaty sufit, oddzielona od reszty ciała. Zdezorientowany Utaj stał bez ruchu jeszcze kilka sekund. Potem jego ciało od czubka głowy do krocza przecięła cieniutka czerwona linia, prosta jak struna, i dwie równe połówki rozpadły się na boki.

– Sprzątanie w sekcji siedem-B – mruknął dyskretnie do komunikatora barman.

Nie było nawet zbyt dużo krwi, ponieważ ostrze miecza świetlnego przypalało od razu zadawane rany. Aurra Sing upiła ponownie łyk drinka; podczas całego starcia nie uroniła ani kropelki napoju. Spokojnie wyłączyła broń i odwróciła się do pogrążonego w głębokim szoku Zabranka.

– Na twoim miejscu zamówiłabym coś mocniejszego – poradziła mu. – Wstrząs wkrótce minie. Lepiej, żebyś się przedtem dobrze znieczulił. – Zawiesiła głos, po czym dodała: – Ale zrób to raczej gdzie indziej.

Zabrak ścisnął cały czas kikut lewej ręki. W pewnym momencie potknął się i pochłonął go tłum żądnych sensacji gapiów, oderwanych na chwilę od tańca.

Sing przypięła z powrotem miecz świetlny do pasa, wróciła do baru i rzuciła Amaninowi garść kredytów.

– Nie mam czasu odpowiadać na pytania, ani twojej ochrony, ani policji sektora. To na pokrycie strat.

Trójpalczysta dłoń zwinnie pochwyciła pieniądze w locie.

– Jakich strat? – zapytał ze zdziwieniem barman.

Aurra uśmiechnęła się lekko i ruszyła do sali zwanej Zieloną Dystopią.

ROZDZIAŁ 15

Kwatery, które zajmowali na czterdziestym czwartym poziomie w kwadrancie Q-1, miały tę zaletę, że pozwalały na zachowanie anonimowości. Okoliczne apartamentowce zamieszkiwała mieszanka najrozmaitszych ras, co zapewniało doskonały kamuflaż. Aleja leżała w dodatku na uboczu, dzięki czemu Dejah mogła przylatywać i opuszczać ich lokal bez narażania się na wścibskie spojrzenia gapiów. Kiedy jej nucleon nurkował poniżej czterdziestego poziomu, medialne mynocki, bogacące się na molestowaniu osób w dowolny sposób związanych ze sławnymi i bogatymi, zwykle traciły zainteresowanie.

Czekając na jej wizytę, Jax zgromadził części dostarczone mu przez Dena i Rhinanna. Wydawało się, że jego plan nie ma sensu. Mógł oczywiście skonstruować coś wyglądającego jak miecz świetlny, ale bez kryształu będzie on zwykłą atrapą. Postanowił jednak, że nie podda się tak łatwo. Obudowa poczeka do czasu, gdy zdoła zdobyć kryształ energetyczny i umieścić go w sercu urządzenia.

Den odpoczywał w pobliżu, zatopiony w wiadomościach oglądanych na prywatnym odtwarzaczu. Niewielki ekran ze słuchawkami otaczał jego głowę niczym za duży, naszpikowany elektroniką hełm opadający na oczy. Od czasu do czasu Den wydawał z siebie pomruk uznania albo stłumiony chichot. Na drugim końcu pokoju Laranth czyściła jeden ze swoich bliźniaczych blasterowych pistoletów. Szara Paladynka nie nosiła broni na pokaz, ale lubiła, gdy blastery były czyste i działały bez zarzutu.

W odległym kącie pomieszczenia drzemał Rhinann, z ramionami założonymi na wąskiej piersi. Był wykończony po całym dniu chodzenia, węszenia i negocjowania, aby zdobyć części do broni Jedi. Oświadczył Jaksowi, że należy mu się zasłużony odpoczynek i nie zamierza w najbliższym czasie usługiwać żadnemu z nich – co to, to nie. Był dobry w gadaniu, nie w pracy fizycznej. Woli zaoszczędzić energię na bardziej godne uwagi zajęcia.

I-Pięć stał bez ruchu niedaleko Jaksy. Wydawało się, że nie jest zajęty niczym szczególnym, ale Jedi wiedział, że umysł androida analizuje nieustannie tysiące informacji jednocześnie. Czegoś takiego potrafiło dokonać bardzo niewiele istot żywych; większość form organicznych nie miała wystarczająco podzielnej uwagi.

Jax zastanawiał się, jakie sprawy zaprzętają uwagę jego mechanicznego przyjaciela. Nie miał ochoty go o to pytać, bo w ten sposób dałby blaszakowi okazję do afiszowania się

przerośniętym ego. Atak naprawdę nie przywykł jeszcze do idei samoświadomej maszyny. Trudno było mu się pogodzić z taką koncepcją. Zachowanie I-Pięć nadal wprawiało go od czasu do czasu w zakłopotanie, a nawet osłupienie. Zanim go spotkał, jego zdanie na temat miejsca automatów w społeczeństwie było takie samo jak większości mieszkańców galaktyki: roboty były narzędziami, przydatnym sprzętem, wyręczającym istoty żywe w wielu dziedzinach. W razie konieczności nie miałyby skrupułów przed posłaniem którejś z maszyn do cysterny kwasu czy rozebraniem jej na części, jeżeli oczywiście miałyby to służyć jakiemś rozsądnemu celowi. Automaty były źródłem odnawialnym: kiedy któryś z nich przestawał działać, po prostu oddawało się go na złom i zamawiało nowy, na koszt Świątyni. Zawsze było ich pod dostatkiem. Posada szefa przedsiębiorstwa takiego jak Trang Robotics czy Cybot Galactica równała się licencji na drukowanie kredytów.

Większość istot rozumnych uważała roboty za nieco bardziej skomplikowaną formę opiekaczy do grzanek. Bywały oczywiście wyjątki, jak na przykład mistrz Obi-Wan, który podczas Wojen Klonów nie rozstawał się ze swoim robotem astromechanicznym ani na chwilę. Jax znał kilka osób bardzo przywiązanych do swoich mechanicznych towarzyszy, jednak dla niego automaty były zwykłym sprzętem technicznym – nigdy nie przeszłoby mu przez myśl, że są zdolne do uczuć czy do podejmowania samodzielnych decyzji.

Wszystko się zmieniło, gdy spotkał I-Pięć. Właściwie nowy stosunek do robotów został na nim wymuszony, podobnie jak opinia na temat partnera androida, Lorna Pavana – ojca, którego nigdy nie miał okazji poznać osobiście.

I-Pięć opowiedział mu dużo na temat życia jego rodzica, ale wyrażał się denerwująco niejasno, jeśli chodziło o okoliczności jego śmierci. Jax zdołał dowiedzieć się tylko tyle, że Lorn został zabity z rozkazu kogoś zajmującego w czasach Republiki wysokie stanowisko. Ten ktoś mógł mieć nawet powiązania z samym Palpatine'em, kiedy ten jeszcze pełnił funkcję Najwyższego Kanclerza. I-Pięć oszczędnie przekazywał szczegóły i Jax nie potrafił zgadnąć, czy android po prostu więcej nie wie, czy też nie chce mu więcej zdradzić. Podejrzewał drugą możliwość. Cokolwiek jego ojciec zrobił, musiało to wywołać spore zamieszanie w czasach upadku Republiki, skoro Pięć tak niechętnie wracał do wydarzeń sprzed ponad dwudziestu lat. Jego mechaniczny przyjaciel wspominał niejasno, że Lorn wraz z padawanką o imieniu Darsha Assant byli ścigani przez zabójcę. Wysłannik miał odzyskać holosześcian, który Lorn próbował sprzedać na czarnym rynku. Padawanka i jego ojciec zginęli, a I-Pięć udało się umknąć jedynie dzięki łutowi szczęścia.

Jax przerwał swoją pracę i się zamyślił. Wszystkie próby uzyskania bliższych informacji na temat tajemniczej śmierci jego ojca spęłzyły na niczym. Był raczkującym hakerem i wyszukiwanie danych na własną rękę nic mu nie dało. Uświadomił sobie nagle, że jeśli chciał się włamywać do systemów, to ekspert w tej dziedzinie znajdował się w tym pokoju, zaledwie kilka kroków od niego.

Jak gdyby telepatycznie uprzedzony, Rhinann uniósł głowę i spojrzał na chronometr.

– Twoja przyjaciółka się spóźnia – rzucił pod adresem Jaksa.

Jedi zsunął przyrząd powiększający na czoło.

– Dejah nie jest moją przyjaciółką – sprostował. – Poza tym jestem pewien, że ma ku temu ważne powody. Tak czy inaczej, to nie nasza sprawa.

– Duare jest Zeltronką. Jej rasa słynie ze słowności. – Elomin na powrót zamknął oczy.

Wymiana zdań była wystarczająco długa, aby zainteresować Dena. Sullustanin zdjął z głowy odtwarzacz.

– Moim zdaniem to jednak nasza sprawa, Jax – powiedział z powagą. Wyciągnął z kieszeni niewielkie urządzenie i aktywował jego ekran. – A wiesz dlaczego? Spójrz tylko na saldo naszego rachunku.

– Wątpię, żeby wzrok jednostki organicznej był w stanie dostrzec tak niewielką liczbę – zauważył zgryźliwie I-Pięć.

Jax spojrzał na niego z kwaśną miną.

– Jest aż tak źle? – zapytał.

– Cóż, nie jest tragicznie. Mamy dość kredytów, aby móc jutro coś zjeść. A pojutrze...

– W takim razie nie widzę problemu – stwierdził android.

– Niedługo będziemy musieli również zmienić miejsce zamieszkania – przypomniał Den.

– Wiem o tym. – Jax zdjął urządzenie powiększające i odłożył je na warsztat. – Na co możemy sobie pozwolić? – spytał.

Sullustanin przebiegł wzrokiem dane na wyświetlaczu.

– W okolicach sektora dziewiętnastego jest pewien park... – zaczął.

– Nie wiedziałem, że jest aż tak źle – przerwał mu Pavan.

– Nie jest – zapewnił go Den, składając ekran i chowając miniaturowe urządzenie do kieszeni. – Jest gorzej.

– Dlaczego nikt mi wcześniej o tym nie powiedział? – spytał z pretensją w głosie Jedi.

– Próbowałem – zapewnił go Den. – I to kilka razy. Za każdym razem powtarzałeś mnie i Rhinannowi, że Moc nam pomoże. Myślę, że najwyższy czas, żeby się łaskawie ruszyła.

– Możemy sprzedać „Długodystansowca” – zasugerowała Laranth.

Den i Rhinann wlepili w nią zdumiony wzrok.

– Nie ma mowy – stwierdził kategorycznie Sullustanin. – Ten statek to nasza jedyna szansa, żeby wydostać się z tej wielkiej kupy gruzu. Mam nadzieję, że taki plan w końcu dojdzie do skutku, jeśli tylko wasza idealistyczna dwójka zacznie trzeźwo myśleć. W przeciwnym razie możemy skończyć, mieszkając w jego wraku.

– Jeśli mógłbym coś zasugerować... – wtrącił I-Pięć.

– A od kiedy to pytasz o pozwolenie? – Laranth odłożyła wyczyszczony blaster na blat stołu i zabrała się do jego brata bliźniaka.

– Dejah Duare – ciągnął android – jest jedyną spadkobierczynią znanego, poważanego i, co najważniejsze, zamożnego artysty. – Skupił fotoreceptory na Jaksie. – Nie widzę

przyczyny, dla której nie miałyby nam zapłacić za nasze usługi, o ile dalej ma zamiar z nich korzystać.

– Racja – mruknęła Laranth, sprawdzając emiter blastera.

– Wspaniały pomysł – dodał Rhinann.

– Jestem za – potwierdził Den.

Jax był przerażony.

– Nie mogę tego zrobić! Jako Jedi mam obowiązek pomagać istotom w potrzebie i spieszyć na ratunek uciśnionym. Nie mogę za to pobierać opłat! A już na pewno nie od kogoś, kto właśnie oplakuje najbliższych. To niemoralne! – Rozłożył bezradnie ręce. – Na dobrą sprawę takie postępowanie niewiele różni się od profesji łowców nagród. Nie jestem najemnikiem. Obiecałem sobie, że nigdy nie niżę się do takiego poziomu.

Den zgramolił się z tapczanu, który był przystosowany raczej do potrzeb przedstawicieli ras o nieco słuszniejszym wzroście. Podszedł do Jedi i pogroził mu krótkim palcem:

– Rób, co do ciebie należy i pozwól, że to my będziemy martwili się o kwestie etyczne – rzucił sucho.

Gołym okiem widać było, że Jax czuje się rozdarty. Den najwidoczniej też to dostrzegł.

– Nie mamy zamiaru cię zmuszać do zmiany ideologii... – dodał nieco łagodniejszym tonem.

– Dokładnie taki mamy zamiar – wszedł mu w słowo I-Pięć.

Den spojrzał na niego spode łba.

– Nie ma znaczenia, jak szlachetne są twoje intencje czy jak etycznie postępujemy – tłumaczył Jaksowi. – Nie ma ucieczki od pewnych prozaicznych i banalnych rzeczy. Niektórych spraw po prostu nie można ignorować. Takich, jak na przykład czynsz – podsunął.

– I jedzenie – dodała Laranth.

– Musimy przywoicie wyglądać – dorzucił Rhinann.

– Dobrze już, dobrze! – Jax odetchnął głęboko i sprawdził chronometr. – Kiedy zjawi się Dejah... porozmawiam z nią. – Powiódł udręczonym spojrzeniem po przyjaciółach. – Gdyby chodziło tylko o mnie, nadal upierałbym się przy swojej racji. Ale stanowimy zespół, więc ten jeden raz się złamię – obiecał, zrezygnowany.

– Zawsze podziwiałem zdolność ras człekokształtnych do racjonalnego myślenia – podsumował I-Pięć.

– Po przybyciu Dejah powinniśmy zająć się własnymi sprawami. – Den zwracał się do trójki przyjaciół, ale patrzył na Laranth.

Twi'lekanka zawahała się, oceniając niedokończoną pracę, po czym przeniosła wzrok na Jaksę. Jedi poczuł się zakłopotany jej spojrzeniem. Miał wrażenie, że jest całą sytuacją równie rozbawiona, co rozdrażniona. Bez słowa pozbierała części swojej broni.

W tej samej chwili zabrzmiał sygnał ogłaszający pojawienie się gościa. Skaner u wejścia poinformował ich, że przybysz jest samotny, nieuzbrojony i – na ile można było to ocenić –

nie jest przedstawicielem policji ani innych niemile widzianych organów.

– Wyjdziemy tylnymi drzwiami – poinformował Jaksa Den. Czteroosobowa grupa udała się w stronę wyjścia z pokoju. Rhinann z I-Pięć poszli za Denem, ale Laranth zwlekała chwilę.

– Dogadaj się z nią i postaraj o zaliczkę – powiedziała do Jaksa. – Nie pali się, ale nie zwlekaj zbyt długo – rzuciła.

Pavan zmarszczył czoło.

– Nie wiem, co masz na myśli – odparł zmieszany.

Laranth spojrzała na niego beznamiętnie, choć miał wrażenie, że jest nieco rozdrażniona.

– Nie mamy czasu do stracenia – wyjaśniła.

– Wręcz przeciwnie. Mamy masę czasu – zaprzeczył. – Whiplash nie zaplanował jeszcze nawet terminu wylotu Dejah. Nadal muszą zabezpieczyć trasę, a poza tym...

– Przepraszam w takim razie. Myliłam się. – Odwróciła się na pięcie, a jej lekku zawirowały, gdy wyszła z uniesioną głową.

Co w nią, u diabła, wstąpiło? – zastanawiał się Jedi. Nie miał jednak zbyt dużo czasu, aby roztrząsać tę kwestię, ponieważ rozedrgane wici Mocy przypomniały mu, że pod drzwiami czeka Dejah.

Wpuścił ją do środka. Zeltronka nie rozglądała się po otoczeniu – to nie była jej pierwsza wizyta w tym miejscu.

– Przepraszam, że poprosiłem o spotkanie u nas – odezwał się Jax. – Jak już ci mówiłem, okolica, w której mieszkamy, zapewnia dyskrecję. Wolę być bezpieczny, niż pławić się w luksusie.

Dejah nie potrzebowała jego tłumaczeń.

– Gdzie reszta? – zapytała. – Nie widzę nigdzie twojego beczelnego androida. Zwykle kręci się nie dalej niż metr od ciebie – zauważyła.

– Wolisz poczekać, aż wrócą? – spytał taktownie Jedi.

– Nie, niekoniecznie. – Zeltronka posłała mu uroczy uśmiech i mężczyzna poczuł się nieco niezręcznie. – Twoja obecność mi wystarczy – zapewniła go z rozbijającą szczerością.

Pavan stracił na chwilę rezon, ale szybko odzyskał pewność siebie. To niedorzeczne, pomyślał. Mistrz Pielu uznałby przebywanie z Zeltronem przeciwnej płci w jednym pomieszczeniu za zwykłą próbę siły woli. W końcu sojusznikiem każdego Jedi była Moc – z jej pomocą Jax mógł odpierać zagrożenia dużo groźniejsze niż zeltrońskie feromony.

Pomimo najszczerzych chęci nie mógł się pozbyć uczucia niepokoju.

– Zanim stąd odleciś, musimy uzgodnić kilka szczegółów – wyjaśnił. – Omówimy sprawy, które powinnaś załatwić przed opuszczeniem planety. Wszystko powinno wyglądać możliwie jak najbardziej naturalnie, żeby twoje zniknięcie nie wzbudziło niczyich podejrzeń. Trzeba się zastanowić, w jaki sposób zakończyć bliskie znajomości... tego typu rzeczy.

– Informacje na temat podróży. W porządku. – Przyjęła do wiadomości.

Jax ponownie się zawahał.

– Nie chcesz zapisać sobie jakichś informacji? – zapytał dla pewności.

– To nie będzie konieczne. Mam dobrą pamięć. – Dejah usiadła na kanapie, podwijając pod siebie nogi. Skupiła się bez reszty na jego słowach.

Jax zaczął wymieniać procedury konieczne dla zapewnienia bezpieczeństwa i zachowania anonimowości podczas wylotu z Coruscant, ale nie mógł oderwać oczu od obcisłego kombinezonu Zeltronki. Tkanina opinała jej ponętne kształty niczym druga, półprzezroczysta skóra. Zirytowany, przywołał Moc, aby odbić natarczywy atak feromonów. Nie pomagało. Sam widok szczupłego ciała Dejah wystarczył, aby język plątał mu się niczym zdenerwowanemu padawanowi. Winowajczyni udawała oczywiście, że w jego zachowaniu nie dostrzega nic niezwykłego. Siedziała po prostu, skupiona, i słuchała go uważnie. Jednak pamiętając o jej zdolnościach empatycznych, Jax nie miał wątpliwości, że jest w pełni świadoma jego zakłopotania. Pavan przechadzał się po pokoju tam i z powrotem, starając się zachować odpowiedni dystans, ale był pewien, że wyczuwa promieniujące od Zeltronki uczucie satysfakcji, gorące niczym nagi rdzeń reaktora.

W końcu skończyły mu się informacje, które miał jej przekazać. Pozostawała jedna kwestia, której poruszenia bał się od chwili, gdy ich klientka weszła do pokoju. Pomimo obietnicy złożonej przyjaciółom, gdy przyszło co do czego, jego natura Jedi zaczynała brać górę.

Dejah przyglądała mu się przenikliwie.

– Czy to wszystko, Jax? – spytała niewinnie.

– Nie... tak... – Płacząc się w zeznaniach, usiadł koło niej. – Dejah, nie chciałem tego robić... Starłem się wymyślić najlepsze rozwiązanie, najlepszy sposób, jak najdelikatniej dać ci to do zrozumienia...

Zamrugła szybko, a jej skóra przybrała ciemniejszy odcień.

– Jestem Zeltronką, Jax. O cokolwiek byś poprosił, jestem pewna, że twoje żądanie nie będzie niczym niezwykłym.

– W porządku. To wiele ułatwia. – Oderwał od niej wzrok, zaszokowany wizją, jakiej dostarczyła mu Moc. Dejah nie kryła swoich myśli, ujawniła je świadomie, był tego pewien. Nikt o takich zdolnościach psychicznych nie dalby się tak łatwo odczytać.

Wstał pośpiesznie z kanapy.

– To... eee... to nie to mam na myśli. Nic podobnego – zapewnił ją szybko, unosząc ręce.

Zrzedła jej nieco mina.

– Nie rozumiem. Co w takim razie tak cię krępuje? – zapytała skonsternowana.

– Chciałem powiedzieć, że nasze fundusze są na wyczerpaniu, Dejah. Jeśli mamy nadal ci pomagać, jestem zmuszony poprosić cię o... zaliczkę – wykrztusił w końcu.

Ogarnął go bezgraniczny wstyd. Rozejrzał się po pomieszczeniu, skrepowany.

Powiniennem zlecić to Denowi, powiedział sobie w duchu. Albo Rhinannowi. Czy nawet

I-Pięć. Proszenie o pieniądze nie zrobiłoby im żadnej różnicy.

Zerknął na swojego gościa z poczuciem winy. Nie chciał używać Mocy do wysondowania jej uczuć. Jak zareaguje? – zastanawiał się. Czy poczuje się urażona? Rozgniewana? Zła?

Zmusił się, aby na nią spojrzeć. Ze zdziwieniem zauważył, że Zeltronka sięga do przyozdobionej klejnotami torebki.

– Jakiej kwoty potrzebujecie? Wolicie gotówkę czy przelew? – zapytała rzeczowo.

Ogarnęła go taka ulga, że przez chwilę zrobiło mu się słabo. Dejah przyglądała mu się z nieśmiałym uśmiechem. Wyraz jej twarzy zdawał się mówić: „To nie było to takie trudne, prawda?”

Niecałą godzinę później, gdy przekazał klientce potrzebne dane i Dejah opuściła ich kwatery, dołączyli do niego towarzysze.

– Jak poszło? – zapytał Den z obawą. – Bardzo się wściekła?

– I co? – chciał wiedzieć Rhinann. – Zjemy dziś przyzwoitą kolację?

I-Pięć wydał z siebie dźwięk przypominający lekceważące prychnięcie.

– Wy, istoty organiczne, zawsze myślicie tylko o jedzeniu – rzucił ze wzgardą.

Jax rozwiął ich wątpliwości.

– Mam zaszczyt oznajmić, że dzięki łaskawości i wyrozumiałości panny Dejah Duare mamy teraz otwarty kredyt w systemie bankowości planetarnej pod dwiema nowo utworzonymi tożsamościami – ogłosił z dumą. – Każdy z was ma do nich od teraz pełen dostęp.

Kły Rhinanna zadrżały na myśl o rozkoszach podniebienia.

– Wspaniale! Dzięki ci, Jax. Nie ma nic gorszego niż być smakoszem w świecie niewybrednych żarłoków – zwierzył się.

– Chyba że jest się zmuszonym do wysłuchiwanie jednego z nich – wtrącił Den. – Ale poważnie, Jax... dobra robota – pochwalił go.

– Zgadza się – przyznał I-Pięć. – Szczerze powiedziawszy, nie liczyłem nawet na drobną zaliczkę. A otwarty rachunek... twoja skuteczność przeszła moje najśmielsze oczekiwania. Teraz mogę sobie pozwolić na dostrojenie mojego dysku logicznego.

Zadowolony z tylu pochwał Jax zauważył, że jedna osoba w ich grupie nie podziela zachwyty reszty: Laranth zajęła ponownie miejsce przy warsztacie i bez słowa wróciła do przeglądu broni.

Wzruszył ramionami. Pomyślał przelotnie, że mógłby wysondować uczucia paladynki za pośrednictwem Mocy, ale postanowił uszanować jej prywatność. Jeśli miała jakiś problem, uznał, że wyjawi swoje obiekcje, kiedy uzna za stosowne.

Nadal jednak jej obojętność przyćmiewała radosny nastrój Jaksy.

ROZDZIAŁ 16

– Szukam Cragmoloida Boulada. Podobno możesz mi powiedzieć, gdzie go znaleźć – zagadnął mężczyzna.

Zielony Nikto sprzedający bilety w obskurnej holobudzie zmierzył intruza badawczym wzrokiem.

– Kto ci tak nagadał? – zapytał z silnym obcym akcentem.

– A co cię to obchodzi? – Typho zwykle był uprzejmy i dyplomatyczny, ale gdy wymagały tego okoliczności, potrafił okazać stanowczość. W mrocznych czeluściach Coruscant było to obowiązkowe. – Możesz mi pomóc czy nie? – zapytał szorstko.

– To zależy. – Nikto potarł łuski na twarzy długimi szponami. – Masz kasę?

– Nie spodziewałem się działalności dobroczynnej. – Kapitan wyjął z kieszeni garść kredytów. Duże, czarne oczy Nikto wypełniła chciwość. Obliznął wąskie wargi.

– Skąd mam wiedzieć, że nie jesteś gliną? – zapytał podejrzliwie.

– Bądźmy poważni – rzucił Typho. – Naprawdę sądzisz, że taka łajza jak ty jest warta uwagi sektorowych?

Nikto zarechotał chrapliwie. Śmiech przeszedł w ostry kaszel i Typho upewnił się, że stoi w odpowiedniej odległości od rozmówcy. Poczekał, aż atak minie.

Szponiasta łapa zmiotła kredyty z dłoni mężczyzny.

– Dwudziesty trzeci poziom – powiedział Nikto. – Kwadrant de-trzy, sektor dwadzieścia. Nie dowiedziałeś się tego ode mnie.

– Czego? – Typho odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie.

Na dolnych poziomach Coruscant ciężko było odróżnić noc od dnia. Blask słońca w ferrobetonowej głębi był zjawiskiem niemal nieznanym. Światła dostarczały głównie źródła fluorescencyjne i elektroluminescencyjne. Ich słaba poświata kiepsko rozjaśniała wieczny mrok. Tu, na dole, panowały warunki zbyt niebezpieczne dla większości przeciętnych obywateli. Typho stwierdził, że najlepszym sposobem na uniknięcie kłopotów jest szybki, pewny siebie krok i przyjęcie postawy typu „lepiej ze mną nie zaczynaj”. Za to niepewność i strach ze stuprocentową gwarancją przyciągały uwagę drapieźników i padlinożerców.

Typho znalazł adres wskazany przez Nikta. Lokal mieścił się na dolnych piętrach zaniedbanego apartamentowca. Kapitan stanął przed wejściem i dał się skontrolować

niewidocznym systemom ochrony. Gdyby były widoczne, przeszło mu przez myśl, nie zapewniałyby raczej bezpieczeństwa.

– Jesteś uzbrojony – oskarżył go głos z ukrytego głośnika.

– Oczywiście, że jestem uzbrojony – potwierdził. – Jaki idiota przychodziłby w takie miejsce bez broni? – Miał nadzieję, że skaner wykrył tylko blaster. Miecz świetlny spoczywał bezpiecznie pod podszewką jego kurtki wraz z niewielkim urządzeniem zakłócającym, mającym uniemożliwić wykrycie broni.

– Dokładny stopień twojego zidiocenia nie został jeszcze określony – poinformowano go. Usłyszał szcęk i podwójne drzwi się rozsunęły. Typho zauważył, że były znacznie wyższe niż trzeba, aby umożliwić swobodne przejście nawet największym rasom człekokształtnym na Coruscant.

Cragmoloidka, która wyszła mu na spotkanie, nie była uzbrojona. Biorąc pod uwagę jej imponującą masę, nie musiała.

– Proszę o zostawienie broni – powiedziała grzecznie, ale stanowczo.

– Oczywiście. – Typho bez żalu rozstał się z blasterem i wibronożem. Nie zamierzał protestować. Samica miała trzy metry z hakiem wzrostu i ważyła zapewne grubo ponad dwieście kilo. Mogła go zabić jednym ciosem masywnej pięści. Dziwnie się czuł, przeszukiwany jednocześnie trąbą i rękami. Pomimo potężnych gabarytów istota obchodziła się z nim zaskakująco delikatnie.

Kiedy uznała, że gość jest czysty, cofnęła się.

– Proszę za mną – poleciała.

Zaprowadziła go do komnaty, w której rezydował kolejny przedstawiciel jej rasy. Był sam, co świadczyło o pewności siebie. Niewiele istot pozwalało sobie na spotkanie z obcymi bez ochroniarzy. Oczywiście, pomoc była niedaleko, a przeciętny dorosły Cragmoloid miał siłę paru krzepkich mężczyzn. To był wystarczający powód, żeby nie próbować sprawiać problemów.

Rasa Boulada znana była ze swej bezpośredniości, a gospodarz Typho nie był pod tym względem wyjątkiem.

– Skoro tu trafiłeś, najwyraźniej potrzebujesz czegoś, czego nie znalazłeś nigdzie indziej – przemówiła potężna istota.

Donośny głos wprawił w drzenie podłogę pod stopami Typho i odbił się echem od odległych ścian. Kapitan uświadomił sobie, że ogromna komnata Cragmoloida musi zajmować kilka pięter apartamentowca. Pomieszczenie było słabo oświetlone, skromnie umeblowane i wystarczająco wielkie, żeby pomieścić ciężarówkę powietrzną. Wokół unosił się słaby zapach siana.

– Jesteś bardzo spostrzegawczy – odpowiedział uprzejmie gospodarzowi.

Duży osobnik wydał z siebie głośnie chrząknięcie, które mogło stanowić oznakę radości, wyraz uznania albo objaw niestrawności. Typho słabo znał craigiański, ale zdecydował się

wziąć reakcję za dobrą monetę. Wskazał ręką za siebie.

– To twoja partnerka? A może krewna? Równie atrakcyjna jak kompetentna – pochwalił.

Małeńkie oczka Cragmoloida otworzyły się szerzej. Typho rozsądnie wybrał temat do rozpoczęcia negocjacji. Wiedział, że przedstawiciele ras gruboskórnych uwielbiają dyskutować o członkach swoich klanów i więzach rodzinnych. Kolejne dwadzieścia minut upłynęło na miłej pogawędce, przy czym Typho głównie słuchał, potakując grzecznie. Kiedy Boulad zakończył pean na cześć swojej obecnej żony, traktował już gościa jak uczciwego kontrahenta, jeśli nie kogoś w rodzaju członka rodziny.

– Stanowisz miły wyjątek wśród wątlých beztrąbowców – skomplementował go Boulad.

– Zdaje się, że mamy interesy do omówienia – dodał rzeczowo.

– Dokładnie – zgodził się Typho. – Szukam informacji związanych z pobytem członka zakonu Sithów na pewnej planecie.

Chociaż przedstawiciele jego rasy cenili sobie szczerłość, Boulad był wyraźnie zaskoczony. Uniósł trąbę w geście zdziwienia.

– Czemu nie zapytasz o coś prostego, na przykład markę ulubionego trunku Imperatora czy miejsce zamieszkania którejś z kochanek wiceprzewodniczącego senatu? – rzucił z przekąsem.

Kapitan przedstawił swojemu gospodarzowi szczegóły sprawy. Boulad wprowadził dane do urządzenia o klawiaturze przystosowanej do jego masywnych palców i ponownie chrząknął.

– To wcale nie takie proste, jak się wydaje – oznajmił.

– Gdybym mógł, poszedłbym po prostu do Archiwum Imperialnego i poprosił o kopię akt – odparł zgryźliwie Typho.

Cragmoloid machnął trąbą.

– Po czymś takim nie zostałoby z ciebie zbyt wiele. Imperator bardzo nie lubi, kiedy ktoś wtrąca się w takie sprawy, nawet jeśli chodzi o zwykłe szczegóły podróży. Jestem pełen podziwu, że chcesz wejść w posiadanie tych informacji sam, bez niczyjej pomocy – rzucił porozumiewawczo. – Pamiętaj, nie było cię tutaj.

– Czasem sam siebie zadziwiam. – Typho uśmiechnął się radośnie. Rozumiał, co Boulad miał na myśli.

– A teraz sprawa, której nie można uniknąć: zapłata. Uzyskanie informacji, o które prosisz, jest bardzo niebezpieczne, muszę cię więc podliczyć na pięć tysięcy kredytów. Jeśli tyle nie masz, nie trać czasu i odejdz. Szanuję cię, ale nie podejmę się takiego ryzyka za niższą cenę. A jeśli znasz zwyczaję istot z Ankusa, to wiesz pewnie również, że targowanie się nie wchodzi w grę. Nie zmieniamy zdania.

Typho nie dysponował nieograniczonymi środkami, ale od początku misji był przygotowany na spore koszty.

– W porządku – powiedział i wyciągnął portfel. – Może być gotówka?

– Musi! – Boulad pochylił się ku niemu. – Moi ludzie zdobyli już informacje, których szukasz. A przynajmniej tyle, ile było do zdobycia.

Typho zamrugął z zaskoczeniem i wręczył zapłatę swemu gospodarzowi.

– Szybko wam poszło – stwierdził z uznaniem.

– Byłem ciekaw przyczyn twoich poszukiwań. Jeśli mógłbyś mi zapłacić, to dobrze. Jeśli nie, informacje mogły okazać się przydatne dla kogoś innego – wyjaśnił Cragmoloid.

Kapitan poczuł ukłucie strachu. Jeżeli Sith lub któryś z jego sługusów dowie się, że ktoś szperał w zapisach dotyczących ich podróży... Wyjawiał swoją troskę Bouladowi.

Jego gospodarz nie był Jenetem, więc nie potraktował obaw Typho jak komplement.

– Ranisz moje uczucia, gościu! – zawołał. – Jestem uczciwym kontrahentem, jak każdy w mojej rodzinie! – obruszył się. Wskazał na wchodzącego właśnie do komnaty kolejnego, tym razem nieco mniejszego Cragmoloida. – Włącznie z moim trzecim synem Arlumekiem – dodał. – To on, jak sądzę, przyniósł właśnie informacje, za które zapłaciłeś.

Kiedy starszy Cragmoloid przeliczał i chował zapłatę, Arlumek postawił przed gościem niewielkie urządzenie. Potężne dłonie pogmerały przy kontrolkach i w powietrzu między nimi pojawiły się słowa. Młody Cragmoloid najwyraźniej nie był nimi zainteresowany, bo odwrócił się na pięcie i zostawił ich samych.

Dla Typho te informacje miały jednak wielką wartość. Dane, do których rodzina hakerów w jakiś sposób uzyskała dostęp, były ściśle tajne. Kapitan przeczytał wiadomość z zainteresowaniem. Wyglądało na to, że w tym samym czasie, gdy na Mustafar przebywali Padme i Anakin, poleciał tam na krótko Darth Sidious.

Kapitan pożegnał gospodarza. W głowie mu huczało.

– Nie idź jeszcze! – błagała gościa istota. – Bardzo chętnie posłucham opowieści o twojej wspaniałej rodzinie!

– Wybacz. – Typho skierował się do wyjścia. – Mam pilne sprawy do załatwienia.

– Szkoda! – zawołał za nim Boulad. – Jeśli będziesz jeszcze kiedyś szukał informacji, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Typho spędził resztę nocy, włącząc się po dolnych poziomach planety-miasta. Jego myśli krążyły niespokojnie wokół zdobytych informacji. Dwukrotnie natknął się na kieszonkowców, ale sam wyraz jego twarzy wystarczył, aby zostawili go w spokoju. Wyglądał jak ktoś na wpół obłąkany.

Padme, słodka Padme, powtarzał w duszy. Zemsta jest blisko. Kara i sprawiedliwość. Teraz już wiem, kto cię zabił.

Jak w każdej układance, wszystko wydawało się proste, gdy już każdy kawałek był na swoim miejscu. Kto inny mógł zaatakować ją na Mustafar? Kto, jak nie Sith, mógł zamordować z zimną krwią ochroniarza pani senator? Anakin Skywalker nie poddałby się łatwo, zwykły śmiertelnik nie dałby rady go zgładzić. Teraz wszystko było jasne.

Obydwoje zginęli z ręki Dartha Vadera. Dlatego Vader też musi zginąć.

Chociaż Typho zdawał sobie sprawę, że ktoś tak biegły w Mocy z pewnością wyczuje każde zagrożenie, nie obawiał się konfrontacji z Czarnym Lordem. W swojej karierze ochroniarza widział wiele i zdawał sobie sprawę, że wiedza, determinacja i zdolności, w połączeniu z lekceważeniem własnego życia, pozwolą zabójcy na dotarcie do każdej postaci publicznej. Sam miał wszystkie te cechy. Już na początku swojej misji wiedział, że aby wypełnić zadanie, może będzie musiał poświęcić życie. Był na to przygotowany.

Teraz trzeba wymyślić sposób na dostanie się w pobliże Vadera – tak blisko, żeby mógł go zaatakować. Jak pokonać zabezpieczenia i uśpić czujność Czarnego Lorda? Co nakłoniłoby go do spotkania się sam na sam z nieznanym? Vader był prawą ręką Imperatora, więc niczego mu nie brakowało, ale Typho był pewien, że – jak każda żywa istota – musi czegoś pragnąć. Co mogło być wystarczająco cenne dla osobnika tak okrutnego?

Nagle przypomniał sobie słowa łowczyni nagród napotkanej w ruinach Świątyni Jedi: „Działam z polecenia Lorda Vadera i liczyłam, że trafię tu na trop Jedi o imieniu Jax Pavan”.

Vader chciał dostać w swoje ręce Jedi Pavana, a Typho pamiętał, że to nazwisko figurowało na liście w imperialnym kompleksie administracyjnym z dopiskiem „możliwe, że nadal żyje”.

Czarny Lord szukał zatem konkretnego Jedi. Wysłanie po niego łowczyni o renomie Aurry Sing oznaczało, że naprawdę zależało mu na jego schwytaniu. A łowczyni szukała go w ruinach Świątyni Jedi, na Coruscant. Jeśli Sing nie podążała fałszywym tropem – a Typho uznał, że jej reputacja raczej to wykluczała – Jax Pavan przebywał gdzieś w pobliżu.

Potrzebował dokładnie takiego pretekstu. Wiedział już, co robić: Jax Pavan posłuży mu jako przynęta do zwabienia Dartha Vadera. Typho nie zdecydował jeszcze, jak zgładzi Czarnego Lorda, ale był zdeterminowany. Całe życie chronił istoty żywe przed atakami i w swojej karierze poznał mnóstwo sposobów na pozbawienie kogoś życia.

Nie miał najmniejszych wątpliwości: Darth Vader umrze. Padme Amidala zostanie pomszczona, podobnie jak Anakin Skywalker. Zanim zacznie wprowadzać w życie swój plan, musiał zrobić jeszcze jedną rzecz: odnaleźć Jaksę Pavana.

ROZDZIAŁ 17

Jax miał wrażenie, że marnowali siły i czas. Nie chodziło o to, że nikt nie słyszał o Vesie Voletcie, wręcz przeciwnie. Od czasu zniszczenia ojczyzny Caamasjan każdy choć trochę znany przedstawiciel tej rasy na terenie planety-miasta był obiektem wzmożonej uwagi reporterów, komentatorów, a także mnóstwa plotek. Zabójstwo artysty tak sławnego jak Volette sprawiło, że jego nazwisko stało się jeszcze bardziej rozpoznawalne.

Imperialne Centrum było jednak domem dla miliardów i miejscem pracy dla jeszcze większej liczby istot. Morderstwo artysty, nieważne jak wybitnego, w najlepszym razie stanowiło drobną sensację. Gdyby nie sprawa katastrofy na Caamas, zapewne ta śmierć nie wzbudziłaby zainteresowania mediów.

Poszukiwania prowadzone przez Jaksę i jego przyjaciół nie przynosiły efektów. Tkwili w martwym punkcie. Jediną pociechą był fakt, że policji sektora wcale nie wiodło się lepiej. Naturalnie, gdyby Pol Haus nadał śledztwu status priorytetu i poświęcił na rozwikłanie zagadki wszystkie dostępne środki, jego zespół bez wątpienia zrobiłby większe postępy. Prefekt miał jednak pod kuratelą wiele poziomów, tysiące budynków i więcej ras, niż Jax był w stanie nazwać. Rozwiązywanie tylko spraw morderstw, nie mówiąc już o drobniejszych przestępstwach, zajmowało niekiedy całe lata.

Przynajmniej, pomyślał Jax, nasz zespół liczy pięć osób. Jak na jedną sprawę to całkiem nieźle.

Nie mieli jednak zbyt wielu powodów do radości. Bez dostępu do środków, jakimi dysponował nowoczesny wydział policji, mogli tylko przesłuchiwać wszystkich, do których udało im się dotrzeć, i liczyć na to, że dowiedzą się czegoś przydatnego. Jak do tej pory wszystkie informacje były jednak bezużyteczne, a tropy prowadziły donikąd. Jax coraz bardziej obawiał się kolejnych spotkań z przygnębioną Dejah Duare, ponieważ za każdym razem był zmuszony powtarzać jej to samo: nic nowego. Nie robili żadnych postępów i jego poczucie winy rosło z każdym kredytem Zeltronki, który wydawali.

Powtarzał sobie, że w końcu muszą na coś natrafić, chociażby dzięki samej wytrwałości.

Przez większość czasu jego towarzysze wypełniali swoje obowiązki bez cienia skargi, ale też bez zbytniego zapału. Szczególnie martwił się o Laranth, która wydawała się coraz bardziej zamknięta w sobie. Twi'lekanka zawsze była ponura, ale ostatnio nawet Rhinann,

który nie był okazem entuzjazmu, zwrócił uwagę na jej stan. Wcześniej paladynka nosiła lekku opuszczone swobodnie, a teraz często zawijała je wokół siebie. Jax był pewien, że to musiało coś oznaczać, nie miał jednak pojęcia, co mianowicie. Zauważył też, że zawsze, gdy z nim rozmawiała, była zwięzła i oschła – nigdy nie mówiła ani nie pytała o więcej, niż to było konieczne.

Dena też nie rozpieierała energia, ale wykonywał swoją pracę sumiennie. I-Pięć zaś spędzał od jakiegoś czasu całe dni podpięty do sieci HoloNetu, co sporo kosztowało. Jax zapytał go kiedyś, co robi.

– Wasze sposoby wydają się mało skuteczne, więc postanowiłem spróbować dowiedzieć się czegoś na własną rękę – wyjaśnił android. – Moje źródła dostarczają danych z rozsądniejszą prędkością. Szczerze powiedziawszy, przetwarzanie informacji przez formy organiczne przypomina obserwowanie ruchów przechłodzonego wodoru.

– Znalazłeś coś ciekawego? – Jedi nie zwrócił uwagi na zgryźliwą uwagę towarzysza.

– Jeszcze nie – odparł I-Pięć.

W końcu wydarzyło się coś, co niosło nadzieję na przerwanie złej passy. Znudzony Rhinann odebrał komunikat z lokalnej placówki policji i rzetelnie poinformował o tym Jaksę.

– Wspaniale! – ucieszył się Pavan. – W końcu coś od ludzi Hausa. – Zerknął na skwaszoną minę Elomina. – Co jest? Mają podejrzanego? Ktoś się przyznał? Wpadli na trop przestępcy? – dopytywał.

– Nic z tego. – Rhinann wręczył Jaksowi kopię komunikatu. – Przeczytaj sam, oszczędzę ci szczegółów. W skrócie chodzi o to, że ktoś z nas musi się zgłosić do oddziału policji sektora jeden osiemdziesiąt sześć aby wpłacić kaucję za pewnego Sullustanina o imieniu Den Dhur – wyjaśnił. – O ile naturalnie... a osobiście nie widzę przeciwwskazań... nie zdecydujesz się zostawić go w areszcie.

Jax rozejrzał się po przyjaciółach. Laranth nadal w skupieniu naprawiała komunikator, a I-Pięć był bez reszty pogrążony w cichej wymianie informacji z siecią HoloNetu. Nikt nie zareagował.

Pavan odłożył wydruk. Nie było sensu tego czytać, skoro Rhinann już zapoznał się z dokumentem i streścił mu jego ogólny sens. Pewnie i tak zrobił to tylko dla zabicia nudy.

– Pod jakim zarzutem go zatrzymano? – spytał ze znużeniem.

– Podszywanie się pod przedstawiciela policji. Ale nie martw się, jestem pewien, że jeśli twoja przyjaciółka szepnie słówko lub dwa prefektowi, Den znajdzie się na wolności w mgnieniu oka.

– Rozumiem, że nie da się tego załatwić inaczej? – westchnął Jax.

– Nie. Jeśli w ogóle mają go wypuścić, ktoś musi się po niego zgłosić. Wyznaczam do tego zadania ciebie – oznajmił Elomin.

Pavan posłał mu mordercze spojrzenie. Nie odniosło zbytniego skutku, ponieważ towarzysz już się od niego odwrócił. Jedi poszukał wsparcia u I-Pięć.

– Pójdiesz ze mną? Może trzeba będzie coś szybko sprawdzić albo potwierdzić – rzucił niepewnie, ale zagubiony w cybernetycznym labiryncie android nie odpowiedział. Jedi wzruszył ramionami. – Wygląda na to, że będę musiał iść sam.

Gdy był już u wyjścia, dobiegł go głos Laranth.

– Wróć do nas – powiedziała.

Ośmielony, zatrzymał się i popatrzył na nią.

– Chcesz powiedzieć, że będziesz tęsknić, jeśli nie wrócę? – zapytał żartobliwie.

– Nie – odparła bez cienia uśmiechu. – Chcę powiedzieć, że nie mamy dość kredytów na kaucję za was obu. A ja nie mam ochoty zastanawiać się, za którego z was ją wpłacić.

Nuda ma swoje dobre strony, pomyślał Jax, gdy wraz z Denem opuścili pilnie strzeżony, pozbawiony okien posterunek policji. Z braku lepszego zajęcia łapsy na posterunku łaskawie przebrnęły przez całą flimsiplastową robotę i przesłuchania, co w końcu zaowocowało wypuszczeniem Sullustanina z aresztu. Pavan wiedział, że kaucja wpłacona za uwolnienie Dena to kredyty wyrzucone w błoto, ponieważ jego przyjaciel nie miał najmniejszego zamiaru stawić się w ustalonym terminie w sądzie.

– Coś ty sobie myślał? – zapytał reportera ze złością. Skręcali właśnie z uliczki na poziomie czternastym ku najbliższemu przystankowi transportu publicznego.

– Chciałem wyciągnąć parę informacji od pewnego mopakowego łba, Vernola o imieniu Shulf'aa. Prowadzi interesy na...

– Rozmawiałem z setką kupców, bez rezultatów – wszedł mu w słowo Jax.

– Racja, ale nigdy jako oficer śledczy – rzucił bez troski Den.

Jedi spojrział na niego nieco łagodniej.

– Błagam, powiedz, że czegoś się dowiedziałeś – powiedział.

– Shulf'aa handluje dziełami sztuki.

Entuzjazm Pavana nieco ostygł.

– Niech zgadnę: ma jakieś rzeźby Voletta? – spytał zrezygnowany.

– Dokładnie dwie – oznajmił triumfalnie Sullustanin. – Są wystawione na sprzedaż w jednej z jego galerii. Po śmierci Caamasjanina wartość jego dzieł wzrosła, więc Shulf'aa podniósł też ich cenę. Sporo handlarzy sztuką tak robi. Vernol liczy na to, że ktoś zaoferuje za rzeźby jakąś niezłą sumkę. Ale to nie wszystko.

– Powiedział ci coś, czego nie zgłosił policji? – dopytywał się Jax.

– Wyjawiał mi pewną informację, której nie zdradził Hausowi i jego bandzie, ponieważ dotarłem do niego przed nimi – wyjaśnił z dumą reporter. – Wygląda na to, że te dwie rzeźby świetlne dostał z niezbyt legalnego źródła.

– Kradzież? – zainteresował się Pavan.

Den napawał się chwilą triumfu.

– Zaginęły niecały rok temu – potwierdził.

– Dejah nic o tym nie wspominała – powiedział z namysłem Jedi.

– A czemu miałyby wspominać? – skwitował Den. – Nie pytałeś jej o to. Tak czy siak, przycisnąłem tego Vernola i postraszyłem karą za handel kradzionym towarem – wrócił do swojej historii. – Zaproponował mi łapówkę, żebym nikomu o tym nie pisał. Zgodziłem się milczeć i pozwoliłem mu zachować pieniądze, jeśli ujawni nazwisko istoty, która dostarczyła mu rzeźby.

– Co ci powiedział? – zapytał Pavan.

– Jego źródło to Spa Fon. Paser i oszust rasy Nuknog.

Jedi powtórzył w myślach wszystko, co wiedział na temat Nuknogów. Byli drobnymi istotami, niższymi nawet od Sullustan. Słynęli z wyszukanego smaku i zamiłowania do luksusu. Nie lubili zbyt się wychylać i nadstawiać karku za innych, więc rzadko musieli brać nogi za pas. A że szyje mieli dłuższe niż kończyny dolne, takiej filozofii życiowej nie można było odmówić logiki. Przedstawiciele tej rasy charakteryzowały chciwość, egoizm i zupełny brak zasad moralnych. Uważano ich też za zręcznych manipulatorów, obdarzonych bystrym wzrokiem i doskonałym słuchem. Wszystko to czyniło z nich wspaniałych złodziei. Jax bez trudu wyobraził sobie, jak jeden z nich skrada się i włamuje do domu artysty. Caamasjanie byli nadzwyczaj ufni, więc Volette zapewne nie przejmował się zbyt problemem zabezpieczenia swoich dzieł.

– A co najlepsze – zakończył Den – Fon mieszka w pobliżu.

Jax wyszczerzył się do reportera radośnie.

– Odwołuję wszystko, co o tobie mówiłem, Den – zapewnił przyjaciela.

– A co takiego mówiłeś? – Reporter łypnął na niego podejrzliwie. – Nieważne. Jestem pewien, że nie może to być nic gorszego niż to, co mówi o mnie I-Pięć.

– Odwołuję wszystko, co powiedział o tobie I-Pięć – zaręczył gorliwie Jedi. – Dzięki twojemu sukcesowi mamy teraz więcej niż trop: mamy podejrzanego! Gdzie dokładnie mieszka Fon?

Den podał mu nazwę ulicy i numer budynku. Pavan zastanawiał się krótko, próbując zlokalizować adres. Nie był zaskoczony, gdy okazało się, że dom Vernola znajduje się blisko miejsca zamieszkania zmarłego artysty – większość złodziei lokowała się w pobliżu swoich ofiar. To znacznie ułatwiało transport kradzionych dóbr.

– Ruszajmy. Musimy szybko uciąć sobie pogawędkę ze Spa Fonem – ponaglił przyjaciela Jedi.

ROZDZIAŁ 18

Budynek pod adresem dostarczonym Denowi przez handlarza znajdował się na poziomie czterdziestym drugim. Okolica zdecydowanie zasługiwała na remont generalny, ale było tu troszkę bezpieczniejsze niż na dolnych poziomach planety-miasta. Jax i Den wysiedli z transportera i skierowali się do miejsca, gdzie podobno mieszkał i prowadził interesy Nuknog.

Oświetlenie uliczek pochodziło ze źródeł fotonicznych, więc instalacje kablowe czy promieniowe nie były konieczne. Towary na wystawach sklepów zabezpieczały grube kraty albo wiązki ochronne, strażnicy zaś mieli cywilizowany wygląd i – jak ze zdziwieniem zauważył Den – nosili nawet mundury. Dzielnicy daleko było do Wzgórz Manarai, ale i tak wszystko wyglądało lepiej, niż się spodziewali.

Jax pomyślał, że interesy muszą się tu kręcić całkiem nieźle.

Dotarli do celu. Budynek był tak niepozorny, że mógł być równie dobrze rezydencją, jak magazynem. Poza jedynym wejściem nigdzie nie widzieli okien, drzwi ani żadnych urządzeń. Pół centymetra nad matową powierzchnią szarego, karbonitowego kompozytu unosił się numer domu.

Jedi zapukał. Nie było odpowiedzi, więc po dłuższej chwili jeszcze raz podniósł pięść. Zanim zdążył znowu zastukać, drzwi się otworzyły i stanął w nich chuderławy Lonjair. Istota nie miała więcej niż pół metra wzrostu. Z wyrostka na czubku jej czaszki w kolorze indygo sterczała kępka bladoniebieskich włosów. Osobnik przyglądał się im natarczywie czworgiem turkusowych oczu.

Jax pierwszy raz widział przedstawiciela tej uważanej za nieśmiałą i bojaźliwą rasy. W tej części galaktyki nie spotykało się ich często. Trzymali się z dala od miejsc takich jak Coruscant, prowadząc spokojny żywot w trzech położonych blisko siebie systemach odległego krańca Południowego Ramienia. Mieli oczywiście swoich przedstawicieli w Imperialnym Centrum – jak każdy inny cywilizowany gatunek – ale natknięcie się na jednego z nich osobiście było czymś naprawdę niezwykłym. Może Spa Fon celowo zatrudniał służbę o tak niepozornym wzroście, ponieważ sam nie był zbyt imponującej postury? Pavana wyrwał z zadumy wysoki, piskliwy głos Lonjaira.

– Maaccii intyyyrys do Spah Fhoona? – zapytał łamanym basicem.

Den zrobił krok do przodu.

– Dokładnie – potwierdził rzeczowo.

Lonjair przyjrzał się badawczo Sullustaninowi.

– Niii wyglądaciii mii na tykiich – rzucił z powątpiewaniem.

Teraz głos zabrał Jedi.

– Czyżby nieustraszony Spa Fon oceniał swoich partnerów po wyglądzie? – zapytał ostro.

Istota zamrugła czworgiem oczu.

– Waszsi godnośćcc? – zażądał odpowiedzi.

Pavan podał dwa wymyślone na poczekaniu pseudonimy i modlił się, żeby jego towarzysz zapamiętał swój. Jako reporter, Den miał dobrą pamięć do szczegółów, więc Jedi nie musiał się zbytnio martwić.

Lonjair poprosił ich, aby poczekali i zniknął w głębi domu. Po kilku minutach istota powróciła i zaprosiła ich gestem do środka.

– Nie wydaje ci się dziwne, że sługa Spa Fona nie zapytał, w jakiej sprawie przybywamy? Nie kazano nam nawet zostawić broni! – szepnął Sullustanin przyjacielowi.

– Niektóre rasy mają dziwne zwyczaje, czasem wynikające z tradycji i mające niewiele wspólnego z rozsądkiem. Może Spa Fon po prostu się nas nie boi – stwierdził Pavan.

Den wskazał ruchem głowy ich maleńkiego przewodnika.

– A powinien. Z takim ochroniarzem... – zakpił.

Na szczęście dla Jaksa, Spa Fon przyjął ich w komnacie na tyle wysokiej, że Jedi nie musiał schylać głowy. Trudno było stwierdzić, czy właściciel podwyższył ją specjalnie ze względu na swoich klientów, czy budynek już taki był.

Niebieski sługa zajął miejsce u boku siedzącego na grubej żółtej poduszce Nuknoga. Umieszczenie sufitu na odpowiedniej wysokości mogło być przejawem dobrej woli gospodarza, ale najwidoczniej gościnności nie starczyło na zapewnienie interesantom odpowiednich siedzisk. Mieli wybór: stać albo skorzystać z poduszek podobnych do tej, na której spoczywała niska istota.

Den z wdzięcznością opadł na miękkie siedzenie, ale Jax miał pewien problem z wygodnym ułożeniem długich nóg. Przyjęta pozycja przywołała wspomnienia ze Świątyni – przypomniał sobie lekcje lewitacji prowadzone przez mistrza Yerema...

Ten przyływ tęsknoty za czasami, gdy wszystko wydawało się takie proste, zdziwił go trochę.

Zniecierpliwienie Spa Fona, charakterystyczne dla istot jego rasy, widoczne było gołym okiem. Spojrzał na nich spode łba.

– Erppah powiedział, że przychodzicie w interesach. Nie znam was, więc albo mówicie szybko, kto was przysłał, albo wylecicie na zbity pysk – zagroził.

Na poparcie jego słów Lonjair odrzucił głowę do tyłu i prychnął wyniośle.

– Spokojnie. – Den uniósł w pojednawczym geście dłoń. – Jesteśmy tu z polecenia Vernola o imieniu Shulf'aa.

– Ach, tej podstępnej szumowiny? – Nuknog zarechotał. – Co słyhać u tego brodawkogębego? – zainteresował się.

– To, co zwykle – odparł wymijająco Jax. – Interes kwitnie. Właściwie to przysyła nas, bo przydałby mu się nowy towar – wyjaśnił.

Nuknog pokiwał głową.

– Rarytasy, w jakich gustuje Shulf'aa, niełatwo zdobyć. Najcenniejsze dzieła są dobrze strzeżone, bo ich właściciele znają wartość swoich skarbów – wyjaśnił. – Powiedzcie mu, że zobaczę, co da się zrobić. – Usadowił się wygodnie na miękkim posłaniu. – Czego dokładnie potrzebuje?

Den zerknął na Jaksę, który kiwnął głową potwierdzająco. Sullustanin przemówił więc do gospodarza:

– Shulf'aa mówił, że dostarczyłeś mu dwa oryginalne volety. Chciałby więcej.

Nuknog przewrócił oczami.

– Nie dziwię się temu staremu robołożercy – prychnął. – Czy jemu się wydaje, że volety są jak promienie słonecznego światła? Że można je sobie tak po prostu łapać siecią fotonową? Po śmierci artysty...

Na to właśnie czekał Jax. Spojrzał ich gospodarzowi prosto w oczy.

– Tak, odwaliłeś kawał niezłej roboty – powiedział spokojnie. – Ciekaw jestem, jak ci się to udało.

– Udało? – powtórzył oburzony Nuknog. Stojący za nim Lonjair zeszytniał. – Nie zrobiłem tego! Co też wam przyszło do głowy?

– To przecież oczywiste – odparł Den. – Ukradłeś dwie prace artysty, które sprzedałeś potem Vernolowi ze znacznym zyskiem. Postanowiłeś więc spróbować szczęścia ponownie. Tym razem jednak Caamasjanin był na twoją wizytę przygotowany. A może po prostu wybrałeś zły moment i przypadkiem zastałeś go w domu? Zaatakowałeś Voletta i go zabiłeś. Nie żeby specjalnie nas to obchodziło... – zawiesił głos.

Spa Fon zerknął na Lonjaira, który zamrugał gwałtownie. Kiedy Nuknog przemówił ponownie, spojrzenie jego złośliwie przymrużonych oczek mówiło wyraźnie, że goście już nie są mile widziani.

– Sądzę, że obchodzi was, i to bardzo. Sądzę, że jesteście z policji i próbujecie mnie zmusić, żebym się przyznał do popełnienia przestępstwa, którego nie popełniłem. I sądzę, że robicie to, ponieważ nie możecie znaleźć prawdziwego sprawcy.

– Nie jesteśmy z policji – zaprotestował Jax. – My...

– A poza tym – przerwał mu Nuknog – sądzą, że wasza wizyta dobiegła końca. – Wykonał szeroki gest kościstą ręką.

Zasłona zakrywająca ścianę za nim rozsunęła się i w głębi zamajaczyła potężna postać. Kiedy podeszła bliżej, Jax rozpoznał rasę – był to Cathar. Ciało przypominającej kota istoty, ubranej w skórzaną kamizelkę i kilt, porastała gęsta, żółtobrązowa sierść. Osobnik był

znacznie wyższy i na oko jakieś trzy razy cięższy od Jaksa. Pod futrem rysowały się potężne mięśnie.

– Jasne, jasne – powiedział Den, wycofując się pospiesznie w stronę wyjścia. – Z pewnością jesteś bardzo zajęty, więc będziemy już...

Cathar zrobił krok naprzód i Sullustanin stanął jak wryty. Między spiczastymi uszami istoty lśnił kaboszon wodny manganu, wieńczący diadem ze srebrzystego metalu. W kulturze Catharów znaczyło to coś ważnego, przypomniał sobie Jax. Nie pamiętał tylko co...

Odetchnął głęboko.

– Spokojnie, czcigodny Spa Fonie. Jesteśmy przecież przyjaciółmi... – przemówił pojednawczo.

Nuknog przypatrzył mu się ze złością.

– Przyjaciele nie oskarżają się wzajemnie o morderstwa! – syknął.

– Jestem pewien, że to pomyłka. To zrozumiałe, że zależało ci na rzeźbach, ale z pewnością nie chciałeś odebrać mu życia. – Jedi rozłożył ramiona, uśmiechając się niepewnie.

– Przyznać się do nieprzyjemnego wypadku to żaden wstyd – zapewnił go wyrozumiale.

– Cieszę się, że tak uważacie – odparł Fon. – Zakładam więc, że nie będziecie mieli nic przeciwko nieprzyjemnemu wypadkowi, który za chwilę was spotka.

Cathar zignorował Dena i podszedł do Jaksa.

– Jestem Sele – warknął. – Zamierzam podłubać sobie w zębach twoimi pischelami – poinformował go obrazowo, odsłaniając ostre, białe kły.

– To w taki sposób traktujesz klientów? – zapytał z wyrzutem Jax. Cofnął się i sięgnął ukradkiem do pasa. – Omawianie transakcji we wrogiej atmosferze raczej nie przynosi korzyści. Dlaczego nie usiadziemy spokojnie i nie...

Sele wydał z siebie ogłuszający ryk i sięgnął ku Jaksowi ogromną łapą. Chociaż Cathar okazał się szybszy, niż można by się spodziewać po tak potężnej istocie, Jax był znacznie zwinniejszy.

Zrobił unik, wyciągnął velmoriański ogniomicz i włączył broń.

Zaskoczony Sele zatrzymał się na moment, ale w ułamku sekundy wróciła mu pewność siebie. Biorąc pod uwagę wzrost i masę Cathara, przewaga kocura wydawała się oczywista.

Ale najwidoczniej nigdy wcześniej nie miał do czynienia z Jedi.

Groźna istota wyciągnęła z pochwy sztylet. Broń robiła wrażenie – ciężarem i długością dorównywała na oko nodze Pavana. Jax uchylił się przed ciosem, wystarczająco silnym, aby skrócić reeka o głowę, i zaatakował przeciwnika szybkim pchnięciem. Koniec ostrza dosięgnął uda kocura i zagłębił się na centymetr w ciało. Ochroniarz zaskamlał, cofnął się i gorączkowo przyklepał łapą miejsce, z którego unosiła się smużka dymu. Gdy spojrzał znów na Jaksa, sam wyraz jego pyska mógł wystarczyć, żeby sparaliżować przeciwnika.

Jedi przypomniał sobie, co oznaczał klejnot na opasce przeciwnika. U Catharów taki diadem nosili najpotężniejsi wojownicy klanu, a Sele właśnie udawał, że w pełni

zasługiwał na ten tytuł. Rzucił się wściekle ku Jaksowi, wymierzając sztyletem cios, który z pewnością rozplątałby mężczyznę, gdyby sięgnął celu. Pavan uskoczył na prawo i zamarkował atak. Gdy jego przeciwnik odstał w lewo, Jedi zawirował we wspomaganym Mocą podskoku i opuścił ogniomiecz w dół. Sele uchylił się i zdołał zablokować cios, ale śmiertelne ostrze zdążyło wypalić czarną pręgę na jego prawym ramieniu. Po raz drugi Cathar wydał skowyt bólu.

Chociaż dwukrotnie udało mu się drasnąć przeciwnika, Jedi wiedział, że wystarczy jeden cios potężnej łapy, aby kocur wygrał walkę. Przy wsparciu Mocy usiłował pozostawać tuż poza jego zasięgiem, pozwalając prawom fizyki działać na swoją korzyść. Masa i gabaryty Cathara nie pozwalały mu poruszać się tak szybko i zwinnie jak Pavan.

Niebawem całe futro ochroniarza pokrywały przypalone łaty, istota nie miała więc innego wyjścia, niż skapitulować. Sele przykląkł ciężko na jedno kolano, skłonił głowę i złożył sztylet na podłodze przed swoim pogromcą.

– Zgodnie z kodeksem Krwawych Łowów – mruknął cicho – uznaję twoją wyższość i od teraz jestem twoim pokornym sługą.

Jax skinął głową na znak, że przyjmuje ślubowanie. Dysząc ciężko, odwrócił się i stanął twarzą w twarz z osłupiałym Spa Fonem. Nigdzie w pobliżu nie było widać Lonjaira.

– Kiepski interes – rzucił kwaśno pod adresem istoty. – Jeśli wieści rozejdą się po okolicy, coś takiego może zniszczyć twoją reputację.

Paser nie odpowiedział. Siedział w kącie i wlepił w niego wystraszone spojrzenie.

– Mam rację, Den? – zapytał Jax. Nie było odpowiedzi. – Den? – powtórzył Jedi z niepokojem.

Odwrócił się od sparaliżowanego strachem Nuknoga i rozejrzał po pokoju, posiłkując Mocą. Den zniknął, podobnie jak niebieski sługa.

– Ciekawa sprawa z tą reputacją. Tak często bywa niezasłużona... – rozległ się czyjś głos.

Zza tej samej kurtyny, za którą wcześniej ukrywał się ochroniarz, wyszedł teraz Sullustanin. Włókł za sobą wierzgającego Lonjaira, którego z dumą pchnął przed oblicze Jedi.

– Przyjacielu, poznaj prawdziwego Spa Fona – oznajmił.

Jax przyjrzał się drobnej istocie z niedowierzaniem.

– To ty jesteś Spa Fon? – zapytał surowo.

– Nie rób mi krzywdy! – zapiszczał Lonjair. Jego ciało od stóp do głów pokrywały czarne cętki strachu. Istota przewracała czworgiem oczu w tyłu kierunkach naraz, że Jax na sam widok dostawał oczopląsu.

– Jestem tylko prostym handlarzem chodliwymi towarami! – wyjąkał prawdziwy Spa Fon. – Przywłaszczam sobie różne rzeczy, to prawda, ale nie robię nikomu krzywdy! Nie bij mnie, proszę! – jęczał.

Jax zauważył, że poprzedni bełkot Lonjaira jakimś cudem zastąpił w pełni zrozumiałe basic. Stojący z boku Sele wymruczał pod nosem coś niepoehlebnego i odwrócił wzrok, aby

nie patrzeć na żenujące tchórzostwo i hańbę byłego pracodawcy.

Den wskazał ręką na Jaksę.

– Mój przyjaciel mówi prawdę: nie jesteśmy z policji. Prowadzimy niezależne śledztwo. A poza tym, nie bawimy się z nikim w ciuciubabkę. – Obrzucił fałszywego Nuknoga pogardliwym spojrzeniem. – A teraz pytam po raz ostatni: dlaczego zabiłeś Vesa Voletta?

Istota wybałuszyła na mężczyznę i Sullustanina czworo przerażonych oczu.

– To nieprawda! Nie zabiłem go! Ani ja, ani żaden z moich ludzi! Jasne, miałem ochotę na więcej jego rzeźb, to szybkie i łatwe pieniądze. Przysięgam jednak... kradnę, ale nie zabijam! – pisał.

Jax pochylił się i wyciągnął ku istocie dłoń. Sieć Mocy łącząca go z otoczeniem otuliła żalosne stworzenie, kulące się przed nim ze strachu. Sondowanie zajęło zaledwie chwilę.

– Mówi prawdę – orzekł Jedi.

– Co teraz? – zapytał rozczarowany Den, gdy znaleźli się na zewnątrz.

– Wracamy do domu – powiedział Pavan. – Zleciłem Rhinannowi pewne poszukiwania i jestem ciekaw wyników.

Den wzruszył ramionami.

– Wszystko mi jedno. – Spojrzał na swój chronometr. – A poza tym w restauracjach zaraz zaczynają się promocje.

ROZDZIAŁ 19

Rhinann siedział przed jednostką dostępu do HoloNetu, rozmyślając nad kolejnym krokiem. Jax poprosił go, aby wyszperał co się da na temat jego nieżyjącego od dwudziestu lat ojca. Zanim Lorn Pavan został handlarzem informacjami i kradzionym towarem, pracował jako asystent w Świątyni Jedi.

Zadanie mogło wydawać się łatwe – dla każdego, oprócz Elomina. Podejrzliwa rasa miała tendencję do doszukiwania się drugiego dna i podstępów we wszystkim, co z pozoru wydawało się proste i niewinne. Czujność Rhinanna wzmógł jeszcze fakt, że Jax zakazał mu wspominać o zadaniu I-Pięć. Jedi zlecił swojemu pomocnikowi poszukiwania w bardzo luźny sposób, rzucając po prostu: „Och, a przy okazji...”, ale jego wystudiowana beztroska tylko zaalarmowała nieufną istotę. Elominowie nigdy nie wstydziła się swojej paranoi – martwiło ich, że jest za mała.

– Otwarty kanał – wymamrotał. W odpowiedzi holoprojektor wyświetlił wejście dostępu do HoloNetu. Rhinann zaplótł dłonie i rozciągnął stawy palców. Pochylił się nad urządzeniem i przystąpił do pracy.

Pięć godzin później opadł na dopasowujące się do kształtu krzesło i przeciągnął, czując, jak mięśnie kręgosłupa powoli się rozluźniają. Był zbyt zaaferowany, żeby zwrócić uwagę na gorączkowe drżenie i świst kłów nosowych.

Interesujące...

Dowiedział się wielu ciekawych rzeczy. Ojciec Jaksa był skromnym księgowym i archiwistą na świątynnej posiadłości, dopóki u jego dwuletniego syna nie wykryto ponadprzeciętnego poziomu midichlorianów. Pavana odwiedzili wtedy przedstawiciele Rady, którzy nalegali, aby mały Jax został oddany do Świątyni jako padawan.

Rhinann wiedział, że szansę na zostanie rycerzem Jedi uważano za ogromny zaszczyt. Chociaż rozstanie z dzieckiem na zawsze było niewątpliwie bolesne, niewielu rodziców odmawiało Jedi. Służba w Zakonie oznaczała szacunek, uznanie i godny byt – a który rodzic nie chciał dobrej przyszłości dla swojego potomka?

A jednak Lorn i jego żona, Siena, odrzucili propozycję. Choć nie byli bogaci, nie klepali też biedę, a oddanie jedyne dziecko, nawet w jego najlepszym interesie, było dla nich

czymś nie do pomyślenia.

Doniesienia na temat późniejszych wydarzeń różniły się między sobą – Lorn albo wypowiedział pracę, albo zwolniono go z posady, a mały Jax został oddany dobrowolnie Zakonowi – albo porwany. Za drugą opcją zdawała się przemawiać skarga, do której Rhinannowi udało się dotrzeć, a w której Pawanowie zarzucali Jedi uprowadzenie syna. Elomin miał wrażenie, że gdzieś na samej górze uknuto spisek mający na celu zatuszowanie całej historii, zanim jeszcze nazwisko Lorna zaczęło być wiązane z zaginionym neimoidiańskim holokronem. W każdym razie skarga nie odniosła żadnego skutku. Siena Pavan opuściła męża wkrótce potem, a Lorn zaczął się staczać – zarówno dosłownie, jak i w przenośni, aż w końcu wylądował na bruku podziemnego światka Coruscant. Tutaj spotkał robota protokolarnego I-Pięć i odtąd stanowili nierozłączną i niezwykle parę.

To wszystko, co udało się znaleźć w oficjalnych zapisach – a przynajmniej przed wymazaniem wszelkich danych dotyczących Jedi. Mimo to odtworzenie samych wydarzeń było stosunkowo łatwe. Informacje na temat późniejszych kolei losu Lorna zostały jednak skrupulatnie wymazane z archiwów. Dekodowanie szyfrów, manipulowanie i kluczenie wśród niezliczonych systemów antywłamaniowych było czasochłonne i wymagało niezwyklej cierpliwości. Rhinann mozolnie oczyszczał i odtwarzał różne bazy danych, po których starano się najwyraźniej zatrzeć wszelki ślad. Co jakiś czas w celu rekonstrukcji i odczytu wykresów prawdopodobieństwa przepływu danych korzystał z algorytmów wyszukiwania węzłowego. Nie było to proste. Wydawało się, że historia, którą próbował tak pracowicie odtworzyć, została całkowicie wymazana z polecenia kogoś na bardzo wysokim stanowisku. Rhinann musiał działać niezwykle ostrożnie, aby uniknąć niezliczonych alarmów, pułapek i zasadzek, które czekały za każdym wirtualnym rogiem. W końcu uznał, że nie osiągnie nic więcej, ale historia nadal była niekompletna.

Jedno było pewne: Lorn Pavan i android typu I-5YQ weszli w posiadanie holokronu zawierającego tajne informacje na temat neimoidiańskiej blokady handlowej, nałożonej na planetę Naboo dwadzieścia trzy lata wcześniej. Rhinann nie zdołał określić dokładnego charakteru danych, ale musiały być z pewnością bardzo kompromitujące dla kogoś ze sfer rządowych, ponieważ na Pavana i I-Pięć wydano wyrok śmierci.

W tym miejscu trop się urywał – nie było wiadomo nic ponad to, co wyjawiał oszczędny w słowach I-Pięć. Rhinann wiedział, że Jaksowi najbardziej zależy na poznaniu tożsamości tajemniczego zabójcy i jego zleceniodawcy, jednak te ślady zostały zatuszowane najdokładniej, a dotarcie do nich wymagało największego wysiłku.

– Tak naprawdę to tylko plotki – zastrzegł później Elomin w rozmowie z Pawanem. – Imperialne Biuro Bezpieczeństwa kategorycznie odcina się od wszelkich spekulacji na ten temat. Najmniejsze podejrzenie, że ktoś próbuje uzyskać ściśle tajne informacje, wystarczy, żeby natychmiast miał na karku Inkwizytorium. Udało mi się obejść ich zabezpieczenia bez wywoływania alarmu, ale nie mam zamiaru kopać głębiej. Odkryłem wszystko, do czego

mogłem dotrzeć bez narażania nas na wielkie ryzyko. Nie prosź mnie o więcej, nie mam ochoty na pranie mózgu – oznajmił stanowczo. – Kiedy przekażę ci te informacje, natychmiast wymażę je z pamięci. Wykorzystaj je, jak chcesz, ale pamiętaj: nie miałem z tym nic wspólnego. W najlepszym razie to zwykłe pogłoski. – Przeszedł do rzeczy. – W datowanym na jakieś osiemnaście lat wstecz fragmencie komunikatu policji sektora pojawiła się wzmianka na temat Hutta, właściciela klubu nocnego i szantażysty, oraz kilkorga jego podwładnych, którzy ponieśli śmierć z ręki zabójcy rasy Zabrak. Napastnika wysłano prawdopodobnie w celu likwidacji mężczyzny, Korelianina lub Alderaańczyka, i androida protokolarnego.

– I-Pięć i mojego ojca – wymamrotał Jax.

– To niemal pewne – przyznał Rhinann. – Udało im się zbiec, ale Zabrak wyruszył za nimi w pościg.

– To pasuje do wersji I-Pięć – zauważył Jedi. – Android nie wspomniał jednak nic o tożsamości zabójcy.

– Jeśli moje podejrzenia są słuszne – powiedział Elomin – miał ku temu dobry powód. – Zawiesił na chwilę głos.

– Mów – zachęcił go Jax. Poczuł, że włosy na ramionach i karku jeżą mu się z przejęcia.

– Broń Zabracka była podwójnym mieczem świetlnym – wyjął Rhinann – o czerwonym ostrzu.

Jax gapił się na niego, niezdolny wydobyć z siebie ani słowa.

– Sith! – wykrztusił w końcu.

Elomin patrzył na niego spokojnie.

– Ty to powiedziałeś – rzucił.

– Ale... – Jax poczuł, że kręci mu się w głowie. Według tradycji Zakonu miecze świetlne Lordów Sithów zawsze miały czerwone ostrza i budowano je według tajnych, starożytnych planów. Było tak, od kiedy Darth Bane ustanowił Zasadę Dwóch, ponad tysiąc lat temu. Poza tym Jedi z zasady unikali mieczy o podwójnych ostrzach, budowa i kolor broni Zabracka świadczyły więc o tym, że był jednym z Sithów.

Jego ojciec został zabity przez Sitha. A I-Pięć o tym wiedział.

ROZDZIAŁ 20

Gdy wrócili do Domu Polody, Den natychmiast zauważył, że I-Pięć nadal jest podpięty do sieci HoloNetu. Podpięty, podłączony, sprzęgnięty, zespolony – jakkolwiek istoty żywe nazywały ten stan, była to sytuacja, w której elektroniczny umysł łączył się z inną sztuczną inteligencją. Den wiedział, że podczas takiego kontaktu android mógł nieustannie wymieniać dane, bez konieczności tłumaczenia ich na basic i z powrotem. Odbierał odpowiedzi błyskawicznie, zamiast czekać na informacje długi czas, jaki istotom żywym zabierało wyartykułowanie kilku zdań.

Android powtarzał Denowi nieraz, że wytłumaczenie tego zjawiska ożywionym istotom rozumnym jest trudne. Nawet jego towarzysze, których uważał za sprytniejszych i bardziej domyślnych niż większość form organicznych, mogli w najlepszym razie jedynie grzecznie potakiwać i twierdzić, że rozumieją. Tak naprawdę było oczywiste, że nic z tego nie pojmują ponieważ percepcję mieli ograniczoną przez sam charakter struktury białkowych połączeń synaptycznych. I-Pięć był dla nich pełen uznania za podejmowane próby – szczególnie dla Dena. Sullustanin, jak większość przedstawicieli jego rasy, miał zarówno cięty język, jak i bystry umysł.

Jax natychmiast zaszył się z Rhinannem w przedpokoju, gdzie obaj wdali się w gwałtowną wymianę zdań. Kilka minut później Jedi wrócił do pokoju, wyraźnie wzburzony. Stanowczym krokiem podszedł do wciąż podpiętego do sieci androida.

– I-Pięć – przemówił ostrym tonem – musimy porozmawiać.

Coś w jego głosie sprawiło, że Den przyjrzał mu się uważniej. Zdenerwowanie Pavana dotarło widać również do I-Pięć, który wysunął palec z gniazda interfejsu i odwrócił się do Jaksy. Jedi popatrzył na resztę obecnych w pokoju.

– Czy moglibyście na chwilę zostawić nas samych? – zwrócił się do Laranth i Dena.

Twi'lekanka kiwnęła głową i ruszyła do wyjścia. Po drodze klepnęła reportera w ramię.

– Chodź – powiedziała.

Sullustanin zastanowił się przelotnie nad czynnym sprzeciwem, ale zaraz porzucił tę myśl – paladynka była znacznie silniejsza od niego.

– To nie w porządku! – zaprotestował słabo. – Jeśli mają omawiać nasze wspólne interesy, czy nie powinniśmy przy tym być?

- Nie nasze – odparła zdecydowanie Laranth.
- Skąd możesz wiedzieć? – zapytał nieufnie.
- To ty jesteś reporterem – odpowiedziała tylko. – Jak możesz nie wiedzieć?

– W czym mogę pomóc, Jax? – zapytał usłużnie I-Pięć.

Jedi stłumił chęć pochwycenia androida za ramiona i potrząśnięcia nim gwałtownie. Wiedział, że to nic nie da.

– Morderca mojego ojca był Sithem! Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś? – zawołał z wyrzutem.

– A co by ci z tego przyszło? – Pytanie androida było czysto retoryczne.

– A w czym by mi zaszkodziło? Jestem Jedi, to chyba wystarczający powód! – odparł hardo.

– Teraz, gdy już wiesz – stwierdził android z denerwującym opanowaniem – co masz zamiar zrobić?

– Ja... – Jax przerwał, uświadamiając sobie, że nie ma w zanadru żadnego planu. – Dowiem się czy ten Sith nadal żyje – oznajmił mało przekonująco. – A potem...

– A potem bez wątpienia dasz się aresztować i torturować Inkwizytorom – dokończył za niego I-Pięć. – Mamy Nowy Ład, zapomniałeś? Jeśli zabójca nadal żyje... co jest mało prawdopodobne, zważywszy na niebezpieczeństwo wykonywania takiego zawodu... to nie on jest obiektem polowania. Raczej tropią podobnych tobie – przypomniał.

– Działał z czyjegoś rozkazu – stwierdził Jax. – A ten rozkaz wydał ktoś na bardzo wysokim stanowisku. Być może nawet sam Palpatine.

– I...? – Android czekał na konkluzję. Gdy ta nie nadeszła, dodał: – Naprawdę sądzisz, że mógłbyś stawić czoło samemu Imperatorowi? Czy to nie ty powiedziałeś mi niedawno, że to szaleństwo? Robisz co w twojej mocy, Jax. O wiele więcej niż inni. Chcesz to wszystko popsuć, aby pomścić kogoś, kogo nawet nie znałeś? – zapytał. – Ośmielę się stwierdzić, że znałem Lorna Pavana lepiej niż ktokolwiek inny. Widzę go we wspomnieniach żywego, tak samo jak teraz ciebie. I jestem pewien, że chciałby, abyś zostawił przeszłość w spokoju – zapewnił przyjaciela.

– Chcesz powiedzieć, że nie zdradziłeś mi tożsamości zabójcy mojego ojca, bo wiedziałeś, że będę chciał się zemścić... zarówno jako Jedi, jak i syn? – Jax pokręcił głową z niedowierzaniem. – Skąd miałeś wiedzieć? Przecież nawet mnie nie znałeś.

– Znałem twojego ojca – wyjaśnił I-Pięć. – Poznałem też zwyczaje i zachowania Jedi. A przede wszystkim widziałem tego Zabranka. Nikt i nic nie zdołałby go powstrzymać, wierz mi. Lorn nie chciałby, żebyś zginął taką śmiercią jak on.

Jax czuł, że ma mętlik w głowie. Jeśli istniała choć najmniejsza szansa, że Sith nadal żyje, jego obowiązkiem jako członka Zakonu było odnalezienie go. Poza tym czuł potrzebę pomśzczenia ojca, którego nigdy nie znał. Musiał jednak przyznać, że I-Pięć ma rację. Był

Jedi, więc jego obowiązkiem było przede wszystkim pomaganie ludziom – nie zaś wyrównywanie osobistych porachunków. No i rzeczywiście sytuacja w galaktyce uległa zmianie – ktoś, kto był Jedi, nie cieszył się teraz z takim szacunkiem i respektem, jak kiedyś...

Syn Lorna Pavana nie mógł jednak przejść nad tą informacją do porządku dziennego.

– Popełniłem błąd, nie mówiąc ci całej prawdy, Jax – powiedział cicho I-Pięć. – Nie mam prawa kierować twoim losem. Teraz, kiedy już wiesz, powinieneś sam zdecydować, co dalej. Mogę jednak pomóc ci przygotować pole działania. – Android otworzył niewielką płytkę w górnej lewej części swojego torsu. Ze środka wyjął małą fiolkę, długości mniej więcej ludzkiego palca. Pojemnik przypominał kształtem komorę nieinwazyjnego iniektora naskórkowego, nazywanego potocznie strzykawką.

– Jeśli się dobrze orientuję, to jedyna istniejąca próbka wyciągu z boty w galaktyce – wyjaśnił android. – Bota była pospolitą rośliną ergogeniczną pochodzącą z Drongara.

– Słyszałem o niej – odparł Jax. – To z jej powodu Separatyści i Republikanie toczyli na planecie walki... dopóki roślina nie zmutowała i nie stała się bezużyteczna.

– Zgadza się. Jest... była – poprawił się I-Pięć – organizmem powszechnie określanym mianem adaptogenu: panaceum o wielu, przeważnie pożytecznych, zastosowaniach u różnych ras. Na Neimoidian działa jak narkotyk, u Huttów powoduje reakcje psychodeliczne, dla ludzi jest antybiotykiem... i tak dalej. Gdy Jedi Barrissa Offee przebywała na Drongarze, przypadkowo odkryła, że dawka destylatu znacznie zwiększa jej więź z Mocą. Opisywała to jako stan jedności ze wszystkimi istotami i wszystkimi miejscami w galaktyce; coś w rodzaju przekraczającej barierę czasu kosmicznej świadomości. – Android zawahał się i po chwili dodał: – Jedi Offee nie była sensatką, więc przyjmuję, że jej ocena była realna, choć może brzmi nieco metafizycznie.

– Wierzę ci – odparł Jax. – Skąd to masz?

– Kiedy w końcu udało mi się zrekonstruować moją sieć synaptyczną, przypominałem sobie o obietnicy, jaką złożyłem Lornowi – wyjaśnił I-Pięć. – Jeśli pamiętasz, twój ojciec poprosił mnie, żeby się tobą zaopiekował.

– Przypominasz mi o tym przy każdej sposobności – wytknął mu Jax.

– Jedi Offee wysłała mnie na Coruscant z misją przekazania destylatu do Świątyni – ciągnął android – kiedy jednak dotarliśmy wraz z Denem na planetę...

– ...nie zastaliście tu żadnych Jedi, którym moglibyście dostarczyć próbkę – dokończył za niego Jax. – Dopóki nie znaleźliście mnie. – Pavan uniósł ampułkę pod światło, podziwiając klarowność płynu. Z jakiegoś powodu przypomniała mu o okruchu pyronium. – Czemu mi jej nie dałeś od razu, gdy mnie spotkałeś? – chciał wiedzieć.

Widać było, że I-Pięć ostrożnie waży słowa.

– Ponieważ... jesteś jednym z ostatnich Jedi, którzy przetrwali. Musiałem się upewnić...

– ...że jestem wart zaufania? Że nie wykorzystam boty w służbie Ciemnej Stronie? – indagował Jedi przyjaciela.

– Wybacz – potwierdził jego przypuszczenia android. – Musiałem zyskać pewność. Jedi Offee twierdziła, że spotęgowane przez botę połączenie z Mocą może być naprawdę bardzo silne. Według niej, gdyby próbka wpadła w niepowołane ręce, wynik mógł być katastrofalny w skutkach. Czują, że roślina otwiera kanał, który określała mianem Kosmicznej Mocy. Zakładam, że wiesz, co miała na myśli – powiedział.

Jax pokiwał głową, pogrążony w myślach. Większość filozofów i badaczy zgłębiających zjawisko Mocy, włącznie z członkami byłej Rady, wierzyła, że jest ona ponad intelektualnymi koncepcjami dobra i zła. Według nich, teoria o istnieniu Jasnej i Ciemnej Strony stanowiła tylko umowną klasyfikację. Wiele istot uznawało Moc za wyjątkowe zjawisko, istniejące ponad wszelkimi podziałami.

Znaczna część Jedi, podobnie jak i Sithów, hołdowała zasadzie istnienia „żywej Mocy”. Jeżeli czyjaś więź z jej energią była wystarczająco silna, mógł dokonywać tego, co większość istot uznawała za cud: telekinezy, uzdrawiania, demonstracji ponadnaturalnej siły, szybkości czy odporności – a nawet w pewnym stopniu przewidywać przyszłość.

Według Starych Nauk, był to jednak tylko jeden z licznych aspektów tej tajemniczej siły, podobnie jak jedna płaszczyzna stanowiła tylko małą cząstkę wielowymiarowego hiperklejnotu, do którego można było porównać jednoczącą, kosmiczną, wyższą Moc. Zaznanie jej było możliwe jedynie poprzez długotrwałą medytację i wyrzeczenia, ale nagrodę stanowiło zjednoczenie się z przestrzenią i czasem. Mówiono, że daje ona zdolność do manipulowania materią i energią na najbardziej elementarnym poziomie. Niektórzy utrzymywali, że pozwala na zrzucenie okowów powłoki materialnej na rzecz zespolenia z czystą energią...

Jeżeli ekstrakt z boty działał zgodnie z opisem Barrissy Offee, mógł stanowić sposób uzyskania kontaktu z wyższą Mocą. Gdyby ten środek faktycznie mógł zwiększać potencjał midichlorianów w czyimś ciele do tak niespotykanego stopnia... Gdyby taka potęga była osiągalna dla każdej istoty wrażliwej na Moc... Jax pomyślał, że określenie „katastrofalne skutki” nie oddawało w pełni istoty zagrożenia. Gdyby o cudownym działaniu boty dowiedział się w jakiś sposób Darth Vader... Jedi wołał o tym myśleć. Chwilę później naszła go jednak jeszcze bardziej przerażająca refleksja: o co, jeśli już o tym wiedział? Jeżeli Czarny Lord w jakiś sposób dowiedział się, że to on miał odebrać próbkę ekstraktu? Mógł nie znać dokładnego czasu, miejsca ani sposobu doręczenia, mógł nie być świadom, że próbka została dostarczona do Imperialnego Centrum przez zwykłego robota protokolarnego. Jeśli jednak żywił najmniejsze podejrzenia co do cudownych właściwości rośliny – czy to dzięki Mocy, czy to w wyniku działań imperialnego wywiadu – z całą pewnością miał wystarczający powód, aby tropić Jaksę.

Gdy Jedi zwierzył się ze swoich obaw I-Pięć, Android zgodził się z jego tokiem rozumowania.

– Być może najrozsądniej będzie ukryć próbkę – zasugerował. – Najlepiej powierzyć ją

komuś innemu, tak, żebyś nawet ty nie znał kryjówki. Wtedy nie będziesz mógł jej ujawnić, nawet gdyby cię poddali badaniu skanerem prawdy – wyjaśnił.

Jedi przyjrzał się ponownie bursztynowemu płynowi w ampułce.

– Wybrałeś naprawdę dobry moment, aby mi o tym powiedzieć – rzucił z przekąsem pod adresem androida.

– A jaki lepszy moment sobie wyobrażasz? – zagadnął jego przyjaciel.

Jax nie umiał odpowiedzieć na to pytanie.

ROZDZIAŁ 21

Sala spotkań nie była duża. Ukryto ją za fałszywą ścianą kuchni placówki pomocy społecznej, w której wydawano posiłki bezdomnym i głodnym przedstawicielom różnych ras. Dziś wieczór pomieszczenie było szczególnie zatłoczone. Jax stał z tyłu i słuchał przewodniczącego komórki ruchu oporu, przemawiającego z prowizorycznej trybuny wzniesionej w przedniej części sali. Na pierwszy rzut oka widać było, że członkowie i sympatycy Whiplasha są zdeterminowani i oddani sprawie. Wszyscy jednak dobrze wiedzieli, że poświęcenie i upór są niczym wobec gwiazdnych niszczycieli i oddziałów szturmowców.

Mówcą był Gossam, ubrany w wykwintne szaty charakterystyczne dla jego ludu. Przemawiał z zacięciem i swadą, a jego zapał nikogo nie dziwił. Powszechnie było wiadomo, że jego rasa wzbudzała szczególną niechęć Imperatora.

– Istoty galaktyki! – mówił. – Imperium podniosło już rękę na pokojowo nastawionych obywateli, jak Gossamowie czy Caamasjanie! Wkrótce przyjdzie czas na obce rasy przeciwne wrogiemu systemowi! Potem zdławią krwawo bunt niezadowolonych człekokształtnych, a w końcu zwrócą się przeciwko sobie nawzajem i zginą w orgii bezmyślnego zniszczenia i nienawiści. Chaosowi nie będzie końca, póki galaktyka nie obróci się w proch i pył w ogniu autodestrukcji!

Przemowa trwała w takim tonie jeszcze przez jakiś czas; z tłumu słuchaczy dobiegały liczne pomruki aprobaty. Nikt nie klaskał – atmosfera była zbyt podniosła, żeby przerywać ją brawami. Jax słuchał jednym uchem, część uwagi poświęcając na przyglądanie się zgromadzonym. Poza ludźmi byli tu przedstawiciele najróżniejszych ras z całej galaktyki. Whiplash wspierały nawet te istoty, które pozornie nie miały się czego obawiać ze strony nowego rządu.

Jako członek organizacji, Pavan uczestniczył w spotkaniach, kiedy tylko mógł, aby poznać nowych i spotkać starych znajomych.

Kiedy Gossam skończył, podium zajęła wysoka, starsza kobieta. Opowiadała o podobnych Whiplashowi organizacjach, jakie zaczęły powstawać na innych światach. Jax zaczął słuchać uważniej. To była nowość – i najwyraźniej nie tylko dla niego. Czy rząd miał świadomość takich działań? Jeśli tak, w interesie władz imperialnych leżało zachowanie tej wiedzy w tajemnicy. Nietrudno było kontrolować gromadkę zapaleńców działającą w obrębie

jednej planety – pojedyncze ugrupowania dysydentów nie stwarzały realnego zagrożenia.

W swoim wystąpieniu kobieta poruszała jednak nie tylko kwestię samych grup, dążących do podobnych celów, ale także zachęcała do pierwszych prób nawiązania między nimi współpracy. Wzywała do czynów. Po skontaktowaniu się z podobnymi frakcjami na innych planetach Whiplash miałby połączyć z nimi siły.

To, o czym mówiła kobieta, wykraczało znacznie poza idee zwykłego ruchu oporu. Nawoływała do podjęcia zorganizowanej rebelii. Nie dziś, i nawet nie jutro – przeciwnicy Imperium byli bowiem zbyt rozproszeni i było ich za mało, aby ryzykować bezpośrednią konfrontację z rządem... Jax wiedział jednak, że jeden kamień potrafi wywołać lawinę – a ten kamień właśnie rzucono. Niektórzy ze słuchaczy byli poruszeni do łez, inni wzywali okrzykami do natychmiastowego chwycenia za broń. Mówczyni uspokajała tłum, próbując ostudzić najbardziej krewkich entuzjastów. Jeszcze czas, tłumaczyła. Przed nimi mnóstwo przygotowań. Należy podjąć odpowiednie środki ostrożności, położyć fundamenty...

Jax chłonał każde jej słowo. Wydawało się, że Whiplash ma szansę stać się czymś więcej niż tylko sposobem na bezpieczne ewakuowanie wrogów Imperium z planety. Przed nimi coraz wyraźniej rysował się cel. Mieli wsparcie pełnych poświęcenia i zapału jednostek.

Czy tylko jednostek? – zastanawiał się. A może gdzieś istniały całe rządy planetarne, rozczarowane kierunkiem, w jakim zmierzała polityka Palpatine'a i coraz bardziej zagubione w szeregach nowego reżimu?

Gdy kobieta skończyła przemawiać, spotkanie dobiegło końca. Niektórzy z uczestników opuścili salę w milczeniu i pośpiechu. Inni zwlekali, łącząc się w małe grupki, aby dalej dyskutować o przedstawionych właśnie ideach. Mówcy wyszli ukradkiem, rozchodząc się w różnych kierunkach. Było to konieczne na wypadek, gdyby któregoś z nich śledzono i schwytano – nie narażali w ten sposób reszty grupy.

Jax również skierował się ku wyjściu, ale w drogę wszedł mu postawny mężczyzna.

– Przepraszam, obywatelu. – Wzrok nieznanego spoczął na pochwie wiszącej u pasa Pavana. – Zaintrygowała mnie twoja broń. Jeśli się nie mylę, jest to velmoriański ogniomiecz. Rzadkie cacko, ale słyszałem, że całkiem skuteczne – zagadnął.

– Masz dobre oko, przyjacielu. – Jax podjął wędrówkę do wyjścia, ale mężczyzna najwidoczniej nie zamierzał się odczepić.

– Interesuję się trochę uzbrojeniem – powiedział. – Poza Velmorem rzadko spotyka się śmiałków, którzy potrafią walczyć takim ostrzem. – Przyglądał się natarczywie Pawanowi, który czuł się coraz bardziej nieswojo. – Nie jesteś Velmorianinem.

– Nie, nie jestem. – Jax przyspieszył kroku.

Uparty obcy nie odpuszczał.

– Proszę, nie zrozum źle mojej ciekawości. – Wskazał na salę spotkań, którą właśnie opuścili. – Walczymy w tej samej sprawie. Dzielimy niechęć wobec niesprawiedliwości i ucisku. Wszyscy jesteśmy spiskowcami.

Jax nieco zwolnił. Sondowanie za pośrednictwem Mocy nie ujawniło żadnych złych intencji. Silne emocje – tak, ale poza tym nic, co mogłoby sugerować, że nieznajomy ma wrogie zamiary. Brak oznak zagrożenia nie uspił jednak czujności Jedi. Pavan zatrzymał się i przyjrzał uważnie rozmówcy. Chociaż mężczyzna był zwykłym cywilem, coś w jego wyglądzie nasuwało Jaksowi myśl o wojsku. Wyglądał na takiego, co to wie, jak radzić sobie w opresji, a staromodna przepaska na oku tylko potęgowała takie wrażenie.

– Mogę ci w czymś pomóc, czy chciałeś po prostu pogawędzić? – zapytał obcego opryskliwe.

– Nic podobnego – odparł mężczyzna przepraszającym tonem. – Wybacz, nie chciałem być natrętny, po prostu ogniomiecz zwrócił moją uwagę. To ciekawe... Niewielu poza rodowitymi Velmorianami umie radzić sobie z taką bronią, chyba tylko Jedi.

Jax zeszywniał, ale mimo powtórnego badania nie znalazł nic niepokojącego. Na pewno rozmówca nie był tajnym agentem ani przedstawicielem policji sektora.

– Źle mnie oceniłeś, przyjacielu – wyjaśnił mężczyźnie. – Jestem po prostu kolekcjonerem i kupiłem to cacko na aukcji. Tak naprawdę nie wiem, jak go używać, ale mając je pod ręką bezpieczniej się czuję. Sam widok wystarczy, aby odstraszyć drani i opryszków.

– Rozumiem. – Obcy sprawiał wrażenie rozczarowanego, ale wyglądało na to, że wierzy w wyjaśnienia Pavana. – Widać masz wielu wrogów.

Jax zastanowił się szybko. Zbliżali się do wylotu uliczki, pewnie ich rozmowa dobiegnie końca.

– Jestem hazardzistą, więc często noszę ze sobą duże sumy kredytów – wyjaśnił rozmówcy i wyciągnął rękę na pożegnanie. – Miło było spotkać towarzysza broni, ale naprawdę czas już na mnie.

– Ja również trochę się spieszę – potwierdził nieznajomy. – Czy zdradzisz mi swoje imię, hazardzisto?

Po chwili namysłu Jax doszedł do wniosku, że czemu nie? Z pewnością już nigdy nie spotka tego człowieka – za chwilę znikną oboje w podziemiach Imperialnego Centrum i ich drogi się rozejdą.

– Nazywam się Jax Pavan. A ty jesteś...?

Mężczyzna zawahał się chwilę, ale nie tak długo, żeby zaniepokoiło to Jaksę. Nadal nie wyczuwał wrogości ani groźnej aury. Kiedy wymienili pożegnalny uścisk dłoni, obcy powiedział:

– Jestem kapitan Typho, były dowódca sił ochrony jej królewskiej wysokości na Naboo.

ROZDZIAŁ 22

Robot był szybki, Den musiał to przyznać. Szybki i sprytny. Wychynął nagle zza stosu gruzu i posłał natychmiast w stronę Laranth serię czterech strzałów. Paladynka była jednak szybsza. Zawirowała i opadła na ziemię, a jej blastery opuściły kabury w mgnieniu oka. Wystrzeliła w kierunku automatu pięć laserowych błyskawic. Cztery pierwsze zablokowały zbliżające się strumienie cząsteczek, a piąty promień energii trafił robota prosto między fotoreceptory.

– A tłumy szaleją – podsumował Den. Wyciągnięty na zniszczonej, dopasowującej się do ciała kanapie, z nogami opartymi na starej gablocie, obserwował z grzecznym zainteresowaniem, jak Twi'lekanka powtarza swój rytuał. – Jeśli kiedykolwiek zaatakuje nas robot szkoleniowy, nie martwię się o naszą skórę – zapewnił ją.

Laranth zignorowała docinek. Nastawiła podwójne DL-44 z powrotem na śmiertelną wiązkę i schowała je do kabur, po czym wyłączyła robota szkoleniowego i odesłała go do gniazda ładowania.

Den ziewnął.

– Jak myślisz, czy spotkanie Whiplasha już się zakończyło? – zapytał.

– Będziemy wiedzieć, gdy wróci Jax – odpowiedziała. – To znaczy, ja będę wiedzieć.

– A niech to! – Den się rozmarzył. – Chciałbym mieć do dyspozycji takie czary-mary jak Moc w czasach, gdy byłem jeszcze reporterem. Bardzo by mi się przydawała, kiedy...

Laranth machnęła dłonią, ucinając jego monolog.

– Ciii! – wyszeptała ze zniecierpliwieniem. Den zamknął się. Patrzył na Twi'lekanke, która zastygła, najwyraźniej czegoś nasłuchując. Napięcie jej więzi z Mocą było oczywiste i Sullustanin podświadomie oczekiwał, że mięsiste lekku paladynki uniosą się na jej głowie niczym anteny odbierające fale.

Stała bez ruchu przez dłuższą chwilę. W końcu spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem.

– Powiedz Jaksowi, że musiałam coś sprawdzić – rzuciła i nie czekając na odpowiedź, zniknęła w apartamentowcu. Chwilę później wynurzyła się z powrotem, ubrana w pelerynę z kapturem.

– Jesteś pewna, że nie potrzebujesz towarzystwa? – Reporter raczej nie oczekiwał

odpowiedzi. Jeśli na Coruscant przebywał ktoś lepiej radzący sobie w labiryncie mrocznych podziemi... Jeśli kiedykolwiek selekcja naturalna doprowadziła do narodzin drapieznika przystosowanego do życia durabetonowej dżungli planety-miasta lepiej niż Laranth Tarak... Sullustanin nie miałby ochoty przebywać z tą istotą w jednej galaktyce.

– Poczekaj na Jaksę – nalegał mimo to. – Na pewno wkrótce się zjawi.

Laranth pokręciła głową.

– Może to nic ważnego. Wrócę pewnie wieczorem – odpowiedziała i zanim zdołał zaprotestować, zniknęła w mroku.

Aurra Sing rozchyliła nozdrza, jak gdyby wyczuwała swoją ofiarę. W pewnym sensie tak było – miała przecież zmysł Mocy.

Tutaj, powiedziała sobie w duchu. Blisko. Uśmiechnęła się leniwie, kontynuując metodyczną, ostrożną wędrówkę przez tłum. Nie była w stu procentach pewna, że czuła akurat obecność Pavana, ale z całą pewnością był to ktoś władający Mocą. Nie miała żadnych wątpliwości.

Trop zaprowadził ją do wesołego miasteczka, położonego na jednym z niższych śródpoziomów planety-miasta. Park oferował gościom liczne rozrywki, takie jak trójwymiarowe pasáže, wirtualne przejażdżki, wystawy z najdalszych zakątków galaktyki i inne atrakcje. Sing pozwoliła się porwać cizbie rozmaitych ras, zachowując czujność wyostrzoną do granic.

Gdzie jesteś, młody Jedi? Gdzie się chowasz w tym roju nędznych, bezużytecznych istot? Idę po ciebie. Czarny Lord chce cię dostać w swoje ręce. Nic prostszego! Nie myśl, że masz chociaż cię szansę, aby mnie pokonać. Zabijałam Jedi o wiele bardziej doświadczonych niż ty! – prowadziła w myślach monolog.

Uwielbiająca atmosferę chaosu Sing rozkoszowała się otoczeniem. Zachwycały ją ogłuszający hałas i oślepiające światła, które w połączeniu z hordami przedstawicieli gatunków z całej galaktyki tworzyły pieszczący zmysły konglomerat zamętu. Niektóre atrakcje były naprawdę niezwykle. Ci, którzy nie mieli nigdy okazji brać udziału w wyścigów statków czy choćby być członkami załogi, mogli skorzystać z symulatora o nazwie Corrobor – można go było zmienić w statek kosmiczny. W gabinecie neuralstymowym można było zamienić swoją cielesną powłokę na metalową czy wykonaną z kompozytu, obwodów i lamp, systemów uzbrojenia i układów napędu. W Droidomie podobna wirtualna rzeczywistość pozwalała każdej formie żywej przyjąć na krótko wygląd i osobowość maszyny – od androidów-ochroniarzy, poprzez tłumaczy i inżynierów, aż po automaty budowlane. Prawdziwe roboty uznawały ten rodzaj rozrywki za perwersję, nie mówiąc już o tym, że symulacja nie oddawała ich zdaniem w najmniejszym stopniu rzeczywistości. Klienci nie mogli się naprawdę poczuć w „skórze” automatu, jeśli nie groziły im takie uderki, jak złomowanie czy rozbiórka na części.

Można tu było wziąć udział w najróżniejszych drużynowych albo wielorasowych rozgrywkach i zawodach. Na smakoszy czekały potrawy i napoje z najodleglejszych zakątków galaktyki. Za każdym rogiem trwały rozmaite pokazy i występy – przez jedne rasy uznawane za stratę czasu, a inne rozbawiające do łez. Każdy chętny mógł doświadczyć zmiany płci lub rasy, a różne zniekształcaczki pozwalały przybierać istotom ogromne lub mikroskopijne rozmiary. Kto chciał, przenosił się w mgnieniu oka na którąś ze znanych planet i mógł teraz pływać, chodzić czy unosić się ponad powierzchnią wybranego świata.

Sing nie zwracała uwagi na te plebejskie uciechy. Jej biała skóra, obcisły kombinezon, gibka figura i burza czerwonych włosów spływająca po nagiej czaszce przyciągały wiele ciekawskich spojrzeń. Zaczepki albo ignorowała, albo odpowiadała na nie spojrzeniem tak twardym i groźnym, że nawet najwięksi śmiałkowie natychmiast odwracali wzrok.

Gdzie jesteś, młody Jedi? Gdzie się ukrywasz, Jaksie Pawanie?

Uparcie torowała sobie drogę przez rozbawioną klientelę. Lekceważyła uprzejme zaproszenia, niewybredne propozycje, bezmyślne wyzwiska i gorliwe zachęty. Nic nie mogło odwrócić jej uwagi od śledzenia zwierzyny, gdy już raz zwietrzyła trop.

Już blisko, powiedziała do siebie. Był na wyciągnięcie ręki; wyobrażała sobie szok przerażenia na jego twarzy, gdy poaskocze go zniecka ostrzem świetlnego miecza. Nie potrzebowała zachęty do łowów, co to, to nie – ale klaustrofobiczne otoczenie zaczęło jej nieprzyjemnie przypominać o kopalniach zenu na Oovo Cztery.

Tak blisko, bliźniutko... Przypadkowy przechodzień zajrzał jej w oczy i zszedł z drogi tej białej człekokształtnej, a jednak niemającej w sobie nic ludzkiego istocie najszybciej, jak potrafił.

Aurra zatrzymała się przed wejściem do jednej z głównych atrakcji parku rozrywki: Holo Domu.

Kimkolwiek była osoba, którą tropiła – a Moc podpowiadała jej, że podąża za właściwą ofiarą – znajdowała się gdzieś wewnątrz budynku. Sing mogła dostać się do środka, po prostu skrącając o głowę istotę sprawdzającą bilety, jednak to zwróciłoby tylko niepotrzebnie uwagę. Pomimo rosnącego podniecenia, zmusiła się do uspokojenia rytmu serca i oddechu.

Staraj się wyglądać naturalnie, skarciła się w duchu. Spokojna, opanowana... po prostu samotna kobieta pracująca, która wyszła wieczorem, aby się trochę rozerwać. Na dobrą sprawę nie odbiega to znowu tak bardzo od prawdy, pomyślała z rozbawieniem. Kiedy płaciła za bilet, istota w budce zapewniła ją, że wewnątrz nie ma tłoku. Weszła do środka.

Kompleks rozrywkowy przypominał gabinet luster – z tą różnicą, że nie było w nim zwykłych zwierciadeł. Zamiast tego na wielu poziomach krzyżowały się linie laserowego światła. Na przecięciu każdej z nich mógł pojawić się holoobraz któregoś z odwiedzających. Holo projekcje nie były lustrzanymi odbiciami – a zatem nie sposób je było odróżnić od rzeczywistych osób. Wyciągnięta do którejś z postaci dłoń zanurzała się zwykle w holograficznym wizerunku – któregoś z licznych gości albo samego zwiedzającego. Można

było przejść przez projekcję na inną trasę czy poziom – o ile oczywiście nie wpadło się po drodze na prawdziwą istotę. Takie pomyłki skutkowały zmieszaniem, zaskoczeniem, zagubieniem w labiryncie tożsamości i oczywiście – dla większości – pyszną zabawą. Zabawa była jednak ostatnią rzeczą, jakiej szukała tu łowczyni.

Wokół rozbrzmiewały odległe echa śmiechu i rozmów gości buszujących wśród krzyżujących się szlaków. Sing trzymała w pogotowiu wyłączony miecz świetlny. Nie chciała za wcześnie wystraszyć odwiedzających, a tym bardziej swojej ofiary. Rękojeść broni była niemal niewidoczna w pewnym chwycie jej dłoni. Gdy zajdzie potrzeba, będzie mogła uruchomić klingę w ciągu niecałej sekundy.

Łowczyni minęła parę młodych, roześmianych istot – każda z nich całowała fałszywe odbicie swojego partnera – i skrzywiła się zdegustowana. Głupie, bezrozumne formy życia, obdarzone marną szansą żałośnie krótkiego bytu tylko po to, by zniknąć, nie pozostawiając śladu po swoim istnieniu. Nie to, co ona, stwierdziła bez cienia pychy. Ona była kimś więcej. Długowieczność i wyjątkowe zdolności pozwalały jej odcisnąć trwałe piętno na cywilizacji. Może w sposób nie najprzyjemniejszy dla tych, którzy mieli z nią do czynienia, ale na pewno zapisywała się na długo w ich pamięci – jeśli oczywiście przeżyli, by o tym zaświadczyć.

Znalezienie kogoś w tak zwariowanym miejscu było prawie niemożliwe. Mnogość poziomów, tras i obrazów przerastała możliwości percepcyjne większości osób. Aurra Sing była jednak kimś wyjątkowym – potrafiłaby wytropić swoją zwierzynę w zwodniczym labiryncie miraży, nawet gdyby była ślepa i głucha. Jej przewodnikiem była Moc. Dotyk Ciemnej Strony stanowił wszystko, czego potrzebowała, aby kroczyć pewnie przez niezliczone wizerunki, piętra i korytarze, dopóki...

Teraz! Nie dalej niż pięć metrów przed nią znajdował się jej cel: ubrana w pelerynę z kapturem postać, zwrócona do niej plecami. Palce Sing zacisnęły się mocniej na rękojeści świetlnego miecza. Bezszelestnie podkradła się bliżej ofiary. Niemal w tej samej chwili po jej lewej i prawej stronie, i dodatkowo ponad nią pojawiły się zwielokrotnione odbicia jej samej. Każdy wizerunek powielał determinację i czujność łowczyni.

To było niemal zbyt proste. Sing się zawahała. Od ofiary promieniowała Moc, ale Aurra nie wyczuwała podejrzliwości ani nieufności. Dlaczego tamten nie wiedział, że się zbliża? Może to skutek niewłaściwego szkolenia lub złego zestrojenia z Mocą? Vader napomknął, że Pavan nie był raczej mistrzem w swoim fachu... Nie miało to znaczenia, skoro Sing bez wątpliwości wyczuwała w ofercie potencjał Mocy. Jeśli faktycznie był to Pavan, zaprowadzi go do Czarnego Lorda. Jeśli nie – a może to się okazać kolejny samotny Jedi albo ktokolwiek wrażliwy na tę tajemną siłę – w obu przypadkach zabicie go będzie miłą rozrywką. Nie zamierzała jednak atakować bez zajrzenia swej zwierzynie w twarz... Dla łowczyni nagród to nawet nie kwestia etyki – po prostu sprawi jej to przyjemność.

Ściskając miecz świetlny w prawej dłoni, z kciukiem na włączniku, sięgnęła za pośrednictwem Mocy przez przestrzeń dzielącą ją od ofiary i delikatnie „dotknęła” osoby

stojącej przed nią. Chociaż mentalny bodziec był ostrożny, postać zareagowała natychmiast. Kaptur peleryny opadł i spojrzenia drapieznika i ofiary się skrzyżowały.

Sing ledwie zdążyła zauważyć, że stoi twarzą w twarz z Twi'lekanką. Zanim jeszcze jej mózg zareagował, miecz świetlny obudził się do życia i uniósł na spotkanie strzałów bliźniaczych blasterów DL-44.

Łowczyni rzuciła się w bok. Otaczające ją kopie jej samej powieliły ruch z nadnaturalną precyzją. Miecz świetlny wirował w morderczym tańcu – Aurra nie tylko odbijała ogień, ale też atakowała, posyłając strzały z powrotem w stronę wroga.

Posiłkując się Mocą, Twi'lekanka przeskoczyła na następny poziom labiryntu. Zwielokrotnione wizerunki, które powtórzyły ruch, nie zwiększały ochrony przed zabójczynią – mogły zmylić wzrok, ale Mocy nie dało się oszukać.

Sing deptała przeciwniczkę po piętach. Obracając się, wirując i skacząc, odbijała każdą wiązkę energii wystrzeloną ku niej. Gdy przypadkowo jej wzrok padł na jednego z holosobowtów, dostrzegła tylko kulę zielonego ognia.

Twi'lekanka była jednak dobra – lepsza niż Aurra mogła się spodziewać. Łowczyni miała wrażenie, że dorównuje celnością i zwinnością adeptom szkolonym w Świątyni. Strzał z blastera istoty minął o włos klingę miecza świetlnego Sing i osmalił jej lewe ramię. Bładoskóra kobieta zacisnęła zęby i cięła na oślep przez jedną z plastiformowych ścian. Kilkoro zaskoczonych odwiedzających na widok przerażającej postaci otoczonej chmurą sklonowanych wizerunków uciekło z krzykiem.

Sprawy przybierały zły obrót. Kalejdoskopowe obrazy w połączeniu ze spanikowanym tłumem rozproszyły uwagę Aurry i rozluźniły jej więz z Mocą. Co prawda tylko na ułamek sekundy, ale ta chwila wystarczyła, aby zielonoskóra przeciwniczka przedarła się ku niej i wymierzyła silny cios w szczękę. Wnętrze Holo Domu momentalnie pociemniało...

Wystarczy, postanowiła zamroczona Sing. Miała do wypełnienia misję i chociaż jej rywalka nie była Jedi, po którego ją posłano, czuła, że Twi'lekanka jest w jakiś sposób związana z jej ofiarą. Musiała wziąć istotę żywcem i przesłuchać.

Łatwiej było jednak powiedzieć niż wykonać. Unikając morderczego ciosu świetlnego miecza, napastniczka zdołała wykorzystać nieuwagę Sing i przedostać się przez jej osłonę. Wystrzeliła z blastera i Aurra tylko dzięki Mocy zdołała uchylić się przed śmiertelnością wiązką. Jej lewy policzek natychmiast pokryły brzydkie bąble. Została zmuszona do czegoś, czego nie robiła od bardzo dawna.

Wyciągnęła własny blaster.

Trzymając miecz świetlny w prawej dłoni, przyjęła na jego ostrze kilka strzałów, lewą zaś zacisnęła na rękojeści blasterowego pistoletu. Zaskoczona Twi'lekanka odskoczyła, gdy strzał wypalił dziurę w podłodze tuż pod jej stopami. Kiedy opadł kurz i dym, nie było śladu po zielonoskórej.

Sing zdecydowała niechętnie, że czas zakończyć konfrontację. Z daleka dobiegało wycie

policyjnych ślizgaczy. Dzięki imperialnemu identyfikatorowi niewątpliwie uniknęłyby konieczności tłumaczenia się władzom, nie chciała jednak, żeby do Vadera dotarły jakieś wieści o jej porażce.

Nie miała żadnych wątpliwości, że zdoła pojmać Twi'lekanę żywcem. Uświadomiła sobie, że jej przeciwniczka jest najprawdopodobniej członkinią ugrupowania Szarych Paladynów – wskazówkę stanowiły blastery. To z kolei znaczyło, że była Jedi, a więc Aurra nie miała co liczyć na poznanie miejsca pobytu jej towarzysza, nawet gdyby użyła tortur. Jeżeli będzie wystarczająco ostrożna, może zdoła dojść za paladynką aż do swojej zwierzyny, nie wzbudzając podejrzeń Twi'lekanki. Nie zastanawiała się długo.

Wyrzuciła miecz świetlny nad głowę i podskoczyła jego śladem, torując sobie drogę przez dwa piętra. Wylądowała na dachu budynku, wspomagając Mocą siłę mięśni. Skakała z dachu na dach, dopóki nie znalazła się daleko poza granicami parku rozrywki.

Zatrzymała się i czekała. Wyczuwała połączenie Twi'lekanki z Mocą, więc mogła ją zlokalizować. Przez kilka minut sygnał jej mentalnego radaru wskazywał bliskie okolice wesołego miasteczka – paladynka szukała jej zapewne w Holo Domu. Po jakimś czasie impuls zaczął się powoli oddalać.

Sing z determinacją ruszyła jego tropem. Tym razem będzie ostrożniejsza, poczeka na lepszą okazję – kiedy jej szanse na sukces będą większe.

Polowanie szybko zbliżało się ku końcowi.

ROZDZIAŁ 23

Jax odebrał wiadomość od Laranth, gdy razem z I-Pięć i Denem wybierali się na spotkanie z Dejah Duare. Twi'lekanka była jak zwykle oszczędna w słowach.

– Ktoś chce cię zabić – stwierdziła lakonicznie.

– Jak...?

– Bardzo.

– Nie, nie... chciałem zapytać, jak się tego dowiedziałeś? – sprostował.

A ktokolwiek to jest, dodał w myślach, daj mi go do komunikatora.

– Cóż, właśnie skończyłam zabawę z zabójczynią, która cię szuka – oznajmiła. – Jest mniej niż klik ode mnie. Wyczułam wcześniej jej obecność i wybrałam się na poszukiwanie. Muszę przyznać, że to nie był najlepszy pomysł – skwitowała.

Jax pokiwał głową.

– Zakładam, że tamta nadal porusza się o własnych siłach? – zapytał retorycznie.

– Wygląda na to, że niewyczerpanych – potwierdziła paladynka. – Tropi cię jedna z najlepszych, Jax, jeśli cię to pocieszy. Gdzie jesteś?

– Na ulicy Sari, niedaleko Bulwaru Caspak – poinformował ją.

– Poczekaj tam na mnie – nakazała mu.

Kiedy Den wysłuchał opowieści Laranth, uświadomił sobie po raz nie wiem który, że nie jest najszcześniejszą istotą w galaktyce.

– Aurra Sing? – zapytał załamany. – Ta Aurra Sing?

Śmiertelnie poważna paladynka pokiwała głową.

– Chyba że znasz kogoś, kto bardziej pasuje do opisu. – Jej głos był suchy jak wiatr na Tatooine.

– To w pewnym sensie schlebiające – stwierdził I-Pięć. – Czytałem o niej, gdy byłem podpięty do policyjnej sieci. Ma złą sławę i jest znana z tego, że nie pracuje za półdarmo.

Jax zgodził się z nim. Wiedział, że nie ma potrzeby zastanawiać się, kto wysłał za nim łowczynię nagród o takiej reputacji. Tylko jedna osoba mogła pozwolić sobie na koszt wynajęcia kogoś takiego.

Miło wiedzieć, że zasługuję na najlepszych, pomyślał kpiąco.

Den złapał się za uszy w sullustańskim geście frustracji.

– Moim skromnym zdaniem, nadszedł czas, aby złapać następny frachtowiec i wiać stąd, Jax – powiedział. – To znaczy... – urwał. – Na ciotkę Słodkiej Sookie! – Pokręcił z niedowierzaniem głową. – Jeżeli poluje na ciebie Sing, to nie spocznie, dopóki nas nie załatwi – rzucił pośpiesznie. – I nie prosz mnie o obliczenie prawdopodobieństwa. Musimy się wynosić z tego przeludnionego siedliska zepsucia. Nie żebym miał coś przeciw zepsuciu – dodał wyjaśniającym tonem. – Po prostu nie podoba mi się, gdy jakiś przejaw tego zepsucia czyha na moje życie.

– Daliśmy słowo Dejah Duare – przypomniał mu Pavan.

– To ty dałeś jej słowo, Jax. – Den nie ustępował. – Jasne, Zeltronka jest hojna, a jej kredyty cenne, ale nie damy rady ich wydać, kiedy będziemy martwi. Musimy przenieść się w nową okolicę. Albo na nową planetę, najlepiej w nowej galaktyce – zaproponował rzeczowo.

– Cicho! – upomniała ich Laranth. – Mamy towarzystwo. – Zaledwie zdążyła to powiedzieć, Jax usłyszał jęk repulsorowych silników. Chwilę później na ulicę obok opadł pierwszy z trzech policyjnych ślizgaczy. Piesi na chodniku rozpiechli się, zostawiając łapsom dużo miejsca. Właściciele maszyn parkujących w pobliżu uznali nagle inne okolice za zdecydowanie bardziej atrakcyjne do zostawienia swoich śmigaczy.

Z pierwszego pojazdu wysiadł prefekt sektora. Jax zauważył, że widok ich grupy nie nappełnił Zabraka radością, ale po chwili zreflektował się, że Pola Hausa zapewne nigdy nie cieszy widok istot związanych z jego pracą.

– A więc znów się spotykamy. – Policjant zawiesił na chwilę głos, po czym zwrócił się do Jaksa i I-Pięć. – Co tym razem knuje wasza dwójka? – zapytał podejrzliwie.

– Wyszliśmy się rozerwać – odparł niewinnie Jax.

– Jasne – skwitował ponuro prefekt. – Tylko dlaczego wasz ulubiony rodzaj rozrywki wiąże się zawsze z łamaniem prawa? – rzucił z przekąsem. – Nie widzę nigdzie waszej znajomej, tej Zeltronki – ciągnął, nie czekając na odpowiedź. – Co ciekawe, właśnie odebraliśmy skargę z lokalnego parku rozrywki. Według ich doniesień, dwie przedstawicielki ras człekokształtnych wyrządziły niedawno sporo szkód na terenie wesołego miasteczka. – Jego wzrok padł na Laranth, która spokojnie odwzajemniła spojrzenie. – Podobno jedna z nich była Twi'lekanką – dodał.

– Przykro mi w imieniu mojej rasy – powiedziała gładko. – Moim rodakom zdarza się czasem nieco narozrabiać – dodała bez cienia skruchy.

– Poza tym – kontynuował Haus, niewzruszony – pewien szanowany handlarz dzieł sztuki o imieniu Shulf^{aa} złożył zarzuty, oskarżające pewnego Sullustanina...

Den z całej siły starał się schować za nogami Jaksa.

– ...podającego się za funkcjonariusza policji, o próbę uzyskania informacji od rzeczonoego handlarza pod groźbą zamknięcia jego interesu.

– To nieporozumienie – z okolic ud Pavana dobiegł słaby głosik. – Jestem pewien, że da się to w prosty sposób wyjaśnić.

– Bez wątplenia – mruknął Haus. – Z pewnością jednak nie tak łatwo, jak zarzuty innego przedsiębiorcy, Spa Fona. Lonjair twierdzi, że wasza dwójka – spojrział surowo na Jaksa i Dena – wkroczyła na teren jego siedziby pod fałszywymi pozorami, po czym zastraszyła go i pobiła jego bezbronno i niewinno byłego pracownika, który...

– Chwileczkę – przerwał mu Jax. – Przede wszystkim, Lonjair jest zawodowym złodziejem. Po drugie, „bezbronny i niewinny był pracownik” to Cathar, ważący prawdopodobnie jakieś ćwierć tony. Ta kupa mięśni zaatakowała pierwsza, a poza tym...

– Mniejsza z tym. – Prefekt westchnął, ignorując oburzenie Jaksa. – Tak naprawdę mnie to nie obchodzi. Jednak w pobliżu miejsca zamieszek namierzono wasze pierścienie lokalizacyjne, postanowiłem więc to sprawdzić, tak na wszelki wypadek... – Jego ton stał się ostrzejszy. – Nie mam pojęcia, co tu się dzieje, Pavan – powiedział surowo. – Wiem o twoich amatorskich próbach odnalezienia zabójcy partnera panny Duare i wiem też, że stajesz się wkurzający niczym wrzód na tyłku – stwierdził bez ogródek. – Starczy mi codziennych problemów, nie potrzebuję kolejnego incydentalnego zawracania głowy. Mówię „incydentalnego”, bo to już koniec. Koniec tego dobrego – oznajmił głosem niedopuszczającym sprzeciwu. – Jeśli jeszcze raz wejdziecie mi w drogę – tu wymierzył palec w Jaksa – ty i reszta twojej bandy będziecie mieli okazję zapoznać się z luksusami aresztu policji sektora. Czy wyrażam się jasno? – zapytał.

– Absolutnie – zapewnił go prędko Jax.

Prefekt łypnął na nich jeszcze raz spode łba i wraz z oddziałem zniknął w tłumie istot.

Den wyrzwał niepewnie zza Jaksa.

– Najpierw Spa Fon, potem Pol Haus, a teraz niesławna Aurra Sing. Na czyją listę teraz trafimy, Jax? – zapytał szyderczo. – Dartha Vadera? – Klepnął się w czoło w parodii nagłego olśnienia. – Och, zapomniałem... już na niej jesteśmy – stwierdził zgryźliwie.

Jax popatrzył w milczeniu po swoich przyjaciółach. Był z nich dumny – cieszył się, że tworzą drużynę. Wiedział, że działając razem, potrafią poradzić sobie z każdym niebezpieczeństwem i problemem. Czy miał prawo prosić ich o więcej? Narażać swój zespół na większe ryzyko? Co zrobiłby na jego miejscu mistrz Piel?

Larant zostanie na Coruscant, nieważne, co się dalej stanie – wiedział o tym. Ruch oporu był wszystkim, co nadawało sens jej życiu. Czy mógł jednak prosić Dena i I-Pięć, nie mówiąc o Rhinannie, aby dalej nadstawiali za niego karku?

Odetchnął głęboko.

– W porządku. Mam jeszcze jedno spotkanie z naszym klientem. Zależnie od opinii Zeltronki podejmiemy decyzję, co dalej. Może faktycznie najwyższy czas poszukać szczęścia gdzie indziej – przyznał Sullustaninowi rację.

– Otóż to. – W głosie Dena słychać było ulgę. Stojąca za nim Larant nadal milczała, co nieco zaniepokoiło Jaksa. Jedi przypomniał sobie jednak, że ostatnio paladynka była bardziej markotna niż zwykle i nie musiał korzystać z Mocy, aby to stwierdzić.

W trosce o swoich przyjaciół i własne interesy Jax zamierzał podczas ostatniego spotkania z Dejah postawić sprawę jasno. Żadnych kompromisów – obiecał sobie jeszcze przed wyjściem na spotkanie. To postanowienie towarzyszyło mu całą drogę do rezydencji Zeltronki i szło mu całkiem nieźle, dopóki nie znalazł się w apartamentach Duare.

Jego determinacja zniknęła niczym żagiel słoneczny w wybuchu supernowej.

Zeltronowie byli znani z ekstrawagancji, ale strój, w jakim przywitała go Dejah, zostałby uznany za szokujący nawet przez przedstawicieli jej rasy. Lśniący srebrny mgiełka otulała jej ciało, śmiało odsłaniając fragmenty nagiej skóry. Miał wrażenie, że otacza ją tęcza poświata, jaka czasem unosiła się nad brzegiem oświetlonej promieniami księżyca plaży. Tkanina – jeśli oczywiście można to było nazwać tkaniną – falowała we wszystkich kierunkach, podkreślając zgrabną sylwetkę Dejah. Efektu dopełniały naszyjnik i bransoletka z alderańskich muszli sequat. Na pierwszy rzut oka widać było, że nie są to tanie podróbki z lokalnej wyprzedaży. Komplet kosztował zapewne więcej niż roczne zarobki przeciętnej istoty. Albo nawet dziesięcioletnie.

– Wejdz, proszę, Jax. – Poprowadziła go w głąb mieszkania.

Ruszył za nią, zmuszając się do poświęcenia całej uwagi ścianom i sufitowi, zanim nie znaleźli się w salonie. Pośrodku okrągłego pomieszczenia stała obramowana rzeźbą kamieniem fontanna, która mogła tryskać wodą ogniem albo setką innych substancji, wedle życzenia domowników. W tej chwili rozpyłała w powietrzu ciecz w kolorze ciemnopomarańczowym. Podłoga pokoju stanowiła jedno wielkie siedzisko. Naprzeciwko wejścia, po drugiej stronie, stały bezcenne Voletty. Każda rzeźba promieniowała unikalną sekwencją kształtów i kolorów, zgodnie z kodem nadanym jej przez zmarłego artystę. Instalacje służyły za całe oświetlenie pokoju.

Pulsujące światło rozpraszało Jaksę. W koncentracji nie pomagała też chmura odorujących zeltrońskich feromonów – nie wspominając o efekcie, jaki wywoływał mgiełkopodobny strój. Przywołał na pomoc techniki Jedi, które pozwoliły mu się skupić, jednak przyszło mu to z trudem nawet przy użyciu Mocy.

Dejah nie ułatwiła mu zadania, siadając obok.

– W porządku – zaczęła. – O czym chciałeś ze mną rozmawiać, Jax? Mówiłeś, że to ważne.

– Zgadza się. Dejah... – zawahał się – czy mogłabyś trochę przytłumić swoją, hm... emisję? – zapytał zmieszany.

Odsunęła się od niego nieznacznie.

– Mogłeś to wyrazić nieco delikatniej – powiedziała lekko nadąsana. – Dlaczego? Czy moja emanacja jest dla ciebie nieprzyjemna?

– Nie – zapewnił ją natychmiast. – Problem w tym, że wręcz przeciwnie. Trudno mi się skupić w takiej... dusznej atmosferze.

– Cóż, jeśli cię to rozprasza... – Wydawało się, że nie zrobiła nic szczególnego, ale nagle pokój wydał się Jaksowi przestronniejszy. Znowu mógł myśleć logicznie bez pomocy niewidzialnej bariery. Uśmiech Dejah nie pozostawiał wątpliwości, że jego zmieszanie w najmniejszym stopniu jej nie krępuje.

– Dzięki – rzucił. Pomyślał, że rozumowałby jeszcze jaśniej, gdyby zmieniła kreację. Nie poprosił o to tylko dlatego, że bał się ją urazić. – Przychodzę w interesach – wyjaśnił.

Na jej twarzy pojawił się wyraz zawodu, który jednak tylko dodał jej uroku.

– Co się stało, Jax? Czy zaliczka, którą wam wypłaciłam, nie jest wystarczająca? Jeśli to za mało, z pewnością możemy...

– Nie chodzi o pieniądze – zapewnił ją szybko. – Pojawiły się po prostu pewne okoliczności... Prefekt sektora jest coraz bardziej poirytowany naszym węszeniem wokół sprawy. Postraszył nas nawet... co prawda nie wprost, ale stanowczo... aresztem, jeżeli nadal będziemy wtrącać się w jego śledztwo.

Oczy Zeltronki rozbłysły gniewem, a że jednocześnie lekko pobladła, efekt był piorunujący.

– Podaj mi jego nazwisko. Jestem pewna, że po mojej wizycie nie ośmieli się już wam grozić – rzuciła z mocą.

Po twojej wizycie prawdopodobnie będzie gotów przebiec na golasa imperialną aleją defilad, jeśli tylko go o to poprosisz, pomyślał zaniepokojony Jax.

– Lepiej trzymać się z daleka od policji. Staramy się nie wchodzić im w drogę. Niestety, to nie koniec problemów. Jest ktoś jeszcze, pewna kobieta, która...

– Masz na myśli tę kaleką Twi'lekanę? – weszła mu w słowo.

– Nie, nie Laranth – zaprzeczył. Czemu, u diabła, pomyślała o Laranth? – zastanowił się. – Ktoś inny, bardzo groźny. Moi przyjaciele mogą być w niebezpieczeństwie.

– Jej również mogę złożyć wizytę – zaproponowała uczynnie Dejah.

Słowa Zeltronki przypomniały Jaksowi, po co właściwie przyszedł.

– Obawiam się, że nawet ty nie dałabyś rady jej przekonać. Dejah, przykro mi to mówić, ale chyba będziemy musieli rozwiązać naszą umowę. Członkowie Whiplasha zrobią, co w ich mocy, żebyś bezpiecznie opuściła Coruscant. Jednak w obecnej sytuacji dalsze poszukiwanie zabójcy twojego partnera staje się po prostu zbyt niebezpieczne, zarówno dla ciebie, jak i dla nas.

Dejah ukryła twarz w dłoniach i załkała cicho. Jax wyczuł nowy strumień feromonów. Były inne niż te, które odurzyły go wcześniej, ale nie mniej intensywne. Wzniósł natychmiast barierę ochronną, ale sam widok, w połączeniu z projekcją empatyczną Zeltronki, groził naruszeniem jego dopiero co odzyskanej pewności siebie. Bezwiednie wyciągnął ramiona, żeby ją przytulić i pocieszyć, jednak w porę oprzytomniał.

Chociaż widok płaczącej kobiety łamał mu serce.

Po dłuższej chwili Dejah uniosła głowę, otarła wierzchem dłoni oczy i złożyła ręce na

podółku. Prosty gest był tak rozczulający, że Jax znów byłby stracił zimną krew, ale natychmiast przywołał się do porządku.

– Co mogę zrobić, żebyś zmienił zdanie, Jax? Jeśli nie chodzi o pieniądze, to o co? – W jej oczach widział obietnicę, która spotęgowała napięcie wiszące między nimi do poziomu zdolnego wytrącić z orbity małe ciało niebieskie.

Poczuł, że się łamie. Uspokój się, ale już! – nakazał sobie.

– Widzisz, Dejah – zaczął, grając na zwłokę, żeby dojść do siebie. – Wygląda na to, że nie robimy wystarczających postępów. Dowiedzieliśmy się, co prawda, kilku rzeczy, ale wszystkie tropy prowadzą donikąd. Powinniśmy zacząć w nowym punkcie, znaleźć nową poszlakę. Czy jest coś, czego nie powiedziałaś nam wcześniej i o czym nie mówiłaś policji?

– Chyba tak – stwierdziła ostrożnie. – Trochę szukałam na własną rękę. To dosyć bogata dzielnica i mieszkańcy nie chcą sobie mieć do czynienia z władzami, Mam jednak pewne sposoby i potrafię ich zmiękczyć.

Przy tobie zmiękłby nawet sullustański skałotłuk, pomyślał Jax.

– Czego się dowiedziałaś? – zapytał.

– Może to bez znaczenia, ale... parę domów stąd mieszka pewna stara Drallka. Wiesz, jacy są Drallowie... konserwacja księgozbiorów pochłania ich tak bardzo, że rzadko kiedy znajdują czas na spotkania towarzyskie. Wiem, że policja nawet nie przesłuchiwała mojej sąsiadki. Jej rasa słynie też z zamiłowania do biżuterii i staruszka ucinała sobie czasem z Vesem pogawędkę na temat sztuki zdobniczej. Wpadła kilka dni temu, żeby złożyć kondolencje. Twierdziła, że nie mogła przyjść wcześniej, bo była zajęta pilnym katalogowaniem. Plotkowałyśmy trochę przy herbatce z dianogi, którą przyniosła. – Dejah uśmiechnęła się wstydliwie. – Na pewno słyszałeś, jak działa ten napój... Bardzo miło nam się gawędziło. – Zeltronka nachyliła się lekko w stronę Jaksa, ale tym razem przytłumiła przezornie ładunek feromonów. – W pewnej chwili Drallka wspomniała, że parę dni przed śmiercią Vesa zauważyła potężnego Vindalianina kręcącego się po okolicy.

Jax zmarszczył brwi. Fakt, że w pobliżu apartamentów artysty krótko przed zabójstwem widziano Vindalianina, o niczym nie świadczył. Baron i jego towarzyszką z całą pewnością nie byli jedynymi Vindalianami na Coruscant, a nawet w lepszych dzielnicach sektora imperialnego. A jednak... jeśli to nie był zbieg okoliczności? Gdyby istota widziana w sąsiedztwie okazała się którymś z Umberów...

Jego rozmyślenia zakłócił stłumiony sygnał dzwonka, oznajmiający czyjaś wizytę. Jax poczuł ulgę na myśl o przerwie w krępującej rozmowie i wysłał wici Mocy, aby wy badać tożsamość gościa.

Odkrycie wprowadziło go najpierw w zdumienie, a potem wzbudziło niepokój. Osobą za drzwiami był nikt inny jak Sele, catharski ochroniarz Spa Fona – czy też raczej były ochroniarz, od czasu przegranej walki. Jedi i Den zostawili wielkiego kocura w domostwie Lonjaira, a Jax założył, że wojownik tam będzie pokutował za swoją porażkę w rytuale gi-an-

ku'rii. Tymczasem był pod domem Duare. Jak odnalazł Pavana? I czy po to, żeby się zemścić?

Jedi westchnął i wyciągnął ogniomiecz z pochwy.

– Poczekaj tu – nakazał Dejah. Wyszedł na zewnątrz; trudno, musi ponownie zmierzyć się z wojownikiem. Z ponurym sarkazmem pomyślał, że pojedynek z istotą dwa razy większą od niego może okazać się lepszy niż przebywanie sam na sam z Dejah i jej feromonami.

Zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, Cathar wydał cichy pomruk i skłonił z szacunkiem głowę.

– Twój pokorny sługa pragnie ofiarować ci pomoc, pogromco – przemówił. – Do moich uszu dotarły pewne plotki, które mogą okazać się przydatne w twoich poszukiwaniach. – Przerwał, czekając na reakcję Jaksa.

– Mów – powiedział krótko Pavan.

– Mój znajomy, Geroon, ma androida, którego czasem wynajmuje do pomocy w pracach domowych przedstawicielom pozaświatowej arystokracji. Ten android twierdzi, że widział ślizgacz opatrzony herbem rodu Umber w pobliżu conapty artysty Vesa Voletta w noc jego śmierci. – Kocur przymknął oczy. – Żywię gorącą nadzieję, że ta informacja ma jakąś wartość dla mojego pana.

– Ależ tak – zapewnił go Jax. – Do tego stopnia, że odkupiła twoją hańbę. Zwracam ci wolność. Odejdź w pokoju.

Zaskoczony Sele spojrzął z wdzięcznością na swojego wybawcę. Nie tracąc czasu, odwrócił się na pięcie i zniknął.

Jax wrócił do salonu Dejah. Zeltronka przyglądała mu się wyczekująco.

– Kto to był? – zapytała.

– Wygląda na to – powiedział z namysłem Jax – że mamy odpowiedź, której szukaliśmy.

ROZDZIAŁ 24

Trochę to trwało, ale w końcu ciężka praca przyniosła efekty. Instynkt go nie zawiódł. Gdzie miałby szukać zdradzieckiego Jedi, jeśli nie pośród innych zdrajców? Kiedy jednak kilka kolejnych spotkań nie przyniosło spodziewanych skutków i nie natrafił na żaden ślad Pavana, Typho prawie się poddał. Istniało przecież sporo innych sposobów wyszukiwania informacji. I właśnie wtedy, na ostatnim spotkaniu, w którym postanowił wziąć udział, jego cierpliwość została nagrodzona.

Wytrwałość zawsze popłaca.

Młody mężczyzna mógł być oczywiście jakimś innym Jaksem Pavanem, noszącym przez przypadek nazwisko obiektu poszukiwań Sing. Wcale też nie musiał być rycerzem Jedi. Typho uznał jednak, że skoro natknął się na niego na spotkaniu Whiplasha, byłby to zbyt duży zbieg okoliczności. Kapitan szedł za młodym mężczyzną, zachowując bezpieczną odległość. Wykorzystał wszystkie umiejętności nabyte podczas służby w ochronie, aby jego cel nie zorientował się, że ktoś go śledzi. Starał się „wyłączyć” świadomość i koncentrować na zwykłych rzeczach: zapachu jedzenia dolatującym z pobliskiej restauracji, mijającej go atrakcyjnej nieznajomej, odgłosach sprzeczki, tekście reklamy, zasłyszonym szepcie. Jeśli ten człowiek rzeczywiście był Jedi, Typho za nic nie mógł dopuścić do zakłócenia w Mocy. Pavan nie może się zorientować, że ktoś mu depcze po piętach.

Na szczęście jego cel nie oglądał się za siebie i maszerował pewnym krokiem przez tłum przedstawicieli różnych ras. Może to natłok emocji promieniujących od tych wszystkich istot sprawił, że Jedi nie zauważył podążającego za nim mężczyzny? A może po prostu czuł się w znajomym otoczeniu na tyle bezpiecznie, że nie zaprzętał sobie głowy zbytnią ostrożnością? Przyczyna nie interesowała kapitana, dopóki udawało mu się pozostać niezauważonym.

W końcu Pavan wszedł do bloku rezydencyjnego w jednym z zaułków. Typho nie mógł dostać się do środka automatycznie chronionego budynku, ale najprawdopodobniej poznał właśnie miejsce zamieszkania mężczyzny. To mu wystarczy. W wieżowcu mieszczą się pewnie dziesiątki albo i setki mieszkań, jednak nie miało to większego znaczenia. Grunt, że zna adres człowieka, którego Czarny Lord chciał dostać w swoje ręce. Nawet jeżeli sprawy potoczą się tak, jak zaplanował i Vader nie będzie mógł odczytać jego myśli za pośrednictwem Mocy, chciał mieć asa w rękawie. Bez oporów zdradzi miejsce zamieszkania

Pavana, jeśli pozwoli mu to utrzymać przewagę. Szczęście sprzyja przygotowanym – każdy żołnierz o tym wie.

Planował również, że wyśle młodemu Jedi podarunek, który – jeśli sprawy potoczą się nie po jego myśli – przygotuje w pewnym sensie Pavana na spotkanie z Lordem Sithów. Kusiło go, co prawda, żeby samemu stawić czoło Vaderowi, korzystając z tego dodatkowego atutu, ale wiedział, że w taki sposób skazałby plan na niepowodzenie.

Czarnemu Lordowi tak bardzo zależało na złapaniu Jedi Pavana, że posłał za nim zabójczo skuteczną łowczynię nagród, Aurę Sing. Na nieszczęście dla niej, Typho znalazł Jaksę pierwszy. Kapitan uśmiechnął się ponuro. W jaki sposób żołnierz pochodzący z odległego świata może uzyskać audiencję u prawej ręki Imperatora? Proponując mu w zamian coś, czego ten desperacko pragnie.

Jax Pavan miał nieświadomie stać się przepustką Typho na spotkanie z Lordem Sithów. A to spotkanie będzie dla Vadera ostatnim.

Tak, tego rodzaju sprawy dawało się załatwić. Jeśli potrafiło się skorzystać z odpowiednich kanałów, można się było skontaktować nawet z samym Imperatorem. Co prawda pozycja Typho była bardzo pomocna podczas przedzierania się przez struktury urzędowe ku samej górze. Jego prośby nie potraktowano jak próby nawiązania kontaktu przez szarego obywatela opętanego manią wielkości. Kapitan wiedział, że jego informacja stopniowo, metodycznie jest przekazywana do kolejnych osób na stanowiskach coraz bliższych końcowemu odbiorcy. Nie miał żadnych wątpliwości, że Czarny Lord nie zignoruje tej wiadomości.

Vader niewątpliwie skontaktuje się z nim osobiście, nie będzie się bawił w pośredników. Skoro wynajął do załatwienia tej sprawy kogoś takiego jak Sing, musiało mu naprawdę zależeć. Przed spotkaniem z Lordem Sithów Typho musi oczywiście podjąć odpowiednie środki ostrożności. Podobno to zakute w czarną zbroję monstrum potrafiło odczytać zamiary istot żywych nawet na dużą odległość. Może był to zwykły bilterscoot, ale jako zawodowy ochroniarz, kapitan wiedział, że musi zachować ostrożność. Dlatego właśnie, oprócz zlokalizowania miejsca pobytu Pavana, zamierzał złożyć wizytę pewnemu aptekarzowi o szemranej reputacji. Wkrótce będzie gotowy na spotkanie z Czarnym Lordem.

Sklepik znajdował się przy ciemnej uliczce, w wyjątkowo marnie oświetlonej części śródpoziołu dwudziestego. Nie żeby była to szczególnie groźna okolica – można powiedzieć, że zupełnie odwrotnie. Ten rejon Coruscant zamieszkiwały po prostu rasy lubiące półmrok.

Chociaż wokół było ciemnawo, Kubaz aptekarz chronił oczy rozpraszającymi goglami, chętnie noszonymi przez istoty mieszkające na planetach jaśniejszych od ich rodzimych światów. Gdy istota witała nowego klienta, zjeżyła się czarna sierść na jego głowie, a długi pysk uniósł się do góry w odpowiedniku fałszywego uśmiechu.

– Krsft. Szszym mogę słuszyć? – W przyćmionym świetle czarnozielona skóra pigularza wydawała się pozbawiona koloru.

– Chciałbym kupić wyrostek skórny taozina – poinformował go Typho.

Zwinne palce już wyszukiwały odpowiednie dane na holoprojektorze zawieszonym w powietrzu między nimi.

– Dzzt. Rzadkość. Koszsztowna.

– Cena nie gra roli – zapewnił Typho. – Masz towar czy nie?

– Hm-ezz. Zobaszszmy. – Rysując w powietrzu obrazy i symbole, Kubaz sprawdzał dostępność produktu.

– Mam jeen na sklazzie. – Obliczył koszt. – To bęzzzie... mfftzza... ziewiężzet gredytów.

Rzeczywiście sporo, pomyślał Typho, ale wzruszył ramionami. Nie było innego sposobu. Taozin, zwany również Smokiem Mocy, był bardzo rzadkim, olbrzymim bezkręgowcem pochodzącym z lesistego księżyca Wart. Chodziły plotki, że niektóre osobniki widywano również w zaułkach planety-miasta. Tym, co czyniło stworzenie wyjątkowo cennym dla Typho, była jego zdolność do ukrywania swojej obecności w Mocy. Według legendy, kuliste wyrostki na skórze taozina sprawiały, że stawał się niewidoczny dla osób posługujących się Mocą. Tak w każdym razie utrzymywali ci, którzy mieli z nim do czynienia. Kapitan miał nadzieję, że legenda okaże się prawdą. Będzie miał tylko jedną szansę na sprawdzenie skuteczności talizmanu.

Kubaz wręczył mu przezroczystą kopertę zawierającą spłaszczoną kulę wielkości pięści, bladożółtą niczym kiel rancora. Typho przyglądał się dziwnemu przedmiotowi przez chwilę. Wydawało się nieprawdopodobne, żeby taki zwykły kawałek materii mógł zmylić wielkiego Lorda Vadera. Ale w tym tkwiła właśnie potęga talizmanów – ich moc zawsze była potężniejsza, niż wskazywała forma. W taki sposób działa magia.

Kapitan wyszedł z budynku, ściskając kopertę w dłoni. Pozostawało ostatnie zadanie: przesyłka dla Jaksa Pavana.

Gdy się z tym upora, będzie gotów na konfrontację z Czarnym Lordem Sithów.

ROZDZIAŁ 25

Srebrzysty robot protokołarny nie mógł oczywiście zrobić zaskoczonej miny, ale zdziwienie słychać było doskonale w jego głosie.

– Obywatel Pavan! – Automat dostrzegł resztę grupy stłoczoną za Jaksem. – I pańscy przyjaciele – dodał. Spojrzenie androida spoczęło na Zeltronce.

– Panienko Duare, zawsze miło nam gościć panią w naszych skromnych progach – zapewnił ją uprzejmie.

Den wystąpił krok do przodu.

– Hej, a nas? – zapytał gniewnie.

Android wyglądał na zakłopotanego.

– Nie zapowiedzieliście waszej wizyty. Nie mam was w archiwach danych.

– Czy zastaliśmy barona i jego żonę? – zapytał Jax.

– Oczywiście. Są w domu. – Fotoreceptory automatu skupiły się na Jedi. – Rozumiem, że jednoczesna wizyta waszej grupy i prefekta Hausa nie jest zbiegiem okoliczności? – rzucił formalnie.

– Dobrze rozumiesz – odpowiedział mu Den – ponieważ postanowiliśmy się tu z nim spotkać.

– Możesz nas zapowiedzieć – polecił Jax.

Android wahał się przez parę sekund, ale zaraz się odwrócił i powlókł ciężko przez puszysty dywan. Jax i jego towarzysze czekali, aż zostaną oficjalnie zaproszeni do środka. Automat wkrótce powrócił.

– Proszę za mną – zachęcił. – Baron chętnie was wysłucha. Jestem pewien, że widok panienki Duare szczególnie go ucieszy – dodał.

– Nie tylko baron nie może się doczekać, aż was zobaczy – usłyszeli czyjś głos i ich oczom ukazała się postać Pola Hausa. – Bardzo jestem ciekaw, co kazało wam ściągnąć mnie tutaj o tej barbarzyńskiej porze.

Ponownie zdumiał ich przepych mieszkania barona. Umber przywitał ich serdecznie, a za moment dołączyła jego małżonka.

Zabrak, któremu towarzyszył robot-asystent, popatrzył na nich surowo.

– Słucham – warknął.

Jax dał znak głową. Den i I-Pięć przeszli na drugi koniec pomieszczenia. Wydawali się spokojni, ale zmysły mieli wyostrzone. Każdy wiedział, co ma do powiedzenia Jax, nawet Dejah. Ustalili wszystko wcześniej.

Teraz, gdy nadeszła odpowiednia chwila, Jedi pozwolił wiciom Mocy sięgnąć ku obecnym w pomieszczeniu. Próba potwierdzenia tego, co zamierzał ogłosić, nie powiodła się. Co prawda tego się właśnie spodziewał.

– W porządku – zwrócił się do prefekta. – Wiem, kto zabił Vesa Voletta. – Rzucił szybkie spojrzenie na stojącą w pobliżu Zeltronkę. Przygotowana na ujawnienie tożsamości zabójcy, nie dała nic po sobie poznać – ani mimiką, ani na żaden ze sposobów charakterystycznych dla jej rasy. Zadowolony, Pavan skierował z powrotem uwagę na gospodarzy i policjanta.

– W noc śmierci artysty w pobliżu jego domu widziano vindaliański ślizgacz oznakowany herbem rodu Umber – oznajmił.

Zaskoczony baron otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Jax uniósł dłoń na znak, że jeszcze nie skończył.

– Wiem, że to nie był pan, baronie – uspokoił go. – Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Został pan sprawdzony i nie ma nic, co mogłoby sugerować, że jest pan uwikłany w morderstwo. Wręcz przeciwnie – zapewnił go.

– Moje śledztwo wykazało to samo, jeśli kogoś to interesuje – wtrącił oschle Haus.

Umber trochę się uspokoił, ale nadal był wyraźnie wzburzony.

– Nie wiem, czy mam czuć ulgę, czy uznać twoje słowa za obelgę, Pavan – stwierdził ostro.

– Jest pan prawdziwym miłośnikiem dzieł Voletta. Udowodnił to pan. Kochał pan jego sztukę i z pewnością nie był panu obojętny los jego samego – ciągnął niezrażony Jax.

– Nam obojgu – poprawił go Umber.

Jedi czuł napięcie wici Mocy. Sytuacja stawała się dla kogoś w tym pokoju wyraźnie niewygodna, wyczuwał rosnącą panikę. To tylko potwierdziło jego przypuszczenia.

– Zgadza się. Ale darzył pan artystę z pewnością większą sympatią niż pańska małżonka.

– Pavan spojrzał na postać stojącą za arystokratą. – Prawda, baronowo Umber? – zapytał.

Vindalianka spojrzała mu prosto w oczy. Nie znał zbyt dobrze obyczajów jej rasy, nie był więc całkiem pewien znaczenia mimiki czy gestów. Poprzez Moc wyraźnie wyczuwał jednak złość.

– Nie zaprzeczę – rzuciła krótko.

– Naszemu androidowi – Jax wskazał na I-Pięć – udało się uzyskać dostęp do waszych danych bankowych. – Spojrzał na Hausa. Zabrak nic nie powiedział, ale widać było, że słucha go z zainteresowaniem.

– Wystarczy, Pavan! Tego już za wiele! – Tym razem Umber nie zdołał utrzymać nerwów na wodzy.

Jax spojrzał na niego obojętnie.

– Przez trzy ostatnie standardowe lata wydał pan na prace Vesa Voletta imponującą sumę kredytów. Tak dużą, że stan pańskiego konta i zdolność kredytowa zostały poważnie nadszarpnięte.

Umber niemal zachłysnął się z oburzenia.

– Wszystko było pod kontrolą! Cały czas! Naruszyliście moją prywatność, a ja nadal nie widzę związku z zabójstwem Voletta. – Zwrócił się do Hausa. – Prefekcie, jestem pewien, że to złamanie procedur śledczych – dodał z naciskiem. Haus powoli pokręcił rogatą głową.

– Zobaczmy, co jeszcze ma do powiedzenia – zarządził.

– Poza panem był ktoś jeszcze, kto martwił się o pana finanse, baronie – ciągnął Jax. – Ktoś, kto miał chyba nieco inne zdanie na temat kontroli pańskich wydatków. Ten ktoś nie podzielał pańskiego entuzjazmu wobec dzieł Caamasjanina. – Wzrok Pavana spoczął ponownie na partnerce barona.

Nie miał teraz wątpliwości, gdzie kryło się źródło zdenerwowania i przerażenia napływającego poprzez Moc. Po krótkiej przerwie wrócił do tematu.

– To panią zauważono w okolicy studio Voletta tej nocy, Kirmo Umber – zwrócił się do baronowej. – Świadkowie twierdzą że osobnik, którego widzieli, był znacznie większy niż przeciętny Vindalianin. Nie znam zbyt dobrze waszej rasy, ale wiem, że samice są zawsze potężniejszej budowy od samców – mówił dalej. – Śledziłaś swojego męża, ponieważ obawiałaś się, że zakupi kolejną pracę Voletta, a w ten sposób jeszcze bardziej nadweryży wasze fundusze. Kiedy baron wyszedł z mieszkania artysty, spotkałaś się z Volettem i mu zagroziłaś. Prawdopodobnie zabroniłaś mu sprzedawać kolejne prace baronowi, przynajmniej do czasu, gdy wasze finanse zostaną podreperowane – próbował odtworzyć ciąg zdarzeń.

Vindalianka nie spuszczała z niego wzroku.

– Ludzie miewają bujną wyobraźnię – stwierdziła oschle. – Trzeba przyznać, że pańska, Pavan, jest wyjątkowo duża. – Jej głos był spokojny, ale fala emocji wysyłanych za pośrednictwem Mocy wskazywała na zupełnie inny stan ducha.

– Artysta zdecydowanie odmówił, więc w przyпіlywie złości go zaatakowałaś. Może nie miałaś zamiaru go zabić, ale pchnęłaś Caamasjanina ostrym narzędziem i uciekłaś z miejsca zbrodni – zakończył rekonstrukcję Jax.

Baron Umber wlepił zdumione spojrzenie w towarzyszkę. Wyraźnie chciał coś powiedzieć, ale nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Kirma spojrzała na niego, a potem przeniosła wzrok na Jaksę.

– Jest w tym trochę prawdy – przyznała oschle. – Nie wiem, jak się tego dowiedziałeś, ale owszem, śledziłam barona i pokłóciłam się z Vesem. Poprosiłam go, żeby nie sprzedawał Vlacanowi więcej swoich prac. Ale nie chodziło o pieniądze – zaprzeczyła stanowczo. – Kiedy mój mąż zapewniał mnie, że ma wszystko pod kontrolą, wierzyłam mu. Kocha sztukę Voletta, ale nigdy nie naraziłby dobra rodziny tylko po to, żeby zdobyć kolejne dzieło sztuki. Vindalianie po prostu nie są do czegoś takiego zdolni – wyjaśniła.

– A więc dlaczego? – zapytał ją Jedi.

– Powinieneś wiedzieć. – Vindalianka zrobiła krok do przodu, uniosła rękę i wskazała palcem na jedną z osób obecnych w pokoju. – To wszystko przez nią – rzuciła oskarżycielskim tonem.

Wszyscy popatrzyli na zaskoczoną Zeltronkę. Dejah wpatrywała się z osłupieniem w Vindaliankę, potem przeniosła wzrok na barona, a wreszcie na Jedi.

– Jax, ja... nie wiem, o czym ona mówi – wyjąkała z autentycznym zaskoczeniem.

– Między nami było... no cóż, zaiskrzyło – pospieszył z wyjaśnieniami skrzepowany Umber. – Nie mogę zaprzeczyć. – Wyraźnie skruszony, odwrócił się do swojej małżonki. – Ale to wszystko; do niczego nie doszło – podkreślił. – Kirmo, nie mogłem kontrolować swoich reakcji, kiedy przebywałem w jej towarzystwie. – Rozłożył bezsilnie ręce. – Jest Zeltronką!

– Lepiej dla was obojga, żebyś trzymał się od niej z daleka – warknęła jego towarzyszka.

– Jak mogłem? – zaoponował. – Zawsze była w pobliżu. Przebywała z nami, gdy wybierałem rzeźbę. Towarzyszyła nam podczas negocjowania ceny. Uczestniczyła w naszych rozmowach o sztuce. Była jego partnerką! – powiedział bezradnie.

Kirma Umber spojrzała na męża. Napływające od niej emocje znacznie różniły się teraz od tego, co Jax czuł wcześniej.

– Jest Zeltronką, owszem. To wiele wyjaśnia, ale jej nie usprawiedliwia – powiedziała nadąsana baronowa.

– Do niczego nie doszło – powtórzył Umber z takim naciskiem, na jaki mógł się zdobyć, nie podnosząc głosu. Szczerść jego słów miała potwierdzenie w Mocy i Jax mu wierzył.

Partnerka barona wytrzymała jego spojrzenie, a po chwili zwróciła się do Pavana.

– Wdałam się w sprzeczkę z Vesem Volettem. Wysłałam zdenerwowana, ale zostawiłam go całego i zdrowego. Musicie mi uwierzyć! Nie zabiłam go! – zapewniła żarliwie.

W ciszy, która zapadła po jej słowach, rozległ się znajomy głos. Był spokojny, opanowany, rzeczowy. Należał do ostatniej osoby w pokoju, od której Umberowie i Haus mogli się tego spodziewać.

– Ja to zrobiłem.

ROZDZIAŁ 26

Ręce Typho pewnie wstukiwały elektroniczny adres. Kiedy skończył, zapanowała cisza, nie licząc zakłóceń na linii połączenia. Wyobraził sobie, jak adiutant z należnym szacunkiem przekazuje informacje osobistemu doradcy Imperatora. „Lordzie Vader, dane, których zabezpieczenia żądałeś, oczekują na kanale szóstym” – albo coś w tym stylu. Kapitan zastanawiał się, w jaki nastrój wprawi Mrocznego Lorda ta wiadomość. Oczami wyobraźni widział Vadera siedzącego samotnie w ciemnej komnacie, otoczonego brzęczącą, błyskającą różnobarwnymi światłami aparaturą. W takim środowisku czuł się niewątpliwie lepiej niż pośród płaszczących się przed nim istot żywych. Jego pomocnicy zapewne nie umieli powstrzymać się od nieustannego podlizywania się i pochlebstw w nadziei na łaski i przywileje. Z pewnością drażniło to Czarnego Lorda, ale słudzy bywali czasem przydatni. Vader nie mógł przecież zajmować się wszystkim sam. Nie da się przebywać w kilku miejscach naraz, a pilnowanie porządku i umacnianie potęgi Imperium bez wątpienia wymagało od niego poświęcenia każdej chwili cennego czasu.

Ten jeden raz zrobi jednak wyjątek. Coś takiego z pewnością oderwie go od obowiązków.

Holoprojekcja zamigotała i przybrała wyraźniejszy kształt. Trójwymiarowy wizerunek Czarnego Lorda obrócił się w masywnym, czarnym fotelu kontrolnym i zmierzył kapitana uważnym wzrokiem.

Zobaczył zwyczajnego mężczyznę z zasłoniętą twarzą. Chociaż Typho nie mógł tego wyczuć, wiedział, że Czarny Lord za pośrednictwem Mocy próbuje odgadnąć tożsamość rozmówcy. Wyobrażał sobie frustrację Vadera, kiedy jego próby nie przyniosły skutku. Miał nadzieję, że wyrostek skórny taozina działa.

Jeśli nawet pokrzyżował Vaderowi szyki, Czarny Lord w żaden sposób tego nie okazał.

– Wiesz, kim jestem – powiedział tylko. – Za to ja nie wiem, kim jest ktoś ośmielający się zakłócać mój spokój – dodał tonem, w którym czaiła się groźba.

– Jestem synem mojego rodu – odparł wymijająco Typho. – Mam coś, czego pragniesz – dodał.

Vader kiwnął nieznacznie głową.

– Tak twierdzisz. Dopiero się okaże, czy mówisz prawdę – stwierdził.

– A więc patrz – rzucił Typho.

Obraz zamigotał lekko, kiedy nałożyła się na niego druga projekcja. Nagranie zarejestrowane ukrytą kamerą pokazywało koniec jakiegoś spotkania czy wiecu. Zgromadzenie i jego cel nie interesowały Czarnego Lorda. Tym, na co Vader zwróci uwagę – jak wiedział Typho – była postać w centrum obrazu. Automatycznie dopasowujący się do odległości obiektyw urządzenia skupił się na mężczyźnie i jego bliskim otoczeniu. Nie było wątpliwości, kim on jest. Kiedy pojawił się dźwięk – Typho przezornie usunął własny głos – potwierdził tylko, że ten człowiek jest celem Czarnego Lorda.

– Ach! – Vader, wyraźnie zadowolony, opadł na oparcie fotela dowodzenia. – Nędzny Jedi Jax Pavan.

– Szukasz go – stwierdził kapitan. – Mogę ci go dostarczyć – obiecał.

– Co chcesz w zamian? – W tonie Vadera słychać było zniecierpliwienie. Na jego decyzje oczekiwały całe planety, nie miał czasu do stracenia.

– Niewiele – powiedział Typho. – Pięć milionów imperialnych kredytów.

– Śmiały jesteś – powiedział Vader. W jego głosie słychać było lekkie rozbawienie. – A także zaradny, skoro zadbałeś o ukrycie umysłu przed Mocą. Jestem... zaintrygowany – oznajmił. – Kredyty zostaną przelane na wskazane przez ciebie konto. Zatwierdzę płatność natychmiast, gdy dostarczysz mi zdradzieckiego Jedi.

Vader nie zamierzał się targować, stwierdził z ulgą Typho. Kapitan nadal jednak musiał grać swoją rolę, żeby nie wzbudzić podejrzeń Sitha.

– Skąd mam wiedzieć, że mogę ci zaufać, Lordzie Vader? – spytał złowrogiego rozmówcę.

Czarna postać nie wydawała się urażona.

– Nie możesz, i żadne moje zapewnienia nie dadzą ci gwarancji. Pieniądze nic dla mnie nie znaczą. Chcę tylko Pavana.

– A więc go dostaniesz. Dziś, o zmierzchu. W sektorze cztery-G-dwa znajduje się opuszczony hangar dla transportowców. Przyjdź sam na szósty poziom. Jeśli napuścisz na mnie zgraję szturmowców, nasza transakcja może nie dojść do skutku.

– Nie potrzebuję obstawy – zapewnił Vader lekceważąco. – Będę na ciebie czekał. I pamiętaj: chcę go żywego – zastrzegł.

– Nie martw się – uspokoił go Typho. – Ufa mi. Kiedy nie będzie patrzył, dosypię mu do napoju sennopyłu. Dostarczę go na spotkanie zupełnie oszołomionego. Będiesz mógł mu wmówić, że jesteś jego dawno zaginionym mistrzem Jedi, a on w to uwierzy.

– Dobry plan. – Lord Sithów bez uprzedzenia zakończył transmisję. Obraz implodował i znikł.

Spotkanie zostało umówione. Klamka zapadła. Darth Vader, bezlitosny morderca, którego poszukiwania przywiodły Typho na Coruscant, przybędzie osobiście w wyznaczone miejsce.

– Już wkrótce, Padme – mruknął pod nosem kapitan.

– Ja to zrobiłem – powtórzył spokojny głos. Wszystkie oczy zwróciły się ku mówiącemu – androidowi protokolarnemu rodziny Umber. Baron i baronowa patrzyli zszokowani na swój udomowiony automat, który obojętnie odwzajemnił spojrzenia.

– Tak, ty – potwierdził Jax. Poprzez Moc wyczuwał zaskoczenie i zaciekawienie promieniujące od Hausa. Spojrzał na osłupiałych Vindalian. – Przepraszam, że bezpodstawnie panią oskarżyłem, baronowo. Tylko tak mogłem zmusić waszego androida, żeby przyznał się do winy – wyjaśnił.

– Ale jak... Dlaczego? – wykrztusił Umber.

– Ten android służył wam od bardzo dawna – wyjaśnił Jax. – Wiele z nas, istot żywych, nawet nie zauważa robotów. Rozwinęliśmy umiejętność ignorowania ich obecności nawet w sytuacjach intymnych. – Uśmiechnął się słabo. – Mówię z własnego doświadczenia. Wiemy, że są obok nas, ale lekceważymy je, dopóki nie są nam potrzebne. To jednak wcale nie oznacza, że są pozbawione samodzielnej motywacji. – Zerknął na I-Pięć. – Weźmy na przykład mojego androida...

– Ale on jest wyjątkowy – zauważył Den. – Jego oprogramowanie socjalne i interaktywne oraz niektóre układy zostały nielegalnie zmodyfikowane – przypomniał.

I-Pięć spojrzał na swojego przyjaciela.

– Dlaczego zakładacie, że jestem jedynym automatem, który mógł zostać w ten sposób zmodyfikowany? – zapytał.

Po drugiej stronie pokoju Kirma Umber powoli odsunęła się od swojego sługi – maszyny, która służyła rodzinie Umber dłużej, niż sięgała pamięcią.

– To niemożliwe – wykrztusiła. – Nie rozumiem, czemu...

– Widziałem pani ból – odparł spokojnie srebrzysty android. – Nic nie mówiłem, gdy baron odwiedzał świętej pamięci artystę i jego partnerkę, Zeltronkę Dejah Duare. Milczałem posłusznie, gdy szlochała pani w odosobnieniu swojej komnaty. Tej nocy, kiedy pani wyruszyła, aby spotkać się z Volettem, poleciałem tam również... ochrona to ważna część mojego oprogramowania. Nie widziałem przyczyny, dla której miałbym ujawniać swoją obecność. Podczas sprzeczki z rzeźbiarzem obserwowałem język pani ciała i reakcję skórno-galwaniczną, a w pani głosie zarejestrowałem nuty cierpienia. Wtedy ustaliłem najlepsze wyjście z sytuacji, żeby spełnić obowiązek wobec rodziny Umber. Poszedłem do Caamasjanina i spróbowałem przekonać go werbalnie, ale zostałem zignorowany. Zdecydowałem się więc na inne rozwiązanie – ciągnął android. – Skoro perswazja zawiodła, ugodziłem Vesa Voletta w przedni splot tym – uniosł prawą dłoń i z jego palca wysunął się krótki, ale groźnie wyglądający szpikulec. Kirma Umber nabrała gwałtownie powietrza.

– Końcówka odzyskiwania danych – wyjaśnił Jax. – Jesteś dość silny, żeby przebić chrzęstną płytkę – powiedział.

– Zgadza się – odparł automat. – Nie było świadków, więc kiedy baron został uwolniony

od zarzutów, uznałem, że ten niefortunny wypadek może odejść w zapomnienie. – Skupił fotoreceptory na Jaksie i I-Pięć. – Czuję coś na kształt ciekawości i mam ochotę przeprowadzić analizę heurystyczną. W jaki sposób wpadliście na trop sprawy?

Odpowiedział mu I-Pięć:

– Gdy Jax i Den przesłuchiwali Spa Fona – Haus dyskretnie odchrząknął, na co Sullustanin uśmiechnął się niewyraźnie – szukałem w cyberprzestrzeni pewnych danych. – Spojrzał na Jaksę. – Przypominacie sobie chyba, że kiedy wróciliście, nadal byłem podpięty do sieci? Badałem okoliczności morderstwa. W toku mojego śledztwa pozwoliłem sobie wykorzystać pewne informacje z rejestrów policji sektora – wyjaśnił.

Den zerknął na swojego towarzysza, a potem przeniósł spojrzenie na Hausa.

– A pan myślał, że to my łamiemy prawo – stwierdził z wyrzutem.

– Na miejscu zbrodni – teraz przemówił Jax – pracowało kilka droidów kryminalistycznych serii DN-Siedem-Dwa-Cztery. I-Pięć zwrócił mi uwagę, że wasz android to bardzo podobny model. Ten typ porusza się w charakterystyczny sposób, zostawiając za sobą ślady, takie same, jak na tym dywanie. – Wskazał na podłogę. – To wzbudziło moje podejrzenia. Śledztwo I-Pięć wykazało, że wasz sługa dysponuje narzędziem doskonale nadającym się do zadania rany, która spowodowała śmierć Voletta. – Jedi nie mógł wspomnieć o najważniejszej sprawie, która potwierdziła ich podejrzenia. Jak na ironię, był to w zasadzie brak wszelkich poszlak. Podczas wizyty w domu Umberów nie wyczuł od gospodarzy żadnych emocji, które wskazywałyby na zabójcę. To tylko potwierdziło podejrzenia względem androida, ponieważ automatu nie da się wysondować za pośrednictwem Mocy. Jax nie mógł oczywiście powiedzieć tego wszystkiego Hausowi.

– Jeśli to nasz 3PO – odezwał się baron – wystarczy go zwyczajnie przeprogramować i...

Ku jego zdumieniu, przerwał mu sam android.

– To przyniosłoby hańbę pańskiej rodzinie – powiedział. – Jestem przygotowany do podjęcia odpowiednich kroków. To jedyne rozsądne rozwiązanie. – Jego lśniące fotoreceptory wyraźnie przygasły. U podstawy metalowej czaszki zamigotał pęk iskier i pokój wypełnił zapach ozonu. Kiedy wyładowania ustały, I-Pięć podszedł do automatu i zatrzymał się kilka kroków przed nim. Wszyscy patrzyli bez słowa, jak z palca lewej dłoni wysuwa niewielką sondę, którą umieszcza następnie w gnieździe na pancerzu androida. Chwilę później wyjął ją i schował. Odwrócił się do milczących istot.

– Skasowany. Sieć neuralna została przepalona. Nie ma szans na rekonstrukcję. – Poklepał androida po ramieniu. – Może jest coś wart jako złom – dodał na pocieszenie.

Jax zobaczył, jak po policzku Dejah sływa samotna łza.

– Cóż, to wspaniale – stwierdził ponuro Pol Haus. – Co mam powiedzieć szefom, którzy męczą mnie o rozwiązanie zagadki śmierci ich ulubionego artysty? Że zabiła go maszyna? Jasne, na pewno to łykną – jego głos ociekał ironią.

– Jeśli mogłabym coś zasugerować... – odezwała się ostrożnie Dejah. – Na ulicach nie

brak kryminalistów, którzy zostali uwolnieni z braku dowodów. Można by zaaranżować wszystko tak, żeby to morderstwo pasowało do jednego z nich. – Zauważyła, że inni przyglądają się jej z zaskoczeniem, i wzruszyła ramionami. – Jak już wspomniał prefekt Haus, prawdziwe okoliczności śmierci Vesa są nieco irracjonalne. A w ten sposób zyska jakiś sens – dodała.

Haus zastanowił się chwilę nad jej pomysłem, po czym zwrócił się do swojego robota-asystenta.

– Sprowadź przedstawicieli kilku ras – polecił mu. – Może rzeczywiście ma to sens.

Kirma Umber przyglądała się przez dłuższą chwilę nieruchomemu automatowi, zanim przeniosła wzrok na męża. Baron uśmiechnął się pokrzepiająco.

– Kupimy następnego – pocieszył ją. – To była tylko maszyna, a poza tym miał już swoje lata.

– Tak – wymamrotała – tylko maszyna. – Po jej policzku spłynęła łza. – Ale jakże oddana.

ROZDZIAŁ 27

W czarnym jak noc pojeździe atmosferycznym nie było pilota, siedział w nim jedynie samotny pasażer. Typho obserwował maszynę z ukrycia. Wyglądało na to, że Vader przystał na jego warunki. Znakomicie. Opancerzony, zautomatyzowany śmigacz opadł na wskazany poziom i zatrzymał się w opuszczonym hangarze dla transportowców minutę po wyznaczonym czasie. Vader był znany z punktualności.

Typho zastygł w oczekiwaniu; wiedział, że nie dostanie drugiej szansy. Zdawał sobie doskonale sprawę, że jego postępek nie ma nic wspólnego z honorową walką. To będzie morderstwo – proste i szybkie. Błyskawicznie zaatakuje z ukrycia – wystrzeli śmiertelną wiązkę z blastera. Dokona zabójstwa, i to z najbardziej niskich pobudek – z żądzy zemsty.

Odsunął od siebie irytującą myśl. Pogodził się z tym już dawno temu. Na jego duszy pozostanie brzydka plama, ale pamięć Padme w końcu zostanie pomszczona. Tylko to się liczyło.

– Przybyłem, jak chciałeś. – Peleryna Vadera rozpostarła się, gdy uniósł ramiona. Typho odniósł wrażenie, że cały hangar pogrążył się w mroku. – Sam i nieuzbrojony.

Nadszedł czas, aby postawić wszystko na jedną kartę: kawałeczek zmumifikowanych komórek naskórka tkwiący w jego kieszeni. Czas, aby pomścić kobietę, którą kochał.

Czas na atak.

Typho pospiesznie opuścił swoją kryjówkę piętro wyżej. Bardzo ostrożnie wybrał punkt, z którego weźmie ofiarę na cel. Tuż przed nim znajdował się prześwit o średnicy mniej więcej sześciu metrów, a w dole, dokładnie pośrodku, widział plecy Czarnego Lorda.

Kapitan Typho uniósł blaster i wystrzelił.

Najpierw pomyślał, że wybuchło ogniwo zjonizowanego gazu w blasterze. Coś jak ogromna, niewidzialna dłoń podniosła go i cisnęła z niewyobrażalną siłą o przeciwległą ścianę. Przerażony, patrzył, jak w otworze w podłodze pojawia się postać Lorda Sithów. Jego czarne buty zatrzymały się obok pogruchotanego ciała Typho.

– Jakie to żalosne – stwierdził pogardliwie Czarny Lord, górując nad niezdolnym do ruchu kapitanem. – Czy naprawdę sądziłeś, że zdołasz mnie zabić? Nie udało się to znacznie lepszym od ciebie – zapewnił go.

Typho zakaszłał. Odłamki kości dokonywały dalszego spustoszenia w poranionych

wnętrznosciach. Jego bluzę plamiła krew.

– Kłamałeś – powiedział z wysiłkiem, wypluwając słowa niczym szczątki raniące mu krtań.

– Doprawdy? – zapytał Czarny Lord z udawanym zdziwieniem. – Powiedziałem ci, że przyjdę nieuzbrojony, i dotrzymałem słowa – stwierdził. – Ciemna Strona nie jest bronią. Jest częścią mnie samego. Nie mogę się bez niej obejść, podobnie jak nie mógłbym funkcjonować bez podtrzymującego życie pancerza.

Podszedł bliżej.

– Dam ci ostatnią szansę – rzucił. – Możesz zakończyć te żalosne gierki i zdradzić mi miejsce pobytu Pavana.

– Bo co mi zrobisz? – Typho splunął krwią. – Już i tak mnie zabiłeś.

– Zgadza się. Na pewno nie potrwa to długo. Nie lekceważ jednak potęgi Ciemnej Strony Mocy. Mogę skrócić twoje męki – powiedział. – Nadal zostało ci trochę czasu. Nie zmarnuj go. – Przynął się jeszcze bliżej i pochylił, aby spojrzeć Typho w twarz. – Czemu odważyłeś się tak głupio podnieść na mnie rękę? – Głęboki, przefiltrowany przez syntezator głos odbijał się od ścian opustoszałego hangaru. – Nie żebym oczekiwał rewelacji. Po prostu jestem ciekaw. Ostatnie słowa skazańców powinny mieć jakąś wartość – stwierdził drwiąco.

Na znak Typho Czarny Lord nachylił się ku niemu. Kapitan był na granicy życia i śmierci, skoncentrował się jednak nadludzkim wysiłkiem, aby zachować przytomność w ostatnim akcie przedstawienia.

– To... za Padme. – wychrypiał i splunął krwią prosto w wizjer maski zaskoczonego Lorda Sithów.

Vader nie zareagował tak, jak spodziewał się kapitan. Po pełnej napięcia chwili, ignorując krwawy ślad na szybce hełmu, przyklęknął i uniósł głowę Typho za włosy. W ciszy hangaru rozległ się pełen bólu krzyk.

– Co takiego?! – ryk wściekłości i towarzyszący mu potężny huragan Mocy wstrząsnęły budynkiem. Sylwetka Czarnego Lorda zdawała się rosnąć; w ataku gniewu sprawiała tak przerażające wrażenie, że kapitan niemal czuł, jak serce przestaje mu bić ze strachu.

– Padme – wymamrotał ledwie słyszalnym głosem. – Padme Amidala, kobieta, którą kochałem skrycie tak długo... – Zakaszłał ponownie i na jego ubraniu wykwitła nowa plama krwi. – Ona... nigdy się o tym nie dowiedziała. Za ciężko pracowała, była zbyt zajęta niesieniem pomocy innym... żeby mnie zauważyć. – Kolejna fala szkarłatu na piersi. – A ja pełniłem swoje obowiązki... – ja, Typho, kapitan z Naboo. Ale... kochałem ją. A teraz ona... nie żyje. Jest martwa. – Z nadnaturalną determinacją ranny zdołał unieść się nieco, stawiając czoło nagiej sile gniewu Vadera.

– To ty ją zabiłeś, Vader – rzucił resztką sił. – Ty! Wiesz o tym!

Czarny Lord przez chwilę trwał w ciszy i bezruchu. Kiedy przemówił, jego głos brzmiał pozornie tak samo, jak przed chwilą, ale coś się zmieniło.

– Nic nie wiesz. – Wyprostował się i głowa Typho opadła. – Nie jesteś wart wypowiadać jej imienia! – Uniósł ramię i wyciągnął w stronę bezsilnego mężczyzny dłoń.

Kapitan otworzył usta w niemym krzyku, a oczy wyszły mu z orbit, kiedy powietrze przestało dopływać do jego płuc. Głęboko na dnie umysłu, jakąś częścią jaźni obojętnie zauważył, że prawdopodobnie taki sam koniec spotkał jego ukochaną. Ze zdumieniem stwierdził, że jeszcze potrafi wydobyć z siebie ostatnie zdanie.

– Odpowiadasz również za... śmierć Jedi... Anakina Skywalker – wycharczał.

Bezlitosny chwyt na gardle Typho na chwilę zelżał, gdy Vader cofnął się z widocznym zaskoczeniem. Po krótkiej przerwie do uszu kapitana dobiegł okrutny śmiech Lorda Sithów. Trzy poziomy niżej para odurzonych istot usłyszała tylko jego echo i natychmiast otrzeźwiała – uświadomili sobie nagle, że gdzieś w pobliżu czai się coś niewypowiedzianie okrutnego.

Kiedy Vader po raz drugi zacisnął niewidzialną pięść na szyi swojej ofiary, kontrolował się już w pełni i działał z zimną premedytacją.

– Masz rację – powiedział do Typho, a w jego głosie brzmiało ponure rozbawienie. – Tak, zabiłem Anakina Skywalker. Patrzyłem, jak umiera. Był słaby, był Skywalkerem. Pod koniec marnego żywota nie potrafił zapanować nad swoimi uczuciami, kierował się nędznymi ludzkimi odruchami. A przede wszystkim nie rozumiał i nie dopuszczał do siebie prawdziwej potęgi Ciemnej Strony... dlatego musiał zginąć. Galaktyka jest bez niego lepszym miejscem.

Typho szybko tracił przytomność. Ból mijał, uciekając wraz ze świadomością, kapitan jednak się uśmiechał. Nie wiadomo, jakim sposobem wiedział, że śmierć z imieniem Padme na ustach była doskonalszą i bardziej wyrafinowaną zemstą na Vaderze niż zabicie go. Zdawało się, że ugodził to monstrum w samo serce wspomnieniem jej imienia.

W dodatku zrozumiał, że życie było dla Vadera gorszym przekleństwem niż śmierć.

Był już spokojny.

Teraz mógł odnaleźć swoją Padme...

ROZDZIAŁ 28

Kurier dostarczył pakunek akurat w momencie, gdy Jax, I-Pięć i Den opuszczali Dom Polody, aby spotkać się z Dejah i eskortować ją na statek. Whiplash, ze wsparciem prognostycznych talentów Cefalona, w końcu zdołał zapewnić jej miejsce na pokładzie statku „Zielona Asteroida”, frachtowca Ligi Poleczotechnicznej. Dejah Duare wracała do domu – za sześć miesięcy trafi okreśną drogą na planetę rozkoszy, rodzinną Zeltros.

Rhinann, jak zwykle, postanowił zostać w domu, tłumacząc się ważną pracą.

Jax odebrał przesyłkę; pudełko wręczone mu przez robota kurierskiego było płaskie i bez adresu zwrotnego. Pavan rozejrzał się po swoich przyjaciółach, ale wydawali się tak samo zdziwieni jak on. Wzruszył ramionami i zabrał się do rozpakowywania paczki.

Den wycofał się nerwowo.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł? – zapytał z niepokojem.

– Nie wyczuwam tu nic podejrzanego ani groźnego – uspokoił go Jedi.

Nie była to do końca prawda. Tajemniczy pakunek otaczała dziwna aura. Choć nic nie sugerowało bezpośredniego zagrożenia, paczka wydawała się wypełniona złem, przesiąknięta krwią. Cokolwiek było w środku, niewątpliwie miało coś wspólnego ze śmiercią.

Zrozumiał dlaczego, kiedy otworzył pakunek.

Był to miecz świetlny.

Holokarta wyświetliła prostą wiadomość: „Jedi nie powinien korzystać z zastępczego oręża. Powodzenia”. Podpis głosił: „Towarzysz broni”.

Jax obejrzał miecz uważnie. Oburęczna rękojeść odznaczała się elegancką prostotą – wykonano ją ze srebrzystego duraluminium, a włącznik przypominał ten z miecza utraconego w Dzielnicy Fabrycznej.

Świetnie, powiedział do siebie Jax. Nigdy nie wiadomo, kiedy trzeba będzie przeciążyć kolejny reaktor.

Zastanawiał się, jakiego koloru jest ostrze. Nie było sposobu, żeby się tego dowiedzieć bez włączania broni, a że znajdowali się w miejscu publicznym, nie wydawało się to najlepszym pomysłem. Pavan wiedział jednak, że miecz działa – czuł to dzięki przenikającej go Mocy.

Den wspiął się na palce i przeczytał wiadomość.

– Taak – westchnął. – Masz szczęście, chłopie. Czy nie próbowałeś niedawno sklecić czegoś podobnego? – zapytał.

I-Pięć przyjrzał się holokarcie.

– Zwykły jednorazowy czip holoprojekcyjny – orzekł. – Nie dostrzegam nic szczególnego ani w rodzaju pisma, ani w sposobie wyświetlania. – Skierował fotoreceptory na Jedi. – Zakładam, że to niespodzianka? – upewnił się.

– Raczej tak. Nie mam pojęcia, kto mógłby... – Jax przerwał nagle, przypominając sobie nieznanego spotkanego wczoraj na zgromadzeniu Whiplasha. Jak się przedstawił? Typhon? Jax pamiętał tylko, że człowiek miał przepaskę na oku.

Czy paczka mogła pochodzić od niego? Interesował go przecież velmoriański ogniomicz...

– Spotkałem wczoraj pewnego mężczyznę – powiedział z namysłem – który mógł być... – przerwał nagle, oszołomiony silnym zawirowaniem w Mocy. Jego źródłem był umysł kogoś, kogo spotkał już wcześniej: był tego pewien, chociaż odbierał impuls pośrednio. Żaden Jedi – tak naprawdę nikt, kto miał choćby parę midichlorianów – nie pomyliłby tak intensywnego bodźca z czymkolwiek innym.

– Vader jest w pobliżu – powiedział krótko.

Den rozejrzał się nerwowo po zatłoczonej uliczce i wyciągnął szyję, próbując zwiększyć pole widzenia.

– Gdzie? – zapytał z lękiem.

– „W pobliżu” to wyrażenie względne – stwierdziła Laranth. – Powiedziałabym jednak, że prawdopodobieństwo napotkania go w promieniu dziesięciu kilometrów kwadratowych jest dosyć duże. – Wskazała na południe. – Tam.

– W porządku – powiedział Den. – To my chodźmy tędy, dobrze? – Pokazał północ.

Jax i Laranth nie ruszyli się z miejsca.

– Jest dosyć zdenerwowany – stwierdził Pavan. – I nawet nie stara się ukryć swoich uczuć.

– Ciekawe – podsumowała Laranth.

– To nie jest dobre słowo w tej sytuacji – rzucił Den. – Czy nie powinniście schować waszych antenek Mocy i metaforycznie zapaść się pod ziemię? Osobiście nie mam nic przeciwko dosłownemu zniknięciu pod powierzchnią planety. Długo zamierzacie tu tkwić niczym banda gołych Jawów? – spytał rozdrażniony.

– Nie martw się – uspokoił go Jax. – Nie szuka nas. Jest zanadto zajęty, żeby wyczuć naszą obecność. – Zawahał się, po czym dodał: – Zastanawiam się, co mogło aż tak wyprowadzić Czarnego Lorda z równowagi...

– Dobra, dobra – powiedział Den. – Zastanawiaj się do woli, a my pójdziemy na północ.

Po znalezieniu w końcu mordercy Voletta – i jego wygodnym samoukaraniu – Den

pragnął tylko jednego: świętego spokoju. Przez najbliższy czas nie musieli się martwić o swoje finanse, ponieważ Dejah koniecznie chciała dalej ich sponsorować.

– Nalegam – oznajmiła, uprzedzając protesty Jaksa. – Dzięki wam jestem już spokojna, bo zagadka śmierci Vesa została rozwiązana. Mój towarzysz zostawił mi więcej kredytów, niż jestem w stanie wydać... a pamiętaj, że jestem Zeltronką, więc to coś znaczy. Będę zaszczycona, wspierając was i waszą działalność.

Jax, jak to on, próbował odwieść ją od decyzji, ale Dejah była na szczęście nieugięta. W obliczu jej arsenału biochemicznego i teleempatycznego opór Pavana na nic się nie zdał. Tak więc Zeltronka wróciła do swojej conapy, aby się spakować przed spotkaniem z nimi w kosmoporcie, a Jax dołączył do przyjaciół jakby lekko zamroczony.

Teraz przez jakiś czas mogli być „we własnym kącie i z czymś na koncie”, jak mawiali Ugnoughtowie. Poza tym mieli aż nadto roboty z załatwianiem przerzutu kolejnych zbiegów z planety i śledztwami, w które niewątpliwie wplącze ich Pavan. Den westchnął. Szanse na zlokalizowanie Jaksa przez Vadera i zaciśnięcia na ich grupie czarnej rękawicy Lorda Sithów były nadal dużo większe, niż reporter mógłby sobie życzyć. Na sullustański rozum Dena znaczyło to tyle, że jedynym sensownym rozwiązaniem było jak najszybsze znalezienie się w przestrzeni kosmicznej, byle dalej od Coruscant. Reporter musiał przyznać, że pomimo wszystkich tych nawoływań do rozsądku, istotom żywym najwygodniej żyło się w norze nexu. Tak naprawdę, pomyślał, w samej paszczy nexu. Pogodził się z takim stylem życia – przynajmniej do pewnego stopnia. Wiedział, że nie są całkiem bezbronni; mieli przecież po swojej stronie zabójczą celność oraz skuteczność I-Pięć i Laranth, Rhinann zaś potrafił się włamać do każdej bazy danych, nie zostawiając najmniejszego śladu. Może nie był najbardziej towarzyską istotą w zespole, ale Den mógł przymknąć na to oko.

Był też Jax. Reporter musiał przyznać, że odgrywanie roli bohatera wychodziło rycerzykowi coraz lepiej. Jeśli uda mu się przetrwać kolejne napady wzmożonego zainteresowania Vadera, nie wspominając o tysiącach niebezpieczeństw czyhających na niższych poziomach, może stać się naprawdę kimś, z kim trzeba się będzie liczyć. Tworzyli całkiem niezłą grupę wsparcia, chociaż ostatnio zaszły drobne zmiany w relacjach między jej członkami. Przede wszystkim, Laranth. Jedi musiał być ślepy niczym kosmiczny ślimak, skoro nie dostrzegął, co czuje do niego Twi'lekanka. Den zauważył też dziwne napięcie między Pavanem a I-Pięć, choć nie miał pojęcia, co mogło być jego przyczyną. Trudno było powiedzieć coś nowego na temat Rhinanna, bo ponury Elomin ograniczał stosunki z całą resztą do koniecznego minimum, a poza tym ostatnio spędzał coraz więcej czasu, szperając w HoloNecie.

Den wzruszył ramionami. W każdej rodzinie dochodziło od czasu do czasu do sprzeczek, a oni właśnie tym byli – rodziną, chociaż czasem odnosił wrażenie, że wybitnie dysfunkcyjną. Ważne, że w obliczu zagrożenia potrafili działać razem, i to skutecznie.

Jax dostrzegł w tłumie istot wchodzących do kosmoportu ich klientkę. Z ulgą zauważył, że na podróż włożyła prosty strój, zdecydowanie mniej prowokujący niż kreacja, w której przyjęła go wczorajszego wieczoru. Kiedy podeszła do nich, uświadomił sobie również, że przytłumiła strumień feromonów i złagodziła nacisk mentalny.

To dobrze, uznał. Zaraz zapakują ją na pokład i Dejah opuści planetę, zanim cokolwiek pójdzie nie po ich myśli.

Czuł się odrobinę winny, że tak mu ulżyła perspektywa rozstania z Zeltronką. Nie mógł zaprzeczyć, że w pewnym sensie go fascynowała, ale cieszył się, że ich opuszcza. Tak naprawdę wprawiała go w zakłopotanie nawet bez całego tego bagażu chemicznych i psychicznych sztuczek.

Kosmoport Dziewiąty był zatłoczony przepychającymi się i rozgorączkowanymi istotami wszystkich ras, które miały zwyczaj odbywać podróże międzygwiazdne. Nie różnił się pod tym względem od innych dużych kosmoportów planety-miasta. Jedno tylko odróżniało go od miejsc takich jak Kosmoport Ósmy czy Dziesiąty; Dziewiątka przechodziła obecnie kompletną przebudowę pod nadzorem imperialnych władz portów kosmicznych. W budowlanym zamieszaniu poruszanie się po jej terenie było znacznie bardziej frustrujące i trudniejsze niż gdzie indziej. Stare budynki wyburzano, wznoszone nowe, wyznaczono tymczasowe trasy ruchu. Całość jakimś cudem funkcjonowała w miarę sprawnie.

Rozmiar robót sprawiał, że zapotrzebowanie na maszyny chwilowo znacznie przewyższało zatrudnienie istot żywych. Pracownicy stacji, załoga i budowlancy – nie mówiąc już o podróżujących – musieli przeciskać się przez wąskie korytarze i trzymać wskazówek programów oraz robotów serwisowych. Te z kolei nieustannie aktualizowano, tak samo jak zmiany w planach kosmoportu. Wszystko to sprawiało, że odnalezienie miejsca przeznaczenia przypominało poruszanie się po labiryncie najniższych poziomów Imperialnego Centrum.

Pośród wielojęzycznego gwaru, odoru ciał najróżniejszych ras i huku prac budowlanych ich zdeterminowana grupka kontynuowała marsz ku odpowiedniemu wyjściu. I-Pięć wykorzystał kierunkowy sygnał hipersoniczny, aby przekazać im w tym chaosie wiadomość.

– Skracamy w korytarz po lewej – zarządził. – To tymczasowe przejście, które pozwoli nam ominąć większość głównych prac konstrukcyjnych.

Jax zauważył lśniące litery unoszące się ponad wejściem, obok wielojęzycznego komunikatu ogłaszającego niebezpieczeństwo.

– Tu napisano, że to przejście tylko dla pracowników budowlanych – zauważył trzeźwo.

– To właśnie my – odparł android. – Budujemy sobie szybszą drogę do celu.

Jax miał pewne wątpliwości, ale te zniknęły, gdy tylko znaleźli się w korytarzu. Przejście było wyludnione i po raz pierwszy od przybycia do portu mogli poruszać się swobodnie. Jedi odetchnął z ulgą i się odprężył.

A raczej spróbował.

Teraz, kiedy wreszcie znaleźli się z dala od tego pandemonium, uświadomił sobie, że Moc próbuje mu coś powiedzieć. Co prawda to nie było odpowiednie określenie. Miał raczej wrażenie, że Moc chwyciła go za ramiona i potrząsając nim wściekle, wrzeszczy mu do ucha. Bezwiednie sięgnął po miecz świetlny, jednak nie zapalił klingi – nadal byli w miejscu publicznym.

Szybkie spojrzenie na Laranth potwierdziło, że ona również wyczuła zagrożenie. Jej dłonie krążyły wokół kabur na biodrach. Jax rozejrzał się ostrożnie, ale nie zauważył niczego niepokojącego. Kilku przedstawiceli innych ras – głównie Niktowie – szło lub jechało obok, ale Pavan rozumiał, że on i jego paczka nie są jedynymi, którzy spróbują zaryzykować przejście korytarzem dla personelu.

– Co teraz? – zapytał Den grobowym głosem. Uważny słuchacz dostrzegłby w nim podobieństwo do dźwięków wydawanych w noc poślubną przez nieszczęsnych samców rasy H'nemthe.

– Ciii! – Jax uciszył go zniecierpliwionym syknięciem. W pobliżu wyczuwał jakąś groźbę, tego był pewien. Ale co to mogło być? – zachodził w głowę.

We względnej ciszy korytarza rozległo się nagle głośne, wibrujące buczenie. Po chwili w pobliżu pojawił się skrzydłowiec, przecinając z hałasem powietrze. W tej samej chwili Laranth krzyknęła:

– Uwaga! – I odepchnęła Pavana na bok. Jax cudem uniknął śmiertelnego ciosu szmaragdowego ostrza.

Laranth nie miała tyle szczęścia.

ROZDZIAŁ 29

Jax runął na bok, odtoczył się i podniósł natychmiast jednym płynnym ruchem, pozwalając Mocy kierować sobą. Okazało się, że włączył miecz świetlny, choć nawet nie wiedział, kiedy to się stało. Ostrze – szkarłatne, jak zauważył jakąś częścią umysłu – wysunęło się na pełną długość w ułamku sekundy.

Po chwili stanął oko w oko z Aurra Sing.

Chociaż nigdy wcześniej jej nie spotkał, wygląd kobiety mówił sam za siebie. Jax nie miał zresztą czasu na jakiegokolwiek wątpliwości, bo ostrze miecza łowczyni zbliżało się błyskawicznie ku niemu. Broń przeciwniczki miała zielone ostrze – upiorny blask nadawał całemu otoczeniu odcień pokrytego platyną mosiądzu. Tylko skóra Laranth przybrała ciemnozielony odcień dojrzałych orzechów chee.

Jax miał dość czasu, aby dostrzec, że Twi'lekanka została poważnie ranna, a może nawet już nie żyła. Ciało paladynki znajdowało się dokładnie na drodze kolejnego ciosu Sing, gdy zanurkował w desperackiej próbie zablokowania go.

Z wielkim trudem zdołał odeprzeć atak. Klingi skwierczącej energii starły się i powietrze przesycał zapach ozonu. Kiedy miecze oderwały się od siebie, ostrze Sing o włos minęło ciało jego przyjaciółki. Lekko przeszło przez podłogę wiszącego w powietrzu korytarza i ciało wsporniki jak masło. Jax zrobił salto w tył i wylądował na wciąż stabilnej części przejścia, z mieczem przygotowanym na kolejne natarcie.

W tym samym czasie jego towarzysze spadali w otchłań ziejącą pod zniszczonym mostkiem.

Nie miał czasu zareagować, ponieważ Sing właśnie parła ku niemu z determinacją. Kilka metrów niżej automatycznie aktywowane pole ochronne uchroniło jego przyjaciół przed śmiercią. Opadali teraz powoli, ale i tak nie mieli czasu obserwować śmiertelnego starcia – ledwie zdołali łapać oddech. Łowczyni zaatakowała Jaksę furją ciosów, które gwałtownością dorównywały przekleństwu i wyzwiskom rzuconym pod jego adresem.

– Drżysz przede mną, Jedi, strzeż się! Jestem Aurra Sing, Nashtah, klątwa tobie podobnych, twój najgorszy koszmar! Kapię się w krwi Jedi, ścielę sobie legowisko w ich trzewiach! Twoje najgorsze sny mają teraz imię, szkarlatanie, a brzmi ono: Aurra Sing! – wykrzykiwała pogróżki.

Czuł spowijającą ją Moc. Była niewątpliwie potężna, ale zarazem dzika i nieujarzmiona, a więc trudna do kontrolowania. Nigdy wcześniej nie spotkał się z niczym podobnym – a z pewnością nic takiego nie słyszał.

W końcu przerwała na chwilę swoją wściekłą tyradę. Pavan uniósł miecz świetlny, wysunął prawą nogę do tyłu i zatrzymał buczące ostrze nad głową.

– A więc w końcu się spotykamy, łowczyni nagród – stwierdził.

Kobieta uśmiechnęła się do niego szalonym grymasem, trzymając broń w pogotowiu. Była piękna, nie mógł zaprzeczyć. Nawet bez przewagi feromonów dorównywała urodą Dejah. Pod tą powierzchownością Jax dostrzegał jednak także jej wnętrze, które całkowicie zaprzeczało wyglądowi. Miała paskudną duszę, bez dwóch zdań.

– Dobrze sobie radzisz z mieczem świetlnym, zwierzytno. – Pochyliła się gwałtownie w jego stronę, a szkarłatne w świetle klingi oczy zwęziły się w szparki. Wypełniała je wściekłość. Jaksowi wydawało się, że widzi w nich ślad szaleństwa.

A już na pewno, pomyślał, nie zostało w nich śladu rozsądku. Nie żeby wcześniej było go tam za wiele...

– Skąd to masz? – warknęła gardłowo, wskazując na jego miecz.

– Przysłał mi znajomy – odpowiedział zgodnie z prawdą. Wygląda na to, że nie był mu już potrzebny. – Wzruszył ramionami.

Błyskawicznie zbliżyła się do niego – szybciej niż wydawało się to możliwe. Tylko Moc pozwoliła mu przewidzieć jej reakcję. Gdyby było inaczej, z pewnością straciłby kończyny podczas tego żywiołowego ataku. Mógł tylko starać się parować huragan ciosów, którymi go zasypała: cięcie, cięcie, cięcie, pchnięcie, cios po przekątnej...

Odskoczył, aby uniknąć natarcia i poczuł, że żar klingi osmalił mu prawą stopę i odciął część obcasa.

Wyprowadzenie zabójczyni z równowagi nie było chyba zbyt dobrym pomysłem... – zdał sobie sprawę po niewczasie.

Odskoczył, celując ostrzem miecza w tył. Dopiero co zamontowany transpasterowy panel rozpadł się pod naciskiem jego miecza, akurat w porę, żeby Jedi mógł przeskoczyć bez szwanku przez otwór. Wylądował na dachu sąsiedniego budynku.

Sing natychmiast znalazła się tuż obok. Przefrunęła przez strzaskany panel, ciskając błyskawice wściekłości spod przymkniętych powiek i rozpościerając ramiona dla zachowania równowagi. W panującym na zewnątrz półmroku ostrze jej miecza lśniło chromową zielenią.

Cięła w dół, mocno i błyskawicznie. Gdyby nie Moc, rozplątałaby go na pół. Tymczasem, zanim zdążył pomyśleć, jego ciało samo zareagowało, oplecione więzami Mocy. Dłoń spontanicznie i pewnie ustawiła broń w taki sposób, aby zablokować cios. Przez chwilę rozbłysk krwistoczerwonej i szmaragdowej energii oślepił ich oboje. Siła ataku Sing ponownie zmusiła go do cofnięcia się aż na skraj dachu. O mało nie wypadł poza krawędź.

Z tyłu, za nimi, szereg masywnych automatów pracował przy rozbiórce i budowie

gmachów kosmoportu. Gdzieś tam, na dole, w wygodnym pomieszczeniu nadzoru, jakaś istota odpowiedzialna za budowę siedziała sobie w dopasowującym się do ciała fotelu, obserwując, jak maszyny odwalają całą robotę. Czy w końcu spojrzy na ekran kontrolny, zauważy walkę toczącą się nad mrówczą pracą, odstawi nieodłączny kubek kawy i zawiadomi ochronę? Czy ich walka będzie w ogóle trwała na tyle długo, żeby służby bezpieczeństwa zdążyły zareagować? – zastanawiał się Jax.

Sing ponownie runęła na niego z impetem, niczym burza. Była silna i zręczna, ale też nierozważna. Sama to powiedziała: jej pasją było polowanie na Jedi, nie walka z nimi. Przywykła do ataku nagłego i szybkiego – lśniąca smuga w mroku. Nie mogła zbyt długo stawiać czoła wyszkolonemu przeciwnikowi.

Jax nadal się cofał, parując jej ciosy i pozwalając Mocy, aby całkowicie przejęła nad nim kontrolę. Jeden fałszywy ruch mógł sprawić, że cios miecza skróci go o głowę. Najlepszym wyjściem było przeczekać, pozwolić, żeby jego przeciwniczka zmęczyła się walką, zanim spróbuje ją zaatakować. Zakładając, że zdoła ją przetrzymać, pomyślał ponuro. Była rasy człekokształtnej, ale nie była człowiekiem. Ten gatunek mógł mieć jakieś szczególne cechy, wyróżniające go wśród innych. Pavan zdążył już zauważyć, że Sing dysponowała znacznie większą siłą mięśni niż on. Zaczynał się męczyć, a ona wydawała się cały czas w doskonałej formie.

Znaleźli się teraz pośród maszyn – ciężkich dźwigów i pojemników z kompozytowym materiałem, urządzeń nadzorujących procesy konstrukcyjne, emiterów i syntetyzatorów. Automaty warczały i dudniły wokół nich. Sing nacierała bez ustanku, zmuszając go do ciągłego cofania się. Jax nie miał nic przeciwko temu. Chciał ją utwierdzić w przekonaniu, że szala zwycięstwa przechylała się na jej stronę.

Chociaż może tak właśnie było...

Na szczęście przestała mu wymyślać.

Już się bałem, że zagada mnie na śmierć, przeszło mu przez głowę.

– Nie musisz się poddawać – powiedziała, jak gdyby czytając mu w myślach. Zaatakowała ponownie serią niedbałych ciosów, z których żaden nie mógłby go poważnie zranić. Domyślał się, że miały być raczej preludium do śmiertelnego ciosu.

– Naprawdę? A jak sądzisz, co ma zamiar zrobić ze mną twój szef? Zaprosić na lunch? – zapytał drwiąco.

– To nie mój interes, Jedi – wysyczała. – Poddaj się, a może będziesz mógł z nim negocjować. Jeśli mi nie ulegniesz, zabiję cię tu i teraz. Niepewna przyszłość jest lepsza niż żadna, nie sądzisz? – zaśmiała się szyderczo.

Zaatakowała, nie czekając na odpowiedź, a seria jej ciosów była zbyt szybka, aby za nią nadążyć. Moc odpowiedziała za niego – jej wici manipulowały nim niczym marionetką, ale jego ciało nie było zdolne do dalszego wysiłku. Blokował i kontratakował, ale łowczyni odpierała jego ciosy bez trudu. Zanurkował akurat na czas, żeby nie dać się skrócić o głowę.

Kiepska sprawa. Musi coś wymyślić, i to szybko, albo...

Sing się niecierpliwiła. Przeklęty Jedi nie chciał się poddać, chociaż gonił resztką sił tylko dzięki Mocy.

Nie wiedziała, w jaki sposób jej miecz świetlny trafił w jego rękę, ale wszystko wskazywało na to, że jej ofiara spotkała się w jakiś sposób z tym kapitanem Typho. Nie obchodziły jej szczegóły – miała zamiar odzyskać broń, nieważne jak. Jeżeli będzie musiała wyrwać ją z zimnych, martwych palców tego zatraconego Jedi, nie zawaha się ani przez chwilę. Chciała jednak, żeby w końcu było po wszystkim, i to możliwie szybko. Energii starczało jej na dłużej niż większości istot człekokształtnych, ale kiedy uchodziła, działa się to szybko.

Porażka nie wchodziła w grę. Pokona tego zarozumiałego Jedi. Nie dopuszczała do siebie innej myśli.

Jax zauważył kątem oka ruch, który przyciągnął jego uwagę. Energetyczne ostrza znów się starły i zaskwierczały energią. Pozwolił, żeby siła ciosu posłała go do tyłu. Czasu starczyło mu tylko na pobieżną ocenę sytuacji...

Wyczerpał już siły do walki. Musi teraz wykorzystać swój spryt.

Maszyna w pobliżu była ogromnym magazynem albo produkowała jakieś części. Meła surowiec, wyglądający na piasek pobierany ze zbiornika, i opuszczała arkusze przezrystego tworzywa na dach budynku – twarde, wodoodporne panele pokrycia. Zbiornik otaczało pole ochronne lśniące bladym błękitem, chroniące otoczenie przed wciągnięciem do zbiornika na surowiec. Było to mądre rozwiązanie, ponieważ urządzenie przetrawiłoby wszystko, cokolwiek by wchłonęło – a potem przetworzyło na płytę.

W głowie Pavana zrodził się szalony plan.

Spróbował zaatakować Aurę prostym ciosem drugiej formy, której uczono młodych padawanów. Nie było to nic groźnego, miało służyć podstawowej obronie przed świetlnym mieczem.

Sing postąpiła dokładnie tak, jak spodziewał się Jax. Zablockowała atak i roześmiała się szyderczo.

– Obrona niegodna padawana! Dalej, parszywy Jedi! Stać cię chyba na coś więcej? – rzuciła radośnie.

– Niekoniecznie – odparł. Wszystko, czego pragnął, to nieco przestrzeni, którą zapewni mu kolejny ruch. Odwrócił się, przebiegł trzy kroki i skoczył, wspomagając się resztką Mocy. Wylądował na panelu kontrolnym urządzenia, młóćąc rękami powietrze w udawanej próbie zachowania równowagi...

Sing zaraz znajdzie się tuż za nim, wiedział o tym. Nie będzie miał nawet chwili, żeby się odwrócić i z nią zmierzyć, a ona wykorzysta pole strzegące zbiornika z surowcem do odbicia

w ataku, aby strącić go z wąskiej żerdzi, na której usiłował utrzymać równowagę.

Czuł ją, sięgając zmysłami poprzez Moc...

Czerwony przycisk na panelu kontrolnym znajdował się tuż obok jego pokierszowanego buta. Jax odczekał, aż Sing wyląduje na tarczy ochronnej. Wtedy nadepnął na włącznik i pole w mgnieniu oka zniknęło.

Usłyszał zaskoczony krzyk łowczyni wpadającej do środka razem z wirującym piaskiem. Jej miecz świetlny topił surowiec w grudowate zielonkawe szkło, póki nie został wciągnięty przez sypki strumień, gdy wypuściła go z ręki.

Patrzyła na niego do końca, a kwarcowe drobinki wirowały, wciągając ją w trzewia maszyny. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył Jax, była kita rudoczerwonych włosów.

Odwrócił się i skierował ku najbliższemu szybowi repulsorowemu. Zjeżdżając nim, miał nadzieję, że jego przyjaciele są już bezpieczni na dole...

ROZDZIAŁ 30

Kiedy Jax dotarł do centrum medycznego, zaskoczyły go dwie niespodziewane wiadomości, jedna po drugiej.

Pierwsza pochodziła od Dejah. Zeltronka przeszła pomyślnie wszelkie testy – skan nie wykazał żadnych obrażeń.

– Z nas, Zeltronów, są twarde sztuki – zapewniła go z szelmowskim uśmiechem. Wyglądała bardzo radośnie. Tak bardzo, że Jax zapytał ją o przyczynę dobrego humoru.

– To z powodu decyzji, jaką podjęłam – wyjaśniła mu. – Zostaję tu, na Coruscant. Nie wracam na Zeltros. Chciałabym dołączyć do ruchu oporu – obwieściła.

– Co takiego? – Przez chwilę Jax nie był pewien, czy dobrze usłyszał. – Chcesz powiedzieć, że po wszystkich naszych staraniach i ryzyku, jakie podjęli członkowie Whiplasha, aby zapewnić ci bezpieczny start...

– Tak, zostaję – potwierdziła. – Przykro mi, że sprawiłam wam tyle problemów, ale jeśli rozważysz wszystkie za i przeciw, sam przyznasz, że to dobra decyzja. – Zaczęła wymieniać zalety, zaginając kolejno palce w miarę wyliczania. – Jestem przedstawicielką rasy człekokształtnej, więc nie trzeba prawie żadnych starań, abym udawała kogoś innego. Mogę być człowiekiem, Mirialanką czy nawet Twi'lekanką. Dzięki zdolnościom do wydzielania feromonów i teleemпатii mogę swobodnie manipulować różnymi istotami bez wzbudzania ich podejrzeń. Poza tym jestem atrakcyjna i bogata, co daje mi dostęp do pewnych drzwi, zamkniętych dla innych. Jax, twoja grupa naprawdę mnie potrzebuje. Pogódź się z tym.

Nie mógł zaprzeczyć. Była uparta, zdeterminowana i wiedziała, czego chce, słowem, miała rację.

Zastanawiał się, czy Laranth nie będzie miała nic przeciwko...

Okazało się, że nie miał nawet szansy jej o to zapytać.

Twi'lekanka odpoczywała w prywatnej sali, jak z zaskoczeniem stwierdził Pavan. Podejrzewał, że to dzięki pieniądзом i znajomościom Dejah, bo takie luksusy były kosztowne i dostępne tylko dla wybranych.

Kiedy wszedł do sali, paladynka była przytomna. Właśnie zakończyła intensywną regenerację w zbiorniku z bactą. Jej prawe ramię o mało nie zostało odcięte, a miecz świetlny spowodował poważne rany w prawym boku, uszkadzając wątrobę i trzustkę. Gdyby nie fakt,

że ostrze miecza przypaliło ranę, wykrwawiłaby się na śmierć, zanimby dotarła na ziemię.

Była świadoma i obserwowała go przytomnym wzrokiem. Wydawała się jeszcze smutniejsza niż zwykle.

– Odchodzę – rzuciła krótko w odpowiedzi na jego powitanie.

– Jak to?

– Z waszej grupy – wyjaśniła beznamiętnie. – Uznałam, że dużo więcej mogę osiągnąć sama, bez szaleńczych prób rozwiązywania tajemnic, które powinniście zostawić policji. – Uniosła swoją sprawną dłoń, aby powstrzymać jego protesty. – Będę obok, Jax – zapewniła. – Jestem pewna, że nasze ścieżki skrzyżują się jeszcze nie raz. Uważam jednak, że każde z nas powinno pójść własną drogą – zakończyła.

Pavan stwierdził z zaskoczeniem, że nie wie, co powiedzieć. Stał tak z otwartymi ustami, wlepiając w swoją towarzyszkę spojrzenie, zupełnie jak padawan, który zobaczył właśnie pierwszą demonstrację Mocy. W końcu, bezradny, wysłał ku niej wici Mocy. Szukał jej uczuć, chociaż nie spodziewał się niczego poza zwykłą nieprzeniknioną barierą.

Z zaskoczeniem stwierdził, że nie opiera się sondowaniu. Nieśmiało szukał dalej i nie wyczuł śladu sprzeciwu.

Nie wita mnie z otwartymi ramionami, pomyślał. Wiedział jednak, że nawet taka szczerłość kosztuje jego towarzyszkę sporo wysiłku.

Zaufanie wymagało odwzajemnienia. Nie miał dużej wprawy – umiał tylko to, czego nauczono go w Świątyni. Otworzył się na Moc tak bardzo, jak potrafił.

Poczuł, jak wici Laranth przenikają jego umysł. Z początku dotyk był niepewny, ale potem coraz bardziej śmiały, aż w końcu porzuciła wszelkie obawy. Miał wrażenie, że czegoś szuka...

Uświadomił sobie, o co jej chodzi, gdy natknął się na to samo. Nie broniła się – ostrożnie, powoli ujawniała swoje wnętrze.

Odkrycie sprawiło go w osłupienie.

Ja... nigdy o tobie w ten sposób nie myślałem, powiedział w myślach, a Moc przekazała jej znaczenie wiadomości bez zbędnych słów.

Ani ja, odpowiedziała łagodnie. Ale wszystko się zmienia.

Spojrzała na niego. Chociaż strumień jej myśli był chłodny i kontrolowany, przekaz Mocy mówił mu coś zupełnie innego. Czuł żar i intensywność jej poświęcenia dla wolności i sprawiedliwości. Doznanie zaczęło stopniowo przygasać – paladynka na powrót wycofywała się do swojego ochronnego pancerza.

Zaczekaj! – poprosił, ale za późno. Zawstydzona odwróciła wzrok.

– Tak jak powiedziałam, będę w pobliżu – szepnęła. – A teraz wybac, ale chciałabym odpocząć. – Złożyła głowę na poduszkach i przymknęła oczy.

Jax opuścił pokój i skierował się do wyjścia, próbując uporządkować myśli. Czuł się jak głupiec. No bo skąd miał wiedzieć? Życie w Świątyni dawało niewielkie szanse na poznanie

zwyczajów przedstawicielek płci przeciwnej. Kiedy wyszedł poza mury Zakonu, spotkania z nimi nauczyły go traktować kobiety obojętnie; wolał zachować czujność, kiedy wykorzystywały swoje wdzięki jako broń lub towar przetargowy.

Pavan traktował Laranth Tarak jako przyjaciółkę, nic więcej. Nagle zrozumiał przyczynę jej złego humoru i niechęci wobec Dejah Duare. Twi'lekanka nie miała szans, aby z nią konkurować. Nawet bez arsenału psychochemicznego, Zeltronka była niebezpieczną przeciwniczką. Zamożna i piękna, pod każdym względem biła Laranth na głowę.

Paladynce pozostawało tylko poświęcenie się walce. Postanowiła dać z siebie wszystko.

– Czy coś cię trapi, Jax? – rozmyślania Pavana przerwał głos I-Pięć.

– Five chciał powiedzieć, że wyglądasz na dziwnie nieobecnego, jeszcze bardziej niż zwykle – wyjaśnił usłużnie Den.

Jax zamrugał nieprzytomnie. Byli w poczekalni. Otaczające ich istoty czekały na leczenie albo informację o stanie swoich bliskich. Pavan zauważył, że Den ma duże skaleczenie na prawym uchu, ale android wyszedł najwyraźniej z przygody bez szwanku.

– Widziałem się właśnie z Dejah i Laranth – powiedział Jax. – One...

– Słyszeliśmy rewelacje od Dejah – przerwał mu I-Pięć. – Co u Laranth? – zapytał.

– Żyje i wraca do zdrowia – zapewnił ich Jax.

Zrelacjonował im to, co powiedziała, i roześmiał się nagle radośnie.

– Przegapiliśmy coś zabawnego? – zainteresował się podejrzliwie Den.

– Można tak powiedzieć – stwierdził Jax. Opanował się i donośnym głosem wyrecytował: – „Priorytet dla wzmożonej czujności względem operacji odzyskiwania zbiega”.

– To brzmi znajomo – zastanowił się Den. – Hej, czy to nie ostatnie słowa Cefalona? – zapytał.

– Dokładnie – potwierdził Jax i pokręcił z niedowierzaniem głową. – Próbował nas ostrzec przed Aurą Sing, tyle że dowiedzieliśmy się o tym nieco po fakcie. – Zaśmiał się ponownie.

– Myślałam, że oddajecie się ponurej bezradnej pracy – powiedział kobiecie głos za jego plecami. Jedi odwrócił się i zobaczył Dejah Duare wychodzącą z pobliskiego szybu repulsorowego. Zeltronka podeszła do nich. Miała na sobie sukienkę, która trochę przypominała mglistą szatę z poprzedniego wieczoru, ale wydawała się bardziej... płynna. Drobne błękitne fale przebiegały od prawego ramienia, marszcząc delikatną powierzchnię materiału, aż do lewego biodra i natychmiast wracały z powrotem. – Zamiast tego – ciągnęła Dejah – słyszę śmiech i widzę radość. Cieszy mnie to. – Zatrzymała się obok Jedi i obdarzyła go promiennym uśmiechem.

– Ładna sukienka – zauważył Pavan.

– To część kolekcji – wyjaśniła. – Poczekaj, aż zobaczysz ostatnią... jest cała z płomieni! – oznajmiła.

Jedi odwzajemnił jej uśmiech. Nie był pewien, czy to skutek feromonów, ale czuł się

wspaniale. Oczywiście, nadal mieli problemy, z którymi należało się uporać. Wciąż ścigał go Vader, a poza tym ta sprawa zabójcy jego ojca... Pamiętał też, że Anakin Skywalker nadal żyje; – musi odnaleźć młodego Jedi i zwrócić mu bryłkę pyronium, a także zdecydować, co zrobić z destylatem boty. Czekają ich mnóstwo roboty – wszystko jednak w swoim czasie.

Teraz pragnął tylko słuchać śmiechu Dejah, widzieć jej twarz i czuć jej dotyk.

Kątem oka zauważył, że Den potrząsa głową i mruczy coś pod nosem. Brzmiało to jak se'lahn. I-Pięć przytaknął Sullustaninowi. Jedi poczuł przez chwilę rozdrażnienie, zanim uświadomił sobie, że jego przyjaciele nic nie rozumieją. Ważne jest nastawienie – uczucie, z którym budzili się każdego ranka i które pozwalało przetrwać cały dzień. Gdyby miał wybór, wolałby u swojego boku mieć raczej kogoś takiego jak Dejah niż ponurą i zamkniętą w sobie Laranth.

Kiedyś tamci też rozumieją. A zanim to nastąpi...

– Chodźmy – powiedział. – Zostawiliśmy Rhinanna samego. Lepiej upewnijmy się, że nie sprzedał całego naszego dobytku w sieci.

To android, uświadomił sobie Rhinann. I-Pięć był kluczem do całej sprawy. To on uczestniczył we wszystkich ważnych wydarzeniach. Brał udział w tajemniczym pościgu i rzezi dwadzieścia lat temu... był obecny na Drongarze, towarzyszył Jedi Barrissie Offee... i wiedział o tajemniczym ekstrakcie z boty.

Android był kluczem. Wiedział... czuł to.

Haninum Tyk Rhinann wyciągnął się w fotelu i uśmiechnął z zadowoleniem. Dokończył właśnie skomplikowaną układankę. Niektóre jej części pochodziły sprzed dwudziestu lat i były rozproszone po całej galaktyce; wiele kawałków ukryto w miejscach, które nie tylko trudno było odnaleźć, ale i niebezpiecznie uzyskać do nich dostęp. Ale było warto. Jeśli przynajmniej część tego wszystkiego okaże się prawdą, jego wysiłek się opłaci. Może w końcu zdoła odzyskać utraconą chwałę, a nawet więcej – stawić czoło samemu Imperatorowi!

To była bez wątpienia trudna układanka. Ale Elomin był dobry w rozwiązywaniu łamigłówek.

Naprawdę bardzo dobry.

PODZIĘKOWANIA

Jeszcze raz pragną podziękować przede wszystkim moim redaktorkom: Shelly Shapiro z Del Rey i Sue Rostoni z LucasBooks, które ponownie zaprosiły mnie na przechadzkę zaulkami Coruscant. Dziękuję również Lelandowi Chee i innym galaktycznym świrom, którzy nigdy nie ustają w zadawaniu pytań, oraz – jakżeby inaczej – George ‘owi Lucasowi za całą tę historię.